



17 / 1990

17

SPIS TRESCI

Od redakcji

ROZWAŻANIA O ROSJI

- Wzywam do umiáru, Rozmowa z Siergiejem Jermołajewem.....3
Za wcześnie na partie, Rozmowa z Ekspres-Chroniká.....16
Káždy z nas odpowiada przed Bogiem, Rozmowa z Nataliá Gorbaniéwská.....23
Wszystko, co tylko mózliwe, Rozmowa z Ernestem Amietistowem.....31
W. Bałachonow, Utrzymanie imperium, czy samoocalenie na drodze suwerennošci naródo wej.....44

PAŹDZIERNIK W CZORAJ I DZIŠ

- Rada Robotnicza niczym pieczęć uwiarygodniła rewolucję, Wywiad z Sandorem Raczem.....53
Leszek Hensel, Demokracja znaczy nie bać się.....75

HISTORIA

- Jacek Opolski, Powstanie niepodległej Estonii i wálka w jej obronie /II/.....86
Marek Rusakiewicz, Przyczyny i skutki reemigracji Ukraińców na tereny pd.-wsch. Polski.....106
Instrukcja Sierowa.....125

SĄSIEDZI

- Obecny stan stosunków polsko-litewskich to krótkowzroczość, Rozmowa z Konstantym Tołoczko.....131
Adam Małdis, 4 szanse na odrodzenie tożsamošci naródo wej Białorusinów.....140

PREZENTACJE

- Nie ustalamy granic, Rozmowa z Rastko Marceticem.....148

OBYCZAJE

- Jadwiga Pstrusińska, Wálka w afgańskim kodeksie honoru.....154

WIERNI IDEI

- Nasreddin Chodza, Albania pozostaje wierna Stalinowi i Enverowi Hođzy.....161

EKOLOGIA

- Walerij Zojfer, Rosyjska przyroda jest chora.....166
OBÓZ W KALEJDOSKOPIE.....178

Oddano do druku w grudniu 1989

Przedruki krajowe dozwolone z podaniem źródoła.

Korespondencję prosimy kierować na adres:

Andrzej Ananicz, 02-026 Warszawa, Raszyńska 15 m.34

tel. 25 34 22

Od redakcji

Obecny numer naszego pisma otwiera blok tekstów związanych z analizą sytuacji politycznej, stanu świadomości społecznej oraz perspektyw stojących przed Rosją. Stramy się tu zaprezentować różne punkty widzenia, znajdziecie więc Państwo zestawione obok siebie poglądy niez zaangażowanego w działalność organizacyjną przedstawiciela inteligencji chrześcijańskiej, bardzo aktywnych działaczy Ekspres-*Chroniki* i Związku Demokratycznego, znanej emigrantki oraz naukowca z kręgów reformatorskich wspierających ekipę Gorbaczowa.

Kolejne dwa teksty poświęcone są węgierskiemu październikowi. Obszerna, pasjonująca rozmowa z byłym działaczem samorządowym w sposób osobisty cofa nas w świat sprzed 30. lat, natomiast felieton L. Hensla pokazuje, w jaki sposób dawne zdarzenia odciskają się na obecnej sytuacji Węgier.

W dziale historycznym zamieszczamy drugą część opracowania dziejów niepodległej Estonii, przedruk monografii opisującej konsekwencje akcji "Wisła" oraz tzw. Instrukcji Sierawa, zawierającej techniczne wskazówki dla oddziałów nadzorujących wywózkę Bałtów.

Z tematyką naszej "Sciany Wschodniej" wiąże się rozmowa z Konstantym Tołłoczko, który analizuje delikatną materię stosunków polsko-litewskich. Obok niej zamieściliśmy tekst napisany przez Białorusina, w którym szuka on dróg wyjścia spod dominacji sowieckiej.

Uwagze Czytelników polecamy też kolejne artykuły, a zwłaszcza sporządzony przez J. Pstrusińską wybór tych fragmentów kodeksu honorowego Afganów, które odnoszą się do pojęcia walki - na pewno ułatwi on zrozumienie zachowań mullahów.

Numer zamyka zestaw krótkich felietonów podsumowujących zmiany, jakie zaszły w europejskich krajach Bloku Wschodniego w 1989 r. Mamy nadzieję, że zaakceptujecie Państwo tę innowację, którą wprowadzamy w miejsce dotychczasowej kroniki wydarzeń. Ze względu na ograniczoną objętość zeszytu musieliśmy zrezygnować z tekstów referujących zmiany zachodzące w pozaeuropejskiej części obozu. Postaramy się nadrobić te zaległości w kolejnych numerach pisma.

WZYWAM DO UMIARU

Poniżej zamieszczamy wywiad Stanisława Tojada z SIERGIEJEM JERMOŁAJEWEM. Nasz moskiewski rozmówca nie należy do żadnej organizacji politycznej. Jest prawosławnym chrześcijaninem, związanym przyjaźnią z osobami reprezentującymi bardzo różne kierunki życia umysłowego w ZSSR. Za przekonania skazany został na pobyt w łagrze. Jego wspomnienia są tym cenniejsze, że dotyczą niedawnego, postbreżniewowskiego okresu.

- Chciałbym, żebyś na początek opowiedział o sobie - co przywiodło cię do opozycji, jak trafiłeś do łagra.

- Mam 30 lat. Kiedy byłem w wieku 18 lat wziąłem udział w zakładaniu samizdatowego religijnego pisma *Obszczina*. Jego głównym redaktorem był Aleksandr Ogorodnikow. Pisał tam też Włodimir Koriew, bardzo interesujący publicysta, którego artykuły ukazują się teraz na Zachodzie. Uczestniczyłem także w młodzieżowym seminarium religijnym kierowanym przez Aleksandra Ogorodnikowa. Kiedy aresztowano go po raz pierwszy, na podstawie bezsensownego zarzutu pasożytnictwa, zorganizowaliśmy niewielką demonstrację z jednym jedynym transparentem: *KPZS - banda, precz z KPZS!* Za cztery słowa ja dostałem cztery lata łagrów a mój kolega trzy i pół. Wychodzi więc, że za cztery wyrazy przypadło nam razem siedem i pół roku obozów pracy.

Rok przyszło nam spędzić w więzieniu na Butyrkach. Potem było jeszcze kilka więzień, Instytut Serbskiego, a następnie obozy w Buriacji, niedaleko od Bajkału.

- Instytut Serbskiego, to instytucja psychiatryczna?

- Jest to instytut psychiatrii sądowej, gdzie zwykle rozstrzyga się, czy oskarżony bądź obwiniony jest zdrowy. W moim przypadku władze postanowiły pójść na kompromis - zapewne dlatego, że wcześniej miały już miejsce wystąpienia w naszej obronie - i uznano mnie za psychopatę, ale zdolnego do ponoszenia odpowiedzialności za swoje czyny.

Było to latem 1979 roku. Potem odbyła się normalna rozprawa sądowa i odesłano nas do obozów. Mnie - jak mówiłem - do Buriacji. W 1980 roku Breżniew ogłosił tzw. "amnestię olimpijską", mocą

której zostałem przeniesiony na "chimi", czyli coś w rodzaju zesłania. Tak więc w Buriacji spędziłem tylko osiem miesięcy. Po upływie tego terminu odbyła się następna rozprawa i znów zostałem zesłany do łagra. Pod koniec mojej odsiadki otwarto nową sprawę, tym razem z artykułu 80 o antypaństwową agitację i propagandę. Przygotowywałem się już do nowego wyroku, ale umarł Breżniew. Do władzy doszedł Andropow. W KGB panowało zamieszanie i w tym krótkim okresie, kiedy już nie sadzali i jeszcze nie sadzali wyszedłem na wolność.

- *Jakiego typu były to obozy? O co byliście oskarżeni?*

- Teraz z perspektywy widzę, że celem policji wcale nie było odizolowanie mnie i mojego przyjaciela od społeczeństwa, ale przygotowanie znacznie poważniejszej sprawy. Był to okres ostrego prześladowania ruchów religijnych. W toku były procesy Jakunina, Nikelsona, Kapitunczuka, Butko i wielu innych. Najwyraźniej nas miano przygotować jako świadków, którzy mieliby zeznawać przeciw nim i ułatwić wydanie wysokich wyroków. To im się nie udało. Prowadzący śledztwo byli wyraźnie rozczarowani. Zresztą nie oskarżano nas o działalność antysowiecką, a o chuligaństwo, choć ostro protestowaliśmy, ale ten zarzut pozwolił im skierować nas do obozu kryminalnego a nie politycznego. Trudno powiedzieć, czy to dobrze czy źle, jako że obie instytucje mają swoje wady i zalety.

- *Jak wyglądała droga do łagru?*

- Zesłano mnie niemal pod granicę mongolską, a więc mogłem dokładnie doświadczyć, czym są tzw. etapy. Jest to coś przerażającego - nie da się tego z niczym porównać. Jestem przekonany, że coś takiego mogło istnieć tylko w Związku Sowieckim, a zwłaszcza w końcu lat 70-tych.

Etapem nazywa się drogę od więzienia /aresztu śledczego/ do obozu. Zwykle jest to droga długa i niebezpośrednia. Przebiega przez kilka, a czasem nawet przez kilkanaście więzień. W moim przypadku były to Swierdłowski, Nowosybirsk i Ułan-Ude. W każdym z więzień przesyłkowych można być przetrzymanym przez kilka, kilkanaście dni, a nawet i ponad miesiąc. My miesiąc spędziliśmy w Nowosybirsku. Więźniów transportuje się w tzw. wagonach stołpinowskich, gdzie do przedziału upycha się co najmniej po 20 osób. W ten sposób jechaliśmy trzy doby do Swierdłowska, prawie tyle samo do Nowosybirska i dwie doby do Ułan-Ude. Do toalety można było wyjść raz na dzień, oczywiście obrywając tęgie bicie przy okazji. Sytuacja była o tyle trudna, że po drodze dostawialiśmy tzw. suchy prowiant. Na dobę przypadał bochenek chleba - z wierzchu spalony na węgiel a w środku sirowy i smokry, paczka

stęchłych wędzonych śledzi i cukier. Ale cukier /łyżkę cukru/ sypali nam do śledzi.

Ci, którzy po raz pierwszy odbywali taką podróż, starali się jeść tę rybę. Ja ją oddawałem, bo znałem skutki. Chodziło po prostu o to, że nie dawali nam wody, niczego do picia. Po tej solonej rybie, kiedy już udało się wyprosić, a właściwie wyblagać trochę wody, to dawali nam jakiś paskudny płyn, który miał uchodzić za wodę pitną. Prawie natychmiast - czy to przez tę rybę, czy też wodę - trzeba było iść do toalety. A do toalety nie puszczali. Można sobie wyobrazić, co się działo w przedziale ...

Potem przywieźli nas do więzienia swierdłowskiego. Nie będę o tym mówił, żeby nie przeciągać całej historii. Następnie było więzienie nowosybirskie. Jest to bardzo przerażająca instytucja. Dam tylko jeden przykład. Cella, w której nas zamknięto była zaplanowana na siedmiu więźniów. Nas siedziało tam trzydziestu czterech. Leżeliśmy oczywiście na podłodze, bo prycz było tylko siedem. Jeżeli ktoś chciał wstać i zrobić jakiś ruch, wszyscy musieli układać się na komendę na odpowiednim boku, żeby uniknąć zgniecenia i podeptania. W ten sposób spędziliśmy 20 dni. Było to w styczniu. Cella miała małe okno z wybitą szybą. Marzliśmy niemiłosiernie, bo spać trzeba było na cementie, bądź też miejscami na łatach asfaltowych. Pod sufitem wisiała mała, 20-watowa żarówka, która sprawiała, że pomieszczenie wypełnione było półmrokiem. Jedzenie było okropne. Codziennie przysługiwał nam półgodzinny spacer. Nie było łaźni, ponieważ coś tam się zepsuło. W efekcie pojawiły się wszy.

Postanowiliśmy zaprotestować przeciw takim warunkom. Żeby zmusić władzę więzienną do rozmowy z nami, któregoś dnia po obiedzie nie oddaliśmy misek. Klawisz powiedział na to: - *No, zaraz przyjdzie do was oficer na rozmowy...* i zamknął drzwi. Otworzyły się już po pięciu minutach. Do celi wpuszczono rozwścieczone psy. Kto mógł, próbował wydostać się na korytarz. Nie wiedzieliśmy, że tam czekali już ustawieni w dwa rzędy strażnicy. Jeden bił pięścią w żołądek, a drugi pałką po głowie. Wypędzili nas na korytarz. Posadzili twarzą do ściany: Za naszymi plecami przechadzał się strażnik z pałką /wtedy - nie wiem, jak to jest dzisiaj - pałka była zrobiona z metalowego pręta obciążonego gumowym węzłem/ i walił jak popadło - jednego po plecach, innego po głowie, po ramionach. Pytał, kto pozbiera i wyniesie miski. Nikt się nie zgłosił. Ustawili więc nas w kolumnę i przeprowadzili przez więzienie. A trzeba tu wspomnieć, że jest to obiekt historyczny, zbudowany z rozmachem jeszcze przez Katarzynę Wielką. Różne sekcje budynku połączone są przejściami podziemnymi. Wszędzie panuje wilgoć i chłód. Na ścianach zaległ się grzyb. Niektóre mury przemar-

zły i pokryte były szronem. Wielu z nas wybiegło z celi na bosaka, a do tego wszyscy byliśmy mocno osłabieni, gdyż w etapie prawie w ogóle nas nie karmiono. Kazali nam biec na palcach, co dla większości było po prostu niewykonalne. Ludzie padali, a wtedy idący z tyłu strażnicy z psami okładali ich pałkami. W końcu jednak jakoś dotarliśmy tam, dokąd nas prowadzono.

Okazało się, że był to mały boks, wielkości mniej więcej budki telefonicznej. Weszły 3-4 osoby. Kazali im usiąść. Tamci spróbowali wykonać polecenie, a nam strażnicy wydali następny rozkaz: *-Wchodzić! -Ale dokąd?... -Na górę.* Skończyło się na tym, że wrzucali jednych na drugich aż zapełnili pomieszczenie pod sam sufit. Miałem szczęście, bo trafiłem gdzieś wyżej. Pamiętam jeszcze, jak usiłovali zamknąć drzwi. Potem straciłem przytomność. Nie wiem nawet, czy im się udało, czy też nie. Ktoś, kto wyjątkowo zachował świadomość mówił, że później wyciągali nas jak rozgotowany makaron. Ocucili nas, polewając całą tę ludzką masę zimną wodą. Naczelnik pouczył wszystkich: *- Pamiętajcie sami i przekazcie innym, że więzienie nowosybirskie łamie kości i puszcza krew.*

Tak to wyglądało po drodze do obozu...

- Nieźbyt zachęcający prolog. A sam łagier, gdzie się znajduje i jaką ma specjalność?

- Jest to obóz czynny do dziś. Znajduje się w Buriacji, w rejonie kiachcińskim, niedaleko od granicy mongolskiej. Nie należy on do dużych łagrów. Kiedy tam przyjechałem, liczył 800 skazanych, a pod koniec mojego pobytu liczba ta wzrosła o 200 osób. Należał do obozów obostrzonego rygoru z przeznaczeniem dla więźniów kryminalnych. Oczywiście jest to charakterystyka czysto umowna. Sprawy prowadzone przez KGB kończyły się zesłaniem do obozów bądź podległych wyłącznie tej instytucji, bądź też pozostających w gestii MSW. Oficjalnie w ZSSR w ogóle nie było więźniów politycznych. Za kryminalistów uważano na przykład cinkciarzy, ludzi którzy posiadali obce waluty, uczestników demonstracji, których skazano za czyny chuligańskie /jak ja/. Sasza Ogorodnikow, o którym wcześniej wspominałem, siedział w łagrze w Jakucji za pasożytniczy tryb życia. Do obozów dla kryminalistów trafiali też ludzie odmawiający pełnienia służby w armii itd.

- Jaki był skład narodowościowy tego obozu?

- Większość skazanych pochodziła z Buriacji. Inni zostali dosłani z wyroków moskiewskich, bowiem sądy stołeczne mają prawo kierować skazanych na całe terytorium RFSSR. Było tam też sporo Jakutów, Ewenków i innych przedstawicieli małych narodów. Do nas trafiła ponadto grupa więźniów z Kaukazu. Z reguły po buncie czy też

próbie oporu skład obozu jest rozwiązywany i rozsyłany po różnych republikach. W ten sposób w Buriacji wylądowała grupa Gruzinów oraz inna z Azji Środkowej.

- Czy znaczy to, że w łagrach często dochodzi do buntów?

- W zasadzie bunt jest zjawiskiem wyjątkowym. Natomiast co pewien czas zdarzają się indywidualne morderstwa wywołane przez skrajny terror. Więźniowie w desperacji zabijają oficerów straży, którzy się nad nimi pastwią, donosiciele. Szczególnie często sprawcami są skazani na długie wyroki, którzy po wielu latach wegetacji obozowej mają już przetrąconą psychikę. W łagrach zaostrzonego rygoru wyroki 15-letnie są czymś normalnym. Moje 4 lata to było chyba minimum jak na obóz, do którego trafiłem.

Jednak bunty co pewien czas się zdarzają. Toczy się walka pomiędzy poszczególnymi grupami więźniów - o dominację, o władzę w obozie. W końcu obóz jest jakimś obrazem świata w miniaturze. Panują w nim te same słabości, pożądania, namiętności, które znamy z codziennego życia, tyle że tam objawiają się w sposób niezwykle jaskrawy.

Nasz obóz zajmował się przede wszystkim robotami budowlanymi. Mieliśmy też oddział tokarski, chemiczny, szewski oraz grupę inwalidów obsługujących zonę. Ja na początku trafiłem na budowę, ale kiedy stan mojego zdrowia się pogorszył odwołali mnie z bragady. Sytuacja stała się bardzo ciekawa, z dobrymi i złymi stronami. Otóż leczyło mnie i nadzorowało KGB, a trzymało w obozie MSW. Są to instytucje od dawna głęboko zwaśnione. Złe było to, że podlegałem podwójnej kontroli. Natomiast ponieważ służby więzienne podejrzewały, że KGB może wyciągać ode mnie informacje o ich bezprawiu, musiały powstrzymać się od szczególnie drastycznych kroków w stosunku do mojej osoby. Gdybym umarł, czy zginął bez instrukcji z Moskwy, nie przyniosłoby to MSW niczego dobrego, bo KGB mogło mieć w stosunku do mnie jakieś swoje plany.

Tak więc, kiedy pogorszyło mi się zdrowie, przenieśli mnie do brygady inwalidzkiej, gdzie nie dostałem żadnego przydziału do pracy. Stamtąd zostałem zabrany za naruszenie rygorów do brygady tokarskiej, ale i tam tylko chodziłem do warsztatów i też niczego nie robiłem. Prosiłem o jakieś zajęcie, choćby rachunki czy sprawozdawczość i w końcu udało mi się. Dawało mi to możliwość spędzenia choć paru godzin w samotności. Dla mnie w obozie najgorszy był nie brak wolności i przyjaciół ale kompletne pozbawienie szans na jakąkolwiek intymność, ciągła obecność tłumu. Na moje nieszczęście któregoś dnia w obozie pojawił się prokurator republiki wraz ze świtą z KGB. Zobaczyli mnie w osobnym pokoju, przerazili się i kazali przenieść do innych więźniów.

- Co pewien czas w publicystyce pojawiają się oceny, że obozy mają dla ZSSR duże znaczenie ekonomiczne, że bez nich produkcja i wykonanie planów zostałyby zagrożone. Czy patrząc z perspektywy więźnia możesz się zgodzić z taką opinią?

- Trzeba tu zachować pewną perspektywę historyczną. Jeśli mówi się o latach 20-tych i 30-tych, to jest to oczywiście prawdziwe. Gospodarka w dużym stopniu opierała się na siłę tak pozyskanych niewolników. Nie możemy zapomnieć, że Biełomorkanał, Kanał Bałtycki, Kanał Moskiewski i pierwszy BAM były wybudowane rękami więźniów. Wiadomo też, że Uniwersytet Moskiewski to dzieło zeków. Jeśli zaś chodzi o dzisiejsze czasy, to nie mogę snuć generalnych rozważań na ten temat. Wiem natomiast, że nasz obóz był deficytowy. Więźniowie wprawdzie nie byli opłacani, bo trudno nazwać zarobkiem te 6-8 rubli miesięcznie, które dostawaliśmy za naszą pracę, ale zysku z niej nie było żadnego. Zakłady produkcyjne, które zlecają wykonanie jakiejś pracy obozom z reguły kierują tam produkcję najmniej opłacalną. Ponadto, mogłem się przekonać na własne oczy, że przynajmniej jedno stwierdzenie Marksa było słuszne: praca niewolnicza jest niewydajna. Kiedy pracowałem w brygadzie murarskiej skierowano nas na budowę szkoły zawodowej. Robota szła szybko do momentu, gdy wznoszone ściany wyrosły ponad płót otaczający budowę. Od tej chwili więźniowie cały czas spędzali wyłącznie na obserwacji okolicy, która była skrawkiem wolnego świata, na próbach nawładzania kontaktu z ludźmi z drugiej strony muru. Pracą nikt nie był zainteresowany. Ruch, i to pozorny, zaczynał się tylko w trakcie inspekcji naczalstwa obozu. Za mojej bytności, to znaczy w ciągu trzech lat, budynek urósł o jedno piętro. Na tym przykładzie można się zorientować w korzyściach płynących z pracy łagierników. Nie mówię tu o jakości wykonawstwa robót. W jednym z domów, kiedy w końcu doszło do podłączenia instalacji ciepłowniczej, okazało się, że woda nie dochodzi do kaloryferów, gdyż jakiś więzień zamiast rury przyspawał litym żelazem stalowy.

-Czym się zajmowałeś zanim trafiłeś do obozu?

-Studiowałem rusycystykę na uniwersytecie w Tartu. Na utrzymanie zarabiałem pracując jako nocny stróż. Po wyjściu z obozu przez wiele miesięcy nie mogłem znaleźć żadnego zajęcia zarobkowego. Wyjątkowo nie miałem w ogóle kłopotów z rejestracją - nawet nie dostałem nadzoru kuratorskiego. Nie wymeldowali mnie również z Moskwy.

Rejestracja i nadzór to w Związku Sowieckim niezwykle dotkliwy instrument represji. Po wyjściu z łagru z reguły nie można wrócić do poprzedniego miejsca zamieszkania. W nowym miejscu

otrzymuje się specjalną kartę zobowiązującą do codziennego stawiania się na milicji i meldowania swej obecności. W wypadku wyjazdu do innej miejscowości, należy uzyskać zgodę z MSW i skierowanie na posterunek w - dajmy na to - miejscu spędzania wakacji, gdzie także codziennie trzeba się meldować. Jeśli ktoś trzykrotnie nie wypełni tego obowiązku, automatycznie skierowany jest do sądu i dostaje następny wyrok. Ogromną ilość łagierników-recydywistów stanowią właśnie tzw. nadzorniki. Młody człowiek, który nie ma rodziny i ustabilizowanego rytmu życia w praktyce nie może żyć przez rok czy dwa w warunkach nadzoru. Musi się zdarzyć kilka razy, że nie dopatrzy tego obowiązku i znów automatycznie ląduje w łagrze. Nadzór może trwać znacznie dłużej niż rok-dwa. W moim wypadku milicja miała prawo wyznaczyć mi okres pięcioletni. Zależy to tylko od jej woli. Czy można sobie wyobrazić, żeby w ciągu pięciu lat nie zdarzyło się trzykrotnie coś, co uniemożliwiłoby mi zameldowanie się na posterunku.

No, w każdym razie mnie to wszystkó ominięło. Nie łatwo jednak było zdobyć pracę. W różnych instytucjach, do których się zwracałem po prostu spotykałem się z odmową. Jedyną możliwością było zarabianie pieniędzy jako stróż i to tylko w charakterze pracownika dorywczego. Przyjmowali mnie na miesiąc. Po tym okresie musiałem się zwalniać, parę dni pozostawałem bez pracy i znów byłem przyjmowany na miesiąc albo dwa. Po pół roku prokurator zakazał mi pracy nawet tam, bo wiąże się to z jakiegoś typu odpowiedzialnością, której nie można ode mnie oczekiwać. Udało mi się zaczepić na jakiś czas w studio filmowym, ale i stamtąd zostałem zwolniony, gdy złożyłem podanie o paszport w związku z zaproszeniem do RFN. Rzecz jasna nie było mowy o kontynuowaniu studiów w Tartu, gdyż, jak mi odpowiedziano, mieszkaniec Moskwy powinien uczyć się w Moskwie. Dopiero wraz z pierestrojką zyskałem możliwość Nauki w Instytucie Poligraficznym, gdzie studiuję do dziś. Mam nadzieję, że po tym wywiadzie nie zostaną skreślony z listy studentów.

- *Chciałbym teraz zmienić temat naszej rozmowy i zapytać, jakie, twoim zdaniem, zagrożenia wiszą obecnie nad Gorbaczowem i jego ekipą oraz nad społeczeństwem?*

- Na początku chcę się zastrzec, że będzie to moja osobista ocena, jako że nie należę do żadnej formalnej ani nieformalnej organizacji i reprezentuję tylko samego siebie.

Uważam, że największe zagrożenie stanowią z jednej strony niecierpliwość, a z drugiej półśrodk i brak zdecydowania przy podejmowaniu decyzji. Co mam na myśli mówiąc o niecierpliwości? Jak wiesz, w ostatnich miesiącach doszło u nas do znacznego za-

ognienia problemów międzyetnicznych, i to dosłownie we wszystkich regionach kraju, nawet w Moskwie, mieście tradycyjnie kosmopolitycznym, o wręcz babilońskim wymieszaniu ludności. Z całego serca sympatyzuję z dążeniami narodów bałtyckich. Życzę im jak najszybszego uzyskania niezawisłości i pełnych możliwości realizacji własnych celów. Bardzo lubię Estonię, gdzie się uczyłem. Mam ciepłe wspomnienia z Litwy i Łotwy. Niemniej jednak chciałbym, żeby ludzie rozumieli, że zmiana sytuacji nie nastąpiła wskutek i dzięki działalności frontów narodowych, ale jest wynikiem przyjęcia takiej polityki, jaką przyjęto w Moskwie. Dlatego uleganie nadmiernemu optymizmowi i rozbudzanie zbyt wielkich nadziei jest moim zdaniem przedwczesne. Na dziś należy w jak największym stopniu dążyć do konsolidacji wysiłków wszystkich sił demokratycznych zarówno w centrum jak i w poszczególnych republikach.

- Czy obecnie nie ma takich dążeń?

- Są, ale demonstrowają się jak gdyby w drugim planie. Jeśli przypomnieć sobie wystąpienie delegatów republik bałtyckich w czasie ostatniego zjazdu - zresztą bardzo godnych i słusznych - to dotyczyły one niemal w całości problematyki ich narodów. Tymczasem dopóki demokracja nie zwycięży w Moskwie, nie będzie jej ani w Wilnie, ani w Tallinie, ani w Rydze, ani w Tbilisi - wszędzie będą czołgi. Albo wszyscy wygramy, albo wszyscy przegramy i stanieny twarzą w twarz ze znacznie większym zagrożeniem. Dotyczy to, w moim przekonaniu, również Polski i innych państw. Za wcześnie jeszcze mówić, że panujemy nad czymkolwiek, tym bardziej, kiedy jesteśmy podzieleni.

- W takim razie należy zapytać, czy jest jakakolwiek nadzieja na to, że obecna polityka będzie kontynuowana i będziemy mieli czas na zorganizowanie współpracy?

- Jest, choć należy zdawać sobie sprawę, że może być łatwo porzeczana. Nasza sytuacja jest inna niż ta, którą w sposób bardzo powierzchowny mogę obserwować tu w Polsce. Wy macie układ dość stabilny, to znaczy możecie sobie mniej więcej wyobrazić, co was czeka za dzień, miesiąc czy rok w planie politycznym. W Rosji jest to niemożliwe. Każdego dnia można obudzić się i usłyszeć przez radio, że odbyło się kolejne plenum KC, na którym Gorbaczow poprosił o zwolnienie go z pełnionych funkcji. W kilka dni później dowiemy się, jakich niegodziwości się dopuścił. Przyjdzie zupełnie nowy człowiek, który ogłosi, że będziemy kontynuowali wszystko to pozytywne, co niosła pierestrojka, ale zdecydowanie będziemy zwalczać niedociągnięcia, a jednocześnie zacznie się przykręcanie śrub. Nawet chiński wariant jest możliwy każdego dnia. Możemy się

nie doczekać drugiego zjazdu delegatów - wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby do niego nie doszło. Można się też spodziewać przesunięcia terminu wyborów do lokalnych sovietów /wyznaczony na koniec 1989 roku, przyp. red./.

- Przy tak pesymistycznej wizji roli ruchów oddolnych, trudno jednak dopatrzeć się innej drogi aniżeli nawrotu do jakiegoś wariantu stalinizmu...

- Nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki. Fenomen stalinizmu oparty był w ogromnym stopniu na wierze narodu. Wiara w komunizm została całkowicie wyczerpana. Nie ma już fanatyków gotowych do poświęceń na rzecz socjalizmu. Dziś w KPZS zostali tylko oddani emeryci i oportuniści. Tak więc odrodzenie czystego stalinizmu jest dziś niemożliwe. Realne natomiast byłoby wprowadzenie modyfikacji systemu totalitarnego z elementami faszyzmu, z otwartą przemocą. Ta przemoc jest dziś zawalowana: partia i naród stanowią jedność, wszyscy popieramy... itd. Ideologia komunistyczna jest tu tylko zasłoną i uzasadnieniem tego typu władzy. Dziś nie da się wykorzystać takiego chwytu maskującego, pozostaje goła siła. Tak zresztą, jak to było w Polsce. Nikt nie miał wątpliwości, że Polacy nie popierają stanu wojennego, a został on wprowadzony. O podobnym rozwiązaniu da się pomyśleć dla Związku Sowieckiego.

- Jeśli sięgamy po takie analogie, to trzeba stwierdzić, że przykład polski wykazał bezużyteczność użycia siły nawet dla ekipy, która nią dysponowała. Z tej lekcji łatwo chyba wyciągnąć wnioski.

- Oczywiście, przemoc nie przyniesie żadnych korzyści dla aparatu sowieckiego. Da jednak czas na przetasowania. Moim zdaniem, obecnie w ZSSR mamy do czynienia z rewolucją odgórną. Jeśli zostanie zahamowana, po pewnym czasie nastąpi rewolucja oddolna. Tego bardzo bym nie chciał. Jak mówił Puszkina: *Nie daj Boże widzieć Rosyjskie bunty, bezmyślne i okrutne*. Nagromadziło się tyle poniżenia, żalu i strachu w narodzie, że przy tej dezorientacji politycznej i wsteczniwie gniew może znaleźć ujście w zupełnie nieoczekiwanym kierunku. Częściowo ilustruje to sytuacja wokół Karabachu - zamiast szukania rzeczywistych przyczyn i winnych krzywd, Ormianie i Azerowie zwrócili się przeciw sobie.

Nasz kraj mieści w sobie tak różne narody, kultury, tradycje, poziom edukacji, że z największym trudem mogą wyszukać wspólne interesy dla Tadjyków i Estów. W tej sytuacji wykorzystanie dążeń narodowych dla własnych celów politycznych jest stosunkowo łatwe.

- *Wiem już jak wygląda twoja pesymistyczna wersja rozwoju wydarzeń. Jak wyglądałby natomiast wariant bardziej pozytywny? Jakich posunięć można by się spodziewać i jakie warunki musiałyby być spełnione, żeby został zrealizowany?*

- Jeszcze dziesięć lat temu wydawało mi się, że gdybym znalazł się na miejscu Breżniewa, wiedziałbym, co należy zrobić. Teraz nie mam takiego poczucia. W ogóle sowiecką demokratyczną opozycję można umownie podzielić na dwie kategorie: na takich, którzy wierzą Gorbaczowowi i takich, którzy mu nie wierzą. Ja mimo wszystko mieszczę się w tej pierwszej grupie. A skoro tak, to znaczy, że jestem przekonany, iż na Gorbaczowie spoczywa niezmiernie odpowiedzialna misja spuszczenia na hamulcach tej gigantycznej, stalowej masy, która toczy się pod górę. Jeśli puści się ją bez kontroli, zmiążdży wszystko na swojej drodze. Ale gdy będziemy to robić delikatnie, z amortyzacją, powoli, możemy liczyć na ostateczny sukces. Już teraz bardzo wiele się zmieniło. Nie chodzi mi tu o względną swobodę publikacji, możliwości wyjazdu za granicę, bo nie są to sprawy najważniejsze. Mam na myśli przede wszystkim to, że ludzie zaczęli zdobywać coraz większą wiedzę na temat historii swojego kraju. Ma to ogromną wagę nie tyle dla inteligencji, która i tak mogła czerpać informacje z zagranicznych rozgłośni, samizdatu czy nielegalnie przywożonych książek, co dla tych, którzy żyjąc gdzieś na prowincji byli przyzwyczajeni wierzyć w to, co przynosiła sowiecka prasa i generalnie w drukowane słowo - nie mówione, nie przekazane ustnie, a to, które zostało wydrukowane w sowieckiej gazecie. I oto ta sama prasa donosi, że w istocie *sowieckie* znaczy *złe*. Musi to prowadzić do gruntownego przełomu psychologicznego. Dla mnie właśnie to zjawisko ma największą wagę w całej pierestrojce.

Jeśli wszystko będzie szło w dobrym kierunku, jeśli odbierać się będzie władzę partyjnej nomenklaturze /nie partii, bo partia jest zbyt pstrym pojęciem/ i przekazywać ją radom - na początek w takiej formie, w jakiej obecnie istnieją - a rady będą się demokratyzowały, jeśli będą się rozwijać ruchy narodowe, ale bez nastawienia rewindykacyjnego i szowinistycznego oraz w miarę przychylnie Gorbaczowowi, to za pięć-dziesięć lat ruchu tego nie da się zatrzymać.

Oczywiście procesy zachodzące w Związku Sowieckim wywierają wpływ na sytuację w Bloku Wschodnim i na odwrot. Jesteśmy wzajemnie powiązani. Dlatego też trzeba wykorzystywać nadarżającą się okazję, ale znając umiar. To co dzieje się w krajach bałtyckich oraz innych regionach jest samo w sobie piękne, ale napawa mnie obawą, że może posłużyć za usprawiedliwienie zmiany ogólnej linii politycznej w kierunku ucisku.

- Założmy, że narodowości wszystkich republik ZSSR wykażą odpowiednią wstrzemięźliwość. Nie zmieni to faktu, że w dłuższej perspektywie czasowej przynajmniej niektóre z nich zechcą wystąpić ze Związku. Jest to perspektywa, którą zarówno władze, jak i całe społeczeństwo musi brać pod uwagę.

- W twoim pytaniu kryje się myśl, z jaką spotykałem się niejednokrotnie w krajach bałtyckich i kilku rozmowach, które przeprowadziłem już tu, w Polsce. Chodzi mi o sugestię, jakoby narody nierosyjskie chciały wystąpić ze Związku Sowieckiego, a Rosjanie się na to nie godzili. Powiem ci, że sam jestem Rosjaninem i z największą przyjemnością wystąpiłbym z ZSSR, bardzo chętnie żyłbym w wolnej Rosji. ZSSR nie jest wymysłem Rosjan - jest to konstrukcja ponadnarodowa. Obecnie mamy do czynienia z powolną agonią i rozpadem imperium, które nie ma imperatora. Proces ten znajduje się w fazie dojrzwania. Ale musi on dojść właśnie do momentu dojrzałości. Nie myślę, żebyśmy już byli gotowi do realizacji naszych celów. Stalinowska polityka narodowa doprowadziła do przymusowej emigracji wielu narodów i zasiedlenia ich ziem przez inne ludy. Sytuacja, która się wytworzyła w wyniku tych zmian jest tak skomplikowana, że na jej rozwiązanie będziemy jeszcze czekać przez dziesięciolecia. Dziś na terenie ZSSR tworzy się kilka Palestyn. Cały świat nie potrafił sobie poradzić z jedną przez ponad 40 lat, a my mamy Tatarów krymskich, których tereny są zamieszkałe przez Słowian, Turków meschetyńskich, pogranicze gruzińsko-abchaskie itd. O ile można w jakimś stopniu winić tych, którzy osiedlali się na terenach odebranych innym narodom, to z czysto ludzkiego punktu widzenia, nie da się tak samo traktować ich wnuków, wychowanych od urodzenia w miejscu będącym już ich ojczyzną. Nie jest to przy tym problem wyłącznie stosunków z Rosjanami - na przykład, Gruzini, ci demokratyczni, walczący o odłączenie od ZSSR, nie chcą słyszeć o powrocie Meschetów na ich dawne terytoria. Dodajmy do tego kwestię małżeństw mieszanych czy pograniczy kulturowych, jak na wschodniej Ukrainie, a uzyskamy nieco pełniejszy obraz niebezpieczeństw stojących przed Związkiem Sowieckim. Boję się, że rozplątanie tego kłębowiska sprzecznych interesów może nastąpić poprzez krew i cierpienia wielu narodów. Dlatego wciąż wzywam, kogo mogę, do cierpliwości, umiaru i przede wszystkim spokoju i rozsądku.

- Czy nie uważasz, że takiemu podejściu nie sprzyja pewna charakterystyczna cecha patrzenia na świat, którą niejednokrotnie mogłem zaobserwować u Rosjan. Wszyscy zdają sobie sprawę, że poziom życia w ZSSR pod bardzo wieloma względami ustępuje poziomowi, jaki osiągnęły nawet inne kraje socjalistyczne. Pow-

szechnie krytykuje się poprzednie i obecne ekipy rządzące, a mimo wszystko dla wielu Rosjan sam fakt bycia obywatelem wielkiego imperium jest wartością tak dużą, że trudno przychodzi im myśleć o jego rozpadzie. Odczuwam to jako pewien rodzaj kompensacji, niedobrej, bo czasami przestaniającej nawet kodeks moralny, jak choćby w przypadku oceny interwencji w Afganistanie...

- Ja sam nigdy nie czułem dumy z tego powodu, że mieszkam w kraju dysponującym potężnymi arsenałami broni jądrowej, w imperium kontrolującym połowę świata. Rzeczywiście sporo osób było zaślepionych tą wizją, co przejawia się między innymi w powstawaniu nacjonalistycznych ugrupowań w rodzaju niesławnej *Paniati*. Ludzie żyjący z dala od centrów kulturalnych w wyniku wieloletniej propagandy wytworzyli w sobie poczucie zagrożenia. Wyobrażają sobie, że ktoś może na nas napaść, zabrać nam nasze ziemie, uczynić z nas niewolników. W Łagrze rozmawiałem któregoś dnia z jednym ze strażników na temat Afganistanu. Powiedziałem, że po prostu okupujemy ten kraj. A on mi na to: - Co, chciałbyś, żebyśmy mieli wojnę u nas? Przecież musimy sobie zabezpieczyć bufora! Już raz mieliśmy wojnę, w której wylano tyle krwi rosyjskiej. Więcej niż można do tego dopuścić! Ten typ myślenia wciąż jest żywy w umysłach wielu osób.

- Nasuwa się więc pytanie o zakres wpływu jaki wywiera opozycja demokratyczna na społeczeństwo i jego sposób patrzenia na świat.

- Jeśli chodzi o kręgi inteligencji, to wpływ ten jest wyraźny. Nie ma go natomiast tam, gdzie ludzie nawet nie czytają gazet. Pewnym przełomem był tu pierwszy zjazd deputatów, któremu towarzyszyła aura sensacji. Ludzie nawet w pracy słuchali bezpośrednich sprawozdań. Słowa, które tam padały bardzo wielu otworzyły oczy.

- Ponadto w sposób bardzo istotny zmienia się klimat w kraju. Można już mówić o tym, co jeszcze niedawno było zakazane. Oczywiście trzeba pamiętać, że atmosfera polityczna w Taszkencie jest zupełnie inna niż w Wilnie, że w terenie często nic się nie zmieniło. Bywa tak, że za to, co jest całkowicie normalne w Moskwie, o trzy godziny jazdy pociągiem dalej grozi kryminal.

- Czy mógłbyś pokrótce nakreślić mapę głównych kierunków moskiewskiej opozycji demokratycznej?

- W Moskwie istnieje kilka tendencji w ruchu opozycyjnym. Są tradycjoniści, których umownie można by zaklasyfikować jako chrześcijańskich demokratów. Do nich ostatnio próbują przyłą-

czyć się nacjonaliści. Nie zawsze oba te nurty znajdują wspólny język, ale dla tych, którzy w jakiś sposób się zgadzają wspólnymi wartościami są zwykle: tradycja, prawosławie, kult państwowości, wielkiego, silnego państwa oraz czystości krwi.

Liberalnych demokratów chyba nie trzeba bliżej przedstawiać. Są bardziej umiarkowani, choć ich dążenia polityczne idą dalej. Ideologicznie są zbliżeni do socjalistów.

Zaskakująca jest dla mnie dość duża ilość ugrupowań socjalistycznych. Byłem przekonany, że ta ideologia już się całkiem przeżyła w ZSSR, ale okazuje się wciąż żywotna. Widziałem nawet na jakimś mityngu - bodajże anarchosyndykalistów - ludzi, którzy trzymali czarną flagę z czerwoną gwiazdą... Ujawnili się "marksiści z ludzkim obliczem", wspierający Gorbaczowa. Zaliczyłbym do nich Roja Miedwiediewa, historyka o dziwnych kolejach losu, który lokował się gdzieś między dysydencją a władzami. Na Powołżu istniał podobno nawet podziemny klub bucharinowców. Jest tego bardzo dużo...

- Która z organizacji wydaje ci się najaktywniejsza?

- Chyba *Moskiewski Front* i *Związek Demokratyczny*. Pierwsza z nich stanowi próbę zjednoczenia wszelkich grup nieformalnych o demokratycznym nastawieniu dla realizacji konkretnych zadań, takich jak organizacja mityngów, wsparcie projektów ustaw, czy demokratycznych kandydatów przy różnego rodzaju wyborach.

Związek Demokratyczny jest organizacją o nastawieniu bardziej radykalnym, skupiającą ludzi różnego pokroju. O ile wiem, stoi ona na stanowisku całkowitej zmiany systemu politycznego w jak najbliższej przyszłości.

Nie można także pominąć faktu o innym wymiarze. Ludzie w różnych częściach ZSSR zaczęli artykułować żądania poza wszelkiego rodzaju organizacjami. Na ogół chodzi tu o zaspokojenie potrzeb ekonomicznych. Rodzą się, i sądzę, że proces ten będzie się nasilał, niezależne związki zawodowe. Jestem przekonany, że niezmierną wagę miałyby dla tego ruchu nawiązanie bezpośrednich kontaktów z "Solidarnością". Może nawet warto byłoby pomyśleć o wydaniu pisma, które w sposób przystępny zaprezentowałoby doświadczenia polskie. Wszelkie informacje dochodzące z Polski są u nas śledzone z największą uwagą i wasz przykład odgrywa dla nas bardzo dużą rolę.

Rozmawiał: Stanisław Tojad

ZA WCZEŚNIE NA PARTIE

Poniższa rozmowa została nagrana w Moskwie latem 1989 roku. Przedstawiciel Ekspres-Chroniki prosił o nieujawnianie jego nazwiska, ponieważ obawiał się, że mogłoby to uniemożliwić mu planowane wyjazdy zagraniczne. Opinie i oceny zawarte w jego wypowiedziach nie zawsze zgadzają się z naszymi. W szczególności nie bierzemy odpowiedzialności za przedstawione w rozmowie komentarze dotyczące moskiewskich ugrupowań opozycyjnych. Są one typowe dla środowiska skupionego wokół Ekspres-Chroniki, a więc na pewno warto się z nimi zapoznać. /Red./

- Jak opozycja przyjęła polityczny i społeczny program Gorbaczowa?

- Jeszcze przed dwoma laty Moskwa była pełna nadziei. Nawet najbardziej zahartowani w bojach działacze niezależni zaufali Gorbaczowowi. Byli więźniowie i zesłańcy próbowali szukać kontaktu z nową ekipą i włączyć się w jej działania reformatorskie. Stopniowo ten mit wyblakł a iluzja rozwiązała się. Momentem przełomowym była śmierć Marczenki 7 grudnia 1987 roku. Stało się jasne, że nie można iść na żadne kompromisy, że albo będziemy bronić swoich pozycji i prawa do głosu, albo też historia Marczenki powtórzy się w znacznie szerszym wymiarze, dotykając opozycji i całego społeczeństwa ZSSR.

Po śmierci Marczenki Sacharowowi zaproponowano powrót do Moskwy. Fakt ten miał służyć jako spektakularny gest wobec opinii światowej, świadczący o zmianach na lepsze. Kiedy Andriej Dimitricz wrócił ze zsyłki, spotkał się z nim Kiril Podrabinek. Jego wrażenia z rozmowy z profesorem były bardzo smutne. Sacharow był całkowicie zastraszony. Starał się sprawiać wrażenie, że w jego postawie nic się nie zmieniło, ale nie ulegało wątpliwości, że podupadł na duchu i trudno będzie na niego liczyć. Nikt mu zresztą nie czynił z tego powodu zarzutów - te wszystkie lata, kiedy niemal codziennie robiono mu zastrzyki z różnych farmaceutyków... To jest zrozumiałe, ale na pewno uczciwsze byłoby po prostu stwierdzenie, że się rezygnuje z walki. Tymczasem cały świat traktuje go nadal jako przywódcę ruchów niezależnych. Kiedy profesor Sacharow przekazuje jakąś informację czy ocenę, nie znaczy to wcale, że taki sam pogląd mają ci, któ-

rzy walczą o prawa obywatelskie w naszym kraju.

Podrabinek był ostatnim przedstawicielem ruchu, który spotkał się z Sacharowem. Grigorjanc bardzo liczył na to, że Andriej Dmیتricz pozostanie z nami, ale tak się nie stało.

Mniej więcej przed półtora rokiem w Moskwie zawiązała się grupa mająca na celu organizowanie demonstracji. Początkowo w jej skład wchodziło 6 osób. Przygotowywały ulotki i rozklejały je po mieście. Pierwsza demonstracja miała miejsce 30 października 1987 roku. Z czasem przybywało członków grupy, choć bywało też tak, że tylko dwie osoby stały pod gmachem KGB, żądając wolności dla więźniów sumienia. Reakcja przechodniów była bardzo żywa - podchodzili, dziękowali, pytali: - *Jak to jest, że się nie boicie?* Było to coś nowego.

- *Czy nie spotkaliście się z reakcjami negatywnymi?*

- Nie, one pojawiły się później, kiedy demonstracje przybrały charakter masowy, gdy powstał *Związek Demokratyczny*. Wtedy pojawiły się reakcje negatywne. Pierwsze demonstracje spotykały się z sympatią.

Obecnie w kraju istnieje bardzo wiele grup nieformalnych. Z moskiewskich wymienić trzeba *Zaufanie /Dowierie/*, która to grupa rozpadła się później na *Związek Demokratyczny* oraz frakcję trzymającą się nazwy pierwotnej - *Zaufanie*.

- *Chodzi tu o organizację działającą na rzecz budowania zaufania między Wschodem a Zachodem?*

- Tak. I właśnie w ramach *Zaufania* działał początkowo *Związek Demokratyczny*. Później stał się osobną, niezależną organizacją. *Związek Demokratyczny* zaczął funkcjonować /śmiało mogę użyć tego sformułowania, bo jego działacze stali się prawdziwymi funkcjonariuszami/ jako zespół organizujący seminaria. Publiczność była bardzo zróżnicowana. Na spotkaniach organizowanych w mieszkaniach prywatnych dyskutowano na temat historii kraju, perspektyw ruchu niezależnego, byli więźniowie sumienia opowiadali o początkach walki o prawa obywatelskie. Ta interesująca inicjatywa trwała około 4 miesięcy. Jej konsekwencją była idea utworzenia partii politycznej. Tu powstały pewne wątpliwości. Partia powstaje, kiedy ludzie jednoczą się wokół jakiejś wspólnej sprawy, a w tym wypadku nie można jej było wskazać. Liderka *Związku* miała zaledwie mgliste wyobrażenie o istocie partii politycznych. Cała dyskusja sprowadzała się do konieczności obalenia ustroju, zakładania kółek robotniczych i pracy oświatowej.

- *Może to wystarcza? Często uważa się, że dążenie do obalenia parującej ekipy oraz przejęcie władzy z choćby nawet naj-*

bardziej generalnym programem reform, jeśli ma się poparcie społeczne, spełnia warunki potrzebne do założenia partii politycznej.

- Tak, ale w ich programie obok deklaracji chęci obalenia władzy mówi się o kompromisach z tą partią, która rządzi. Jest to wyraźny dysonans. Albo się ją obala, albo idzie na kompromisy. Równoległe tych dwóch linii nie da się prowadzić - to absurd!

Na początku maja 1988 roku odbył się zjazd ZD, który spotkał się z szerokim odzewem. Trochę nas to przestraszyło. Młódzieź, nie mając dokąd iść, przyłączyła się do ZD. Obecnie organizacja ta liczy w Moskwie 200 członków i 300 kandydatów.

- Mają instytucję kandydata?

- Tak. Od razu stali się aparatczykami. Mają kandydatów, legitymacje partyjne, składki członkowskie i Centralną Komisję Kadencyjną, do której weszli między innymi Waleria Nowodworska i Igor Cerkow. Są to ludzie bardzo aktywni, którzy już nie raz przesiedzieli w sresztach po 15 dni za udział w demonstracjach. Ale obok nich członkami rady są aparatczycy typu Griazunowa czy Dukaszowa, którzy w trakcie organizowanych przez ZD demonstracji demonstracyjnie idą na kawę. Trudno tu mówić o jakichkolwiek wspólnych celach i zadaniach. Obecnie słychać o rozpadzie Centralnej Komisji Kadencyjnej, o dążeniach do pozbycia się Nowodworskiej, a przecież minęło dopiero pół roku od utworzenia tego ciała. Przy tym akurat Nowodworska jest tą osobą, która ma jakąś ogólną koncepcję i cechuje się nieposzlakowaną uczciwością.

- Ilu członków liczy Związek w całym kraju?

- Może ze 300; ale rzecz nie w członkach czy kandydatach. Najniebezpieczniejsi są sami przywódcy, którym w ciągu pół roku nie udało się dopracować czystego oblicza moralnego. Doszło do tego, że jedna z członkiń Komisji trafiła do izby wytrzeźwień. Władze nawet nie marzyły o takiej okazji. Nakreśliły film i pokazują nam co miesiąc w telewizji, mówiąc: *No, popatrzcie, czym jest Związek Demokratyczny!* a tam Żenia - jak to się mówi - w stanie nieważkości. Można tylko ręce załamywać...

Są wśród nich i wartościowi młodzi ludzie, którym potrzebna byłaby inna organizacja, ale niestety niczego innego nie potrafimy zaproponować. *Związek Demokratyczny* w Leningradzie, który ma zupełnie inne oblicze jest za daleko.

- A wasz ruch obrony praw obywatelskich?

- Przed ponad rokiem zaczęła istnieć *Ekspress-Chronika*.

Wychodzi w nakładzie 900 egzemplarzy w Moskwie oraz osobno w 90 miastach ZSSR. W każdą niedzielę redakcja E-Ch spotyka się ze swymi czytelnikami na Bulwarze Gogola w godzinach 11-12.

Jeszcze 3 lata temu byłoby to nie do pomyślenia. Sądzę, że fakt ten można uznać za jedną z najbardziej pozytywnych zmian, jakie można przypisać władzom. Bulwar Gogola jest bodajże jedynym miejscem, gdzie obrońcy praw obywatelskich spotykają się z młodzieżą. My uważamy, że partia polityczna może i jest potrzebna, ale nie może się wziąć z niczego. Początkiem może być pismo, gazeta, jakies zgrupowanie się ludzi wokół wspólnych idei. Dopiero potem można myśleć o założeniu grupy czy partii politycznej.

W październiku 1987 roku odbyła się pierwsza konferencja ugrupowań nieformalnych, którą organizował Podrabinek i *Ekspres-Chronika*. W maju 1988 miała miejsce druga, skupiająca około 40 grup. Jej przebieg był bardzo burzliwy. Próbowali włączyć się przedstawiciele instytucji oficjalnych /korespondenci *Komisolskiej Prawdy* i *Litieraturnoj Gaziety*/, ale nikogo z nich nie wpuszczono. My nie zgłaszaliśmy obiekcji, jednakże w głosowaniu okazało się, że nieznaczna większość uczestników nie zgadza się na udział dziennikarzy oficjalnych gazet. Mimo to na salę wpuszczono korespondentkę nadbałtyckiego pisma *Daugawa*, które ostatnio opublikowało przegląd grup nieformalnych. Píše się tam m.in. o reaktywowaniu SMOT-u. Ma on nowy *Komitet Obrony Społecznej*, prowadzący bardzo pozytywną działalność. Udaje im się nieść pomoc ludziom z różnych części kraju poprzez interwencje w Sądzie Najwyższym i u władz centralnych. Dzięki nim o niektórych skrzywdzonych przez system piszą oficjalne gazety. Na przykład, *Znamia* opublikowała artykuł o prześladowanym przez wiele lat i pozbawionym pracy robotniku, któremu pomógł dopiero SMOT. Komitet zbiera pieniądze w ZSSR oraz ściągą pewne fundusze z zagranicy od Ginzburga i Lubarskiego, ponieważ działalność tego typu wiąże się z ciągłymi wydatkami. Trzeba pomagać tym, którzy zostali pozbawieni mieszkań, pracy i wszelkich środków do życia.

Inna grupa zośrodkowana jest wokół pisma *Głasnost*, kierowanego przez Grigorianca. Ważną rolę odgrywa *Pojedynek* Denisowa. Jest to bardzo ostre czasopismo. Wydali cały numer poświęcony Karabachowi. Od lutego 1988 ma wydania amerykańskie i holenderskie /*Głasnost* wychodzi też w Paryżu/. Jest to periodyk Swierdłowski. Nawiasem mówiąc, Swierdłowski wyróżnia się aktywnością życia politycznego i dużą liczbą manifestacji. Opozycja jest tam dobrze zorganizowana i utrzymuje ścisłe kontakty z Moskwą.

- Czym można tłumaczyć tę specyfikę Swierdłowska?
- Trudno powiedzieć. Może pewną rolę odgrywa tu wyjątkowo zła

sytuacja zaopatrzeniowa i w ogóle trudne warunki życia.

- Ostatnio trafił w nasze ręce numer Referendum Timofiejewa...

-- Timofiejew to raczej typ działacza gabinetowego, choć jest wysoko ceniony. Jest to bardzo mądry człowiek i na pewno mógłby zdziałać wiele, gdyby zniżył się do prostych śmiertelników.

- Jaki wpływ na społeczeństwo wywiera działalność grup opozycyjnych?

-- Od półtora roku pojawił się nowy, świeży oddech w oficjalnej prasie. Jest to jeden z plusów obecnego stylu sprawowania władzy. Już to doprowadziło do ośmielenia. Dziś uzyskanie takich pism jak *Nowyj Mir* czy *Znania* stało się wielkim problemem. Ludzie chcą czytać! Równocześnie społeczeństwo zbliżyło się do opozycji. Dużą rolę odegrały demonstracje, które rozpoczęły się przed rokiem. Władze patrzyły na nie przez palce, nie sądząc, że nabiorą takiego rozmachu: Swierdłowsk, Kujbyszew, kraje nadbałtyckie. Początkowo ludzie spoglądali na to ze zdumieniem i niedowierzaniem: - *Po co to? Komu to potrzebne? I tak bez was prowadzi się pierestrojkę, kraj się zmienia.* Ale gdy zobaczyli, jak milicja rozpedza zgromadzonych, włóczy organizatorów po chodniku /nie mówię tu o demonstracji w rocznicę najazdu na Czechosłowację, kiedy chwytano i bito nawet przypadkowych przechodniów/, sympatia ich znalazła się po naszej stronie. Ponadto istotną rolę odegrał nasz stosunek do wydarzeń w Karabachu czy problemu Tatarów krymskich.

Jeśli chodzi o ostatnie demonstracje, to powstało już w Moskwie powiedzonko: *Kak po Puszkinie pojdiesz, to na sutki popadiesz /Jak się przejdiesz po Placu Puszkina, to posiedzisz przez dobę/.* Łapali kogo się dało. Zdarzył się taki zabawny przypadek, że zamknęli funkcjonariusza KGB, który wracał do domu i przechodził koło miejsca demonstracji.

- Czy mógłby pan dać przykład celów demonstracji?

-- Oczywiście. Niedawno wypłynęła sprawa Tatarów. Grupa ich przedstawicieli przyjechała do Moskwy. Zachowywali się bardzo spokojnie. Chcieli uzyskać spotkanie z Prezydium Rady Najwyższej. Mieli pisma z republiki. Ci ludzie są bardzo skromni i skupieni na swoim problemie - w odróżnieniu od Moskwičan. Nagle podeszła do nich milicja /choć o tym zdarzeniu opowiedzieć, żeby pokazać, jak zniżenia się nastawienie postronnych obywateli do demonstrantów/ i zażądała dowodów osobistych. Po wylegitymowaniu kazano im się oddalić, twierdząc, że nie mają prawa prze-

bywać w Moskwie. W tym momencie do dyskusji włączył się jakiś przechodzień: - *A jakim prawem zabraliście im dowody? Przecież to samowola i bezprawie!* Na to pułkownik milicji: - *A gdzie wasz dowód? Zaraz i wam go zabiorę.* Człowiekowi aż wargi posiniały i to nie ze strachu a z oburzenia. W tym momencie i my i Tatarzy uzyskaliśmy poparcie kogoś z zewnątrz.

Demonstracje w dużym stopniu stały się czymś normalnym. Przyzwyczaili się do nas też milicjanci, którzy regularnie kontrolują newralgiczne miejsca. Kiedyś do Podrabinka zwrócił się jeden z nich: - *No jak to tak, Sasza? Ja ciebie nie przeganiam, a ty mi nie dajesz pisma!*

U nas w Moskwie jest znacznie swobodniej niż dawniej, ale nie dotyczy to wszystkich miast. Na przykład w Odessie, gdzie zawiązała się grupa *Związku Demokratycznego* opozycja podlega ostrym represjom. Odeskie KGB zawsze wyróżniało się bardzo brutalnymi metodami pracy. Myślę zresztą, że i nas złączą rozganiać, ponieważ demonstracje podciąga się ostatnio pod zebrania, a na nie trzeba mieć zezwolenie. Stosowane są też nowe metody represji. W wypadku Nowodworskiej, kiedy areszty nie przynosiły rezultatu, zasądzono 1000 rubli grzywny.

- *Jak pan widzi najbliższą przyszłość ruchów opozycyjnych w ZSSR?*

- Jeśli chodzi o demonstracje, to sądzę, że zostało nam niewiele czasu. Są oznaki, że władze dążą do usunięcia ich z geografii miast ZSSR. Natomiast lepsze perspektywy oczekują chyba ugrupowania nieformalne. Może jest też większy sens w koncentrowaniu się na niesieniu ludziom konkretnej pomocy, zbieraniu i rozpowszechnianiu informacji.

- *A w dłuższej perspektywie czasowej?*

- Trudno powiedzieć. My wraz z innymi organizacjami obrony praw obywatelskich /prawozaszczytniki/ nie myślimy o zakładaniu partii politycznych. *Związek Demokratyczny* wydaje się być, póki co, pomysłem poronionym. Naszym zdaniem na to jeszcze za wcześnie.

Spółeczeństwo nie da się już włożyć w starą koleinę. Są dwie możliwości: albo władze będą się starały ludzi zastraszyć, albo też pójdą na jakieś ustępstwa. Wielu uważa, że raczej należy spodziewać się ustępstw, ale nie na tyle, żeby partia oddała swoje pozycje. Dużo zależy od rozgrywek wewnątrzpartyjnych i siły frakcji Ligaczowa.

- *Czy mam rozumieć, że wszystko zależy od tarć na szczycie władzy, a społeczeństwo nie będzie miało wpływu na przebieg wy-*

darzeń?

- Nie. Chodzi mi o to, że posunięcia władzy, która dysponuje realną siłą zadecydują, w którą stronę pójdzie ruch opozycyjny. Zatrzymać się go nie da, ale można pomyśleć o szybszym rozwoju, albo też zejściu w głębokie podziemie czy szukaniu innych form działania. Ważne jest, że ludzie poruszyli się, że wyrażają swoje niezadowolenie, aktywizują się. Społeczeństwo musi mieć czas. Po tylu latach paraliżu i noemocy...

- Jak przyjmujecie to, co się dzieje w Europie Wschodniej? Czy wobec tak dużych zmian u was, wagi waszych problemów, znajdujecie czas i chęci, żeby spojrzeć też na problematykę mniejszych krajów?

- Nie mogą powiedzieć, jak jest z szerokimi masami - nie mam na ten temat danych. Kręgi opozycyjne są tematyką tą bardzo zainteresowane, piszemy o tym często i szeroko. Oczywiście, oceny są różne. Na przykład są tacy, którzy okrągły stół w Polsce przyjmują jako fakt pozytywny i dobrze rokujący, a są też przeciwnicy wszelkich kompromisów z komunistami. Ale ogólnie rzecz biorąc, powszechne jest przekonanie, że w Polsce silna opozycja stała się czymś normalnym, że do czegoś można dojść, że warto działać.

Jeśli chodzi o ruch obrony praw obywatelskich, to chce on wciąż się uczyć. Od was też chcielibyśmy się czegoś nauczyć, przejąć wasze doświadczenia. Dlatego wybieram się do Polski.

Rozmawiał: - Piotr Zams

KAŻDY Z NAS ODPOWIADA PRZED BOGIEM

ROZMOWA WOJCIECHA MAZIARSKIEGO Z NATALIA GORBANIEWSKA

-Czy istnieje *homo sovieticus* ?

- Częściowo istnieje. Niemniej, jestem - i zawsze byłam - przeciwniczką twierdzenia, że władza sowiecka zdołała przekształcić całe społeczeństwo. Istoty z gatunku *homo sovieticus* należy raczej szukać w warstwach uprzywilejowanych. Mogłabym tu odwołać się do słów Siergieja Grigorianca wypowiedzianych w liście skierowanym do I Międzynarodowej Konferencji Praw Ludzkich w Krakowie. Grigorianc stwierdził, że negatywne doświadczenia ostatnich siedemdziesięciu lat mogą przynieść pozytywne rezultaty. Myślę, że nacisk ideologii, propagandy, warunków egzystencji z jednej strony formuje człowieka sowieckiego, lecz jednocześnie wywołuje opór i sprzeciw, powodując zjawiska przez komunistów nie przewidziane.

Naczelnym zadaniem komunizmu było - jak niegdyś mówiono - uformowanie "nowego człowieka", wolnego od wszelkich wad istoty ludzkiej, wychowanej w społeczeństwie burżuazyjnym. Miał on być altruistą, w swoich działaniach kierować się miał interesem kolektywu. Nie bliźnich, a właśnie kolektywu. Celem było bowiem stworzenie społeczeństwa idealnego, pozbawionego rysów negatywnych, patologii, przestępstw itp. Człowiek komunizmu miał bez zastrzeżeń wierzyć w doktrynę, która nawiasem mówiąc sama wierzyła w siebie. Tenże projektowany "nowy człowiek", wiedziony przez ideologię, miał podążać prostą drogą, nie zbaczając na ścieżki kłamstwa, samozakłamania, błędów.

Wizje te nie ziściły się. W najlepszym razie stworzono to, co nazywamy dwójmyśleniem, które sprawia, że nawet dzieci wiedzą, o czym wolno mówić w szkole, a o czym tylko w domu. Natomiast w przypadkach skrajnych formowanie "nowego człowieka" wywoływało otwarty sprzeciw i rodziło chęć głośnego mówienia prawdy. Sołżenicyn nazwał to niezgodą na życie w kłamstwie.

Przejawem niepowodzenia planów przebudowy człowieka może być wspomniana przed chwilą przestępczość, która utrzymuje się w ZSSR nie tylko na poziomie takim, jak przed rewolucją, ale sądzę wręcz, choć nie znam statystyk, że jest problemem znacznie poważniejszym

niż wówczas. W 1970 r., siedząc na Butyrykach, miałam okazję poznać środowisko przestępcze. Nie spotkałam ani jednej młodej więźniarki, która nie zażywałaby lub przynajmniej nie próbowałaby narkotyków. Widziałam dwudziestoletnią dziewczynę, która była szefową rozbudowanego gangu przemycającego narkotyki z Azji Środkowej do Moskwy i Rosji centralnej. W kazańskim więzieniu psychiatrycznym widziałam zabójczynię. Około jedna dziesiąta więźniów tego zakładu siedziała z powodów politycznych lub religijnych, a reszta za zabójstwa lub próby jego dokonania. Tak więc nawet w tej dziedzinie władza sowiecka nie zdołała zmienić człowieka, nie przekształciła jego natury. Niepowodzenie nadrabia się teraz represjami wydając surowe wyroki nawet za dość drobne przestępstwa.

Tak więc, w gruncie rzeczy, homo sovieticus nie istnieje. Występują pewne cechy dla niego charakterystyczne, lecz model idealny w rzeczywistości nie istnieje.

- Wiele osób dostrzega związek pomiędzy sowiecizmem a rosyjską tradycją narodową. Oznaczałoby to, że "sowieckie" rysy osobowości człowieka są zarazem typowe dla mentalności rosyjskiej, że są z nią nierozdzielnie związane.

To nieprawda. Owe nieprzyjemne, "sowieckie" cechy osobowości widoczne są we wszystkich krajach komunistycznych. Na podstawie moich obserwacji społeczeństw zachodnich mogę wręcz stwierdzić, że mieszkańcy Zachodu, umieszczeni w takich warunkach jak nasze, ujawniliby te same cechy. "Sowieckość" wiąże się nie z narodem i jego tradycją, a z systemem politycznym, w którym żyje jednostka.

W odróżnieniu od wielu innych ludzi uważam, że przewrót bolszewicki był prawdziwą rewolucją. Oczywiście stwierdzam tu jedynie fakt, nie przypisując słowu "rewolucja" żadnej wartości - ani pozytywnej, ani ujemnej. Przewrót był rewolucją w tym sensie, że zerwał ciągłość rozwoju społecznego. Społeczeństwo nie zostało nawet postawione na głowie - po prostu je przeorano, przetrzęsiono. Później można się już było bez obaw odwołać do pewnych elementów narodowej symboliki. Nie było to dla Stalina groźne, bowiem symbole były martwe, a formy - puste.

- Były oswojone, pozbawione wszystkiego tego, co mogłoby stanowić zagrożenie dla legitymizacji systemu?

- Praktycznie rzecz biorąc, tak. Prawdziwe wartości narodowe, tj. treść owych pustych form, którymi posługiwał się Stalin, zaczęły się bardzo powoli odradzać w latach sześćdziesiątych. Proces ten zaczął się najpierw u innych, nierosyjskich narodów ZSSR. Dopiero później przyszła kolej na Rosjan. Odrodził się prawdziwy, czysty patriotyzm rosyjski. Nie sowiecki, a właśnie rosyjski. Przez cały czas musimy jasno widzieć tę granicę -

gdzie zaczyna się to, co narzuca nam władza uzurpujająca sobie prawo do tytułu spadkobiercy narodowych tradycji Rosji. Obecnie istnieją w naszym kraju duże grupy ludzi, całe środowiska w pełni rozumiejące tę dwoistość. Powołałam się tu na list Walerija Siendierowa nadesłany na tę samą konferencję w Krakowie. Siendierow pisze o sobie: "będąc obywatelem Rosji". Dla Polaków znaczenie tego sformułowania jest być może niezrozumiałe. Jednakże w słowach tych kryje się wiele informacji o postawie autora, który stwierdza, że czuje się Rosjaninem, a nie obywatelem Sowietów. W otwarty sposób zajmuje pozycję antysowiecką, podkreślając swój związek z narodową tradycją Rosji. Jest tym, kogo można by nazwać, w najlepszym sensie tego słowa, rosyjskim nacjonalistą. I właśnie dlatego w swoim liście zwraca się nie tyle do całej konferencji, co raczej dla Polaków. Pisze, że choć Rosja w okresie swej mocarstwowości była takim samym imperium jak wszystkie inne, ani lepszym, ani gorszym, że jednak wobec Polaków mamy swoje winy, których nie można wymazać.

W ubiegłych latach Siendierow siedział w łagrze. Jedynym powodem uwięzienia było to, że jako nauczyciel matematyki przez wiele lat systematycznie porównywał zadania, które w czasie egzaminów wstępnych na wydział mechaniczno-matematyczny uniwersytetu moskiewskiego kazało rozwiązywać Żydom, a zadaniami jakie otrzymywali wszyscy inni karkłydaci. Siendierow wydał nawet w samizdacie zbiór zadań o podwyższonej trudności - po to, by pomóc dzieciom, dyskryminowanym z powodu żydowskiego pochodzenia. Zwracał się także w tej sprawie do światowej opinii publicznej. Podobno na jednym z kongresów matematycznych w Warszawie delegaci zachodni odczytali jego list opisujący te praktyki. Po wyjściu na wolność znów zajął się tym problemem, pisał do KC, ponownie zaczął analizować poziom trudności egzaminów wstępnych. Sądzę, że właśnie Siendierow jest prawdziwym nacjonalistą rosyjskim, człowiekiem naprawdę kochającym swój naród. Miłość do własnego narodu nie pozwala bowiem godzić się z faktem, że jego dobre imię obciążone jest grzechami i winami wobec innych, że świadomość moich rodaków skażona jest nienawiścią.

Sądzę, że właśnie Siendierow jest dobrym przykładem, obrazującym, jak odradzają się uczucia u Rosjan. Myślę, że i ja sama jestem nienajgorszym przykładem. Gdy w 1968 r. wyszliśmy na Plac Czerwony, protestując przeciw agresji na Czechosłowację, broniliśmy dobrego imienia Rosji.

- *Protestowaliście przeciwko sowieckiej inwazji w imię rosyjskiego nacjonalizmu?*

- Oczywiście. Słowo "nacjonalizm" obciążone jest konotacjami negatywnymi. Jednakże idea narodowa w swej czystej, szlachetnej

postaci wymaga rehabilitacji. Wiem, że w języku polskim rozdzielono pojęcia "narodowiec" i "nacjonalista", choć przecież etymologicznie oba te terminy oznaczają to samo. W języku rosyjskim nie mamy takiego słowa, jak "narodowiec". Ciekawe, że i rosyjski termin "narod" nie jest tożsamy z polskim "narodem". To jakby i naród, i lud jednocześnie. Najbliższym polskim odpowiednikiem jest chyba "społeczeństwo", które zresztą także w języku polskim zyskało swe obecne znaczenie stosunkowo niedawno - niewątpliwie dlatego, że nie chciano używać słowa "naród".

Tak czy inaczej, uczucia narodowe czy narodowościowe w Związku Sowieckim odradzają się. Jeżeli ten proces pójdzie w dobrym kierunku, wszyscy na tym zyskają. Smutne jest tylko, że wiele osób uznaje dumę narodową za rzecz pozytywną w każdym innym przypadku, a jedynie Rosjanom odmawia się prawa do niej.

- Niemal automatycznie nasuwa się tu pytanie o polityczną czy może raczej historyczną rolę narodu jako zjawiska. Przez wiele dziesięcioleci wpływowe kręgi intelektualnej lewicy wrożyły narodowi rychłą śmierć. Stanowisko komunistów, głoszących konieczność zaniku narodów i zastąpienia ich przez światową wspólnotę proletariatu, było oczywiście skrajne, ale dość typowe. To, co komuniści formułowali w sposób prostacki i naiwny, przedstawiciele bardziej umiarkowanej lewicy akceptowali z pewnymi zastrzeżeniami, dodając sakramentalne "jednak z drugiej strony nie można lekceważyć ... etc." Niemniej, w takiej czy w innej formie, lewica ugruntowała przekonanie o "wsteczności" zjawiska narodu. Dzisiaj wiele środowisk Zachodu spogląda na wolnościowe aspiracje mieszkańców Bloku Wschodniego z dość mieszanymi uczuciami. Z jednej strony powszechną sympatię budzi dążenie do rozszerzenia sfery swobód obywatelskich, jednocześnie jednak akcenty narodowe, a często i religijne, odbierane są jeśli nawet nie z podejrzliwością, to w każdym razie z pewnym pobłażaniem: "my już z tego wyrosliśmy; gdy wreszcie odzyskacie wolność, sami zrozumiecie, że nie tędy droga i odrzucicie idee nacjonalistyczne". A tymczasem rzeczywistość zdaje się takiej wizji zaprzeczać. Naród jako zjawisko jest wciąż żywotny, jego rola wręcz wzrasta. Czy sądzi Pani, że nacjonalizm może stanowić realne zagrożenie i alternatywę dla socjalizmu?

- Myślę, że tak. Z tym, że kwestia przynależności narodowej w Związku Sowieckim często jest sprawą nie tyle krwi, co raczej wyboru. W toku historii narody w dużym stopniu wymieszały się. Dziś ludzie szukają swego narodowego zakorzenienia i sami wybierają np. ukraińskość, białoruskość czy właśnie przynależność do narodu rosyjskiego. Najlepszym przykładem tego zjawiska jest przypadek Żydów, których olbrzymia część uważa się za Rosjan i jedynie

najskrajniejsze odłamy szowinistyczne odmawiają im prawa czucia się Rosjanami.

- Do tego problemu wrócimy za chwilę. Na razie chciałbym pomóc o narodzie jako zjawisku historycznym oraz o postawie zajmowanej w tej kwestii przez lewicę - głównie lewicę zachodnią. Mieszka Pani w Paryżu. Jak przedstawia się ten problem z tamtejszej perspektywy?

- Oczywiście moja paryska perspektywa nie jest perspektywą lewicową. Zgadżam się, że odradzanie się wartości narodowych jest klęską prognoz całej lewicy. Lewica ta popiera na przykład "Solidarność", bo pasuje jej to do modelu walki klas, do tezy o przewodniej roli proletariatu itp. A jednocześnie ludzie ci w żaden sposób nie są w stanie pojąć, dlaczego ta robotnicza "Solidarność" jest taka narodowa i taka religijna.

Ja osobiście sądzę, że odrodzenie narodowe może wydać właściwe owoce tylko w połączeniu z odrodzeniem religijnym. Stojąc bowiem przed Panem Bogiem wszyscy jesteśmy ludźmi, po prostu ludźmi, a nie członkami narodów. Bóg nie interesuje się naszą przynależnością narodową. Dzięki temu religia może stanowić podporę i obronę przed mrocznymi stronami poczucia narodowego, takimi jak "głos krwi". Religia jest na to duchowym antidotum.

- Bukowski w rozmowie z Georgem Urbanem, opublikowanej na łamach "Encounter", z dużym sceptycyzmem wypowiadał się o religii jako duchowej podporze. Nie w tym sensie, że religia podporą taką być nie może. O ile dobrze zrozumiałem jego myśl, zmierzał raczej do stwierdzenia, że nagły zwrot do Boga, owo charakterystyczne zjawisko więziennego nawrócenia, jest bronią ludzi słabych, potrzebujących swego rodzaju psychicznej protezy. Daleki od religii jest także Andrej Sacharow. A przecież obaj oni są przedstawicielami najsłabszej odmiany nacjonalizmu rosyjskiego /sami zapewne zaprotestowaliby przeciwko takiemu określeniu/ - nacjonalizmu rozumianego jako miłość do własnego narodu i jako niezgoda na zło w narodzie tym tkwiące.

- Sądzę, że Bukowski jako człowiek daleki od religii - choć sam o sobie mówi, że nie jest ateistą, a raczej agnostykiem - w ogóle nie wierzy w nawrócenie, ani więzienne, ani w żadne inne. Taka rzecz jak nawrócenie nie może być rozumiana przez człowieka, który sam przez to nie przeszedł.

Kiedyś, w końcu lat sześćdziesiątych, o. Siergiej Żeludkow określił ludzi w rodzaju Sacharowa czy Bukowskiego mianem Kościoła ludzi dobrej woli. To chrześcijanie, którzy nie wiedzą o tym, że są chrześcijanami. Być może droga życiowa tych osób jest najtrudniejsza. Żyją zgodnie z nakazami wiary, nie mając żadnej

podpory, nie zwracając się do żadnej instancji zewnętrznej. I ponieważ nie doświadczyli nawrócenia, po prostu nie wiedzą, co to jest. Myślę, że nawrócenie więzienne może być tak samo naturalne, jak każde inne. Może być nawet głębsze, bowiem dokonuje się w sytuacji ekstremalnej, w której człowiek może równie dobrze zbliżyć się do Boga, jak i zwątpić we wszelkie wartości duchowe. Może nawet przeżyć to zwątpienie nie załamując się i nie zmieniając swej postawy. Wówczas jednak ma już oparcie tylko w samym sobie - nie w miłości do Boga, do bliźniego, nawet nie w miłości do ludzi. Samotnie i bez wiary w jakiś wyższy porządek walczy o to, by utrzymać się na skraju otchłani. Walczy nie z nadzieją, a z rozpaczą. Jest to postawa bardzo odważna, ale możliwa tylko w przypadku ludzi niezwykle silnych moralnie, takich jak Sacharow czy Bukowski. U ludzi słabszych prowadzi do skrajnego cynizmu.

- *A naród? Czy naród może być taką podporą duchową?*

Owszem. Zgadzam się jednak z Bukowskim, że przede wszystkim należy się opierać na jednostce. Musimy przez cały czas pamiętać, że naród nie jest ciałem, które wchłania i niszczy jednostkę. Jest środowiskiem, w którym jednostki rozwijają się i kwitną. Podobnie zresztą jest z religią. Nie wiem, jak to wygląda w katolicyzmie, ale gdy stajesz w cerkwi prawosławnej, masz poczucie wspólnoty z innymi, a zarazem znajdujesz się sam na sam z Bogiem. Trzeba jakoś połączyć te dwa aspekty religii: duchową więź z bliźnimi i samotność wobec Boga.

W tym miejscu znowu wracamy do kwestii człowieka sowieckiego. Co to jest homo sovieticus? To przede wszystkim człowiek pozbawiony poczucia odpowiedzialności osobistej. Myślę, że człowiek naprawdę wierzący w Boga, nigdy nie stanie się taką istotą, bo przecież każdy z nas odpowiada przed Bogiem - za siebie, za swoje czyny, za to, do czego dopuścił swym milczeniem, swoją biernością. Dlatego właśnie sędzę, że religia pomaga człowiekowi odnaleźć samego siebie, pomaga mu zyskać pełnię osobowości. I w tym sensie powrót do wartości religijnych i narodowych jest zarazem powrotem do wymiaru jednostki. Człowiek idzie do Kościoła, by powrócić do samego siebie. I w tym też celu zwraca się ku swojemu narodowi.

- *Zwraca się ku swojemu narodowi, by odnaleźć go w sobie. Bo przecież poczucie narodowe jest wewnętrznym przeżyciem jednostki. Ten naród wewnętrzny to kulturowa gleba, na której wzrasta moja osobowość. Ale istnieje też naród jako instytucja wobec mnie zewnętrzna, tworząca własne prawa i stawiająca wobec mnie pewne wymagania. Podobnie jak warunkiem rzeczywistego odrodzenia religijnego jest pogodzenie tych dwu aspektów - zewnętrznego i wewnętrznego, tak samo odrodzenie narodowe wymaga ich subtelnego*

zrównoważenia. Kwestią najważniejszą jest pytanie, gdzie kończy się prawo narodu jako instytucji, jako kolektywu do narzucania jednostce swej woli, czy też mówiąc inaczej - gdzie zaczyna się sfera bezwarunkowej wolności człowieka. Duchowe ożywienie społeczeństwa ZSSR sprawiło, że w ostatnich latach pytanie to przestało być kwestią jedynie teoretyczną. Mamy na przykład "Pamięć", reprezentującą nacjonalizm nie uznający autonomii jednostki.

Takie nurty nacjonalizmu istnieją na całym świecie, także we Francji, gdzie obecnie mieszkam. Myślę, że mogą one przyciągnąć ludzi kierujących się wprawdzie czystymi pobudkami, lecz zbyt słabych, by mieć w sobie ów "wewnętrzny naród". I dlatego szukają oparcia na zewnątrz. Mimo powoływania się na wartości narodowe czy religijne ruchy w rodzaju "Pamięci" są wartości tych pozbawione. "Pamięć" jest w istocie antychrześcijańska. W wielu deklaracjach jej przywódcy odwołują się wręcz do ideałów pogańskich - oraz do wartości sowieckich. Całkiem niedawno na wiecu "Pamięci" jeden z mówców stwierdził, że czas już położyć kres niechęci do KGB, bowiem dobry obywatel powinien ufać i pomagać tej instytucji. Gdzież tu są wartości narodowe, nie mówiąc już o chrześcijańskich?

W "Pamięci" nastąpił już rozłam spowodowany różnicami w poglądach ludzi, którzy przyłączyli się do tego ruchu z pobudek ideowych. Istnieje taka grupa. Jednakże kierownictwo ma bardzo dobre powiązania z aparatem KGB, a nawet utrzymuje jakieś mętne kontakty międzynarodowe, np. z Organizacją Wyzwolenia Palestyny.

Ostatnio grupa rosyjskich intelektualistów wystąpiła z wnioskiem, by pociągnąć kierownictwo "Pamięci" do odpowiedzialności za głoszenie nienawiści rasowej. Byłoby to duży błąd. Był już taki okres, kiedy cała prasa sowiecka atakowała ten ruch - i natychmiast wzrosła liczba jego członków i sympatyków. Jeśli "Pamięć" będzie szykanowana lub, co gorsze, zakazana, wówczas umocni się i zwiększy swą popularność zgodnie z zasadą: "najlepsi są ci, których prześladują". Ja sama życzę temu stowarzyszeniu jak najlepszych warunków legalnego działania. Niech pokażą, kim naprawdę są. Mieli już niejedną rozłam i będą mieć następne. Odejdą od nich ludzie szukający autentycznych wartości narodowych, a nie nienawiści. Staną się wówczas zjawiskiem marginalnym. Poniekąd zresztą już obecnie są marginesem. W ogóle nie ma chyba teraz w ZSSR żadnego ruchu społecznego, który nie byłby marginesem. Istnieją setki takich marginesów i "Pamięć" jest jednym z nich. Pozostawienie jej w spokoju sprawi jednak, że jej znaczenie jeszcze bardziej się zmniejszy. Ani ruchy faszystowskie, ani komunistyczne nie są w stanie przyciągnąć wielu ludzi na długo.

- Brzmi to bardzo optymistycznie. Prognoza ta opiera się na przekonaniu, że ludzie wychowani na wzorcach komunistycznych znajdą w sobie dość sił, by wzory te samodzielnie odrzucić.

- Ja w to wierzę.

Sierpień 1988

WSZYSTKO CO TYLKO MOŻLIWE

*Rozmowa z Ernestem Michajłowiczem Amietistowem,
prawnikiem, członkiem moskiewskiego klubu
"Demokratyczna Pierestrojka".*

- Czym się Pan zajmuje jako prawnik w dobie "pierestrojki"?

- Moją główną specjalnością jest prawo międzynarodowe oraz ustawodawstwo państwowe, ze szczególnym uwzględnieniem praw człowieka. Moim celem jest dążenie, żeby w sowieckim ustawodawstwie pojawiły się osiągnięcia prawa międzynarodowego, zwłaszcza tego, co dotyczy praw człowieka. Jesteśmy zobowiązani nie tylko śledzić to, ale i odzwierciedlać w naszym systemie prawnym. Do tej pory zajmowałem się problemami międzynarodowymi, hasła pierestrojki skłoniły mnie do skupienia się nad sprawami systemu politycznego, problemami związanymi z systemem wyborczym itd. Jest dla mnie oczywiste, że teraz trzeba się zajmować w znacznie większym stopniu sprawami wewnętrznymi.

- Klub "Demokratyczna Pierestrojka" jest nie tylko forum dyskusyjnym skupiającym głównie socjologów i ekonomistów, ale także ważnym ośrodkiem opiniotwórczym. Jaka była Pana droga do tego miejsca? Był Pan niegdyś związany z tą pierwszą, chruszczowowską "pierestrojką", czym jest ona dla Pana dzisiaj?

- Jestem, jak to się u nas mówi, człowiekiem lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Byłem wtedy na uniwersytecie. Lata po XX Zjeździe przypadły na okres mojego - i bliskich mi ludzi z mojego środowiska - formowania się, budzenia naszej świadomości obywatelskiej. Przyjeliśmy entuzjastycznie wszystkie zmiany. Uwierzyliśmy, że kraj nasz może się stać zupełnie inny. Właśnie skończyły się okropności okresu stalinowskiego - przy czym, gdyby ktoś pani mówił, że nikt nic nie wiedział o tym, co się działo w czasach stalinowskich, niech pani nie wierzy, to nieprawda.

- Jaki był los Pana rodziny w okresie stalinizmu?

- Moja rodzina również została dotknięta represjami. Dziadek, wysokiej rangi duchowny prawosławny - był archijerejem w Pietrozawodzku - zginął w łagrze w 1937 roku. To jeśli chodzi o najbliższą rodzinę. W dalszej też były ofiary.

- Udało się ustalić bardziej szczegółowo losy dziadka ?

- Zupełnie nie. Po 1956 roku przysłało zawiadomienie o jego rehabilitacji i to wszystko. Myślę, że teraz będzie można ustalić koleje jego losu przy pomocy społecznego ruchu *Memoriał*, który zajmuje się tymi sprawami. Chociażby stwierdzić, gdzie umarł. Muszę zaznaczyć, że nie to jednak sprawiło, że tak odnośzę się do stalinowskiego reżimu, nie są to powody osobiste. Doskonale wiedzieliśmy, zwłaszcza w ostatnich latach stalinizmu, co się działo w kraju. Szczególnie straszny był rok 1952, znany proces lekarzy itd. Gdy podano komunikat o chorobie Stalina, myśmy się po prostu modlili, żeby, nie daj Boże, nie uratowano go. Dla wszystkich było jasne, że ta śmierć jest dla nas zbawieniem. To, co nastąpiło potem, ja i ludzie z mojego kręgu, przyjęliśmy jako pojawienie się nowej perspektywy życia kraju. Staraliśmy się jak najaktywniej uczestniczyć w tych przemianach. Na moim uniwersytecie powstawały równe kluby, podejmowano próby konsolidacji, chociaż były one oczywiście o wiele mniej skuteczne i było ich dużo mniej niż dzisiaj. W tym czasie życie w ogóle stało się bardzo bogate w różne inicjatywy, szczególnie życie polityczne na uniwersytecie.

- Czy to ożywienie dotyczyło tylko środowisk akademickich ?

- Jak zwykle w takich przypadkach, dotyczyło przede wszystkim środowisk inteligentnych, tak jak i teraz. Ale i wtedy i teraz rozszerzało się to i na inne środowiska. To były czasy nadziei. Wierzyliśmy, że uda się sprawić, że kraj będzie wolny. Mieliśmy nadzieję, że stanie się jednym z najbardziej cywilizowanych krajów świata. Więc staraliśmy się, każdy na swoją miarę, uczestniczyć w tych przemianach. Potem przyszło znane plenium październikowe w 1964 roku i odsunięcie od władzy Chruszczowa. Stało się wtedy dla mnie jasne, że to początek końca tej pierwszej "pierestrojki". Pamiętam jak zebrał się wtedy - akurat u mnie - i dokładnie przewidzieliśmy następstwa tego, co się stało: po pierwsze restalinizację, wprowadzenie stabilizacji, która zawsze przeradza się w stagnację, czyli zastój. Tak też się stało. Nie trzeba było być wielkim prorokiem, żeby to przewidzieć.

- Na czym opierała się Pana nadzieja w okresie chruszczowskim ? Przecież wszystkie zmiany miały się dokonywać w obrębie nienaruszalnych zasad systemu komunistycznego, w ramach ideologicznej ortodoksji.

- W tej chwili nie mogę sobie szczegółowo przypomnieć jak odnośiliśmy się sprawy systemu komunistycznego - chociażby do problemów ekonomicznych decydujących o egzystencji społeczeństwa.

Był to zasadniczy problem wtedy i teraz. Co zaś tyczy ideologii - mieliśmy nadzieję na pluralizm, w najszerszym sensie tego słowa.

- Ale przecież w systemie monopartyjnym jest to po prostu niemożliwe, mogliśmy się o tym w naszych krajach przekonać wielokrotnie. Bez naruszenia ortodoksji marksistowskiego państwa, ten system nie ewoluuje.

- Wszystko jest względne. Jeśli bacznie przyjrzymy się swoim krajom - temu co było i temu co jest dzisiaj - będziemy mogli się lepiej zrozumieć. Potworności stalinizmu sprawiły, że okres Chruszczowa był dla nas epoką wolności. Nie istniały dla nas problemy typu: jedna partia czy dwie. Najważniejsze było to, że można było głośno mówić. Wróciła wiara w przyszłość, uwierzyliśmy, że następnego dnia nie zostaniemy zamordowani za to, co powiedzieliśmy wczoraj. Że nie zamkną nas w więzieniu, że będziemy żyć. To miało dla nas największe znaczenie, to było główne osiągnięcie okresu chruszczowowskiego. Ta sytuacja w jakimś sensie istniała wówczas w czasach Breżniewa. Zdławiono próby destalinizacji, nastąpił okres zastoju, ale zapewniam panią, że jeśli nie można się było swobodnie wypowiadać w gazetach, to jednak można było rozmawiać w kręgach znajomych, a nawet występować na różnych zebraniach, mówić zdecydowanie o wszystkich ważnych sprawach i nie było żadnych następstw. Można też było prowadzić bardziej aktywną działalność jak czynili to dysydenci, dla których mam za to ogromny szacunek i twierdzę, że to oni otworzyli drogę do pierestrojki. Z czasem zaczęto się do nich dobierać, zaczęto ich wsadzać. Ale lata, w których zrzucony został z piedestału Stalin pozostały istotnym przełomem. I nawet w okresie Breżniewa nie udało się go tam z powrotem postawić, chociaż były takie próby. To było ogromne rzeczywiste osiągnięcie. Sprawy pluralizmu, wielopartyjności - niestety, w tym okresie myślimy o tym nie myśleli.

- Potem wstąpił Pan do partii ...

- W okresie chruszczowskim zdecydowanie nie chciałem należeć do partii, po pierwsze dlatego, że jestem indywidualistą i kolektywne działanie jest mi najzupełniej obce. Najważniejszą dla mnie sprawą było zawsze ocalenie własnej wolności, w każdej dziedzinie życia. Oprócz tego doskonale wiedziałem, że partia jest odpowiedzialna za wszystko co stało się wcześniej. A więc bardzo długo nie chciałem wstępować do partii, zdecydowałem się na to dopiero w 1967 roku. Dlaczego? W tym okresie były już całkowicie jasne tendencje rozwoju sytuacji w kraju - likwidowano właśnie resztki chruszczowskiej odwilży i wśród naszej inteligencji rozpowszchnił się pogląd, że musimy się temu aktywnie przeciwstawiać. Jak inaczej można to było zrobić, skoro jest jedna

partia? Musimy w niej być, żeby spróbować coś zmienić. Odrazu chce powiedzieć, że było to bardzo naiwne, ale ta myśl owładnęła wieloma osobami. Gdy po raz któryś z kolei zaproponowano mi, żebym wstąpił do partii, poszedłem na to. Podobnie jak ja uczyniło wielu moich przyjaciół - z tego samego powodu. Bardzo szybko się przekonałem, jak bardzo byliśmy naiwni. Interesujące jest jednak to, że gdy my uświadamialiśmy sobie własną naiwność, oni, tam na górze najwyraźniej poczuli się zagrożeni i od 1968 roku rozpoczęły się ograniczenia w przyjmowaniu inteligencji do partii. Może wobec tego nasze decyzje nie były tak bardzo naiwne? Oczywiście, z mojej własnej działalności w partii nic nie wyszło. W końcu lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych byłem w partii całkowicie pasywny, nie mówiłem nic, nie robiłem nic, odszedłem do swojej roboty i zająłem się swoimi sprawami.

- *Rzeczywistą możliwość publicznej działalności stworzył dla Pana dopiero wasz klub, który powstał w epoce Gorbaczowa ...*

- Kiedy rozpoczęła się pierestrojka, w roku 1985 to myśmy natychmiast i całkowicie oddali się sprawie - mówię to o moim najbliższym środowisku. Dzisiaj też ją popieramy, co nie znaczy jednak, że jesteśmy całkowicie bezkrytyczni. Idee, które rzucił Gorbaczow na plenum kwietniowym i w późniejszych latach, na XXVII Zjeździe, wstrząsnęły zarówno górą partii, jak i społeczeństwem. Natomiast jakiegokolwiek próby zmian w kolektywach pracowniczych, w fabrykach spotykały się i nadal spotykają ze sprzeciwem. Dlatego ludzie aktywni łączą się nie w środowiskach zawodowych, w miejscach pracy, ale jeszcze w innych miejscach, gdzie mogą spotkać podobnych do siebie. To jedna z zasadniczych przyczyn powstawania klubów takich jak nasz. Kiedy więc dowiedziałem się, że istnieje takie miejsce, zacząłem tutaj przychodzić. Trafiałem na bardzo interesujące dyskusje, niebanalne wystąpienia. Wystąpiłem i ja - z referatem o reformie systemu politycznego. Główny sens istnienia takich nieformalnych instytucji zawiera się w tym, że stanowią forum swobodnej dyskusji. Na szczęście można je dziś prowadzić także i w prasie, ale tutaj jest to żywy dialog. Powiedziałbym, że jest to szkoła kultury politycznej, której nam zawsze brakowało. Niestety, nie jestem zbyt aktywny w klubie, mam bardzo dużo innych obowiązków - pomagam stowarzyszeniu *Memorial* - przygotowałem ich statut, uczestniczę w pracach społecznej komisji praw człowieka, a także w sowiecko-amerykańskiej inicjatywie kulturalnej, którą stworzył pewien amerykański społecznik. W klubie jestem kimś w rodzaju eksperta, pomagam przy tworzeniu alternatywnych projektów ustaw, czasami występuję z własnymi referatami.

- Na spotkaniu z przedstawicielami waszego klubu dowiedziałam się, że wśród inteligencji istnieją postawy bardziej radykalne od waszych. Interesuje mnie w jakim stopniu dotyczy to Pańskiego pokolenia? Czy wśród ludzi mających podobną historię i podobne, jak Pan doświadczenia są tacy, o których można powiedzieć, że stanowią opozycję wobec Gorbaczowa?

- Wśród ludzi mojego pokolenia są przede wszystkim ci, którzy znajdują się z innej strony opozycji wobec Gorbaczowa - z prawa. Dojrzewali w tych samych czasach co ja, ale wkroczyli na całkiem inną drogę - na drogę kariery biurokratycznej. Jest ich bardzo wielu. Jeśli idzie o ludzi o orientacji demokratycznej, kształtowanych przez XX Zjazd i następne lata, to nie sądzę, ażeby zbyt wielu z nich znajdowało się wśród opozycji z lewa. Część z nich można znaleźć wśród dysydentów, którzy bardzo aktywnie walczyli z reżimem breżniewowskim. Mam wrażenie, że teraz, kiedy zostali amnestionowani i rehabilitowani, wielu z tych, którzy siedzieli po więzieniach jest bardziej lojalnych w stosunku do Gorbaczowa, niż część naszej zbuntowanej młodzieży. Wracają do publicznej działalności. Sądzę, że wielu z nich jest przekonanych, że Gorbaczow urzeczywistnia wiele z tego, czego sami się domagali. Sam byłem świadkiem jak Larysa Bogoras, żona Anatolija Marczenki, jedna z najbardziej aktywnych postaci środowiska dysydentów lat siedemdziesiątych - kiedy toczyła się dyskusja w *Memoriale* między radykalnymi i umiarkowanymi, prezentowała, powiedziałbym, orientację gorbaczowowską. Oczywiście są i bardziej radykalni, zwykle troszeczkę młodszy, pokolenie lat sześćdziesiątych - na przykład Lew Timofiejew, niezwykle mądry człowiek. Ten obraz nie jest zatem jednorodny.

- Czy nie obawia się Pan, że wobec braku gwarancji instytucjonalnych i prawnych, wszystkie wasze inicjatywy na rzecz demokratyzacji i poprawy warunków życia mogą zostać znowu zablokowane? Gorbaczow rozpoczął swoje dzieło rzucając te dwa wielkie hasła, i to, jak można sądzić, wyczerpało jego plan. Nie ma postępu, nie ma rozwinięcia tego pomysłu, nie ma konkretnego programu na przyszłość, który zostałby wszystkim objawiony. Może on zresztą w jakiejś formie istnieje, ale w Polsce na przykład jest nieznamy. Czy nie obawia się Pan, że są to warunki, w których może powtórzyć się sytuacja sprzed lat dwudziestu?

- Zacznę od końca: my wszyscy bardzo się tego boimy. Albo inaczej: nie tylko tego się boimy. Wydaje mi się, że główne niebezpieczeństwo zawiera się w pytaniu, czy my na pewno robimy w s z y - s t k o, c o t y l k o m o ż l i w e, żeby tak się nie stało? Nie można wykluczyć takiego zwrotu sytuacji z powodów, powiedział-

bym, ściśle subiektywnych: ponieważ są ludzie, którzy nie rozumieją, do czego mogłoby dojść, gdyby pierestrojka została zahamowana. Jeśli jednak spojrzeć na sytuację obiektywnie - to nie ma dla nas po prostu innej drogi. Zwłaszcza jeśli dostrzeże się swoją odpowiedzialność za los kraju, staje się to zupełnie jasne. Według mego najgłębszego przekonania Gorbaczow pozostanie na pozycjach, które dziś reprezentuje, a wraz z nim i my - z bardzo prostego powodu - jego przeciwnicy nie mają alternatywy dla przemian, które zachodzą w kraju. W 1964 roku ta alternatywa istniała. Można by to streścić w ten sposób: dość już, Nikito Siergiejewiczu tego eksperymentowania, tego sadzenia kukurydzy, zmiany gorkomów i rajkomów na komitety miejskie i wiejskie, itd. Kraj jest zmęczony eksperymentami, woluntaryzmem i potrzebuje stabilizacji. To już było hasło, to był "program", który pozwolił odstawić Chruszczowa: stabilizacja, która szybko zmieniła się w stagnację. Teraz ani Ligaczow, ani Nina Andriejewna, najbardziej radykalni przeciwnicy Gorbaczowa, nawet staliniści nie mogą przedstawić takiego "programu", ponieważ wszyscy doskonale wiedzą w jak ciężkiej sytuacji ekonomicznej znajduje się kraj, jak bardzo osłabło tempo jego rozwoju w porównaniu z całym światem. Jeśli nie podejmie się drastycznych reform, to stanimy się krajem bardziej zacofanym niż najbardziej zacofane państwo trzeciego świata. To dla nikogo nie jest tajemnicą. Wszyscy przeciwnicy Gorbaczowa przedstawiają się jako patrioci - innego programu, innego hasła oni po prostu nie są w stanie zaproponować. Oczywiście są obawy - że na przykład zostanie wprowadzony stan wojenny, tak jak zrobiono to w Polsce, że znów powsadzają ludzi do więzień - to wariant chilijski - że zaczną siłą zmuszać ludzi do pracy. Stosując pracę przymusową w żaden sposób nie da się jednak stworzyć społeczeństwa skomputeryzowanego - to jest chyba dla wszystkich oczywiste. I to jest właśnie, jak sądzę, zasadnicza gwarancja, że proces reform nie zostanie zablokowany. Przy założeniu jednak, że traktujemy ludzi, którzy mają na to wpływ jako poważnych i odpowiedzialnych. Takie rozumowanie nie wyklucza jednak nieuczciwości, nie oznacza wiary w sukces w rozwiązywaniu wszystkich problemów, z którymi się borykamy. Nie można z góry wykluczyć zahamowania reform, które doprowadziłoby do absolutnego krachu naszego kraju. I jeszcze jedno - czy okres reform Gorbaczowa ma się ku końcowi? Moi młodzi przyjaciele, z którymi tu przyjechałem, widzą to w czarnych barwach. Mnie się wydaje, że oni boją się uwierzyć, boją się być "bardziej lojalni". Krytycyzm jest u nas w tej chwili bardzo silny. Nieustannie krytykujemy sami siebie. Sądzę, że program Gorbaczowa nie wyczerpał się, trwa po prostu o niego walka, istnieje wobec niego ogromny sprzeciw. Szczególnie wyraźnie widzą to prawnicy.

Na przykład w projekcie ustawy o przedsiębiorstwach były bardzo dobre rozwiązania, polegały one między innymi na tym, ażeby aktywizować pracowników, dać im możliwość bycia gospodarzami fabryk i zakładów. Należało jednak do tego spełnić szereg warunków, w tym przeforsować sprawę wybieralności dyrektorów i kierowników, dać uprawnienia radom pracowniczym. Kiedy spróbowano to wprowadzić w życie, zaczęły się bardzo silne sprzeciwy biurokracji, szczególnie urzędników od planowania gospodarczego i cała ta idea bardzo źle wypadła w realizacji. W całym właściwie kraju ustawa o przedsiębiorstwach jest sabotowana - tak jak i wiele innych koncepcji Gorbaczowa. Nie tylko na prowincji, również w Moskwie. Z drugiej jednak strony zdarzały się przypadki - tak przed konferencją partyjną jak i po niej - skutecznego oporu wobec biurokracji, jak narada pierwszych sekretarzy obkomów na Sachalinie, w Astrachaniu, czy bardzo silne naciski robotników w Jarosławiu, gdzie ogromny zakład powstał przeciwko swemu dyrektorowi. W Moskwie rejonowe konferencje partyjne miały także różny przebieg - w jednych miejscach posłusznie głosowano wybierając tych, których rekomendował rajkom, w innych było zupełnie inaczej. Tak więc, widzi Pani, obraz sytuacji jest bardzo niejednorodny. Chciałbym, żeby Pani zrozumiała - kraj jest olbrzymi i każdy problem ogromnie skomplikowany. Nie można dać jednoznacznej odpowiedzi na prawie żadne pytanie. Nie należy mówić tak, jak mówią ci chłopcy, moi przyjaciele - że już wszystko się skończyło. Z drugiej strony nie można też powiedzieć, że pierestrojka wkroczyła w etap nieodwracalności - wobec ogromnego sprzeciwu jej losy w tej chwili nie są znane.

- Czy trafia Pani do przekonania koncepcja w myśl której Gorbaczow, nowy lider partii komunistycznej, wydzwignięty w końcu na ramionach KC partii, jak również opozycjonista Ligaczow realizują wspólnie pewien konkretny scenariusz? Jednym słowem, czy Ligaczow jest rzeczywistym oponentem, czy też gra taką rolę po to, by stworzyć dla Gorbaczowa alibi w razie opóźnień czy niepowodzeń w realizacji reform? Pytam o to, bo przecież Gorbaczow nie pojawił się znikąd, na to stanowisko skierował go aparat.

- Trzeba rozdzielić dwie sprawy. Kim jest Gorbaczow i skąd się wziął? Kiedy w pewnym momencie robiliśmy w moim środowisku prognozy dla kraju, myliliśmy się o jakieś dziesięć - piętnaście lat. Myśleliśmy, że fenomen Gorbaczowa przypadnie na koniec lat dziewięćdziesiątych. Pokolenie partyjnej biurokracji, które otaczało Breżniewa, powinno w sposób naturalny wymrzeć w końcu lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych - i tak się stało. Myśleliśmy, że wtedy pojawiają się ich zamiennicy, którzy

zasiadą w najwyższych władzach, ludzie na tyle zarażeni korupcją, na tyle przeżarci wszystkimi negatywnymi cechami systemu partyjnego, że nie będą się specjalnie różnili od poprzedników. Mogą być lepiej wykształceni, bardziej rozgarnięci, ale w swoich przekonaniach nie będą się specjalnie różnić od aparatu Breżniewa. Wedle naszych przewidywań dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych, w rezultacie następnej zmiany pokoleniowej, byłoby możliwe nadejście innej epoki. Sądziłem, że tego nie dożyjemy. Stało się to jednak wcześniej i to dlatego, że kraj znalazł się w tak tragicznej sytuacji. Gorbaczowa zrodziła potrzeba chwili. Historia uczy nas, że w sytuacji zagrożenia jakiegoś kraju zawsze pojawia się ktoś taki. Pojawienie się Gorbaczowa nie jest więc realizacją wcześniej wymyślonego przez partię planu, lecz obiektywną koniecznością. Co się tyczy scenariusza - ten pogląd jest mi dobrze znany. Nasza inteligencja zawsze miała tendencje, żeby swoich oponentów czynić mądrzejszymi, niż w istocie są. Każdy sądzi według siebie. Gdybyśmy to my robili, to właśnie przygotowalibyśmy taki scenariusz, w którym i Gorbaczow grałby swoją rolę, i Ligaczow, i Jelcyn. Wszystko to moglibyśmy zawczasu przygotować. Dlatego nikt nie chciał wierzyć, że to wszystko, o dzieje się na konferencji partyjnej nie było wcześniej przygotowane ...

- *Niektóre wystąpienia były na pewno przygotowane.*

- Niektóre z pewnością. Może w jakimś stopniu było przygotowane wystąpienie Jelcyna w dialogu Jelcyn - Ligaczow, chociaż raczej został on sprowokowany do wystąpienia - ktoś powołał się na jego wywiad i musiał odpowiedzieć, jemu z kolei musiał odpowiedzieć Ligaczow. Jeśli istotnie było to inspirowane przez Gorbaczowa, to można mu tylko pogratulować politycznej przebiegłości, przedstawił bowiem w ten sposób całemu krajowi swoich dwóch głównych oponentów - z prawa i z lewa.

- *Co będzie dalej, Pana zdaniem, z sowieckim imperium? Jeśli demokratyzacja ma konsekwentnie postępować, ono musi się rozpaść.*

- Uważam, że powinna wejść w życie zasada samookreślenia się narodów. Republiki muszą podejmować własne decyzje. Patrząc na to z czysto teoretycznej strony prawnej. Jeśli chodzi o moje prywatne przekonania, to sądzę, że aby ten kraj przetrwał w postaci, w jakiej istnieje od setek lat, należy zmienić relacje między jego elementami, republikami. W sferze ekonomicznej oznacza to wprowadzenie normalnych stosunków handlowych między republikami czy rejonami. Każdemu należy dać samodzielność w tych

sprawach - to co zrobi powinien móc sprzedać i otrzymać za to pełną należność. Jeśli zaś nic nie wyprodukuje - nic nie dostanie.

- *Czy to jest jeszcze socjalizm ?*

- To pytanie odłożymy na później, jeszcze o tym porozmawiamy. W dziedzinie politycznej i prawnej oznacza to odejście od systemu federacyjnego do zupełnie innych zasad wzajemnych stosunków, można by to nazwać konfederacją. Zasady te powinny respektować następujące pryncypia - funkcja władzy centralnej powinna dotyczyć tylko sfery obronności, konfliktów zewnętrznych oraz koordynacji działań ekonomicznych, w tym sfery reglamentacji. Plan narodowy - w jego dotychczasowej postaci - nie może obowiązywać - to jest nasze nieszczęście, że on jeszcze istnieje, jedna z najpoważniejszych chorób pierestrojki. Wszystko pozostałe powinno być pozostawione republikom. Nie byłaby to prawdziwa konfederacja, ponieważ podstawowa koordynacja powinna zostać zachowana. Co zaś się tyczy tych spraw, czy republiki mogą się odrywać czy nie ... Istotne jest tu zagadnienie struktury gospodarczej. Większość republik jest tak silnie ze sobą powiązana ekonomicznie, że gdyby te więzi pozrywać, postawiło by się republiki w bardzo ciężkim położeniu ekonomicznym. Myślę, że liderzy frontów narodowych w republikach nadbałtyckich bardzo dobrze zdają sobie z tego sprawę i nie stawiają problemu odejścia, stawiają problem znacznie większej autonomii. Żeby uzmysłowić sobie, do jakich efektów mogłoby to doprowadzić, można by przyjrzeć się Kubie - gdy zerwała wszystkie więzi ze Stanami Zjednoczonymi, z którymi była bardzo mocno powiązana gospodarczo, została praktycznie całkowicie izolowana, pozostały jej tylko jakieś tam powiązania ekonomiczne z ZSSR... Więzy między republikami trwają od stuleci i trudno je przerwać. Jako prawnik jeszcze raz podkreślam, że powinno to być suwerenne prawo każdej republiki - czy ona chce być w ZSSR, czy nie. Widziałbym jednak inną drogę - nie całkowitego rozpadu państwa, ale ustanowienia jakościowo nowych relacji prawnych i ekonomicznych między republikami.

- *Ale to wszystko do czasu...*

- Może. Amalrik w latach siedemdziesiątych napisał książkę *Czy Związek Sowiecki dożyje roku 1984 ?*. Dożył. Amalrik przepowiedział niektóre procesy, które zachodzą teraz - dotyczy to zwłaszcza spraw narodowościowych, zaostrzenia konfliktów w Azji Środkowej i na Kaukazie. A co będzie z tym wszystkim w przyszłości? Nie sądzę, żeby myślenie o tym było teraz szczególnie twórcze.

Wróćmy zatem do zagadnienia socjalizmu. Na czym opiera się, Pana zdaniem, wiara w socjalizm w Związku Sowieckim? Tylko tam, gdzie działają normalne, zdrowe mechanizmy ekonomiczne, istnieje gwarancja dla normalnego funkcjonowania państwa. Przekonanie, że można osiągnąć jakąkolwiek poprawę w tej dziedzinie na dłuższą metę w ramach mechanizmów socjalistycznych - jest z punktu widzenia naszych doświadczeń, całkowicie irracjonalne. Nawet na Zachodzie, tam, gdzie rządzą aktualnie partie socjalistyczne gospodarka natchmiast zaczyna przeżywać stagnację. Jest to zasada absolutnie uniwersalna. Wiem, że trudno jest porównywać nasze siedemdziesiąt lat i nasze czterdzieści istnienia socjalizmu - to przede wszystkim różnica skali represji, jakie naszym krajom zafundował system. Ale w tym jednym doświadczeniu naszych krajów jest wspólne - ten system, oprócz kłamstwa, zbrodni i beznadziejności nie ofiarował ludziom żadnej wartości. Innego socjalizmu nie ma. Inny jest tylko pobożnymi życzeniami. Jak więc w ramach niego można wierzyć w lepszą przyszłość?

- Przedstawię swój punkt widzenia na ten temat. Tak w ogóle nie istnieje idealne społeczeństwo - w przyrodzie po prostu nic takiego nie może istnieć. Wierzyć w ostateczne zwycięstwo komunizmu nie można. To tak samo nierealne jak dla ateisty wiara w Królestwo Boże. Uważam, że to co dziś nazywamy kapitalizmem nie jest w czystej postaci. I również istniejący socjalizm nie jest w tym sensie czystym socjalizmem. Te określenia nie odzwierciedlają w pełni wszystkich wariantów i złożoności i tego i tamtego systemu. Ani jeden ani drugi ustrój nie są pod różnymi względami idealne. Dlatego jestem przeciwny maksymalistycznym definicjom. Gorbaczow rozpoczął u nas dezideologizację. Doskonale pamiętam lata siedemdziesiąte, kiedy to marksiści uważali się za prawdziwych ideologów w oparciu o marksizm - leninizm. Obowiązywała wtedy teza, że najważniejszą dla nas kwestią jest ideologia. To śmieszne, że dla marksistów, ateistów te sprawy, a nie sprawy materialne, ekonomiczne, były najważniejsze - przecież to czysty idealizm. I cała ta problematyka czystości ideowej itd. została w końcu zarzucona. I słusznie. Mnie osobiście nie niepokoją te pytania - czy to jest socjalizm, czy nie - czy on jest realny, czy rozwinięty - mnie to absolutnie nie interesuje. Nie tylko mnie, ale i bardzo wielu ludzi w tym kraju. W tej dziedzinie musimy być pragmatykami, należy po prostu rzetelnie pracować. Przed nami stoją konkretne zadania - wprowadzenie reformy gospodarczej. Na razie ona się nie udaje tak, jak byśmy sobie tego życzyli. Należy więc działać tak, żeby przestało istnieć to wszystko co jej przeszkadza. Nasze państwo znajduje się w punkcie zwrotnym, nie bardzo jeszcze wiemy co to oznacza, jakie będą tego wszystkie konsekwencje, ale na pewno

musimy uporać się najpierw z najbardziej elementarnymi sprawami - najpierw na drodze prawnej. Ustalić nowe relacje między właścicielką a obywatelem, postawić wszystko z głowy na nogi. Przez dziesiątki lat było tak, że wszystko co mieliśmy pochodziło od państwa. Obywatel był śrubką w wielkim mechanizmie. Trzeba to zmienić, choć budzi to tak wiele sprzeciwów. To są zadania, jakie stoją przed nami. Czy będzie to społeczeństwo socjalistyczne czy kapitalistyczne - nie mogę i nie chcę tego Pani powiedzieć. Dla mnie to po prostu mniej istotne, to są rozważania czysto abstrakcyjne. A czy możemy w ogóle wrócić z powrotem do kapitalizmu? Przykład Polski, jej osiągnięcia w dziedzinie prywatnej przedsiębiorczości, rolnictwa, handlu, jest dla mnie interesujący, wskazuje, że można przywrócić działanie mechanizmów kapitalistycznych. U nas także zaczynają się próby wprowadzenia działalności prywatnej. Ale co robić ze średnim i ciężkim przemysłem?

- Jeśli wielkie zakłady są nierentowne i nie mają perspektyw, trzeba je likwidować.

- Ale czy to prowadzi od razu do kapitalizmu?

- Trzeba zastępować je przedsiębiorstwami z udziałem prywatnego kapitału, które mają racjonalne uzasadnienie w normalnym systemie gospodarczym.

- Gdyby nawet znaleźli się u nas ludzie, którzy posiadaliby odpowiedni kapitał do działań gospodarczych w ramach takich przedsiębiorstw, to oni nie zdecydują się na to. Dlaczego? Dlatego, że u nas przeszłość całkowicie zabiła w ludziach inicjatywę. Mój pobyt w Polsce przekonał mnie jak ogromne są różnice między naszymi krajami. My znajdujemy się w tej chwili na zupełnie innym poziomie. U nas prywatna przedsiębiorczość na większą skalę jest niemożliwa. Jest taka anegdota o słoniu - zjeść to on zje, ale kto go nakarmi? Ponieważ jest to dla nas czysta abstrakcja, nie niepokoi mnie sprawa nazwy systemu.

- Jednak w pewnym momencie musi pojawić się pytanie o charakter waszej władzy - czy ona będzie dalej władzą komunistyczną, czy nie, ponieważ - jak z tego wynika - to od niej wszystko zależy. Od niej zależy wasza przyszłość.

- Rozumiem to pytanie. Ale komunizm teraz też ma bardzo różne oblicza, jest bardzo wiele jego odmian - poczynając od stalinizmu, a kończąc na Jugosławii. Czy to co jest w Jugosławii, to komunizm?

- Tak, bo rządzi tam partia komunistyczna i obowiązuje komunistyczna ideologia.

- Bardzo Panią przepraszam, ja wiem, że to okropne słyszeć takie słowa od sowieckiego komunisty, ale proszę nie być tak rozideologizowaną. Należy przykładać mniejszą wagę, jak sądzę, do ideologicznej sztampy. Komunista, socjalista, kapitalista itd. - pod tymi pojęciami czasem nie ma żadnej treści, bo ich zawartość bywa tak różna. Należy je bardzo precyzyjnie określić, żeby o tym mówić. Jeśli chodzi o mój prywatny pogląd na temat, jaka to będzie władza - chciałbym posłużyć się tu innymi kategoriami, bardziej dla mnie oczywistymi. My w Związku Sowieckim możemy mówić o różnych władzach - o tej pierwszej, potem stalinowskiej, breżniewowskiej i wreszcie o tej, która rodzi się teraz. I według mnie, jeśli będą działać reformy polityczne, które teraz z takim trudem i przy licznych sprzeciwach się rodzą, jeśli w trakcie wyborów - tych najbliższych i następnych - zwycięży wola wyrażania się samego narodu, gdy da się mu wolność i możliwość wybierania swoich delegatów, jeśli znajdą swoje miejsce wszystkie pluralistyczne grupy, które tworzą się dzisiaj - otrzymamy całkiem inny polityczny obraz kraju, daleki od tego, co można by określić przywołując którąś ze znanych politycznych formacji. Jaki on będzie? Gorbaczow używa określenia pluralizm socjalistyczny. Ale to nie jest ważne, na litość Boską, jak go nazwiemy! Ważne jest, żeby ludzie, którzy będą kierować krajem, mieli mandat od narodu, od społeczeństwa. Żeby naprawdę byli zdolni reprezentować różnorodne interesy społeczeństwa. Jeśli to nastąpi, to z pewnością będzie to inne społeczeństwo. Na pewno nie będzie to formacja stalinowska czy breżniewowska. Ale na pytanie czy będzie to komunizm czy socjalizm - znowu nie chcę i nie mogę odpowiedzieć.

- Czy to znaczy, że ideologia marksistowska u was umarła?

- Podstawa ideologii marksistowskiej wzięła się z chrześcijaństwa, no bo skąd się to wzięło, że wszyscy ludzie są równi?

- Tak, ale równość wobec Boga to zupełnie coś innego. Takim pojęciem nie da się manipulować, ono nie jest kategorią polityczną.

- Poza tym, czy odcięcie się od wyzysku człowieka przez człowieka nie jest bliskie chrześcijaństwu? Jeśli więc o takich podstawach marksizmu mówimy, to są one uniwersalne, nie wymyślili ich marksiści. Jeśli te wartości zostaną zachowane, to chwala Bogu, możemy spać spokojnie. Jeśli Pani chce, można to nazwać komunizmem. Ale my przecież rozumiemy pod tym hasłem zupełnie coś innego i Pani także coś innego ma na myśli: wyższość państwa nad społeczeństwem. Tego nie powinno być w przy-

szłym społeczeństwie, o tym mówi się u nas oficjalnie. Na XIX konferencji partyjnej mówiło się, że nie tylko obywatel ma obowiązki wobec państwa, obowiązki musi mieć przede wszystkim państwo wobec obywatela. Tego nie było dotąd nigdy w naszej socjalistycznej historii. Co jeszcze można rozumieć pod hasłem socjalizmu: określony światopogląd? Jednomysłność? Przecież czyta Pani naszą prasę - teraz nie ma o tym mowy.

rozmawiała Ewa Polak

W. BAŁACHONOW

UTRZYMANIE IMPERIUM CZY SAMOCALENIENIE
NA DRODZE SUWERENNOŚCI NARODOWEJ
- ZASADNICZY PROBLEM NARODOWY ROSJAN NA DZIS

W wydawnictwie Litewskiego Ruchu na rzecz Przebudowy "Sajudis" - "Sogtasje" /Zgoda/, w numerze dziewiątym z 12 czerwca 1989 ukazał się artykuł działacza rosyjskiego Związku Demokratycznego W. Bałachonowa poruszający niezwykle ważny dla ZSSR problem perspektyw tego tworu w obliczu narodowej emancypacji jego mieszkańców, widziany oczami Rosjanina, zwolennika koncepcji wysuwanej przez Związek Demokratyczny.

Najdotkliwszą historyczną klęską narodu rosyjskiego, a może całej ludzkości, stało się stworzenie przez nas, Wielkorusów równie olbrzymiego, co całkowicie bezsensownego, absurdalnego i zabójczego dla nas, wielkomocarstwowego i despotycznego Imperium Rosyjskiego, występującego dzisiaj pod szyldem ZSSR. Jego budowa, zachowanie, umocnienie i rozrost pochłaniały na przestrzeni dziejów i w końcu prawie bez reszty pochłonięły wszystkie nasze siły i zasoby narodowe, pozbawiając tym samym możliwości wszechstronnego, wielopłaszczyznowego, harmonijnego bytowania i rozwoju. Fakt, że jako naród eksploatowaliśmy swoje siły wyłącznie po to, by osiągnąć ten cel, spowodował, iż państwo imperialne, stworzone kosztem niewyobrażalnych wysiłków i ofiar, jakim by bezgranicznie przytłaczającym i despotycznym ono było, w świadomości, czy raczej w podświadomości naszej, tj. na poziomie instynktu przeistoczyło się w główny, jeśli nie jedyny dorobek historyczny, w pewną absolutną i najwyższą wartość.

Procesowi temu sprzyjał ogół czynników geopolitycznych, historycznych, duchowych, kulturowych, a nawet antropologicznych, jakie legły u podstaw zrodzenia, przetrwania i rozwoju nas jako narodu. Do głównych czynników tego typu można by zaliczyć:

1/ podwyższony, w stosunku do większości narodów Zachodu,

kosztem racjonalnego myślenia i tzw. zdrowego rozsądku, naturalny temperament Wschodnich Słowian, który wraz ze

2/ stosunkowo niewielkim stopniem ucywilizowania, oświecenia oraz zacofaniem wynikającym ze względnej młodości historycznej, opóźnionej chrystianizacji i piśmiennictwa, stał się podatnym gruntem dla

3/ przyswojenia sobie przyjętej wraz z chrześcijaństwem Wschodu /od imperialnego przeciw Bizancjum/ zasady powierzenia swego losu, /tj. paternalizmu, dobrowolnego oddania się we władzę innych/ z jej gorącą, bezkrytyczną wiarą nie tyle w zawartość informacji, co w jej źródło, przy czym nie ważne, czy jest nim Bóg, car, czy "gensek". W odróżnieniu od tego, podstawą cywilizacji zachodnioeuropejskiej stała się zasada umowy - zawieranej nawet z Bogiem, jak to ma miejsce np. u protestantów, która wyłoniła się prawdopodobnie jeszcze z prawą rzymskiego i weszła w trwałą symbiozę z zachodnim odłamem chrześcijaństwa, przydając mu, jak również całemu socjumi i kulturze zachodnioeuropejskiej, zdolności do bardziej racjonalnego myślenia.

Zasada powierzenia, tj. dobrowolne podporządkowanie się każdemu, kto stał wyżej, stała się u Rosjan zasadniczym czynnikiem strukturotwórczym w kształtowaniu skostniałej, hierarchicznej struktury etapowej wszelkich stosunków społeczno-politycznych, ultracentralistyczne piramidy władzy z obowiązującą personifikacją jej szczytu w postaci już to wielkiego księcia czy cara, już to przewodniczącego Sownarkomu, Genseka, czy obecnie - przewodniczącego Rady Najwyższej ZSSR.

4/ Wpływ despotycznego organizowania się oraz tradycji władzy ordyników.

5/ Nierozwinięcie się w wyniku powyższego stosunków prawnych u Słowian Wschodnich, a szczególnie u Rosjan.

6/ Świadomość narodowa Rosjan wyprowadzona ze stosunku do państwa jako wartości najwyższej i absolutnej jest typologicznie wybitnie państwową, co z góry określa uświadomienie i odbiór siebie samych nie w charakterze samowartościowych jednostek, niezawisłych indywidualności, lecz jako żywej własności, przynależności do wszechmocnego i ciężącego nad wszystkim państwa-molocha.

7/ Zhipertrofizowana funkcja militarna /z powodu intensywności działań obronnych, a zwłaszcza agresywnych w celu rozbudowy terytorialnej/ oraz związana z nią zhipertrofizowana funkcja polityczna, jak również rola i moc państwa, jego aparatu biurokratycznego ściśle spleciona z

8/ ukształtowaną historycznie osobliwą percepcją świata przez Rosjan, w myśl której uświadamiają oni siebie jako mieszkańców obłożonej twierdzy i każde zewnętrzne środowisko /nie tylko poza granicami kraju, lecz i w ich obrębie/ poczytują za własnego wroga, tj. wroga imperium, jako coś obcego i już choćby przez to - wrogię. Osobliwość tę Zachód kwalifikuje jako "rosyjską paranoję".

9/ Niedorzecznie wielkie i źle zagospodarowane terytorium kraju, rozpostarte równoleżnikowo na 10 tysięcy kilometrów, skazuje państwo i naród na ultracentralistyczne, podporządkowujące wszystko i wszystkich metropolii, despotyczne metody rządzenia.

10/ Skład etniczno-narodowościowy, będący pstrym konglomeratem stu dwudziestu narodów przyłączonych przeważnie na drodze militarnej.

Tak więc Rosja, zarówno historycznie, jak i geopolitycznie skazana była na totalną centralizację i despotię. Związany zaś z nimi brak swobód ekonomicznych i politycznych stał się w okresie sowieckim nieprzezwyciężoną barierą przede wszystkim dla pełnego i intensywnego rozwoju gospodarczego, zwłaszcza kresów. Tym niemniej twierdzenie, jakoby Rosji zawsze były właściwe tendencje i tradycje despotyczne, mijałoby się z prawdą. Od dawna bowiem istniała w niej i sprzeciwiała się despotyzmowi tradycja liberalna i demokratyczna /mówiąc dzisiejszym językiem/, wprawdzie dosyć słaba, która to umacniała się, to znów przygasała, aż, wydawać by się mogło, zanikała całkowicie.

Na przełomie XIX i XX wieku, tendencje liberalne w Rosji, rozwinięte głównie pod wpływem imperatywów ekonomicznych, okrzepły. Znalazło to wyraz w próbie przeprowadzenia reformy stołypinowskiej, ogłoszenia manifestu październikowego 1905 roku, tworzenia pluralizmu politycznego, wprowadzenia wolności druku, utworzenia Dumy Państwowej itp. Jednakże wówczas reforma ta nie była na tyle mocna, aby przezwyciężyć tendencje despotyczne do końca i na zawsze.

Na skutek krachu reformy Stołypina system prywatnej przedsiębiorczości nie zdominował kraju, niemniej tendencje liberalne trwały, a nawet umacniały się jeszcze jakiś czas, przyspieszając po wydarzeniach z lutego 1917 roku proces dezintegracji imperium. I jeżeli Październik nie położyłby kresu tej tendencji, to imperium, w ciągu 30-50 lat mogłoby samo stopniowo i stosunkowo spokojnie się rozparcelować i przestać istnieć. Bolszewicy jednak, myślący aż do 1921 roku prawie wyłącznie kategoriami rewolucji światowej, rozpatrywali przewrót w Rosji jako detonator rewolucji globalnej, upatrując w swoim kraju jedynie bazy

dla zamętu światowego, niezbędnej do realizacji globalnej koncepcji. Naturalnie skrycie dążyli do tego, by baza ta była jak najmocniejsza, najtrwalsza i rozciągała się na możliwie wszystkie ziemie imperialnej Rosji, z jej kolosalnymi zasobami naturalnymi i ludzkimi. Ogłaszając siebie internacjonalistami /kolejny mit w który sami uwierzyli/, obiektywnie rzecz biorąc, /jeśli obrać ich świadomość z propagandowej łuski hasel i iluzji strategicznych/, natychmiast stali się wielkomocarstwowymi imperialistami. Stosując niespotykane w historii okrucieństwa i represje, które pociągnęły za sobą straszliwe ofiary zdołali reanimować trupa imperium, znajdującego się w stanie śmierci klinicznej, płacąc za to potworną cenę społeczną. Odbudowali i odrodzili mołocha, a po przemalowaniu jego frontonu zawiesili nowy szyld: ZSSR. Bolszewicy ostatecznie umocnili nawet odbudowane imperium, pomnażając wielokrotnie jego siłę militarną, która poczęła teraz zagrażać całemu światu, jak również rozszerzyli owe terytorium aż po Łabę. To właśnie w odrodzeniu i zachowaniu imperium, nie zaś w pseudo-społecznych eksperymentach, upatrywać należy naczelnej funkcji historycznej bolszewizmu.

Pod wpływem realiów życia państwa imperialnego, bolszewizm przerodził się dość szybko, zarówno formalnie, jak i faktycznie w tradycyjny dla Rosji system polityczno-gospodarczy.

Rozwój historyczny przebiega spiralnie, pewne aspekty historii powtarzają się, choć na innych poziomach, a jej bieg przybiera na szybkości. Dlatego też rzeczą nieuniknioną wydają się coraz częstsze powtórzenia choćby podobieństwa sytuacji historycznych. Nie ma więc niczego nienaturalnego w tym, że bolszewicka dziś Rosja wkracza w końcu w nową fazę liberalizacji - gorbaczowską pierestrojkę, jest to raczej prawidłowość.

W tym kraju każda nieco dalej posunięta liberalizacja nieuchronnie wysuwa na plan pierwszy najboleśniejczy dla nas problem - narodowościowy - stwarzający groźbę rozpadu imperium, jak miało to miejsce w latach 1917-1919. W chwili obecnej znów stajemy wobec takiego zagrożenia. Dziś już nawet nieuzbrojonym okiem dostrzec można, iż problem narodowościowy i zrodzone przezeń siły odśrodkowe poczynają dosłownie rozrywać imperium na kawałki.

Nasza świadomość narodowa, nasz instykt imperialny niezwykle szybko i boleśnie odbierają te fakty jako zagrożenie istnienia państwa utworzonego kosztem niewyobrażalnych ofiar. Stąd właśnie ekscyzy ekstremy stowarzyszenia "Pamięć" oraz erupcje imperialnych uczuć i ambicji na niedwanym zebraniu zarządu Związku Pisarzy RSFSR w Saratowie, gdzie wszystkie rzeczy nazwane zostały po imieniu; gdzie imperium nazwano "imperium" w znaczeniu własnie najwyższej i absolutnej wartości. Wychodząc zatem od analizy

obecnego stanu naszej świadomości narodowej można stwierdzić, iż dylemat: wielkie mocarstwo czy demokracja, rozstrzygany będzie przez ogół niewątpliwie na korzyść tego pierwszego, a na niekorzyść drugiego - całkowicie nierozpoznawalnego i mętnie wyobrażanego.

Obranie przez Rosjan wolnego, opartego o zasady demokracji, sposobu życia i zlikwidowanie groźby fizycznego samozniszczenia możliwe będzie tylko wtedy, gdy wykażą się oni zdolnością do takiej przebudowy swej świadomości, aby zrozumieć własne korzyści płynące nie tylko z dobrowolnego opuszczenia "wielkiego imperium" ZSSR ale i z demontażu jego jądra - "małego imperium", masywu RSFSR zasiedlonego całkowicie przez nich i utworzenia w zamian trzech-czterech państw rosyjskojęzycznych, rzeczywiście demokratycznych, praworządnych i suwerennych w sensie zamieszkującego je narodu rosyjskiego. Mogłoby to być na przykład: "Rosja Właściwa" /Moskiewska/, na odwiecznych rosyjskich ziemiach położonych na zachód od Uralu, gdzie zrodził się naród Wielkorusów i jego państwo "/Rosyjska/Zachodnia Syberia" i "/Rosyjska/ Wschodnia Syberia", czy też jednolita "/Rosyjska/ Syberia i "/Rosyjski/ Daleki Wschód. Nota bene: Republika Dalekiego Wschodu, choć buforowo-dekoracyjna, istniała już w historii.

Niezależnie od innych okoliczności, taka "destrukturyzacja" państwowo-terytorialna narodowości rosyjskiej stworzyłaby warunki dla osiągnięcia jeszcze jednego życiowo ważnego celu: Jedynie poprzez samodzielną Syberię i Daleki Wschód cały naród rosyjski z dostrzegalnym dla siebie i świata pożytkiem będzie mógł wejść na równych prawach w skład Wspólnoty Pacyfiku, stającej się nowym centrum cywilizacji ziemskiej XXI wieku. Tylko w ten sposób mogliby Rosjanie stać się w końcu pożądanymi, nie wywołującymi podejrzeń, zaufanymi i szanowanymi partnerami narodów świata w ich stosunkach wzajemnych. Jednym słowem, polityczne i prawne imperatywy z jednej, a potrzeby rozwoju gospodarczego wszystkich narodów obecnego ZSSR z drugiej strony - wymagają demontażu imperium. Zwłaszcza, że tylko to mogłoby rzeczywiście zburzyć chiński mur zinstytucjonalizowanego systemu administracyjno-dyspozycyjnego rozciągającego się od Moskwy po całym kraju i rozerwać ciężną dławików duszących gospodarcze oraz wszelkie inne przejawy życia na peryferiach. Tylko to umożliwiłoby powstanie naturalnych, zdolnych do życia tworów polityczno-gospodarczych /i państwowych/, charakteryzujących się znacznie mniejszym stopniem centralizacji i ucisku. Tylko to umożliwiłoby narodowi rosyjskiemu stanie się nacją suwerenną obok innych suwerennych narodów, a tym samym fizyczne przetrwanie, wykluczające raz na zawsze globalną apokalipsę temojądrową.

Zarówno na Syberii, jak i Dalekim Wschodzie już dziś rozlegają

się głosy za gospodarczą, polityczno-państwową i kulturalną autonomią, za osłabieniem zależności od niezwykle scentralizowanego zarządzania, co znalazło wyraz np. w odpowiedniej rezolucji przyjętej przez nowosybirską delegaturę Związku Demokratycznego.

Ostatnio postulat dezintegracji imperium - i jest to olbrzymie osiągnięcie - został włączony do nowego programu całego Związku jako droga do rozstrzygnięcia kwestii narodowościowej wszystkich, nie wyłączając rosyjskiego, narodów ZSSR. Włączenie tezy o dezintegracji imperium do dokumentów programowych Związku Demokratycznego stanowi początek jego wielkiej pracy nad przebudową świadomości Rosjan:

Za aksjomat przyjmujemy twierdzenie, iż rządy prawa i demokracji są niezbędne, gdy potrzeba zapewnić wolność rozwoju gospodarczego i przestrzeń dla inicjatywy prywatnej. Jednakże w ZSSR zasadnicza grupa wytwórców i organizatorów produkcji nie odczuwa, jak dotąd, głębokiej tego potrzeby. Ale dzisiaj stawką w grze nie jest po prostu utrzymanie bądź zmiana form polityczno-gospodarczego życia, lecz samo istnienie lub śmierć narodu. Zupełnie bowiem realna jest perspektywa fizycznej likwidacji Rosjan, w których Zachód, skądinąd zupełnie słusznie, upatruje zagrożenie swej wolności, a więc i swego istnienia, ponieważ bez wolności nie wyobraża sobie egzystencji. My z kolei dotąd nie zaznamy spokoju od "paranoi", dokąd nie przełancujemy świata na swą modłę, dopóki nie przekujemy swoich "wrogów" na "przyjaciół", wedle wzoru państw komunistycznych Europy Wschodniej. Dlatego naturalne jest domniemanie, iż Zachód, już to w krytycznej, już to w krańcowo sprzyjającej mu sytuacji, pójdzie na likwidację nekającego go od 45 lat zagrożenia. Zagrożenie to postrzegane jest przez Zachód głównie jako tradycyjny "mesjanizm" Rosji i Rosjan w naszej paranoicznej świadomości mieszkańców obleżonej twierdzy, z zaprogramowaną w niej gotowością pójścia na wzajemne wyniszczenie po to tylko, aby nie stać się świadkami końca imperium, z którym utożsamialibyśmy śmierć narodu i nie pozwolić nikomu tańczyć na wieku jego trumny. Paroksyzm paranoi jest szczególnie możliwy, jeżeli wyboru - imperium albo wolność - przyjdzie nam dokonywać dziś lub w najbliższej przyszłości, przed przejściem wymaganej ewolucji psychologicznej i czynić to, jak by się mogło nam wydawać, pod naciskiem Zachodu, nie przewyższonym innymi środkami prócz militarnych.

Od czego więc mamy zacząć, żeby usunąć widmo zagłady fizycznej przez Zachód powodowany koniecznością oddalenia własnego zagrożenia, bądź też wzajemnego unicestwienia sprowokowanego przez nas samych.

Zdaniem autora, który wyłożył tę zrodzoną w 77 roku koncepcję w liście do członków Politbiura KC KPZS narodowości rosyjskiej,

złożonym 16 maja 83 roku na ręce Zarządu permskiego łagru politycznego WS 389 36, należy rozpocząć od przebudowy zbiorowej świadomości Rosjan w celu upewnienia ich co do nieuchronności demontażu imperium i płynących z tego korzyści /np. na wzór Wielkiej Brytanii, Francji, Holandii, naturalnie z uwzględnieniem ogromnej różnicy między ich imperiami, składającymi się z terytoriów zamorskich a ZSSR będącym monolitem terytorialnym, którego rozczłonkowanie jest znacznie trudniejsze/, upewnienia, że jest to podyktowane przede wszystkim przez instynkt samozachowawczy, że działać i zachowywać się powinniśmy w podporządkowaniu temu właśnie zbawiennemu instynktowi, że, wychodząc z rozumnego egoizmu narodowego, racjonalnego myślenia i zdrowego rozsądku, właśnie ta droga ma największe perspektywy dla prawdziwego interesu Rosjan. Tylko taka droga pozwoliłaby nam wyostać się wreszcie na szlak harmonijnego rozwoju cywilizacyjnego, gwarantowałaby najpewniejsze bezpieczeństwo oraz konstruktywne uczestnictwo we wszystkich sprawach tego świata.

Trzeba przy tym zdawać sobie sprawę, że taka przebudowa świadomości, która nawet w warunkach spokojnego rozwoju może pochłoniąć niejedno dziesięciolecie - to zadanie nie tylko nadzwyczaj trudne, ale, jak się może okazać, w ogóle niewykonalne, albowiem: 1/ Instynkt imperialny Rosjan jest wyjątkowo silny i jak na razie nie możemy sobie wyobrazić istnienia w innej postaci, jak tylko w ramach obecnego imperium od Brześcia do Władywostoku: 2/ Rosjanie jako nacja od wielu wieków nie zaznali na sobie ucisku narodowego, narodowej dyskryminacji, a posiadając do tego świadomość wybitnie państwową, nie etniczną, przywykli do roli zasadniczego narzędzia w zniewalaniu swym imperium innych narodów - nie zdając sobie sprawy, że zniewalając innych naród sam nie może być wolnym. Rosjanie nie odczuwają współczucia dla zniewolonych przez własne imperium narodów, nie rozumieją i nie dążą do zrozumienia ich uczuć /weźmy np. stosunek Rosjan do awantury afgańskiej, rozwoju ruchów narodowyzwoleńczych we własnym kraju/, a co najważniejsze, nie rozumieją kwestii narodowej ani jako problemu uciskanych nierosyjskich narodów ZSSR ani jako problemu własnego, w sensie braku suwerenności, tj. ucisku również rosyjskiego narodu przez państwo imperialne.

Musimy się przecież kiedyś przerazić tym, co reprezentujemy sobą dotychczas jako naród, tym, jak odbierani jesteśmy przez otaczający świat łącznie ze zniewolonymi przez nas narodami, przerazić się jakiego to zła zgubnego dla nas i dla świata jesteśmy nośnikami, zyskawszy sobie najwyższe dla sił ciemności miano: *Imperium zła*.

Musimy dokonać wyboru: albo podział kolosalnego wszechuciskającego imperium, samoocalenie i swobodny rozwój w ramach państw

suwerennych i demokratycznych, albo katastrofa militarna, polityczno-narodowa, ekonomiczna i fizyczne zniszczenie Rosjan jako narodu.

Pierwsze może być dokonane dwojaką drogą: 1/ jeżeli Rosjanie sami uświadomią sobie nieuchronność i zalety takiego wyboru oraz znajdą w sobie siły, również polityczne, zdolne do tego. Siły takie poczęły się w końcu pojawiać, ale na razie są nader kruche i mogą być łatwo zdławione wraz ze wciąż możliwym kardynalnym zastrzeżeniem kursu w kraju: 2/ jeżeli stosunek możliwości, sił i potęgi między Rosją a Zachodem, obecnie wyraźnie pogarszający się dla Rosji, postawi w efekcie Zachód w sytuacji takiej absolutnej przewagi, która uczyni bezowocnymi wszelkie próby Rosji zniszczenia go, by nie "zasmakował zwycięstwa", tzn. takiej przewagi, kiedy możliwe będzie wydanie przez Zachód będącemu w agonii imperium rzeczywistego "ultimatum przez telefon" bez realnej groźby konfliktu zbrojnego. W tym przypadku Rosji i Rosjanom przyszyłoby niejako powtórzyć drogę Niemiec Zachodnich i Japonii po drugiej wojnie światowej.

Bez pełnej wolności, bez usunięcia wszelkich hamulców ideologicznych, psychologicznych czy polityczno-prawnych z wolnej przedsiębiorczości oraz prywatnej /bądź grupowo-spółdzielczej/ inicjatywy, bez wprowadzenia do systemu wartości potrzeb materialnych wyższego rzędu, rozwiniętego poczucia własności i właściciela/indywidualnego czy grupowego/, bez wyzwolenia na tej podstawie twórczej energii, niemożliwe jest osiągnięcie przez nas, Rosjan, rzeczywistego rozwoju i rozkwitu gospodarczego.

Przyszłość kraju, jak również to, którą z dróg podaży, zależy od stosunku wzajemnego różnorodnych czynników rozwoju politycznego. Jakie siły przesądzać będą o losach kraju? Po pierwsze - potężne siły ruchów narodowowyzwoleńczych. Po drugie - wzrastające siły demokratyczne różnych kierunków i odcieni, na razie dość nieliczne pomimo istnienia w kraju około 30 tysięcy organizacji nieformalnych, które nie działają jeszcze w oparciu o silny interes ekonomiczny, ponadto bardzo nieliczne z nich nakierowane są na pluralizm, po trzecie - siły związane z oficjalnym establishmentem. Nie należy też zapominać o potężnej sile światowej opinii publicznej i w ogóle o siłach zewnętrznych działających na razie ostrożnie i w sposób wyważony, ale w sprzyjających okolicznościach mogących nabrać decydującego znaczenia.

Co zatem czeka nas w przyszłości? Zwycięstwo drogi reformatorskiej, nowa Pugaczowszczyzna, czy też może powrót do tradycyjnego dręczącego miotania się między jednym a drugim.

Zapał reformistyczny stygnie w oczach. A więc Pugaczowszczyzna? *Nie daj nam, Boże, oglądać ruski bunt, bezlitosny i bezsensowny* - pisał Puszkina. Ale mimo to wydaje się, że imperium blis-

kie jest agonii. Czy my, Rosjanie, potrafimy zachować się rozumnie, gdy już nadejdzie, rozumnie zadysponować tym, co pozostanie po zmarłym? Dziś jest to jeszcze problematyczne.

Jednak decydujący moment pędzi nam na spotkanie z szybkością historii - to jesienne wybory do Rad Najwyższych republik nadbałtyckich i Armenii, jeżeli do nich dojdzie, tj. jeżeli nie będą wprowadzone szczególne "karabachskie" metody rządzenia.

W każdym z tych dwóch przypadków Związek Demokratyczny nie może, więcej, nie ma prawa nie uwzględnić obu wariantów hipotetycznego rozwoju, z których jeden, zdaniem autora, będzie nieuchronną konsekwencją przeprowadzenia, bądź odwołania wyborów: 1/ Zwycięstwo frontów ludowych oraz sił narodo-patriotycznych, które najprawdopodobniej nada procesowi liberalizacji charakter nieodwracalny; 2/ Wprowadzenie stanu wyjątkowego w "rejonach zagrożenia" znamionujące druzgocącą klęskę pierestrojki i zapanowanie okrutnej i bezwzględnej reakcji przeradzającej się w wielkomocarstwowy rosyjski nazizm.

W. Bałachonow

tłum. Rafał Seniuch

PAŹDZIERNIK W CZORAJ I DZIŚ

RADA ROBOTNICZA NICZYM PIECZĘĆ UWIARYGODNIŁA REWOLUCJĘ

WYWIAD Z SÁNDOREM RÁCZEM, PRZEWODNICZĄCYM CENTRALNEJ RADY ROBOTNICZEJ WIELKIEGO BUDAPESZTU/"BESZÉLO" NR 7, 1983R./

- Urodziłem się 17 marca 1933 w Hódmezovasarhely. Mój ojciec był bezrolnym chłopem, ożenił się z córką biednego pasterza, która była jego ósmym dzieckiem. Ojciec poległ śmiercią bohatera nad Donem 16 września 1942r. Aż do 1946 roku wychowywała mnie samotnie żyjąca babka. Byłem szesnastym dzieckiem, które wychowała, nic więc dziwnego, że ciężką pracą musiałem dowieść swego prawa do życia.

- Do Budapesztu pojechałeś za mamą?

- Nie. To było tak: we wsi roztrąbili, że w Budafok organizowana jest bursa dla sierot i półsierot, które chcą się uczyć, więc bez wiedzy babki zgłosiłem się do urzędu gminnego. 15 sierpnia 1946 roku, akurat w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny przyjechałem na dworzec Keleti. Pieniądzy miałem tyle, że starczyło mi na bilet tramwajowy. Ale wsiadłem w zły tramwaj i pobłądziłem - wylądowałem w Mariabesnyő, w samym środku odpustu. To było moje pierwsze przeżycie z Budapesztu: mnóstwo ludzi, śpiewy - i ja stojący samotnie w tym tłumie, zagubiony, nie mam nawet pieniędzy, żeby wrócić do Izsák. Bo najchętniej to bym wrócił. Krótko mówiąc, to, że zostałem w Budapeszcie, zawdzięczam swojej biedzie.

- Od razu trafiłeś do zakładów Beloiannis?

- Nie, zacząłem u Gyuli Polacska jako terminator stolarza. Mieszkałem w bursie, było nas tam dwudziestu pięciu, katolicy, protestanci, Żydzi, wszyscy razem. W 1948 chcieli rozwiązać burse, ale ja poradziłem, żebyśmy zostali razem. Później musiałem pracować i to ciężko, żeby zapewnić sobie utrzymanie, bo byłem niczyj, nikt by mi nie dał kawałka chleba, gdybym sam na niego nie zapracował. Ale marzyło mi się więcej - chciałem się uczyć, chciałem zdobyć fach, żeby stać się człowiekiem. W 1948 poszedłem do zakładu Standard, który był przodkiem zakładów Beloiannis. Kiedy trafiłem do Standard kierownikiem zmiany był jeden socjaldemokrata, który zawiadował dwustu osobami, mając do pomocy jedną u-

rzędniczkę. A później, po procesie Vogelera i Sandersa i po kongresie zjednoczeniowym przysłał tam na kierownika komunistę, który był kiepskim fachowcem i od razu rozrosła się administracja. Oczywiście starzy fachowcy, socjaldemokraci, nie dopuścili, żeby wydział zszedł na psy, a rozrastanie się biurokracji było przyczyną ogólnego niezadowolenia. Wszak to my musieliśmy utrzymywać tych damozjadów, a w dodatku widzieliśmy, że praca szła lepiej, kiedy było ich mniej. Ludzie narzekali, ale w końcu władcom udało się zmienić oblicze wydziału, choć, co prawda, potrzebowali na to dwóch lat, bo panujący tu duch socjaldemokratyczny był dla nich ciężkim orzechem do zgryzienia.

Gdzieś pod koniec 1949 r., wywalili z roboty pewnego narzędziowca. Dlaczego? Otóż był na wydziale taki zwyczaj, że po podwieczorek posyłano terminatora. Chłopak wrócił z jednym tylko kawałkiem chleba, więc ten robotnik otworzył szufladę i klnąc na czym świat stoi wrzucił do niej chleb. Miał rację, bo przecież nie da się pracować na głódno. Ale zabrali go i pod jakimś pretekstem - że niby podburzał czy coś w tym stylu - wylali z roboty. W ten sposób dali nam do zrozumienia, że oto zaczęły się nowe czasy.

- Czy to na tym wydziale poznałeś Sándora Bali?

- Tak, gdy trafiłem do narzędziowców. Oddzielał nas tylko warsztat, a i przy śniadaniach często rozmawialiśmy ze sobą. Bali był o 10 lat starszy ode mnie. Od 1945 roku należał do partii komunistycznej, szanowano go na wydziale, był mężem zaufania w związku zawodowym. A ja w kółko narzekałem, krytykowałem. Bali zawsze cierpliwie mnie wysłuchiwał i składał ten zapał na karb mojej młodości. To też jest ciekawe: swą opozycyjną postawę zawsze musiałem uwiarygadniać dobrą pracą. Produkowałem narzędzia i gdy w maszynach trzeba było coś poprawić, ludzie zawsze przychodzili do mnie: "Dajcie to Sandorowi, on to zrobi porządnie". Krótko mówiąc jakością swojej pracy wywalczyłem sobie prawo do narzekania. Wyobraź sobie, że w papierach nie mogłem figurować jako stachanowiec, bo - jak powiedział kierownik zmiany - "byłem nieświadomy politycznie", ale otrzymywałem stachanowską pensję, ponieważ wykonywałem 180 proc. normy.

- Pracowałeś tam aż do 1956 roku?

- Nie, bo w październiku 1953 powołali mnie do wojska i tu ostatecznie poukładałem sobie wszystko w głowie. Wcześniej rzeczywiście byłem "nieświadomy politycznie". Nie dałem się zmusić do łążenia na różne seminaria, żeby mi nikt nie wmawiał, jak mam myśleć. Ale tu już nie było gadania, musiałem chodzić na zebrania. No i zacząłem się spierać z prelegentami - wstawałem i mó-

wielem, że jak to jest, że chłopu zabiera się ostatnią krowę?! Chłopaki ze wsi kibicowali mi, bo głośno wypowiadałem prawdę w ich imieniu. A z czerwcowego przemówienia Imrego Nagya zrozumiałem, co chce osiągnąć: chce uwolnić tych udreńczonych robotników rolnych, chce zmechanizować rolnictwo, przyznać robotnikom większe prawa i możliwości, chce znieść restrykcje, ukrócić bicie chłopów, i wszechładzę bezpieki. O wszystkim tym mówiłem w wojsku i wkrótce wszystko mi się w głowie poskładało w spójny obraz. W październiku 1955 roku wróciłem do Beloiannis i na nowo podjąłem żywot proletariusza. W zakładzie wiele się zmieniło. Kapusie byli demaskowani jeden po drugim i stawali się obiektami powszechnej nienawiści. Był np. taki robotnik, u którego w szafce w szatni znaleziono mikrofon - kierownictwo podsłuchiwało w ten sposób o czym rozmawiamy podczas przebierania się. Faceta musieli przemieścić na inny wydział, bo nikt nie chciał z nim pracować. Było to już po XX Zjeździe, oddychaliśmy swobodniej, otwarciej mówiliśmy zarówno między sobą, jak i na forach oficjalnych.

- 23 października zastał cię w fabryce?

- Nie, bo 5 października trafiłem do szpitala. Dopiero 17 października wycięli mi migdałki, bo mam skłonności do krwotoków i bali się mnie kroić. Dwudziestego trzeciego października uciekłem ze szpitala - skłoniły mnie do tego przemówienia Gerö i Piroso. Po operacji nie mogłem mówić, ale zwalenie Stalina przywróciło mi głos. Dziś już trudno wam wyobrazić sobie, jakie to było przeżycie, gdy pomnik się zachwiał. Lud Budapesztu, w którego imieniu postawiono ten posąg, poszedł tam i obalił go. Wtedy, na placu, każdy był twoim przyjacielem. Potem, gdy już zwaliliśmy Józka i na piedestale zostały tylko buty, przyjechała ciężarówka z ludźmi, którzy zaczęli wołać, żeby jechać pod budynek Radia, bo tam strzelają do ludzi. Kto tylko był w stanie, wskoczył do samochodów. Ulice pełne ludzi, całe miasto rozbrzmiewa dwoma hasłami: "*Ruskie do domu!*" i "*Imre Nagy do rządu!*". Tłum był tak wielki, że nie udało się nam dostać pod budynek Radia. Zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu ulicy Sandora Bródyego i Obwodnicy Muzealnej. Na placu Kalwina paliły się samochody i tramwaje, a na rogu stały oddziały wojska - akurat moja jednostka, ale nie poszedłem do nich. Gdzieś tak koło dziesiątej przyjechały cztery węgierskie czołgi. Nie mogły wjechać na ulicę, bo ludzie je otoczyli, wdrapali się na nie i wrzeszczeli na dowódcę: "*I ty jesteś Węgrem?! A kto płacił za twoje wykształcenie? Wyjeżdżasz na nas z czołgami?*"

Koło północy wróciłem do szpitala, gdzie było chyba jeszcze niewiele rannych, bo pracownicy mieli mnóstwo czasu, żeby wysłuchać mojej relacji. Następnego dnia o piątej rano znowu uciekłem. Po-

szedłem pod Emke /budynek w centrum Budapesztu - przyp.tłm./.
Stanałem na rogu. Ludzie chodzili w tę i we wtę, a ja zacząłem do nich przemawiać. Na przykład w tym stylu: przejeżdżał obok nas czołg, to ja mówię: "Strzelają do nas z czołgów, które wyprodukowali z naszych składek na fundusz pokoju". Przez cały czas było wokół mnie 100-200 osób; niektórzy mówili: "Takich trzeba by pozamykać!", a inni mnie zachęcali, żeby mówić, bo mówię prawdę. No to im powiedziałem, że obalenie pomnika przywróciło mi głos. Ale po dwóch-trzech godzinach musiałem wrócić do szpitala, bo nadwyreżyłem sobie struny głosowe.

- *Następnego dnia znowu wyszedłeś?*

- Jasne, codziennie wychodziłem, a 28 października poszedłem już na dobre. Później już, aż do mojego aresztowania 11 grudnia, ani razu nie spałem w łóżku. Zresztą to nieważne. Słowem, 29 października poszedłem do fabryki. Zebraliśmy się w świetlicy, ja - kies 500 osób. Staliśmy, gadaliśmy - a było o czym. Byliśmy w normalnych ubraniach, nie przebraliśmy się w stroje robocze, bo było nas za mało, żeby uruchomić produkcję. Nie pamiętam już kto, ale ktoś zaproponował, żeby wybrać radę robotniczą. I nie pamiętam też, kto zgłosił moje nazwisko, ale to wystarczyło. Musiałem wejść z innymi na scenę. Ostatecznie, po ukonstytuowaniu się tymczasowa rada robotnicza liczyła 15 członków. Ze świetlicy poszliśmy do gabinetu dyrektora. Tutaj ktoś zaproponował, żebym był przewodniczącym, ale się nie zgodziłem. Tłumaczyłem to swoim wiekiem, brakiem doświadczenia /miałem 23 lata/ i zaproponowałem Sandora Balięgo. Wiesz, trochę się też obawiałem, że taka funkcja ubezwłasnowolni mnie, przykuje do zakładu, w którym były tłumy najróżniejszych komunistów, a ja nie miałem ochoty na przepychanki z nimi. Tak więc w końcu zostałem łącznikiem z Radą Dzielniczy i z radami pozostałych zakładów.

- *Jakie były wasze pierwsze posunięcia?*

- Jeszcze w biurze dyrektora postanowiliśmy podjąć pracę i zorganizować straż fabryczną. Uważaliśmy za naturalne, że w wyniku rewolucji bierzemy fabrykę w swoje ręce, a dyrektor nie będzie nami dyrygował. A straż była potrzebna po to, by bronić maszyn i materiałów i żeby do zakładu nie dostały się jakieś podejrzane elementy. Po południu przyniosłem dwa radioodbiorniki i magnetofony, żeby nagrywać różne audycje, no - żeby się orientować w sytuacji. A później przeszedłem się po zakładzie i pozdejmowałem dekoracje: obrazy, gwiazdy, posążki i czort wie, co tam jeszcze. Powiedziałem, że jak ktoś nie może się bez nich obejść, to może je sobie wziąć do domu, a produkować da się bez ozdóbek.

To były moje pierwsze "zarządzenia", dlatego mówię to w cudzysłowie, że nikomu nie trzeba było wydawać poleceń, wszyscy wiedzieli, co mają robić.

Tego dnia zdarzyła mi się bardzo ciekawa przygoda - zdobyłem własnego awosza. Gdzieś tak koło piątej wychodzę na ulicę, a naprzeciw wychodzi mi młody człowiek w skórzanym płaszczu i pyta właśnie o mnie. Prosi mnie, żebym go ukrył, bo się boi iść do domu. Jest kapitanem AVH i ma żonę Rosjankę. W zamian za to zobowiązuje się spisać treść tajnych sowieckich transmisji radiowych, które podsłuchiwał 28 października jako łącznościowiec. Wziąłem go ze sobą do fabryki, dałem mu pióro i papier, on zabrał się do roboty, a ja zamknąłem go od zewnątrz. Po paru godzinach wróciłem i gdy przeczytałem, co napisał, nie wierzyłem własnym oczom. Były tam informacje o tym, ilu żołnierzy zmobilizowali Sowietci, jakich przegrupowań dokonują i tak dalej. Znowu zamknąłem drzwi i porozmawiałem z kilkoma członkami rady: to jest na tyle ważny dokument, że trzeba go przekazać Imremu Nagyowi. 30 października ok. 10-11 przed południem poszliśmy do Parlamentu, to była moja pierwsza wizyta w tym budynku. Przed gabinetem Imrego Nagya czekało ze trzydzieści osób. Nagy wyszedł z pokoju i bardzo się zdziwił: a państwo na co czekają? Powiedzieli, że na zgodę założenia partii. Jeszcze teraz dźwięczą mi w uszach słowa Imrego Nagya: *"Słuchajcie państwo, ja jestem komunistą, nie zakładam innej partii. O tym, jakie partie mogą powstać, zadecyduje prezydium rady ministrów"*. Natomiast ja załatwiłem swoją sprawę jeszcze wcześniej. W paru słowach wytłumaczyłem mu, co przyniosłem i przekazałem notatki awosza.

- Czy zachowała się gdzieś ich kopia?

- Nie. Był tylko jeden egzemplarz. To była rewolucja, nie mieliśmy czasu, by myśleć o historykach.

Imre Nagy wrócił do gabinetu, a ja zacząłem rozmawiać z innymi, mówiłem im: *"Pogłupieście? Macie czas na organizowanie partii, skoro jest tysiąc innych ważniejszych spraw?"* Byli tam dwaj dziennikarze z *Igazsag*, zabrali mnie do kawiarni New York i przepytali. Ten wywiad nawet się ukazał w którymś numerze, tam możecie sobie przeczytać moje opinie o systemie wielopartyjnym.

Ale żeby skończyć historię mojego awosza: wróciłem do zakładu, gdzie akurat kilka osób kręciło się po suterenie, żeby dobrać się do tego ubeka i nieco go oćwiczyć. Mówię im: *"W porządku, oto klucz, jeśli chodzi o mnie, to możecie go nawet powiesić - ale najpierw zastrzelcie mnie, bo ja temu człowiekowi dałem słowo honoru, że nie stanie mu się krzywda. Najpierw mnie zastrzelcie, a*

potem awosz będzie należał do was". To ich trochę ostudziło. Poszliśmy jedzenie jego żonie, a on przez kilka dni mieszkał w schronie, dopiero 3 listopada przekazaliśmy go na komendę milicji. O ile wiem, później postawiono go przed sądem i wylano z AVH, tzn. nie przyjęto z powrotem. Prosiłem, żeby go powołać jako świadka w mojej sprawie, bo przecież uratowałem mu życie, ale zdaniem sądu, fakt ten nie miał żadnego znaczenia.

- Wróćmy do okresu po 29 października. Co się działo w radzie robotniczej?

- Do 3 listopada nic, przynajmniej nic ważnego. Przedstawiciele rad robotniczych w dzielnicy poznawali się ze sobą, rozmawiali, telefonowali do siebie. Mieszkałem w zakładzie, spałem, gdzie się dało: w fotelu, na stole. Kobiety gotowały w kuchni - było co gotować, bo ze wsi dostawaliśmy ziemniaki, mięso, gęsi. To też jest element obrazu: chłopcy przychodzący z tobołami na plecach, żeby kamieć rewolucję. Rada robotnicza wypłacała ludzom zaliczki - to znaczy tym, którzy się po nie zgłosili.

3 listopada, kiedy odprowadzaliśmy na policję mojego awosza, gospodarskim wzrokiem rozejrzeliśmy się po mieście. Był spokój. Poszliśmy na ulicę Bajzy, w pobliże siedziby Związku Literatów i sowieckiej ambasady. Wszędzie przyjmowała nas cisza, cisza przed burzą. Planowaliśmy, że w poniedziałek podejmiemy pracę i ciekawiło nas, jakie nastroje panują w mieście, czy będzie się dało dotrzeć do zakładów. Poza tym, wiesz, nie bez kozery poszedłem rzucić okiem na sowiecką ambasadę. Od początku jakoś nie wierzyłem, że Rosjanie pogodzą się z tym, co sobie wywalczyliśmy. A później nadszedł 4 listopada...

- Kiedy obudziliście się słysząc huk strzałów...

- Wcale się nie obudziliśmy, bo nie zmrużyliśmy oczu. Ta cisza trzeciego listopada bardzo mi się nie podobała! Nie pochwalałem też decyzji Malétera i jego ludzi, którzy udali się do zamkniętej sowieckiej kwatery wojskowej. Już w nocy wzywano ich przez radio, by dali znak życia. Później, o 4 rano nadano przez radio wezwanie Imrego Nagya. Nie potraficie sobie nawet wyobrazić, jaka to była tragedia! To było wstrząsające, jak Imre Nagy, komunista, niemal płacząc prosi Rosjan, by nie krzywdzili tego miasta, tego małego kraju. Jeszcze dziś słyszę - bo przeczytali to też po rosyjsku - "Wnimanie, wnimanie!"; nie wiem, co to znaczy, ale brzmi tak, jak "Proszę, proszę!". Pierwsze strzały amatnie rozległy się dobre półtorej godziny później. I już aż do szóstego listopada toczyły się tylko walki.

- *Wy też walczyliście?*

- Ci, którzy byli w zakładzie - nie. Było nas razem dwudziestu, bez żadnej broni, tylko z jakimiś pistoletami. Walka nie miałyby większego sensu. Ja wyszedłem na dach budynku fabrycznego i stamtąd obserwowałem latające we wszystkie strony pociski i bomby. Byliśmy potwornie rozgorzyczeni i wściekli. Przecież napadli na spokojny, pokojowy, właśnie przygotowujący się do podjęcia produkcji kraj!

- *Co mogliście zrobić?*

- Do 8 listopada nic. Na ósmego listopada zwołaliśmy posiedzenie dzielnicowej rady narodowej w świetlicy jednego z zakładów. Przyszło około stu osób. W gruncie rzeczy chodziło nam tylko o to, żeby dać ludziom trochę nadziei. Wszyscy byli zgodni, że teraz rady robotnicze mają do odegrania aktywną rolę. Wcześniej nie mieszałyśmy się do polityki, bo ufaliśmy Imremu Nagyowi, uznawaliśmy go za politycznego gwaranta rewolucji, ale ludzie Kadara zdradzili i Nagya, i samą rewolucję. Wszyscy jednomyślnie go odrzucali, nikt nie chciał się z nim zadawać, wyjąwszy tych parę osób, z którymi do spółki sklecił ten swój rząd. Krótko mówiąc, sądziliśmy, że trzeba uratować jak najwięcej z wywalczonej wolności i że to właśnie jest nasze zadanie.

- *Czy na tym zebraniu dzielnicowym przyjęliście jakiś program polityczny?*

- Nie przypominam sobie, by już wtedy sformułowano punkty. Ale 12 listopada, kiedy zwołaliśmy dzielnicę do Beloiannis, już były spisane. Zanim jednak do tego dojdę, chciałbym powiedzieć, że 8 listopada zabrali Sándora Baliego do rosyjskiego dowództwa. Wzięli wtedy też dyrektora zakładu Bertalana Berecza. Nawiasem mówiąc, ten Berecz przez cały okres rewolucji mieszkał w zakładzie. Dom miał na wzgórzu Gellerta, ale bał się tam pójść - u nas czuł się bezpieczny. Berecz miał dość dobre stosunki z Sandorem i po 4 listopada obu nas próbował namówić, żebyśmy wstąpili do nowej partii, bo "to jest miejsce dla ludzi takich, jak my". Ja w tym czasie właśnie agitowałem, żeby usunąć wszelkie partie z terenu przedsiębiorstw! Pod koniec listopada zaproponowali mi nawet willę na wzgórzu Gellerta - w zamian za wycofanie się z życia politycznego.

- *Jak przebiegło to zebranie 12 listopada? Kto na nie przybył i jakie decyzje podjęliście?*

- Przyszli ludzie z rad robotniczych całej dzielnicy. Wielu z nich znałem już z widzenia, bo - jak powiedziałem - byłem wcześ-

niej łącznikiem. Byłem w tych dniach dość aktywny, możliwe, że nawet sam otwierałem to zebranie, choć dokładnie już tego nie pamiętam. Wynikało to także z tego, że Sándor miał rodzinę, a dodatkowo zabrali go Rosjanie, więc co się dało, brałem na siebie. W tym czasie mieliśmy już sformułowane postulaty polityczne: wycofanie oddziałów sowieckich, przywrócenie rządu Imrego Nagya, prawne uznanie rad robotniczych oraz komitetów rewolucyjnych, itd. Czterech czy pięciu ludzi poszło do gabinetu dyrekcji, gdzie sformułowali to wszystko w punktach, a później poddano je pod głosowanie. Było to ważne z tego powodu, że 14 listopada Bali poszedł już z gotowym programem na zebranie założycielskie Centralnej Rady Robotniczej w zakładach Egyéslít Izzó.

- Ciebie tam nie było?

- Nie, bo zaproszono tylko przewodniczących. O powstaniu CRR Sandor powiedział mi dopiero 15 listopada o świcie, gdy ich delegacja wróciła już z parlamentu. Tak więc ja dowiedziałem się o tym od niego. W międzyczasie miało miejsce jedno ważne wydarzenie. Jeszcze 14 listopada wieczorem przyszedł do naszej rady Sándor Sz. Nagy, frezer z zakładów Ganz, informując, że na następną dzień zwołał przedstawicieli rad robotniczych na ulicę Koltói i że my też powinniśmy wysłać delegata. 15 listopada powiedziałem Sándorowi, żeby wysłali mnie, bo sprawa wydała mi się śmieszna. Poszedłem. Zebranie zaczęło się o 10. Nie spodobała mi się już sama uroczysta atmosfera. W wielkiej sali siedziało ze czterystu ludzi, za stołem prezydialnym wyelegantowani faceci, białe koszule i w ogóle. Ja i inni na sali mieli normalne robotnicze ciuchy, w których chodziliśmy do pracy. Wszystko jedno - pomyślałem, zaczekam i zobaczę, co jest grane. Stałem z tyłu, na samym końcu sali. Z przodu przemawia wysoki, smukły chłopak - ale mówi zupełnie bez ładu i składu: wybiórczo i stronniczo omawia postulaty robotnicze z 14 listopada. Słyszając to, podchodzę do stołu prezydialnego, stoję za tym chłopakiem i grzecznie czekam, aż skończy. A później głośno go proszę, żeby się zechciał przedstawić, skąd jest, kim jest, kto go tu przysłał. Okazało się, że jest studentem. Dorwali go dwaj nieznani mu mężczyźni i kazali powiedzieć to, co powiedział. No to wtedy ja powiedziałem, jak się przedstawia sytuacja. Zwróciłem się do sali, powiedziałem jak się nazywam, i że przysłano mnie z Belsőannis. Oświadczyłem, że to zebranie tutaj jest zupełnie zbędne, bo w Izzó ukonstytuowała się Centralna Rada Robotnicza Wielkiego Budapesztu. Konkurencyjna rada robotnicza nie jest potrzebna, tak więc ja opuszczam tę salę. Jeśli kogoś interesuje prawdziwy program CRR, to może się z nim zapoznać na ulicy Akácfa 15. Po tych słowach wyszedłem na ulicę i tu

zaczekałem. Po dziesięciu minutach tłum ruszył za mną. W porządku - pomyślałem. Poprosiłem jakiegoś chłopaka, który miał motocykl, żeby mnie zabrał na ulicę Akácfa, do budynku Budapeszteńskiego Przedsiębiorstwa Kolei Elektrycznej.

Tu znowu miała miejsce ciekawa scena. Do drzwi sali konferencyjnej na pierwszym piętrze dotarłem razem z Tiborem Dérym, który przyniósł list z pozdrowieniami od Związku Literatów. Był starszy, więc puściłem go jako pierwszego. I gdy tak stałem czekając przed drzwiami, przybyło te czterysta osób z Koltói. Wówczas wszedłem do środka, powiedziałem co się stało i zaproponowałem, żeby Centralna Rada zorganizowała zebranie informacyjne dla tych czterystu osób. Pista Babay otworzył drzwi świetlicy na czwartym piętrze, żeby wszyscy mogli się zmieścić. Ledwo zaczęliśmy, a w drzwiach pojawili się dwaj rosyjscy żołnierze. Znowu siedziałem z tyłu, więc słyszałem, jak zarepetowali swoje pistolety automatyczne. Wszyscy spojrzeli do tyłu, a zza stołu prezydialnego wstał Fazekas i ruszył w ich stronę. Oni mu jednak pokazali pistoletami, że ma wracać na swoje miejsce. Zamroziło nas. Nieomal wybuchła panika. I wtedy pomyślałem: wyjść nie da się - ale może da się pójść na środek sali? Wstałem, czułem, że w moje plecy kierują się dwie lufy, ale podszedłem do stołu i zacząłem mówić: *"Pomimo, że w drzwiach stoją dwaj rosyjscy żołnierze z odbezpieczoną bronią, my tutaj musimy omówić problemy węgierskich robotników!"* Rozładowało to nastrój, a żołnierze poszli sobie.

- A więc w ten sposób znalazłeś się w Centralnej Radzie Robotniczej?

- Nie całkiem. Wcześniej już przybył Szelvényi i czekał na mnie na klatce schodowej. Przyniósł ze sobą uchwałę XI. dzielnicy, w której było postanowienie, że to ja mam być reprezentantem /każda dzielnica delegowała jednego przedstawiciela/. Ale prawdą jest, że tym moim wystąpieniem uczyniłem drugi krok w tym kierunku. Pierwszym oczywiście było moje pojawienie się na ulicy Koltói, kiedy to uniemożliwiłem sformowanie konkurencyjnej rady. W taki właśnie sposób wykonałem się z anonimowego tłumy. Sądzę, że nie miało znaczenia to, o czym pisze Bill Lomax, że niby Rácz najgłośniej wypowiadał postulaty robotników. Tam się liczyło coś innego, a nie siła głosu.

Później przyszedł József Sándor /pełnił funkcję łącznika między CRR a ludźmi Kádara/ i powiedział, że z tymi Rosjanami to było nieporozumienie i że rząd bardzo za to przeprasza. Nie sądzą, żeby to było nieporozumienie, bo później okazało się, że Ruscy zapędzili do sali wszystkich, którzy byli na korytarzu. Ale oczy-

wiście możliwe jest, że coś im się pomyliło...

- Tak więc zostałeś członkiem CRR.

- Tak. Okazałem swój list uwierzytelniający, przyjęli mnie i usiadłem. Nawiasem mówiąc było nas więcej niż wskazywałaby na to liczba dzielnic, ale prawo głosu miał tylko jeden przedstawiciel dzielnicy.

- Sándor Bali także był obecny?

- Nie, jego nie było. Słuchaj, ja wiem, że wy, historycy, bardziej lubicie Sándora Bali niż mnie, twierdzicie - przynajmniej tak wynika z tekstów, które dotychczas czytałem - że on starał się mnie temperować, bo ja miałem rozpaloną głowę. To nie było tak. Bali i Rácz to jeden człowiek, przynajmniej w 1956 roku. Nawet wcześniej, w latach 50-tych, powstrzymywał mnie jedynie z troski o mnie.

- Co się działo na posiedzeniu CRR?

- Postanowiliśmy z Józsefem Sándorem, że wyślemy delegację do Parlamentu. Wybrano około dziesięciu osób, m.in. mnie. Było to więcej niż się spodziewałem. Przecież byłem najmłodszym członkiem Rady! Spotkanie miało się odbyć o godzinie 8 wieczorem, ale Kadar kazał nam czekać. Pojawił się dopiero gdzieś około północy. Chciał nas zmiękczyć, ale nie był to jedyny powód. Wiesz, wtedy byłem po raz pierwszy w Parlamencie / i to w dodatku w takich okolicznościach!/, byłem młody - słowem, nie chciałem tam błąszczeć, a raczej patrzyłem. No i zorientowałem się, co jest grane! Skierowano nas do sali konferencyjnej - działo się to koło ósmej. Wchodzi Biszku, Ribánszky, József Sándor, Marosan. Ani się człowiek zdąży obejrzeć, a już jeden siedzi po jednej stronie, drugi po drugiej i wypytuje, czego właściwie chcemy. Potem nagle znikają i Kadar już zawczasu wie, co odpowiedzieć. No więc około północy przyszedł Kadar. Była umowa, że Radio na żywo będzie transmitować naszą rozmowę. Ale Kadar podszedł do stołu, odsunął mikrofon: "Potrafię mówić bez tego!". To znaczy, złamał poczynione zawczasu uzgodnienia. Moim zdaniem, powinniśmy byli w tym momencie wyjść, lecz nasz przewodniczący, Dévényi, nie zachował się, jak przystało na robotnika. Chrzakał, stękał, jękał się, ręce mu się trzęsły - był załosny.

- Nie doszło do porozumienia?

- Do porozumienia?! Nie było mowy o żadnym porozumieniu. Rozmawialiśmy w rezydencji premiera, w skrzydle, którego okna wychodzą na most Małgorzaty. I gdy tak od godziny już bijemy pianę, a

Devenyi bełkocze, nagle od strony Dunaju rozlega się terkot karabinu. W tym momencie poczułem, że muszę zabrać głos. Wstaję i mówię: "My tu bijemy pianę, a na ulicy strzelają do węgierskich robotników i nikt w tej sali nie czuje się za to odpowiedzialny!". Kadar zerwał się na równe nogi, mówiąc, że nie będzie tolerował takiego tonu. Biszku zaczął go uspokajać: "Dajcie spokój, towarzyszu Kadar, to naiwny dzieciak". Możliwe, że byłem naiwny, ale powiedziałem prawdę. Potem atmosfera się pogorszyła, rozmowy utknęły. W czasie przerwy otoczyli nas dziennikarze, reporterzy radiowi i delegaci górników z Salgótarján /którzy także uczestniczyli w pertraktacjach/ i zaczęliśmy rozmawiać. Krótko rzecz biorąc, był to trzeci taki moment, w którym Sándor Rácz wybił się z anonimowego tłumu, by stanąć później na czele CRR. Przynajmniej tak ja to czuję.

- Co się działo po przerwie?

- Nie pamiętam, czy rozmowy były kontynuowane i o czym była mowa. Rano dostaliśmy samochód. Ja pojechałem z powrotem do fabryki, na ulicę Fehérvári 70. Na ósmą zwołano posiedzenie CRR. Po sprawozdaniu Dévényiego poprosiłem o głos, opowiedziałem o tym, co się działo w Parlamencie i postawiłem o wotum nieufności dla Devenyiego /bo moim zdaniem nie zachowywał się w sposób godny robotnika/. Jednocześnie skrytykowałem postawę całej delegacji. Rozpoczęła się ostra dyskusja. Ci, którzy mieli koło pięćdziesięciu lat, skłaniali się raczej ku Dévényiemu, że niby te jego przetargi do czegoś w końcu doprowadzą, natomiast młodszy, mający poniżej czterdziestki, reprezentowali radykalniejsze stanowisko. /Ale pamiętaj, że wtedy i jeszcze długo potem wszyscy odrzucali Kudara/. Później, gdy doszło do tajnych wyborów nowego przewodniczącego, okazało się, że wszyscy poza mną głosowali na Rácza. Byłem zaskoczony, bo nie to było moim celem, gdy zgłaszałem wniosek o wotum nieufności - ale przyjąłem tę funkcję. Czułem, że muszę się tego podjąć. Zastępcą przewodniczącego został György Kalocsai, a sekretarzem Pista Babay. Później okazało się, że w młodości Babay był w młodzieżowej organizacji strzałokrzyżowców. Pomimo, że w swej "mowie inauguracyjnej" wszystkim tłumaczyłem, że gra toczy się o nasze życie, więc jeśli ktoś ma na sumieniu coś sprzed 1956 roku, co kłóci się z nieskazitelnością Rady, powinien się wycofać, bo wien będą się nam przyglądać przez szkło powiększające. Nawiasem mówiąc, Devenyi obraził się i zrezygnował z udziału w Radzie. Sądzę, że z tego m.in. powodu nie mogliśmy się później dogadać z zakładami Csepel. Odwołano też Jánosa Fazekasa. Tak więc moje wpływy w CRR uległy wzmocnieniu, zaś postawa pokory została wyparta.

- Jakie były zamierzenia CRR w nowym składzie?

- Przede wszystkim stwierdziliśmy, że należy podjąć pracę i ściągnąć ludzi do zakładów. Nie można było pozwolić, by ekipa Kadara dawała ludziom pracę i chleb, bo wtedy łatwo będzie nimi manipulować. Sądziliśmy, że jeśli zdołamy ściągnąć ludzi do zakładów i przedsiębiorstw, to wzmocni się pozycja CRR. Chcieliśmy ostatecznie dokonać wyborów do rad robotniczych. /Ludzie Kadara wciąż powtarzali, że rady nie są reprezentatywne, bo robotników nie było w fabrykach - zupełnie tak, jakby oni sami byli wybrani przez aklamację.../ 16 listopada znowu poszliśmy do Parlamentu na kolejne rozmowy, niosąc ze sobą tekst apelu wzywającego do powrotu do pracy. Odczytałem ten apel przez radio - studio znajdowało się wówczas w budynku Parlamentu. W trakcie tych pertraktacji Antal Apró zapowiedział, że trzech członkowie CRR zostaną wybrani w skład rządu, na co ja odrzekłem: "Co pan sobie wyobraża?! Nie po to mnie tu przysłano, bym się targował o jakieś teki ministerialne! Proszę raczej odpowiedzieć na nasze pytania: kiedy zostaną wycofane oddziały sowieckie, kiedy Imre Nagy ponownie stanie na czele rządu i kiedy zostaną zalegalizowane rady robotnicze?".

- Nie mieliście scysji z Sowietami?

- W tym okresie już w najlepsze trwały deportacje. Mieliśmy taką trzyosobową komisję, której członkowie chodzili do rosyjskiego dowództwa, żeby ocalić ludzi przed wywózką. Oni też pośredniczyli przy organizowaniu spotkania z głównodowodzącym sił rosyjskich, gen. Grebenikiem. Później, 23 listopada - pamiętam dokładnie, bo miało to miejsce akurat po milczącej demonstracji - na obrady CRR przybyli w asyście Józsefa Sándora trzech wojskowi historycy sowieccy, żeby zapoznać się z naszym stanowiskiem. Pamiętam, jak jeden z nich wyszedł w południe na ulicę i wrócił niemal z płaczem, że to miasto, które nawet nocą jest pełne życia, na godzinę zamarło, na ulicy nie ma żywej duszy. CRR wezwała bowiem ludzi, żeby w ten sposób zademonstrowali swoją postawę w miesiąc po wybuchu rewolucji. W kilka dni później udałem się do budynku byłej Wyższej Szkoły Partyjnej, gdzie mieściła się siedziba główna dowództwa. To też był ciekawy obrazek: Grebenik i inni oficerowie mieli wpięte w mundury herby Kossuthą /wiesz, takie, jak wszyscy nosili w czasie rewolucji/, a kiedy podali im kaczkę i bułki z makiem, Grebenik nakazał odesłać pieczywo, bo nie będzie zjadał Węgrom chleba. Był wobec nas życzliwie nastawiony. Dałem się zaprosić na kolację, bo nie chciałem go urazić. Nawiasem mówiąc, poszedłem tam dlatego, że nie chciałem, żeby tyłko Kadar informował ich, a za ich pośrednictwem Moskwę, o sytuacji.

Pomyślałem sobie: powiem szczerze, jakie są nasze żądania, a potem niech sobie inni gadają, co chcą. Udało mi się coś tam złagodzić w kwestii deportacji i godziny policyjnej. Później jeszcze dwa razy byłem w sowieckiej kwaterze głównej. Raz rozmawiałem z jakimś wielkim Tatarem czy Mongołem, a za drugim razem z krepym Rosjaninem, sądzę, że to był Sierow. Oni nie zachowywali się już tak przyjaźnie.

- *Jak wyobrażaliście sobie utworzenie krajowej sieci rad robotniczych?*

- Krajowa Rada Robotnicza nigdy nie powstała. Na 8 rano 21 listopada zwołaliśmy do Hali Sportowej konferencję delegatów rad robotniczych z całego kraju. Zebrało się nawet kilkaset osób, ale halę otoczyły sowieckie czołgi, tak, że nawet mysz nie mogła się przeszliżnąć. Przeszliśmy więc do siedziby MEMOSZ /Zw.Zaw.Budowlanych/ ale i tam nas nie wpuszczono, więc w grupie sześćdziesięciu - siedemdziesięciu osób udaliśmy się na ulicę Akacfa. Krajowa Rada Robotnicza nie mogła się ukonstytuować choćby z tego powodu, że do małej salki zmieściło się tylko kilku delegatów z prowincji. Miałem nieco nadziei, że jeśli KRR powstanie, nie ja będę jej przewodniczącym. Choć, co prawda, nikt się już do tego specjalnie nie palił, bo pętla na naszych szyjach zaczęła się już zaciskać. Postanowiliśmy, że 22 i 23 listopada przeprowadzimy dwudniowy strajk, aby zaprotestować przeciw uniemożliwieniu nam przeprowadzenia zebrania i przeciw uprowadzeniu Imrego Nagya i jego towarzyszy. Dwa dni wcześniej ściągnęliśmy ludzi do fabryk, a teraz wezwaliśmy ich do strajku. To także pokazywało siłę CRR.

- *Mieliście kontakt z Imre Nagym?*

- Nie. Nie poszliśmy do ambasady jugosłowiańskiej, bo nie chcieliśmy dodatkowo komplikować i tak już powikłanej sytuacji dyplomatycznej. Ale dowiedzieliśmy się o uprowadzeniu Nagya i jego ludzi.

21 listopada ponownie poszliśmy do Parlamentu... Zapomniałem powiedzieć, że wcześniej wystąpiłem na zebraniu przydziu CRR, mówiąc, że wiele osób zarzuca mi, że jestem zbyt młody i porywczy, więc niech wybiorą kogoś innego na moje miejsce. Ale znowu wybrano mnie, więc znowu ja poszedłem na te rozmowy. W Parlamencie uzgodniliśmy dwie rzeczy: rząd uzna w formie dekretu rady robotniczej i Centralną Radę Robotniczą Wielkiego Budapesztu oraz przydzielili nam siedzibę. Już kilka dni wcześniej przyszedł do mnie Jenő Focky, żeby omówić projekt zarządzania, który przyniósł ze sobą, mówiąc, że trzeba go przygotować na posiedzenie Rady Ministrów. Przez cały dzień pracowaliśmy nad tym projektem, uzgodniliśmy jego

ostateczną formę, została u nas nawet jedną kopią tekstu. 22 listopada, jako dekret, rada ministrów wydała tekst bez poprawek.

- Jakie poprawki proponowaliście?

- Żeby stanowiska dyrektorskie w zakładach obsadzać na mocy konkursu, że rada robotnicza może zwolnić dyrektora itp. Ale jasne już się stało, że rozmowy z rządem nie mają sensu, bo oni lekceważą uzgodnienia. Nawiasem mówiąc, o ile się orientuje, teraz te "poprawki" zostały przyjęte jako program rządu.

- A co z waszą drugą prośbą - o przydział lokalu?

- Najpierw chcieli nam dać siedzibę w Ministerstwie Rolnictwa, ale ja jej nie przyjąłem, mówiąc, że nie jesteśmy ministerstwem. Oczywiście chodziło mi raczej o to, że jeśli dostaniemy tamten lokal, to będą nas mogli w pełni kontrolować. Wypatrzyłem wolno stojący budynek na ulicy Andrásyego, ale i oni wiedzieli, że tutaj w każdej chwili możemy się przed nimi zamknąć, i nie dali nam go. W końcu 3 grudnia dostaliśmy kilka pokoi na piątym piętrze budynku MEMOSZ - na ulicy Györgya Dózsy.

- Co się działo po wydaniu dekretu o radach robotniczych?

- Rząd zwołał na 25 listopada przewodniczących rad i dyrektorów zakładów. Na to zebranie poszedł Sándor Bali, bo ja byłem w Veszprém, na zebraniu założycielskim wojewódzkiej rady robotniczej. Pojechałem tam służbowym Packardem należącym do fabryki. Byłem w dość podłym nastroju. Opowiedziałem im szczerze, jak postępuje wobec nas rząd.

No więc, wracając do tematu, przyjechałem z Veszprém i 27 listopada udałem się na nowe pertraktacje z rządem. Byłem przewodniczącym naszej delegacji. Wprowadzili nas do sali konferencyjnej, a tam nakryty owalny stół, krzątają się żona Kádara i jeszcze jakaś kobieta, częstują nas wątróbką. Siadłem na kozetce pod ścianą, wyjąłem z teczki końską kiełbasę i chleb, które dał mi przed południem Szelvényi i zacząłem je jeść. Nie przyjąłem kolacji Kádara. W tym czasie przyszedł Marosan i zaczął szczeleć: "A! Dzielni metalowcy! My, piekarze, pieczemy chleb, a dzielni metalowcy sobie strajkują! Nie jest powiedziane, że wszyscy, którzy noszą dreluchy, to robotnicy...." Nikt jednak na to nie zareagował, więc schował się z powrotem w swoim pokoju. O 11 przyszedł Kadar, a ja przedstawiłem mu swoje pytania: "Co pan, panie Kadar, sądzi o tym, co się stało? O uprowadzeniu Imrego Nagya i jego ludzi, o strajku, o skazaniu robotników...?" Na to Kadar wybuchnął, że on tego nie zniesie. No, bo tym razem nie pozwoliłem, żeby nas zawczasu wypytywali i nie mógł się przygotować. Uśmiech zamarł mu na twarzy. W ten sposób rozmowy zostały zakończone.

- Więcej już nie rozmawialiście?

- Rozmawialiśmy jeszcze raz, 6 grudnia. Ale wtedy stosunki z rządem były już bardzo złe. Partia się organizowała, a jednocześnie CRR była coraz silniejsza. Powstały grupy robocze: prasowa i informacyjna pod kierownictwem Miklósa Sebestyena, organizacyjna pod kierownictwem Ferencá Töke, później ekonomiczna i inne. 28 listopada chcieliśmy wydać "Munkasújság" /"Gazeta Robotnicza"/, której redaktorem był Gyula Obersovszky. Trwał już druk próbny, gdy zatelefonował do mnie József Sandor, mówiąc, że rząd uzna to za posunięcie wrogie. "W porządku - powiedziałem - w takim razie wstrzymamy druk - niech zobaczą, że wykazujemy dobrą wolę". I w ten sposób ukazał się tylko "Informator" w wersji powielaczowej.. O ile pamiętam, były 3 numery, ostatni chyba z datą 5 grudnia. Wtedy też zdarzyła się rzecz, którą uważam za bardzo ważną. Odwiedził mnie jakiś siwowłosy pan - do dziś nie wiem, jak się nazywał - i wręczył mi czterdziestostronicowy maszynopis o możliwościach wyjścia z ówczesnej sytuacji. Tekst traktował głównie o sprawach gospodarczych, ale poruszał też zagadnienia polityczne. W momencie gdy mnie aresztowano, zabrano ten maszynopis z mojego biura i później János Molnar pisał o nim w swojej książce jako o gospodarczym programie CRR. W założeniu nie był to nasz program, zresztą nic z niego nie zostało zrealizowane, ale zgodziliśmy się z wieloma rzeczami w nim zawartymi i chcieliśmy go nawet zaproponować pod dyskusję. Ale do tego już nie doszło.

- Jakie były główne elementy tego programu?

- Na przykład, żeby zakłady nie przynoszące dochodu wydzierżawić pracownikom... No, takie rzeczy, które dziś są niemal programem rządu.

- Jakie były wasze dalsze posunięcia w zmaganiach z rządem?

- Bardzo nas namawiano, byśmy nawiązali kontakty ze związkami zawodowymi. Ludzie z Krajowej Rady Związków Zawodowych /SZOT/ jeszcze przed 23 października byli w Jugosławii i na podstawie zebranych tam doświadczeń opracowali projekt rad robotniczych. Ale ja nie chciałem, żeby SZOT podporządkował sobie rady, a poza tym nie chciałem mieć do czynienia z Sándorem Gásparem, który już w czasach Rákosiego skompromitował się jako szef SZOT.

Później były dwie demonstracje: manifestacja kobiet i manifestacja z 6 grudnia. Nawiasem mówiąc, CRR nie wyraziła wstępnej zgody na demonstrację kobiet 4 grudnia. Wiele osób mówiło: to prowokacja - zaczną do nich strzelać, a później odpowiedzialność spadnie na nas. Ja nie zgadzałem się z tym, ale musiałem podporządkować się woli większości. W końcu demonstracja ta okazała się

bardzo wzruszającym i pięknym wystąpieniem. Kobiety i dziewczęta przeszły pod grób nieznanego żołnierza na pl. Bohaterów. Tam wyjęły schowane pod ubraniem flagi narodowe, rozwinęły je i złożyły na grobie po jednym kwiatku, tak, że pod koniec był tam cały stóg kwiatów. Było ich tyle, że można było w nie wbić dziurawe flagi narodowe.

W "Informatorze" pochwaliliśmy nawet te kobiety, żeby dać im jakieś zadośćuczynienie za to, że początkowo nie poparliśmy ich. Inna, komunistyczna demonstracja odbyła się 6 grudnia. Maszerowali z czerwonymi flagami, śpiewając. Około 4 po południu dotarli w okolice dworca Zachodniego, właśnie w momencie gdy pojawili się tam robotnicy z Anyalföld i z Újpestu i dali demonstrantom tego kupnia. Właśnie tego dnia, 6 grudnia po południu byliśmy w Parlamencie. Zanieśliśmy tam nasze "Memorandum". Kadar chciał nas obciążyć odpowiedzialnością za bijatykę. "*Chwileczkę!* - powiedziałem - *Za tę prowokację odpowiedzialni są ci, którzy zezwolili na przeprowadzenie manifestacji!*" Było za wcześnie, by demonstrować poparcie dla rządu i urządzać pochody z czerwonymi sztandarami! Następnego dnia, 7 grudnia radio miało ogłosić odpowiedź na "Memorandum", ale władze ani słowem nie zająknęły się na ten temat.

Na 8 grudnia zwołaliśmy Konferencję Delegatów Krajowej Rady Robotniczej. Organizował to Ferenc Töke i poza nim tylko ja wiedziałem o przygotowaniach, ponieważ poprzednia próba wiele nas nauczyła. Konferencja rozpoczęła się w siedzibie MEMOSZ. Mnie tam nie było, ponieważ CPR była zdania, że nie powinienem przewodniczyć obradom, jako że wywarłbym na delegatów zbyt duży wpływ. Tak więc zebranie rozpoczęło się, a około 10 zatelefonował do mnie József Sándor mówiąc, żebyśmy nie próbowali organizować konferencji, ponieważ rząd jest temu przeciwny. Powiedziałem mu, że siedzę w biurze i nie wiem czy takie zebranie odbywa się, czy nie. Około południa otrzymałem inny, znacznie ważniejszy telefon: w Salgótarján strzelają do robotników, zginęło ponad 50 osób! Natychmiast wywołałem z sali delegata Salgótarján i spytałem go czy zna takiego a takiego człowieka i czy można mu wierzyć. Delegat poręczył za człowieka, który dzwonił, tak więc zadzwoniłem do sowieckiego dowództwa, a później do rządu i zapytałem kto odpowiada za strzelaninę. Nic nie odpowiedzieli na moje pytania. Wszedłem

x - Podczas rewolucji 1956 roku powstańcy wycinali z trójbarwnej, czerwono-biało-zielonej flagi węgierskiej znajdujące się na środku godło, umieszczone tam w latach stalinowskich. Flaga o barwach narodowych z okrągłym otworem w środku stała się jednym z symboli rewolucji. - przyp. tłum.

do sali, gdzie już wiele osób zaczęło się dopytywać: gdzie jest Sándor Racz, dlaczego go tutaj nie ma? Stanąłem przed podium i powiedziałem, dlaczego nie ją przewodniczącą obradom i przekazałem też informację z Salgótarján. Wyczułem, że już wcześniej atmosfera na sali była napięta. Teraz ludzie zaczęli zgłaszać się do głosu jeden po drugim, a później jednogłośnie uchwaliliśmy: 48 - godzinny strajk! Uchwałę obłożyliśmy embargiem do 8 rano 9 grudnia, tak by władze nie przymknęły w międzyczasie delegatów. CRR uchwaliła też apel do robotników świata, w którym prosiliśmy o udzielenie poparcia węgierskim robotnikom w ich walce o prawo do życia wolnego od strachu. Apel ten publikowała później cała prasa światowa. W gruncie rzeczy strajk z 11 i 12 grudnia oraz ten apel były naszymi ostatnimi posunięciami. Nie mieliśmy już o czym gadać z ludźmi Kadara, którzy miast z nami pertraktować zaczęli do nas strzelać.

Wiesz, odnoszę wrażenie, że Centralna Rada Robotnicza Wielkiego Budapesztu niczym pieczęć uwiarygodniła rewolucję, pokazując, że było to powstanie robotników, a nie chuliganów.

- I zaraz potem aresztowano cię...

- Tak. W budynku Parlamentu. W imieniu rządu, czy raczej Komitetu Centralnego zaproszono Baliego i Racza do Parlamentu na 11 grudnia. /W tym czasie inni członkowie CRR byli już aresztowani, a samą CRR zdelegalizowano. My natomiast przez dwa dni przebywaliśmy na terenie fabryki, gdzie nie odważyli się wkroczyć/. 11 grudnia przybyli Bertalan Berecz i sekretarz Baranya /nie pamiętam już jego nazwiska/ mówiąc, żebyśmy poszli do Parlamentu. Dyskutowaliśmy z nimi przez wiele godzin, bo nie mieliśmy specjalnej ochoty na udanie się tam. Wiedziałem, co mnie czeka, nie chciałem się ukrywać, bo zarówno wtedy, jak i teraz gotów byłem ponieść konsekwencje swej działalności, której się nie wypieram. Jednakże lepiej czułem się w fabryce, chciałem, żeby przyszli tu po mnie, skoro tak bardzo mnie potrzebowali. W końcu jednak poszedłem. W korytarzach Parlamentu przebywało mnóstwo ludzi, co było rzeczą niezwykłą, ale wówczas niczemu się nie dziwiłem. Berecz rozmawiał przez minutę czy dwie z portierem /tego obyczaju także nie było wcześniej/, po czym podszedł do nas mówiąc, że idzie po przepustki /uprzednio przepustki także nie były konieczne/. "W porządku - powiedziałem - zaczekamy tutaj". Gdy drzwi się otwarły, dostrzegłem dwa czarne samochody zajeżdżające przed budynek, wysiadło z nich kilku smarkaczy, którzy zaczęli legitymować ludzi stojących w korytarzu. Zwróciłem się do jednego z nich: "Jestem Sándor Racz, przyszlście po mnie - możecie sobie darować to legitymowanie". A on mi na to, że faktycznie przyszliśmy po pana - i wyprowadzili mnie do samochodu. Jeden z nich

wetknął mi pod żebro lufę pistoletu automatycznego, więc powiedziałem mu, żeby dał sobie z tym spokój, bo i bez tego pójdę z nimi. *"Nie pyskuj, tylko ruszaj!"* - a więc zaczęły się ubeckie obyczaje... Sanyiego wepchnęli do drugiego samochodu i przewieźli nas przez most Małgorzaty, na ulicę Fő. Było piękne, słoneczne przedpołudnie...

- *Baliego też tam zawieźli?*

- Tak, ale zwolnili go po pięciu dniach i dopiero w marcu zamknęli powtórnie. Oświadczyli mu, że puszcza go wolno, jeśli złoży obciążające mnie zeznania, ale on na to nie poszedł, pomimo że w domu została żona i dwójka dzieci. No i dostał 12 lat.

- *Jak długo cię trzymali na ulicy Fő?*

- 9 miesięcy. Później przewieźli mnie na ul. Markó, tu dali mi numer 50-834. Najpierw na Fő spałem przez dwa dni bez przerwy - od 28 października nie miałem okazji, by położyć się do łóżka. Na początku przesłuchiwał mnie podporucznik Sándor Kása. Wszystko mu opowiedziałem, tak jak tobie teraz, bo nie miałem czego się wypierać. Później przesłuchania kontynuował niejaki Izler, przynajmniej tak do niego się zwracali. Kiedyś podetknął mi pod nos fotografię pochodzącego 1-majowego i powiedział: *"Rącz, kurwa twoja mać, no i czego chcą robotnicy? Ty tu gnijesz, a ci twoi robotnicy biją brawo!"* Przez miesiąc siedziałem też w jednoosobowej celi, miałem więc czas, żeby się zastanowić nad rewolucją, bo wcześniej natłok wydarzeń nie pozwolił mi na to. Ta rewolucja była zwycięska, nawet jeśli mieliby rozwalić nas wszystkich. Jak wielkiej siły bowiem potrzebowali, jak potężnych środków, żeby ją zdławić! Nawiasem mówiąc, naprawdę spodziewałem się, że mnie rozstrzelają, pomimo, że nikogo palcem nie tknąłem i nikomu nie zabrałem nawet dziesięciu fillerów. Komuniści z parlamentu do tego stopnia mnie znienawidzili za moją postawę, że nie sądziłem, żeby zostawili mnie przy życiu. Ani w trakcie procesu, ani później nie wyparłem się rewolucji, nawet w moich aktach figuruje to słowo. No a jako człowiek wierzący nie boję się śmierci.

- *Kiedy ogłoszono wyrok w Twojej sprawie?*

- 17 marca 1958, w moje 25 urodziny. Dożywocie. Pierwotnie chcieli zrobić wielki proces z 86 oskarżonymi, wszystkimi członkami rad robotniczych, których zamknęli, ale później rozdzielili te sprawy. Na szczęście, bo w takim monstrualnym procesie na pewno byłoby z 10 wyroków śmierci. Tak więc w procesie rad robotniczych jako oskarżeni stanęli Rącz, Bali, József Nemeskéri, László Abód i Endre Méster. I jeszcze jedna ciekawostka: w jaki sposób

uniknęliśmy stryczka? Po pierwszej instancji odwołaliśmy się i nagle Marika Bali otrzymała przez telefon wiadomość: "Przygotowano już stryczek dla rady robotniczej, niech wycofają odwołanie!". Trzeba ci wiedzieć, że w myśl nowej ustawy o trybunałach ludowych sąd II instancji mógł zwiększyć wymiar kary, nawet jeśli prokurator o to ni wnosił. Dostaliśmy wyroki 12 lat i dożywocia i odwołaliśmy się. Po tym telefonie Marika zaczęła się głowić, w jaki sposób ostrzec Sándora - wtedy już nie dopuszczano do nas nikogo, ani adwokata, ani rodziny. Ktoś jej poradził, żeby powiedziała, że chce oddać dzieci do domu dziecka. W takim wypadku nie mogą jej odmówić widzenia. No i Marika przyszła na widzenie i powiedziała Sanyiemu; że jeśli on się zgodzi, to odda dzieci. Sándor zbladł i rozwścieczył się: "Ty kurwo, jak ci to mogło przyjść do głowy?!" Nigdy jeszcze nie powiedział złego słowa swojej żonie. A na to Marika zaczyna mu powoli, spokojnie wyjaśniać: "Zrozum Sandor, że być może jutro nie będziesz już" W tym momencie zrywa się klawisz, rozkazując, że mają natychmiast zakończyć rozmowę. Zabierają Sándora, ale on jeszcze się obraca i mówi "Dziękuję, Marika, dziękuję!". A Marika krzyczy: "Ale cała piątka!" Tak więc, gdy prokurator zapytał nas na rozprawie, czy podtrzymujemy apelację, czy też zgadzamy się na wyroki wymierzone w I instancji, po kolei oświadczyliśmy, że wycofujemy odwołanie. Sąd powiesiłby nas wszystkich. W tych miesiącach bez większych ceregieli posyłano na stryczek.

- Dokąd cię zabrali z ulicy EB?

- Do więzienia w Vác. Ciekawe jest też to, jak mnie przewozili. Wsadzili samego do więziarki, posadzili obok mnie uzbrojonego strażnika. A przecież zawsze strażnik i więzień są od siebie oddzieleni. Po drodze zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej i poproszono mnie, żebym podawał z samochodu puste kanistry. Drzwi więziarki otworzyli na oścież. Odniosłem wrażenie, że liczyli na to, że spóbiję uciec i będą mieli okazję żeby mnie sprzątnąć. W końcu dotarliśmy do Vác. Umieszczono mnie w celi na parterze, a po kilku dniach przysłano mi Imrego Mécsa, studenta, który ma tyle samo lat, co ja. On też był skazany na dożywocie, choć w I instancji dostał karę śmierci.

No więc siedzieliśmy sobie w celi, dwaj dwudziestopięcioletni ludzie skazani na dożywocie i jakoś nie traktowaliśmy tego wszystkiego na serio. No, jeśli ktoś był przy zdrowych zmysłach, to nie mógł tego traktować poważnie. Pamiętam, że Imre uczył mnie matematyki. Do dziś mam w pamięci jedno z zadań: "Którędy pójdziesz po ścianie pajak, jeśli będzie chciał najkrótszą drogą przejść z jednego narożnika celi do narożnika leżącego po przekątnej?" Dlatego

tak dobrze to zapamiętałem, że - wiesz - w celi nie ma pajaków. Pająk wyżyje wszędzie, gdzie żyją ludzie, ale nie w celi.

- Jak długo byłeś w Vác?

- Do głodówki w kwietniu 1960 roku. Warto tu jednak dodać, że traktowano mnie w sposób szczególny. Nie posłano do pracy, pomimo, że przydałbym się w fabryce guzików. Narzucono mi najsurowszą dyscyplinę. Głodówka zaczęła się od "elitarniej" amnestii z 60 roku. Możliwe, że jest to krzywdzące dla zwolnionych wówczas, ale prawda jest taka, że wypuścili tylko znanych ludzi. Ale zrozum mnie dobrze: nie w tym rzecz, że ich wypuścili, a w tym, że nas nadal trzymali za kratkami. Z tego powodu całe więzienie przystąpiło do spontanicznego strajku głodowego. Winę za zorganizowanie strajku chcieli zwalić na starego Pistę Bibó i Árpáda Góncza. Powiedzieli, że stąd, z więzienia, chcieli obalić ustrój państwowy republiki ludowej. Trzeciego dnia głodówki zabrali nas z cel, upchnęli w sześciu więźniarkach, tak że nie mogliśmy ani się poruszyć, ani oddychać. W błasze naszej ciężarówki była dziurka wielkości główki od szpilki i przez nią ktoś rozpoznał o świcie miasto, gdzie przejeżdżaliśmy: Miskolc. W tym momencie zaczęliśmy się zastanawiać: czyżby wywozili nas z kraju? Jeśli tak, to kiepsko z nami. Wreszcie wysadzili nas na dziedzińcu więzienia w Satoraljauhely i pasażerów poszczególnych więźniarek umieszcili we wspólnych celach. Ja znalazłem się razem z Pistą Bibó, Ferencem Méreim, Jenő Szellem, Pistą Marianem i innymi. Zaczęły się dla nas ciężkie miesiące. W niemal zupełnej izolacji, którą znoszono bardzo powoli. Aż wreszcie pewnego dnia, zebrano całą naszą szesnastkę, żeby nas wywieźć. Kiedy przynieśli łańcuch, żeby nas nim skuć, powiedziałem, żeby dali spokój: jesteście świadomymi robotnikami, nie wyparliście się czynów, za które nas skazano i nie będziemy próbować ucieczki. Ale i tak nas skuli. No to zaczęliśmy z całych sił śpiewać "Międzynarodówkę", szczególnie głośno akcentując ten fragment, gdzie mowa, że "bój to będzie ostatni!" Klawisze zaczęli latać w tę i we wtę, aż w końcu wepchnęli nas śpiewających, skutych łańcuchem do więźniarki. Śpiewaliśmy jadąc przez miasto i przestaliśmy dopiero na szosie.

- Dokąd was zabrano?

Do Budapesztu. Potrzebowali narzędziowców w fabryce zabawek i tam nas zatrudnili. W budapeszteńskim więzieniu ukończyłem ósmą klasę. W roku 56 broniłem racji robotniczych, mając ukończonych 7 klas szkoły podstawowej, a potem w więzieniu miałem takich nauczycieli jak profesor Mérei czy György Litvan. Po wyjściu na wolność, w 1967, zdałem nawet maturę w gimnazjum wieczorowym. Początkowo założyłem się do średniej szkoły zawodowej, ale w wyniku

odgórnego zakazu nie przyjęli mnie. Chciałem nawet pójść na uniwersytet, ale wygląda na to, że dla mnie budowano tylko więzienia, a nie uniwersytety.

- Kiedy wyszedłeś na wolność?

- W ramach amnestii 1963 roku, 28 marca. Chciałem wrócić do fabryki, do Beloiannis, ale nie pozwolono mi na to. Książeczkę pracy zwracano mi też w 25 innych przedsiębiorstwach, zanim wreszcie udało mi się zatrudnić w prywatnym zakładzie produkującym narzędzia. Pracowałem wprawdzie nie w swoim zawodzie, a jako ślusarz, no ale z czegoś trzeba było żyć. W końcu przyjęto mnie do Spółdzielni Techniki Telekomunikacyjnej, gdzie pracuję do tej pory, od 1979 roku jako narzędziowiec chałupnik. Mam zagwarantowaną pensję 650 forintów miesięcznie, uprawiam ogródek, mam też małą cieplarnię pod folią i pieczarkarnię w piwnicy. Znalazłem kiedyś ogłoszenie, że Akademia Rolnicza rozpoczyna kurs uprawy grzybów. Zgłosiłem się, ukończyłem go i w taki sposób znowu zostałem chłopem, rolnikiem. Potrafię się sam utrzymać, nie muszę kołatać do niczyich drzwi po premię.

- Jak oceniasz obecne położenie i możliwości robotników?

- Trudne pytanie. Dzisiejsza sytuacja robotników wydaje mi się smutniejsza niż w 1945-46r. Nie ma tej jedności, którą wówczas stworzyła wojna i różne trudności, a która byłaby po-
trzebna z punktu widzenia interesów robotniczych. Najgorsze jest to, że system, który powstał po 1948 roku, nie tylko nie dopomógł w formowaniu się i pogłębianiu świadomości robotniczej, ale - rozbudowując sieć szpicli - rozbił robotniczą jedność. W 1956 roku oszukani robotnicy właściwie ocenili swe położenie: twardo i zdecydowanie opowiedzieli się za rewolucją i bronili jej, póki im starczało sił. Uczynili to, bowiem zrozumieli, że nadszedł moment historyczny, w którym możliwe się stało powstanie na Węgrzech wolnego społeczeństwa, nie opartego na wyzysku. Postawę węgierskich robotników w 1956 roku uważam za najważniejsze osiągnięcie polityczno-historyczne w toku dziejów całego węgierskiego ruchu robotniczego. Dlatego, że sami z siebie podjęli taką decyzję, bez żadnej manipulacji.

- Co sądzisz o polskim ruchu robotniczym?

- Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć, a właściwie nie chcę. Jest to kolejna złożona kwestia i nie ma tu dość miejsca, bym precyzyjnie wyłożył swoje poglądy. A poza tym nie mam pewności, czy wszystko postrzegam właściwie - sprawy przedstawiają się inaczej, kiedy człowiek ogląda je z nadgrządek swojego ogródka a inaczej, kiedy patrzy na nie dysponując pełnią informacji,

z punktu widzenia kierownictwa politycznego. Możesz się jednak domyślać, co podpowiada mi serce.

- Czy byłeś za granicą?

- Nie. Po 1963 roku trzykrotnie prosiłem o paszport, ale mi odmówili - napisali, że "podlegam wyrokowi".

- Nie prosiłeś o rehabilitację?

- Nie prosiłem, żeby mnie skazali na dożywocie, to nie będę też prosił, żeby mnie zrehabilitowali.

- Gdybyś mógł, dokąd najchętniej wyjechałbyś?

- Do Indii, do Japonii, na wyspy. Tam człowieczeństwo jest jakoś głębsze niż w Europie. Nawet prosty człowiek jest bardziej ludzki. Na Zachód mnie nie ciągnie, bo mam z nim na pieńku - i w 56, i w Trianon zostawił nas na łasce losu, przez własny brak przezorności. W Trianon odpokutowaliśmy za Republikę Rad, a później zwróciliśmy się w tę stronę skąd spodziewaliśmy się uzyskać pomoc w naszych tarapatkach. Po prostu byliśmy do tego zmuszeni. W 1956 bombardując Kanał Sueski Zachód niemal dał wolną rękę Związkowi Sowieckiemu, by zaalał nas swoimi wojskami. Znowu była to ze strony Zachodu zwykła krótkowzroczność.

- Urządziłem ci bardzo szczegółowe przesłuchanie. Czy chciałbyś coś powiedzieć, korzystając z prawa do ostatniego słowa?

- Bardzo się cieszę, że po dwudziestu latach wreszcie ktoś mnie odwiedził i zainteresował się tymi wydarzeniami, które w znacznym stopniu określiły dalszy los narodu. Bo niezależnie od tego, czy o rewolucji 1956 roku się mówi, czy nie - ona jest obecna w naszym codziennym życiu. Te same polityczne, ekonomiczne i społeczne problemy są dziś równie żywe, jak w 1956. Dopóki nie zostaną rozwiązane, będą jedynie narastać i pogłębiać się. Wszystkie te daty: 1956, 1968, 1980, które jako przestrozę zna cały świat, dowodzą, że w 1956 roku naród węgierski miał rację i pokazują, jak fałszywie politycy stojący u władzy oceniają wydarzenia, które niejednokrotnie same w sobie stanowią epokę historyczną. Zbrodnią jest fakt, że nawet dziś, w roku 1983 wciąż jeszcze nie mogę mówić otwarcie, swobodnie, szczerze i bez lęku o 1956 i tych rzeczach, których byłem uczestnikiem i sprawcą. Wiem, że nie można przez całe życie być rewolucjonistą, ale wiem też, że nasze życie tylko wtedy będzie miało swoją wartość, jeśli pozostaniemy wierni świętym ideom węgierskiej rewolucji 1956 roku.

DEMOKRACJA ZNACZY NIE BAĆ SIĘ

To zdanie powtarzał Imre Pozsgay kilkakrotnie w czasie swoich spotkań z robotnikami i aktywnym partyjnym WSPR w dniu 14 września w Debreczynie, mieście, w którym przepadła jego kandydatura na delegata na zjazd partii. Wydaje się, iż stwierdzenie to można potraktować jako motto zachodzących ostatnio na Węgrzech przeobrażeń. W powojennej historii tego kraju życie toczyło się jakby w cieniu powstania 1956 r. Fakt, że represje, jakie dosięgały ten naród po 1849, 1919 i 1945 r. nie zapisały się taką liczbą wyroków śmierci jak właśnie rok 1956 /wówczas przekroczyła ona znacznie sumę wyroków towarzyszącym tamtym wydarzeniom/, a poza tym, że nawet amnestia z 1963 r. w sposób jednoznaczny nie zakończyła okresu zemsty za kilka tygodni strachu komunistów, sprawił, że przez wiele lat o węgierskim październiku mówiło się tylko w domowym zaciszu, rocznicę obchodziło w zaufanych przyjacielskich i pracowniczych kręgach. Jeżeli mówiło się głośno, to z pianą na ustach, z inwektywami, bogato szermując określeniami *kontrrewolucja*, *kontrrewolucjoniści*. Stąd w jakiejś warstwie psychiki Węgrów utrzymywał się głęboko zakodowany strach. Jest to rzecz niemal paradoksalna, gdy zestawia się ją z faktem zdawałoby się autentycznego, głoszonego przez tzw. szarych ludzi uwielbienia dla Kádára. Pamiętam jak pod koniec lat 70-tych jadąc taksówką usłyszałem od kierowcy, że Kádár to porządny człowiek, dotrzymał wszystkich zobowiązań, jakie przyjął w 1957 r. "*Nie udało mi się tylko wyprowadzić Rosjan z Węgier, ale może jeszcze zdoła to zrobić*".

I oto rok temu twórca *gulaszowego komunizmu* został usunięty z piedestału /przesunięto go na funkcję przewodniczącego WSPR, zmarł w lipcu tego roku/. Wtedy też zaczęły się pojawiać pierwsze głosy krytyki jego dotychczasowych rządów. W tym roku czytelnicy popularnego tygodnika kulturalno-literackiego *Elet es irodalom* mogli przeczytać, iż był to jeden z najgłupszych działaczy gospodarczych jakich miały Węgry, człowiek niezwykle prymitywny, którego gładzenia nie dało się słuchać ... Kiedy w maju i czerwcu na łamach tygodnika politycznego *Magyarország* ukazywał

się obszerny wywiad z Kadarem /jego fragmenty publikowało Forum/, prezentujący jego powojenną działalność, dziennikarz lojalnie uprzedzał swojego rozmówcę, żeby nie czuł się urażony, ale informacje przez niego przekazywane będą weryfikowane na podstawie zapisów i wypowiedzi innych osób. No i czytelnicy od czasu do czasu natrafiali na passusy - tę ocenę wydarzeń potwierdza X, tutaj są rozbieżności z tym, co przekazuje Y. Człowiek, o którym przez lata nie wolno było napisać złego słowa został sprowadzony do wymiaru zwykłego obywatela. W sposób paradoksalny, postać formowana przez propagandę węgierską na prostego człowieka żyjącego blisko mas została do tego poziomu sprowadzona przez życie. I to w dobie rządów jego następcy, Karolya Grosza, człowieka którego sam wskazał. Okazało się jednak, że zmiana ta nastąpiła zbyt późno, degradacja gospodarki poszła zbyt daleko, przemiany w myśleniu społeczeństwa nastąpiły zbyt gwałtowne, by nowy przywódca mógł rządzić w starym duchu.

Oceniający tę sytuację, znany satyryk węgierski, Geza Hofi w swoim programie w kwietniu 1988 r. przypominał powiedzenie - *Jak burdel źle funkcjonuje to się zmienia nie meble, ale kurwy!* Mówił też wtedy ze swojej sceny kameralnej teatru Madacha rzeczy inne, o których dotychczas można było przeczytać tylko w czasopiśmie drugiego obiegu - *Partia powinna się zająć szkoleniem swoich kadr a nie gospodarką /"Zachęcaliśmy, i zachęcamy ekonomistów, aby pracowali, badali, dochodzili do cennych naukowych konstatacji, ale decyzja o tym co, jak i kiedy można wprowadzić w życie pozostaje bardzo trudnym i odpowiedzialnym zadaniem kierownictwa partyjnego i państwowego"/* - wrzesień 1987 Janos Kadar. Do partii powinno się wybierać najlepszych spośród działaczy gospodarczych, a nie najlepszych spośród działaczy wybierając do kierowania gospodarką. Krajem kierują tacy ludzie jak pewien minister, którego Hofi oglądał wówczas w telewizji. Przez godzinę z kartką w ręku stękał e..., e..., e... Ten obrazek przypomniawszy satyrykowi niegdyś ogladaną w cyrku fokę, która bawiła się piłką. *A ona, proszę, od razu na ministra - pointował Hofi. Dowodził też, że bzdurą jest zwalanie wszystkiego na imperialistów. Czy naszymi wspaniałymi zakładami GANZ-a /w 1988 ogłoszono ich upadłość/ kierowali imperialiści, że zbankrutowały? W rok później Hofi stwierdził, iż czasy już na tyle się zmieniły, że wszyscy przestali się bać, i że mówienie prawdy - co dotychczas uprawiał w samotności - stało się rzeczą naturalną, że na estradzie napłynęła cała fala nowych satyryków. W tej sytuacji postanowił wziąć się za śpiewanie.*

Rzeczywiście miniony rok przyniósł ogromne zmiany w życiu Węgier zmierzających do systemu demokracji obywatelskiej. *"Mówi się nam, że osiągamy kolejne kamienie milowe w drodze do komunizmu. Ale czy one naprawdę muszą stać w aż takim gównie? -*

Hofi, 1988/. W 1988 r. wydawało się, że w najbliższym czasie nie ma nadziei na godny pogrzeb Imre Nagya i jego towarzyszy straconych w 1957 r. W związku z tym ich symboliczna mogiła została urządzona w Paryżu. Jeszcze w czerwcu ubiegłego roku z parceli 301 cmentarza Rakoskereszturi, gdzie bez tablic identyfikacyjnych, oprócz tamtych, spoczywało ok. 190 ofiar pokazowych procesów i sadyzmu przesłuchujących, "nieznani sprawcy" usunęli wszystkie wiązanki kwiatów. I oto 16 czerwca 1989 r. na placu Bohaterów, na schodach znanej peszteńskiej sali wystawowej Műcsarnok urządzono katafalk, na którym stanęły trumny premiera Imre Nagya, ministra bez teki Gezy Losonczyego, ministra obrony narodowej Pála Maletera, dziennikarza Mikłosa Gimesa, sekretarza premiera dr Józsefa Szilagyiiego oraz szósta, symboliczna - nieznanego powstańca.

W uroczystościach pogrzebowych wzięło udział ok. 200 tys. osób, a więc mniej niż się spodziewano /liczono na 300 tys./. Wielu w tym czasie pracowało /był to normalny dzień pracy, ale za deklarację odpracowania można było się zwolnić/, wielu oglądało bezpośrednio relację w telewizorach. Była jednak i taka grupa, między innymi radykalne skrzydło Związku Młodych Demokratów, która pogrzeb ten uznawała za polityczny gest w stosunku do Zachodu i w związku z tym spotkała się wieczorem dnia poprzedniego, by pamięć poległych uczcić pod murem sądu przy ul. Fő, gdzie zapadły dwa wyroki śmierci. Postawę tych ostatnich zdawał się uzasadniać przeciek z tzw. kół dobrze poinformowanych, donoszący, iż godny pogrzeb I. Nagya i jego towarzyszy to jedno z głównych żądań amerykańskich, warunkujących przyznanie Węgrom pomocy gospodarczej. Żądanie to w czasach Kádara zawieszono byłoby w próżni politycznej. Dzisiaj sytuacja na tyle się zmieniła, że pogrzeb ten mógł przez sporą część społeczeństwa być odczytany po prostu jako akt dobrej woli władzy, która dostrzega potrzebę zmian i wychodzi im na przeciw.

Na zmianę tej optyki w sposób istotny wpływa obecna, jakże pstrokata mapa polityczna Węgier. Już w tej chwili działa tam 11 partii, a prasa codzienna donosi ciągle o tworzeniu się nowych organizacji i partii politycznych. Wśród powstałych w ciągu minionego roku z pewnością na szczególną uwagę zasługuje Związek Młodych Demokratów, który w krótkim czasie zyskał sobie sporą popularność wśród węgierskiej młodzieży. W jej też imieniu przemówił nad trumnami Imre Nagya i jego towarzyszy przedstawiciel związku, Viktor Orban - *Od wprowadzenia przed 40 laty okupacji rosyjskiej i dyktatury komunistycznej naród węgierski tylko raz miał okazję, miał wystarczająco dużo bohaterstwa i siły do tego, by spróbować osiągnąć cele wyznaczone już w 1848 r., a więc niezależność narodową i wolność polityczną. Nasze cele zmieniły się do dzisiaj, dzisiaj nie rezygnujemy z 48 r. i tak samo nie może-*

my zrezygnować z 1956 r.

Młodzież, która dziś walczy o realizację europejskiej demokracji obywatelskiej pochyla głowy przed I. Nagyem i jego towarzyszami z dwóch powodów. Czczymy w nich tych, którzy utożsamiali się z pragnieniem społeczeństwa węgierskiego i dlatego musieli się rozliczyć z tabu świętego komunizmu, to jest koniecznością słuszności wobec imperium rosyjskiego i z dyktaturą partii. Dla nas są oni politykami, którzy nawet w cieniu szubienicy nie zdecydowali się, by stanąć w jednym szeregu z mordercami dziesiątkującymi społeczeństwo, którzy nawet za cenę swojego życia nie wyrzekli się narodu, który ich przyjął i obdarzył zaufaniem. Z ich losu nauczyliśmy się, że demokracja i komunizm to dwie rzeczy, które są nie do pogodzenia ze sobą.

Orban zaczął swoje wystąpienie od daty, która od wielu lat jest na Węgrzech symbolem. Dzień wybuchu powstania i rewolucji 1848 r., 15 marca od dłuższego czasu był traktowany jako święto młodzieży węgierskiej. Co roku tego dnia odbywały się manifestacje patriotyczne. Czasami przemieniały się one w wiece antypartyjne i wówczas rozpędzano je przy pomocy policji. Jednak tegoroczne obchody wyrosły znacznie ponad wszystkie dotychczasowe /może z wyjątkiem 15 marca 1942 r., kiedy zorganizowana przez Komitet Pamiętek Narodowych uroczystość stała się wielkim wiecem antywojennym/. Przy wtórce owacji odczytywano 12 punktów memorandum, z jakim Węgrzy zwracali się 1848 r. do cesarza. Wiele z nich brzmiało wciąż bardzo aktualnie - wolność prasy i zniesienie cenzury, niezależny rząd węgierski w Buda-Peszcie, przysięga żołnierzy na konstytucję, niewysyłanie żołnierzy węgierskich i usunięcie obcych wojsk z Węgier, unia z Siedmiogrodem. O przełomowym znaczeniu tegorocznych obchodów świadczą uchwały węgierskiego parlamentu - 15 marca został uznany jako święto państwowe. Zlikwidowano jednocześnie inne święto - 7 listopada. Tym zmianom towarzyszyły istotne fakty polityczne. W kwietniu została wycofana z terytorium węgierskiego pierwsza część oddziałów sowieckich /10.400, pozostaje jeszcze ok. 50.000/. Na konferencji prasowej jaka z tej okazji odbyła się w Ministerstwie Obrony Narodowej /21.IV/, w niespodziewanych dla siebie opałach znalazł się prowadzący konferencję sekretarz stanu, generał broni Lajos Morocz. Otóż dziennikarze zasypali go pytaniami, cytując akapity z traktowanego przez rzecznika ministerstwa, jako ściśle tajny, układu ministrów spraw zagranicznych i ministrów obrony narodowej Węgier i ZSSR z 27.V.1957, a regulującego prawne zasady pobytu wojsk sowieckich na Węgrzech. Okazuje się, że określana jako "tymczasowa" umowa ta pełna jest ogólników - nie określa ani ilości wojsk sowieckich, ani miejsc ich stacjonowania, zasad poruszania się po terytorium kraju, a co najważniejsze, słowem nie wspomina o

terminie upłynięcia stanu tymczasowego. Jeden z dziennikarzy wysunął sugestię, iż po 32 latach od podpisania dokumentu może by warto było określić termin jego obowiązywania, skoro nawet Układ Warszawski podpisany jest na określony czas. Nie trzeba chyba dodawać, że przedstawiciel ministerstwa takiej potrzeby nie dostrzegł i w ogóle ze sporą rezerwą odniósł się do całej sprawy. A ma ona swój smaczek dodatkowy - umowa z 1957 r. jest pierwszym aktem prawnym legalizującym pobyt wojsk sowieckich na terytorium węgierskim. Początkowo miały one wydzielone korytarze przez Węgry umożliwiające utrzymanie łączności ZSSR z wojskami stacjonującymi na terenie Austrii. Jednak w momencie ogłoszenia w 1955 r. neutralności, cztery mocarstwa dotychczas okupujące państwo, wojska swe wycofały. ZSSR zrobił to niedaleko, przemieszczając je po prostu na Węgry. Takim drobiazgiem jak umowa w tej sprawie z rządem węgierskim nikt sobie wówczas głowy nie zawracał. Jednak w kontekście tych faktów nowego wyrazu nabiera wezwanie I. Nagya, który w październiku 1956 r., jako szef państwa zwrócił się do władz sowieckich z żądaniem wycofania oddziałów wojskowych z terytorium węgierskiego. Były tam całkowicie bezprawnie i to drobne przeoczenie naprawiała dopiero umowa z 1957 r.

Innym ważnym posunięciem minionego półrocza była zmiana prawa prasowego ogłoszona na konferencji prasowej 8 czerwca przez Ministra Kultury i Oświaty, Ferencza Glatza. Od 1 lipca zlikwidowana została cenzura prewencyjna filmów, nagrań video i książek. Decyzję o wycofaniu z obiegu określonych tytułów filmów, czy publikacji książkowych może podjąć prokuratura nadzorowana w tym działaniu przez sąd. Jest rzeczą godną podkreślenia, komentował tę decyzję przedstawiciel rządu węgierskiego, że władze zdecydowały się na ten krok świadome licznym niebezpieczeństw, z których największe to problemy z sąsiadami. Że obawy te nie są bezpodstawne świadczy chociażby historia wywiadu Andrasa Sugara z Alexandrem Dubcekiem, jaki w dwóch częściach został wyemitowany w kwietniu tego roku w ramach popularnego magazynu politycznego Telewizji Węgierskiej *Panorama*. Posypały się noty dyplomatyczne. Praga emisję tego wywiadu potraktowała jako *mieszanie się w wewnętrzne sprawy Czechosłowacji*, a wicedyrektor Telewizji Czechosłowackiej stwierdził, że *Subiektywna ocena i ukazanie Dubceka i jego roli stoi w sprzeczności z etyką dziennikarską i zasadami wzajemnej współpracy /czechosłowacko-węgierskiej - przyp. mój/*. Ale w wydawnictwach węgierskich i prasie już co najmniej od pół roku panuje znaczny liberalizm. W efekcie Sugar w czerwcu opublikował własnym nakładem broszurę zawierającą wywiad z Dubcekiem - *Z czołgam! przeciw wiosnie*. Komentując w niej sprawę burzy wokół wywiadu, stwierdził - *Gdyby to wszystko nie było takie*

śmieszne, można by nad tym zapłakać - powiedziała moja koleżanka.

My zaś dobrze wiemy, że nie może minąć wiele czasu, a czechosłowackie radio i telewizja pełne będą zastug Dubceka; i za kilka lat lub kilka krótkich dziesięcioleci godne pomniki będą stawiane w Pradze i Bratysławie pamięci Dubceka.

Fakt publikacji tego tekstu nie jest niczym szczególnym. Już w tej chwili jest na Węgrzech oficjalnie zarejestrowanych ponad 200 wydawnictw /dotychczas było ich kilkanaście/. Do tego dochodzą publikacje wydawane własnym sumptem przez autorów, a i niejednokrotnie przez nich samych i ich rodziny rozprowadzane. Znacznie też zwiększyła się ilość gazet i czasopism. Wiele z nich nosi podtytuł "niezależne". Spośród miesięczników z pewnością warto zwrócić uwagę na znakomicie redagowane czasopismo polityczne *Kapu* które ruszało z nakładem 20 tysięcy, by obecnie, w ciągu niecałogo roku osiągnąć 100 tysięcy /ma wielu czytelników wśród rozrzuconych po świecie emigrantów węgierskich/, a także na miesięcznik polityczno-kulturalny *Hitel*, firmowany przez Forum Węgierskich Demokratów i literacko-kulturalny *2000* poświęcony sprawom Europy Środkowej.

Tempo zmian na Węgrzech doskonale widoczne jest właśnie przez przyrost publikacji prasowych i książkowych. W 1988 r. w samizdatowej oficynie *Katalizator* ukazała się książka Istvana Eorsiego zawierająca jego wspomnienia z 1956 r. - *Emlekezes a regi szep időkre /Wspomnienia starych pięknych czasów/* - a w maju tego roku pojawiła się oficjalnie. Na tegorocznych Budapesztańskich Dniach Książki leżała na ladach obok innych publikacji, które do niedawna dostępne były tylko dla odbiorców drugiego obiegu - świetna książka Billa Lonaxa *Węgry 1956 z. jakże potrzebnymi uzupełnieniami Gyorgya Krasso, bodaj najlepsza monografia poświęcona Imre Nagyowi - Imre Nagy elete es halála /życie i śmierć I. N. / napisana w Paryżu w 1957-58 r. przez przyjaciela bohatera, Tibora Merayego, frapująca powieść o losach i miejscu inteligencji w Europie Środkowej Cinkos /Wspólnik przestępstwa/ Gyorgya Konrada, czy znakomita, przejmująca powieść mieszkającego na stałe w Paryżu Gyorgya Faludyego *Ekalbeli vig napjaim Me uszo é dni w piekle/*, reprezentującą nurt literatury gułagowej. Jest to zaledwie kilka tytułów z ogromnej ilości, jakie się teraz pojawiły na półkach księgarskich. Gros z nich dotyczy 1956 r. Temu rokowi, a szerzej czasom stalinowskim, poświęcono też wiele miejsca w ostatnim okresie na łamach prasy i czasopism. Węgrzy z ogromnym zapałem zabrali się do wypełniania swoich białych plam. Doprowadziło to m.in. do wydobycia na światło dzienne sprawy skazanego po 1956 r. na śmierć 15-letniego Petera Mansfelda. O perfidii morderców w togach świadczy fakt, iż postarali się oni o zachowanie pozorów przestrzegania prawa. Do ukończenia 18 roku życia Mansfeld*

przetrzymany był w więzieniu i dopiero wówczas go zgładzono.

Gwałtowne przewartościowania, jakie zachodzą w ocenie pewnych faktów historycznych znalazły swoje konsekwencje również w szkolnictwie. Oto w lutym tego roku Krajowy Instytut Pedagogiczny, jak zresztą co roku, opublikował listę tematów, oczywiście utrzymanych w duchu istniejących podręczników, obowiązujących na tegorocznych maturach. Zgodnie z nią, nauczyciele historii przystąpili do realizacji programu. Tyle, że w tymże lutym Imre Pozsgay jako pierwszy przedstawiciel władz wypowiedział się o wydarzeniach 1956 r., nazywając je powstaniem narodowym. Wkrótce, przyszli maturzyści z prasy, radia i telewizji zaczęli się dowiadywać o rzeczach, które stały w jawnej sprzeczności z tym, czego uczyli się w szkole. Część nauczycieli zrezygnowała z podręczników i oparła się na alternatywnych źródłach informacji. Oficjalne stanowisko w tej sprawie ministerstwo zajęło dopiero pod koniec roku szkolnego stwierdzając, że wiele podręczników do historii, szczególnie w części dotyczącej XX wieku, głównie zaś sytuacji po 1945 r., wymaga weryfikacji. Za książkami do historii do kąta podaży także wiele podręczników do rosyjskiego, który od września 1989 r. staje się w szkołach językiem fakultatywnym. Z innych zmian w systemie edukacji warto zwrócić uwagę na fakt, iż po zeszłorocznym eksperymencie z przywróceniem lekcji religii po latach zakazów, katecheza wraca na stałe do sal parafialnych. Postęp, w stosunku do ubiegłego roku polega zaś na tym, iż wówczas rodzice chęć posyłania dzieci na religię musieli zgłaszać w inspektoratach, teraz zaś jest to możliwe poprzez bezpośredni kontakt w tej sprawie z księżmi katechetami.

Postęp w dialogu partii i państwa z Kościołem w 1988 r. Geza Hofi komentował tak - *współpraca jest już tak bliska, iż w najbliższym pochodzie 1 majowym, który się odbędzie na trasie Parlament - Bazylika weźmie udział biskup niosący czerwoną gwiazdę*. Ta niezbyt wybredna konstatacja oddaje jednak ducha nowych czasów. Po latach dezawuowania roli Kościoła, formalnej walki z nim, władze podejmują dialog prowadzący do rozszerzenia swobody praktyk religijnych. Brutalnie zniszczone na przełomie lat 40-tych i 50-tych odradzają się na Węgrzech zakony. Kiedy je rozwiązywano, posuwano się do aktów zwykłego wandalizmu wobec kultury węgierskiej, pałac zgromadzone w klasztorach średniowieczne księgi i dokumenty. 8 sierpnia w Parlamencie przewodniczący WSPR, Rezso Nyers spotkał się z przedstawicielami istniejących na Węgrzech kościołów i zgromadzeń, na którym jednoznacznie potępił antykościelną politykę partii w latach 1948-56 oraz akty szykan, jakie miały miejsce w okresie późniejszym, np. słynny proces 1963 r. *sprzysiężenia wron* zakończony karami wieloletniego więzienia dla księży, wzywając do *wspólnej pracy dla powodzenia*

reform i zachowania pokoju społecznego. Wyraźnie widać, że słabnąca partia gorączkowo szuka sprzymierzeńców. Czy znajdzie ich wśród duchowieństwa? Systematycznie przez lata spychane na margines życia dostrzega ono dzisiaj wielką szansę przed jaką stoi. Czy jednak w sojuszu z WSPER, która tylekroć je deptała? Chyba nie. W każdym razie pod kierunkiem biskupa kościoła reformowanego, dr Karolya Totha powstaje obecnie Rada Ekumeniczna, która w trakcie dyskusji z przywódcami innych partii politycznych już obecnie działających na Węgrzech określi miejsce Kościoła w społeczeństwie pluralistycznym.

Tymczasem zaś węgierscy kinomani mogą obejrzeć dokumentalny film ... *vilagbol* ... /... z tego świata.../ w reżyserii Agnes Tölgyesi, który prezentuje losy węgierskich zakonnice na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat. Szczególne wrażenie robią na widzach wspomnienia z 1949-50 roku, kiedy służebnice Boże z dnia na dzień znalazły się na ulicy. Wyrzucone z domów modlitwy, często mimo bardzo starannego wykształcenia, jako element niepewny politycznie, musiały pracować w charakterze stróżów w składach opału, sprzątać ulice, a i to dobrze jeśli taką pracę dostały. O swoim życiu mówią stare zakonnice, dają świadectwo tamtym dniom. Tak samo jak bohaterzy innego filmu - *Torvényesertes nélkül* /Bez naruszenia prawa, reż. Janos Gulyas i Gyula Gulyas/, opowiadającego o obozach pracy na Węgrzech w czasach stalinowskich, w tym o najbardziej znanym w Recsk. Bez przesady można powiedzieć, że przełom 1988 i 1989 zdominowały na Węgrzech filmy dokumentalne. Wyświetlane bez specjalnej reklamy idą przy pełnych salach. Ludzie chcą wiedzieć jak było, ale i jak jest. Stąd ogromne zainteresowanie dwoma częściami dokumentu *K* w reż. Gyorgya Dobraya. To pierwsze filmy podejmujące w sposób otwarty problem węgierskich prostytutek. Przez pryzmat tego półświatka znakomicie widoczne są deformacje węgierskiego życia.

Te filmy powstały, są na ekranach, co jednak będzie z filmem o masakrze jaka się rozegrała 8.XII.1956 w Salgotarjan, tego samego dnia, gdy po ok. 2 tygodniach rozmów prowadzonych między nowopowstałym rządem Kádara a przedstawicielami Centralnej Rady Robotniczej stojącej po stronie Imre Nagya, reprezentant władzy Gyorgy Marosan zakomunikował: *Od dzisiaj nie prowadzimy już rokowań, ale strzelamy*. W kilka godzin później na placu przed siedzibą władz komitackich w Salgotarjan otwarto ogień do tłumu domagającego się uwolnienia dwóch górników. Zginęło 131 osób, ok. 200 zostało rannych. W akcji brali udział żołnierze rosyjscy i węgierska policja. Rozkaz użycia broni dał rosyjski oficer. Kiedy twórcy planowanego filmu opowiadali w radio o tamtych wydarzeniach, zwrócili uwagę na fakt, iż udziału w zdjęciach odmówił jeden z ważniejszych świadków tamtego zdarzenia, lekarz,

który dokonywał obdukcji zwłok / 80% zabitych zginęło od strzału w plecy, widocznie w momencie próby ucieczki z tego piekła/ i udzielał pomocy rannym. Nie wystąpi, ponieważ jego trzydziestoletni syn zagroził mu, że jeśli przed kamerą opowie to co widział, to go zabije. W nawiązaniu do tego autorzy audycji zakończyli ją słowami - *Nie bój się strachu*. Jak widać, wiara w trwałość zachodzących przemian nie jest powszechna /wiekowy staruszek opowiadający o pacyfikacji wsi w 1948 r. w ramach rozprawy z kułakami, pyta reportera - *Czy, na pewno już mi nic nie grozi za to, co mówię ?* /. Trzeba pokonać strach, by do końca rozliczyć się z tamtymi czasami. Film, o którym tu wspominał jest o tyle istotny, że do podobnych masakr doszło w dniach 6-12.XII.1956 r. kilkakrotnie, w Budapeszcie, Gyula, Bekescsaba, Tatabanya, Miskolcu, Hodmezovasarhely i Egerze. Ich ofiarą padło kilkaset osób, znacznie więcej było rannych. Lecz choć bolesne, nie te ofiary były wówczas najważniejsze. Jak potwierdzają dokumenty, był to jeden łańcuch akcji sprowokowanych przez rząd Kadara, które umożliwiały mu rozprawienie się z powstańcami pod hasłem *kontrrewolucjonistów nie złożyli jeszcze broni*. To sankcjonowało licznie wówczas ferowane przez sądy wyroki śmierci. Tak rodziła się na Węgrzech konsolidacja. Tamte czasy stale są jeszcze żywe w ludziach, przeciw siły, które na październiku 1956 r. przybiły pieczęć z napisem "kontrrewolucja" po dzień dzisiejszy są u władzy.

Kto wie, czy nie pamięć tamtych wydarzeń, w jakże tragiczny sposób odświeżona strzałami w Pekinie, nie wywołała pewnego niepokoju w mieszkańcach Węgier w dniach poprzedzających pogrzeb Nagya. W każdym razie wiele do myślenia dawały niemal codziennie publikowane i powtarzane następnie przez radio wywiady z wysokimi funkcjonariuszami policji i wojska. Łączyło je jedno pytanie - gdzie tego dnia będzie policja, co będzie robiło wojsko ? Z ust indagowanych płynęły słowa uspokojenia: za porządek w czasie pogrzebu odpowiedzialni są jego organizatorzy, działacze Forum Demokratów Węgierskich, żołnierze pozostaną w koszarach, będą mieli przewidziane programem szkolenia zajęcia, ale chętni będą mogli obejrzeć transmisję telewizyjną z uroczystości pogrzebowych. Policja również będzie wykonywała swoje zwykłe zadania, w okolicach miejsca uroczystości tylko nieliczna grupa funkcjonariuszy zajmie się regulacją ruchu /rzeczywiście w czasie pogrzebu mundurowych nie było widać/. Była jeszcze inna rzecz, która emocjonowała Węgrów w okresie przed pogrzebem - jakie stanowisko wobec uroczystości zajmie partia, rząd i parlament. Ewolucję postawy widać już było w trakcie przygotowań do 16 czerwca. Początkowo władze wydały zezwolenie tylko na uroczystość pogrzebową z udziałem najbliższych rodzin pomordowanych. Potem zgodzono się to zezwolenie rozszerzyć na grono przyjaciół i

współpracowników. I wreszcie zdecydowano się na ogólnonarodową manifestację. Jednocześnie, niemal do ostatniej chwili trwały spekulacje, kto oficjalnie weźmie udział w tej uroczystości. W końcu, bodaj na trzy dni przed pogrzebem władze partyjne orzekły, że własnej delegacji nie przewidują /o stosunku WSPR do I. Nagya i jego towarzyszy miał zadecydować proces rehabilitacyjny wyznaczony na 16 lipca/. Imre Pozsgay i Rezső Nyers, obaj członkowie KC WSPR złożyli wieniec w składzie delegacji Rady Ministrów. Nie pojawienie się na pogrzebie szefa partii, Karolya Grosza spowodowało dalszy spadek popularności tego polityka. Członkowie kierownictwa zaczęli mówić otwarcie, iż w najbliższym czasie Grosza trzeba będzie zmienić. /W lipcu na czele partii znalazło się czterech polityków, w tym Grosz i Pozsgay/. Ale była jeszcze inna konsekwencja stanowiska zajętego przez WSPR, wyrażonego przez Grosza 14 czerwca na jednym ze spotkań z aktywem partyjnym: *podobnie jak tysiące członków partii wierzyłem, że wyrok sądu był słuszny i to co zarzucono I. Nagyowi było faktem. Wieniec przed trumnami straconych od korpusu dyplomatycznego akredytowanego w Budapeszcie spośród krajów socjalistycznych złożony został tylko w imieniu Jugosławii /przedstawiciele tych państw byli obecni na placu - poza Rumunią, Chinami, Koreą i Kubą/. W imieniu Polaków wieniec natomiast złożyli przedstawiciele NZS i Solidarności Polsko-Węgierskiej.*

Świadomość kruchości podstaw zachodzących zmian pobrzmiwała we wszystkich przemówieniach jakie 16 czerwca ponad trumnami ofiar represji po 1956 r. płynęły do narodu węgierskiego. Imre Necs, kończąc swoje wystąpienie, zwrócił się do zebranych na placu Bohaterów tłumów /ta wspomniana już przeze mnie liczba - 200.000 miała w sobie coś z symbolu, tylu bowiem Węgrów opuściło ojczyznę na przełomie 1956 i 57 roku/ z apelem, by wszyscy podali sobie ręce. Tak połączeni głośno powtarzali za mową słowa Sandora Petőfięgo:

*Na Boga Węgrów
przysięgamy!
że nigdy więcej nie będziemy
niewolnikami!
Przysięgamy!*

Z kolei cytowany na wstępie Viktor Orban dowodził: *Jeśli wierzymy w nasze siły, jesteśmy w stanie położyć kres dyktaturze komunistycznej, jeśli jesteśmy dość zdeterminowani, możemy zmusić partię, żeby poddała się wolnym wyborom. Jeśli nie stracimy sprzed oczu idei 1956 roku, możemy wybrać taki rząd, który natychmiast rozpocznie rozmowy w sprawie niezwłocznej ewakuacji oddziałów sowieckich. Jeśli mamy dość odwagi, żeby tego wszystkiego chcieć, ale tylko wtedy, możemy zrealizować to, czego*

pragnęła nasza rewolucja. Nikt nie może wierzyć, że państwo partyjne od dzisiaj zacznie się zmieniać. Pamiętajcie: 6 października 1956 roku w dzień pogrzebu Laszlo Rajka dziennik partyjny "Szabad Nep" tłustym drukiem ogłosił na stronie tytułowej: "Nigdy więcej!" Minęły tylko 3 tygodnie, a partia komunistyczna przy pomocy ludzi z bezpieki strzelała do pokojowo usposobionych, nieuzbrojonych manifestantów. Nie minęły nawet 2 lata, a WSPR w fingowanych procesach podobnych do Rajka doprowadziła do skazania na śmierć setki niewinnych, w tym własnych towarzyszy. Nie wierzymy do niczego nie zobowiązującym obietnicom polityków komunistycznych, musimy osiągnąć to, żeby panująca partia, nawet jeśli będzie tego chciała, nie mogła wykorzystać przeciw nam siły. Tylko w ten sposób możemy uniknąć nowych trumien, podobnych do dzisiejszego, spóźnionych pogrzebów.

W licznych komentarzach i wypowiedziach na Węgrzech i na świecie pojawiało się zdanie, że pogrzeb Imre Nagya i jego towarzyszy to pogrzeb stalinizmu na Węgrzech. Mocne to słowa i oby najbliższe miesiące i lata je potwierdziły. Miejmy nadzieję, że Węgry, które już dwukrotnie, w 1953 i w 1956 r. wchodziły na drogę "zachodniego rozwoju" nie zostaną z niej zawrócone po raz trzeci. Coraz bardziej przytłaczający ich kryzys jest bowiem jedną z konsekwencji, że ich rewolucję utopiono we krwi i zmuszono ich do ponownego wkroczenia na ślepa azjatycką uliczkę, z której teraz znowu próbują znaleźć wyjście.

Leszek Hensel

HISTORIA

JACEK, OPOLSKI

POWSTANIE NIEPODLEGŁEJ ESTONII

I WALKA W JEJ OBRONIE W LATACH 1918-1920 /III/

Poniższy tekst stanowi drugą część szkicu Jacka Opolskiego, który prezentuje krótki fragment historii suwerennej Estonii. W poprzednim numerze Obozu autor skoncentrował się na wydarzeniach związanych z przemianami, które doprowadziły do odzyskania przez Estów niepodległości.

VII. BUDOWANIE REPUBLIKI

Styczniowa kontrofensywa gen. Laidonera, która wypchnęła siły sowieckie poza granice kraju, nie oznaczała zakończenia konfliktu z Bolszewikami. Lenin nie zamierzał łatwo zrezygnować z Estonii. Jednak z końcem lutego 1919 na froncie nastąpiło osłabienie działających. Mimo paru prób ataków w marcu 1919, Armia Czerwona zbierała siły odkładając ponowny atak na pewien czas. Mimo to, nadal wzdłuż całej lądowej granicy Estonii stały bolszewickie wojska, oparte o bazy w Pskowie i Rydze.

Południowy sąsiad Estów - Łotwa, była w większej części kontrolowana przez siły sowieckie. Łotewski ruch niepodległościowy słabszy od estońskiego, był uwikłany w walkę na dwa fronty: z bolszewikami i z siłami niemieckimi. Te ostatnie nie kryły zamiaru włączenia kraju do Niemiec, bazując na liczniejszej niż w Estonii szlachcie Niemców bałtyckich. Narodowy rząd Karola Ulmanisa po ogłoszeniu 18 listopada 1918 niepodległości Łotwy, wycofał się pod naporem Armii Czerwonej do zajętej przez Niemców Lipawy. W zdobytej 3.I.1919 r. Rydze, Sowieci utworzyli Łotewską Republikę Rad z rządem P. Stucki i K. Daniszewskiego. To zagrożenie Estonii ze wschodu i południa zmalało z chwilą aktywizacji "białych" na frontach rosyjskiej wojny domowej wiosną 1919.

Akcja ta wspierana przez Ententę bronią i funduszami, przynosi początkowo spore sukcesy. W kwietniu 1919 r. rusza na Moskwę ze Wschodu, armia admirała Kołczaka. Z końcem wiosny zaczyna przed z południa wojsko Denikina. Poważnie zagrożeni bolszewicy, zmuszeni zostają do przerzucenia części sił z frontu estońskiego

na bardziej pałace odcinki. W maju, z terytorium Estonii zaczyna operować, z zamiarem zdobycia Petersburga, armia gen. Judenicza, wiążąc siły frontu estońskiego /szerzej o tym w rozdz. IX/. Wszystko to sprawia, że terytorium Estonii nie zostaje naruszone kontratakami ze Wschodu. Daje to krajowi bezcenny czas na umocnienie państwa.

Pierwszy krok w ramach tworzenia struktur państwowych to rozpiśnięcie wyborów do Zgromadzenia Konstytucyjnego /ASUTARKOGU/. Inauguracyjne posiedzenie konstytuanty odbyło się 23 kwietnia 1919 r. W 120 mandatowym zgromadzeniu zdecydowaną większość mandatów zdobyła "lewica niepodległościowa" /socjaldemokraci 41, Partia Pracy 30, Socjal-Rewolucjoniści 7/. Prawica i centrum zdobyły razem jedynie 42 mandaty, czyli nieco ponad 1/3 miejsc. Konstytuanta uchwala 4 czerwca 1919 r. tymczasową konstytucję, która mimo warunków wojennych zawiera sporo postanowień demokratycznych m.in. duże uprawnienia dla mniejszości narodowych. Na miejsce wyznaczonego w lutym 1918 przez Radę Starszych gabinetu Patsa, zgromadzenie powołuje w maju nowy rząd. Na jego czele stoi Otto Strandmann z Partii Pracy. Rząd Strandmanna stanął przed potrzebą rozwiązania od dawna palących problemów. Podobnie jak w Polsce, groźba bolszewickiej agitacji, zmuszała do szybkich i radykalnych rozwiązań w kwestiach społecznych. Wprowadzono 8-godzinny dzień pracy, największe fabryki znacjonalizowano, wreszcie pośpiesznie przystąpiono do przygotowywania reformy rolnej. Dla młodej republiki. problem ten był kluczowy. Dotychczasowa struktura rolna Estonii oparta była w przeważającej mierze na ogromnych majątkach szlachty niemieckiej. Majątki te korzystały przy naborze rąk do pracy z ogromnej liczby bezrolnych. Owa rzesza, mieszkańców wsi marzących o własnej ziemi mogła stać się w Estonii czynnikiem probolszewickim. Jednak dzięki specyfice sytuacji, bezrolni nie poparli komunistów.^x Chłopi swe nadzieje na podział ziemi wiązali z rządem narodowym, który śmiało i w pełni popierał hasła parcelacji. Likwidacja wielu posiadłości godziła jedynie w mniejszościowy element niemiecki /4% społeczeństwa/ - obcy etnicznie i nielojalny wobec państwa estońskiego. Brak było obszarniczej szlachty estońskiej. Ponadto do chłopów odstraszały przemawiały przykłady z sowieckiej Łotwy gdzie rząd Stucki trzymał się wiernie doktryny Marxa. Parcelowaną ziemię niemieckich baronów zamieniono od razu w komuny rolne, co zraziło do bolszewików ludność wiejską.

^x Wyjątek stanowi tu powstanie na wyspie Saaremaa z lutego 1919 r.

Wreszcie najskuteczniejszą szczepionką na propagandę sowiecką było zaznanie na własnej skórze rządów bolszewickich z przełomu 1918/1919 roku.

W Estonii reforma rolna miała po części zaspokoić ogromny głód ziemi, po części zaś zniszczyć raz na zawsze ekonomiczne podstawy dominacji niemieckiej mniejszości. Sprawilo to, że uchwałę uchwaloną przez parlament^x 10 października 1919, przeprowadzono szybko i konsekwentnie. Baronów zmuszono do opuszczenia swych siedzib i podjęcia życia w miastach na nowych źródłach zarobku. Odszkodowań za ziemię nie wypłacano, za inwentarz płacono symbolicznie. W wyniku reformy rozdzielono 96% majątków, co do 1929 r. pozwoliło na stworzenie 38 tys. nowych gospodarstw. Akcję przeprowadzono z wyraźnym faworyzowaniem ludności estońskiej.^{xx} Przy tworzeniu struktury nowego państwa duży nacisk położono na wypracowanie silnych mechanizmów demokratycznych. W wielu kwestiach wzorowano się na formie rządów w Szwajcarii. Przejawem tego było przesunięcie nadrzędnej roli w państwie w kierunku Parlamentu. 100-mandatowy Parlament /RIIGIKOGU/ wybierany na 3 lata, desygnował Rząd. Szef rządu /RIIGVAN/ był jednocześnie silnie podporządkowany parlamentowi. Zrezygnowano z funkcji prezydenta, zaś dominacja ciała parlamentarnego nad riigvanem miała zapobiec ciągłom dyktatorskim. Parlament jako emanacja narodu miał rozległe uprawnienia. Oprócz rządu podlegała mu bezpośrednio armia. Co ciekawe, podporządkowano parlamentowi sądownictwo /mianowanie sędziów/, co było złamaniem zasady Monteskiusza - rozdziału władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej. Tak więc parlament przejął dużo dziedzin, gdzie indziej zarezerwowanych dla rządu. Poprzez powszechne prawo wyborcze i instytucję referendum, podkreślono prawo społeczeństwa do współrządzenia krajem. W wypadku wysunięcia przez 25 tys. obywateli żądania referendum, wstrzymywano uchwałę parlamentu na 3 miesiące. Jeśli odbyte w tym czasie powszechne głosowanie przyniosłoby odrzucenie ustawy, było to równoznaczne z rozwiązaniem parlamentu. Tylko wynik referendum mógł decydować o przedwczesnym zakończeniu kadencji wszechwładnego parlamentu. Jego przewodniczący pełnił konkurencyjną do szefa rządu rolę czołowej postaci w państwie.

^x Konstytuanta stała się jednocześnie pierwszym parlamentem.

^{xx} Wywołało to w 1926 r. skargę szlachty niemieckiej do Ligi Narodów. Protest odrzucono uznając problem za społeczny a nie polityczny.

Mozolnie tworzono aparat państwowy, układano własne ustawy prawne w miejsce wciąż obowiązujących kodeksów carskich. Trwały wybory do Rad miejskich. Sporo trudności sprawiało wzbogacanie literackiego dotąd języka estońskiego o terminy prawnicze czy dyplomatyczne. Brak było doświadczonych kadr do objęcia wyższych stanowisk, co było konsekwencją niedawnego odsuwania Estów od awansów / na rzecz kandydatów rosyjskich i niemieckich/. Reaktywowano jako uczelnię narodową uniwersytet w Dorpacie. Dawne symbole niemieckiej świetności w Tallinie zmieniały właścicieli. Gnach Ritterschaftu przejęło Ministerstwo Spraw Zagranicznych, zaś Zamek Kawalerów Mieczowych uczyniono siedzibą parlamentu. Za kształtowaniem wewnętrznego kształtu państwa nadażały starania o międzynarodowe uznanie nowego państwa. Już w czasie pobytu na emigracji w czasie rządów bolszewickich /początek 1918/ J. Tonisson nawiązał kontakt z dyplomatą brytyjskim E. Howardem. Był to początek starań Estonii o uznanie i opiekę ze strony Ententy. Stosunek jednak aliantów do nowej republiki nie był jednoznaczny. Wielka Brytania pod koniec I wojny światowej zaczęła rozważać objęcie państw Płn. Bałtyku strefą swych wpływów. Separacja Estonii od Rosji była jej na rękę. To właśnie brytyjska eskadra udzieliła pomocy Estonii w jej "godzinie 0". Akcja ta była swego rodzaju uznaniem niepodległości Estów de facto. Wysłana w ten rejon brytyjska misja wojskowa życzliwie ustosunkowywała się do dążeń Estończyków, organizując wyposażenie ich armii w broń.

Odmienne stanowisko zajmowała druga potęga koalicji - Francja. Ta, licząc na rychłą restrytucję rządów białych w Rosji, przyjmowała stanowisko rosyjskich dyplomatów nie uznających praw Estonii do niepodległości. Dążenia narodowe krytykowano jako działania na rzecz osłabienia Rosji. Taka postawa kontrastowała z polityką angielską, o wiele mniej utożsamiająca się z interesami Rosji, co ułatwiało akceptację odłączenia się Estonii od imperium.

W marcu 1919 na rokowania pokojowe w Paryżu udaje się delegacja estońska: prof. A. Piip. C. Pusta i J. Posko. Mimo świetnie przygotowanego memorandum Piipa do Rady Najwyższej i Komisji Bałtyckiej Konferencji, Ententa unika oficjalnego uznania Estonii. Innym odcinkiem aktywności dyplomacji estońskiej są kontakty z grupą sąsiadów nadbałtyckich, wspólnie zagrożonych agresją sowiecką. Służą temu konferencja w Rydze /26-27 VIII 1919/ i Tartu /29 IX-1 X/. Wspólne zagrożenie staje się podstawą do planów federacyjnych. Pod uwagę brana jest Unia z Finlandią. Z kolei propozycje zjednoczenia wysuwa też Łotwa, która podobnie jak Estonia staje wobec konfliktu zarówno z Niemcami jak i Sowieciami.

Kontakty polsko-estońskie zapoczątkowane zostają w kwietniu 1919, podczas konferencji pokojowej w Paryżu. Dochodzi wówczas

do rozmów Leona Wasilewskiego, rzecznika idei federacyjnej z Jo-
anem Poską, estońskim szefem dyplomacji. Co ciekawe, Estończycy
dążyli do ścisłego antysowieckiego przymierza państw wschodniej
Europy, poddając pod rozwagę nawet możliwość federacji polsko-
estońskiej.^x Idee te lansowali Estończycy także w trakcie konfe-
rencji w Rydze z 26-27 sierpnia /Litwa, Łotwa, Estonia, Polska,
przedstawiciele "białych" Rosjan/. Usilne zabiegi o kontakty z
Polską zakończyło uznanie 6 października 1919, niepodległości
de facto Estonii przez Rzeczpospolitą, potwierdzone wysłaniem do
Tallina polskiego przedstawiciela. Polska uznała Estonię de iure
dopiero w styczniu 1921 r.

VIII. NA HORYZONCIE ZNÓW NIEMCY

Wobec zmniejszenia się zagrożenia ze strony bolszewików Esto-
nia zwróciła uwagę na sytuację swego południowego sąsiada -
Łotwy, zagrożonego agresywnością Niemców. Narodowy rząd Ulmanisa,
znajdując się pod bezpośrednim naporem bolszewików, zmuszony był
do upokarzających prośb o pomoc ze strony wojsk niemieckich. By-
ło tajemnicą poliszynela, że Niemcy planują aneksję Łotwy do
Rzeszy. Ich siły znajdowały się pod wodzą gen. R.v.d.Goltza -
pogromcy bolszewików w Finlandii. Skupiały one oddziały ochot-
ników z Rzeszy, Landwehrę miejscowego elementu niemieckiego oraz
siły "białych" Rosjan. Ententę zaprzątniętą walką z Leninem,
Niemcy przekonywali, że oddziały te mogą poważnie wesprzeć roz-
bicie bolszewików zdobywając Petersburg. W rzeczywistości, von
der Goltz planuje rozbięcie narodowego ruchu łotewskiego, a w
drugiej kolejności zajęcie Estonii. Utworzone z Inflant i Kurlan-
dił państwo niemieckie miało zostać poddane kolonizacji przez
ludność z Rzeszy. Zwalczając narodowy rząd Ulmanisa, Niemcy prze-
konywali Ententę, że jest on w istocie kryptokomunistyczny.^{xx}
16 kwietnia 1919 Goltz wysuwa do władzy marionetkowy "rząd łotew-
ski" pastora Niedry, formalnie mu się podporządkowując. Ta kome-
dia nie wprowadza Estończyków w błąd. Wiedzą, że po klęsce Ulma-
nisa przyjdzie kolej na nich. W związku z tym wspierają łotew-
skie siły narodowe. Poboczną acz korzystną dla Estów okolicznoś-
cią walki Goltza o zdobycie Łotwy było rozbięcie przez niego sił

^x Te dążenia do stosunków z Polską nie kolidowały z unikaniem
zdrażnień z Litwą. Profesorowie estońscy uchylili się od u-
działu w polskiej inauguracji Uniwersytetu S. Bątarego w Wilnie.

^{xx} Aktywny udział łotewskich strzelców po stronie bolszewików
ułatwiał Niemcom tego rodzaju propagandę.

sowieckich chroniących czerwony rząd Stucki. Wojska te zagrażały Estonii od południa. 22 maja Goltz wypiera Armię Czerwoną z Rygi. Bolszewicy pragną szybko odbić miasto, lecz 25 maja krzyżuje im plany estońsko-łotewski atak na linii Izborsk-Psków, Sowieci zagrożeni okrażeniem, wycofują się z Łotwy. W północnej części terytorium łotewskiego, w oparciu o granicę estońską formuje się podległa Ulmanisowi "brygada północna" płk. I. Zemītansa, którego zasilił potem inny wybitny dowódca Łotyszy. płk. Jōnis Balodis. Połączone siły Zemītansa i armii estońskiej szykują się do odparcia ataku 60 tysięcznej armii Goltza /oficjalnie ozdobionej etykietką "łotewskich" sił rządu Niedry/. Estończycy wolą odbyć rozprawę z Niemcami przed swymi granicami, jeszcze na terytorium Łotwy. W związku z tym obsadzają jej północną część.

2. czerwca następuje zetknięcie się antagonistycznych wojsk koło Cesis /niem. Wenden/. W toczonych rozmowach, Niemcy podając się za reprezentantów "rządu Łotwy" zażądali wycofania Estończyków z "ich" granic oraz niemieszania się w łotewskie problemy wewnętrzne. Estonia ze swej strony żąda wycofania się Goltza na południe. Po zerwaniu rozmów 6 czerwca wznowione zostały walki, które przynoszą niemieckim wojskom zdobycie Cesis. Estonia szykując się do walki, rozpaczliwie interweniuje o akcje Ententy. Jednocześnie trwają walki. Kolejny raz sprawdza się 5 estońskich pociągów pancernych, znanych nam z "godziny 0". Mimo prób mediacji oficerów alianckich i żądań marszałka Focha zaprzestania agresji niemieckiej - wojna trwa. Obie strony wiedzą, że konflikt zamknie się jedynie eliminacją któregoś z przeciwników. W Niemczech rozpala się kampanię przygotowującą atak na Estonię. Przy uporczywym nazywaniu walk - wojną łotewsko-estońską, podnosi się rzekome prześladowanie Niemców Estońskich. Sugeruje się potrzebę interwencji na północy.

20 czerwca "łotewski" rząd Niedry wypowiada wojnę Estonii, głosząc, że siły gen. Laidonera okupują terytorium łotewskie. Tego samego dnia rozpoczyna się ofensywa Goltza na Valmiera i Valk. Akcja ta miała w rachubach niemieckiego dowódcy, odnieść spektakularny sukces, który umocniłby w Niemczech tendencje przeciwnie podpisaniu traktatu Wersalskiego.^x Mimo początkowych sukcesów niemieckich 2 pułki estońskie i 1 łotewski przechodzą od 21 czerwca do kontrofensywy. 22-23 VI w bitwie wydanej Niemcom pod Cesis staje naprzeciw siebie 9 tys. żołnierzy niemieckich i 7 tys. łotewsko-estońskich.

^x Był on wciąż nie podpisany przez Niemców.

Siły niemieckie ponoszą zdecydowaną klęskę.^x 23 stycznia estońskie samochody pancerne odbijają Cesis i ruszają ku Rydze. Następuje kilkutyśięczna ucieczka Niemców bałtyckich do Niemiec. Estończycy posuwają się szybko i dopiero na polecenie Ulmanisa zatrzymują się pod Rygą, czekając, by Łotysze jako pierwsi zajęli swą stolicę. 2 lipca następuje rozejm z wojskami Goltza w Stazdumuiža. Odsuwa on definitywnie niemieckie zagrożenie wobec Estonii. Nie oznacza to jednak końca planów podporządkowania Łotwy żywiołowi germańskiemu. Jako narzędzie swoich planów Niemcy wybrali z kolei białogwardyjskiego kondotiera Bermondta-Awatowa.

Łącząc Ententę zamiarem wsparcia armii gen. Judenicza, w istocie tworzy nową armię niemiecką, przebraną tym razem w rosyjskie mundury. Rozpoczęty w październiku 1919 atak Bermondta na rząd Ulmanisa przynosi początkowo sukcesy. Jego siły podchodzą do przedmieść Rygi. Ponownie Estonia wysyła posiłki, gen. Laidoner przysłała 2 pociągi pancerne. Atak sił łotewskich, pomoc floty brytyjskiej i rosnąca demoralizacja żołnierzy Bermondta, powodują klęskę zamiarów niemieckich. Do połowy listopada 1919 bermondtovców wypchnięto z Łotwy. 22.XI pod Radziwiliszkami ostatecznie rozgromiły ich oddziały Litwy Kowieńskiej.

Krach armii Bermondta kończy niemieckie plany zaborcze nad Bałtykiem. Estonia zyskuje od południowej granicy ustabilizowanego i przyjaznego sąsiada - Łotwę.

IX. NIEBEZPIECZNY SOJUSZNIK

Z wiosną 1919 r. pod rządem Estonii stanęła możliwość wzmocnienia swych sił w rozgrywce z bolszewikami. Jak pamiętamy, mimo że śmiertelne zagrożenie minęło, wciąż groził kontratak ze Wschodu. Wsparcie w walce oferował "biały" generał rosyjski Nikołaj N. Judenicz. Potrzebował on wolnego od bolszewików terytorium na północy dla zebrania sił antysowieckich i sformowania silnej armii. Miała ona uderzyć wprost w "kolebkę rewolucji" Petersburg i wyzwolić gubernię pskowską, nowogrodzką i Petersburg.

W wyzwolonym Petersburgu zamierzał zwołać rozpadzoną w 1918 konstytuante, zaś zajęte ziemie rosyjskie miały stanowić bazę dla wypierania bolszewików wypędzonych z dawnej stolicy. Judenicz,

^x Na pamiątkę zwycięstwa dzień 23.VI był w międzywojennej Estonii świętem państwowym

^{xx} Judenicz zorientowawszy się, że Bermondtd jest narzędziem Niemców, ogłosił go 11 psździernika 1919 zdrajcą.

generał piechoty opromieniony był swymi zwycięstwami nad Turcją w czasie I wojny światowej, kiedy to kierował frontem kaukaskim. Po rewolucji lutowej nie mogąc przeciwdziałać rozprężeniu i upadkowi dyscypliny, opuścił armię - podobnie jak wielu innych oficerów, tworzących późniejszy trzon sił "białych". Judenicz udaje się do Finlandii. Jak już wspominaliśmy, fińskie siły narodowe pod wodzą b. generała carskiego - Carla Mannerheima, korzystając z pomocy sił niemieckich już do końca kwietnia 1918 r. wyzwoliły kraj od bolszewików. W Helsinkach Judenicz począł nakłaniać Mannerheima do wspólnego ataku na Petersburg. Jego plan był rzeczywiście rozsądny. Atak idący przez Przesmyk Karelski szedłby rzeczywiście najkrótszą drogą, zaś utrata "Pitra" byłaby dla czerwonych ogromnym ciosem.

W Helsinkach zebrały się też rosyjskie siły polityczne na czele z b. premierem carskim Aleksandrem Trépovem. Utworzony Komitet Polityczny planował utworzenie w oparciu o armię Judenicza, ogólnorosyjskiego rządu.

Plany ataku rosyjskiego z Finlandii nie uzyskały jednak poparcia Mannerheima. Jako warunek poparcia domagał się on jasnego uznania oddzielenia się swego kraju od Rosji i zagwarantowania jego niepodległości. Zapatrzeni w Idee "niedzielimój Rosji", Rosjanie nie byli skłonni wydać takiego oświadczenia, wysuwając tezę, że zadecyduje o tym dopiero zebrana w Petersburgu ogólnorosyjska konstytuanta. W tej sytuacji Mannerheim, mimo że był zaciętym wrogiem komunizmu, wycofał swe poparcie dla akcji, która ponadto w razie niepowodzenia postawiłaby pod znakiem zapytania świeżo uzyskaną niepodległość. Najprostsza możliwość zdobycia "Pitra" rozbiła się o głuchy opór, uznanego przez większość białych za "wierchnowo prawiłiela", - admirała Kołczaka, który uparcie odmawiał uznania niepodległości Finlandii.

Mimo że Judenicz nie traci nadziei na realizację koncepcji fińskiej, pod koniec 1918 zaczyna brać pod uwagę również i Estonię jako bazę dla swego ataku.

Rząd estoński zagrożony ze wschodu, zmuszony był akceptować wszelkie siły mogące pomóc w odparciu naporu bolszewickiego. Póki co Judenicz wydawał się "mniejszym złem". Na terytorium Estonii rozpoczęto formowanie "białej" armii, mimo że Rosjanie nie uznali od początku niezależności kraju od b. imperium. Wiszące zagrożenie sowieckie kazało Estończykom to na razie przelknąć.

Podstawą "Armii Północno-Zachodniej" /tak Judenicz nazwał swe siły/ był stworzony jesienią 1918, jeszcze przed okupacją niemiecką, tzw. Rosyjski Korpus Ochotniczy liczący 3,5 tys. żołnierzy. Korpus utworzono w Pskowie, okupowanym od 26 lutego przez Niemców na mocy traktatu brzeskiego. Należał do paru, sformowa-

nych pod kuratelą Berlina oddziałów białogwardyjskich, mających szachować Sowietów na wypadek bolszewicko-niemieckiego konfliktu. Gdy po klęsce 11 XI 1918, Niemcy ewakuują się z okupowanego Pskowa, wycofujący się za nimi Rosjanie dzielą się na dwie części. Pierwsza pod dowództwem gen. Balodisa udaje się do kontrolowanej przez Niemców Lipawy. Pozostałe oddziały pod wodzą gen. Rodzianki udają się do Estonii. W początkach 1919 r. Rodzianko korzystając z odwrotu Armii Czerwonej zdobywa pierwszy skrawek ziemi rosyjskiej - Psków, odbity potem przez bolszewików. Na bazie oddziałów Rodzianki tworzy się nowa armia, obficie wyposażona w broń za pośrednictwem brytyjskiej misji w Est pod kierownictwem gen. Huberta Govgha. Rozpoczęte zostają negocjacje Rosjan z rządem Estonii, w kwestii współpracy wojskowej. Taktyka białych jest prosta: uzyskać jak najwięcej pomocy technicznej przy uporczywym uchylaniu się od uznania niepodległości gospodarzy.

Postawa Judenicza, wzdragającego się uznać niezależność Estonii, wypływała z szerszego stanowiska "białych" w kwestii usamodzielnienia się narodów, wchodzących poprzednio w skład Rosji.

"Wierchownyj prawiciel" Kołczak nieodmiennie odmawiał uznania niepodległości republik bałtyckich i zakaukaskich, niechętny wyjątek robiąc jedynie dla Polski.^{xxx} Na temat losu innych narodów miała zdecydować dopiero ogólnorosyjska konstytuanta. To samo stanowisko, tyle że na forum międzynarodowym popularyzował minister spraw zagranicznych w Omskim rządzie Kołczaka - Sazonow.

W sytuacji chwiejnej równowagi sił w wojnie domowej, "biali" mogli pokonać Lenina jedynie przy wsparciu dodatkowego czynnika wojskowego. W grę nie wchodziły tu znaczące siły Ententy - wymęczone wojną społeczeństwa Zachodu ostro protestowałyby przeciw wysyłaniu rekruta na "wschodnie awantury". Jedynymi realnymi sprzymierzeńcami mogłyby być siły narodów, emancypujących się z dawnego imperium na czele z armią polską, fińską i estońską. Rozumiejąc groźbę bolszewizmu, były skłonne walczyć z Sowietami, ale za pomoc żądały uznania swej wolności. Tej Rosjanie im odmawiali, próbując uzyskać pomoc przy jednoczesnym unikaniu wyraźnych deklaracji. Sprecyzował to W.A. Makłakow^{xxx} w liście do sił gen. Dénikina: "małe narody rozumieją niemożność swej niezależności. Jeśli tylko odrodzi się Rosja, to z tymi narodami rozmowy będą proste. Należy zatem zyskiwać na czasie niczego nie zastrzegając".

^x Siły te, pod późniejszym dowództwem ks. Lieveno wejdą w orbitę wpływów niemieckich i zostaną włączone do armii gen. Goltza.

^{xx} A i to jedynie w granicach Kongresówki, ale bez Chełmszczyzny.

^{xxx} Członek paryskiej Rosyjskiej Rady Politycznej

Była to polityka cyniczna, ale jeszcze bardziej, po prostu głupia. Z iście dziecięcym zadufaniem Rosjanie sądzili, że wpierv uda im się wykorzystać pomoc "inorodców", by potem niedawnych sojuszników z powrotem zapędzić do więzienia narodów. Młode republiki znały zaborczość rosyjską i jasno dostrzegały cele "białych". O ile jednak na użytek rożników z Estończykami nie używano hasel wielkorosyjskich, to na arenie międzynarodowej stawiano sprawę wyraźniej.

Paryskie przedstawicielstwo "białych" - Rosyjska Rada Polityczna w oświadczeniu z marca 1919 jasno stwierdziła, że wszelkie sprawy dotyczące państw powstałych na gruzach Rosji "nie mogą być rozwiązywane bez udziału rosyjskiego narodu". Rada odrzucała myśl o niepodległej Estonii, nazywając "zdrajcami ojczyzny" tych, którzy akceptowali to rozwiązanie. W depeszy Rady Konferencji Pokojowej z 26 czerwca 1919 do adm. Kołczaka, państwa Ententy próbowały nieco zmiekczyć stanowisko Rosjan. Wśród warunków uznania rządu w Omsku za przedstawicielstwo całej Rosji było żądanie, by w razie "niemożności polubownego ułożenia stosunków m.in. z państwami bałtyckimi" nastąpiło pośrednictwo Ligi Narodów. Odpowiedź Kołczaka z 4 czerwca, de facto odrzucała to i ponawiała stare tezy, że tylko konstytuanta ustali "zakres i właściwości autonomii każdego z tych krajów".

Rada Konferencji Pokojowej zaakceptowała tę odpowiedź, co oznaczało, że uważa kwestię estońską za wewnętrzną sprawę Rosji. W trakcie konferencji pokojowej w Wersalu "biali" pragnęli uzyskać w niej pełny udział, z głosem równym wielkim mocarstwom. Mimo, że do tego nie doszło, dyplomaci rosyjscy, skutecznie stordpedowali na konferencji wysiłki delegacji estońskiej, przybyłej w celu uznania niepodległości ich kraju. "Biali" politycy, mający długoletnie kontakty z dyplomacją francuską, przekonywali Zachód o "sezonowości" państwa estońskiego.

W opracowanym przez nich dla Rady Konferencji, memoriale tzw. "Pamiętnej Zapisce" stwierdzili: "efemeryczne twory państwowe, które zyskały pozorną niepodległość, nie mogą brać udziału w procesie wyzwolenia i zjednoczenia Rosji, dopóki nie wyrzekną się swych dążeń do oddzielenia się. Nie powinny także pretendować do tworzenia własnych narodowych delegacji". /na konferencję wersalską - przyp. autora/.

Zakończona konferencja wersalska nie poruszyła problemu estońskiego. Ententa oczekiwała raczej wiadomości o sukcesie białych - czerwiec 1919 był jednym z najgorętszych miesięcy zmagani w rosyjskiej wojnie domowej. W oczach aliantów, pragnących za wszelką cenę zniszczenia bolszewizmu, interesy estońskie nic nie znaczyły wobec stawiania na białych. Np. Francja wzbraniała się uznania rozbioru ziem imperium rosyjskiego. Jednocześnie państwa

Zachodu pchały Estonię ku pomocy Judeniczowi, same nie robiąc nic na rzecz uznania przez niego estońskiego rządu. Ententa, udając że nie widzi konfliktu interesów, traktowała Estonię instrumentalnie. Naciski wobec "krnąbrnego" narodu Estów były brutalne. Brytyjski komisarz wojskowy oświadczył estońskiemu przedstawicielowi, że jeśli Estonia nie pomoże Judeniczowi, jak życzą sobie alianci, to komisja będzie musiała przekazać swym rządowi, że Estonia gra egoistyczną rolę. Oznaczać miało to odcięcie pomocy w wyposażeniu wojskowym.

Podczas gdy Ententa żądała schematu - najpierw poprzyjcie Judenicza a potem was uznamy, Estonia żądała uparcie wstępnego uznania jako warunku pełnej współpracy z "białymi". Mimo braku sukcesów w negocjacjach, 13 maja rusza atak Judenicza i gen. Rodzianki na Petersburg. Ich siły składają się z 6 tys. ludzi i są wspierane przez 2 dywizje estońskie i oddział kawalerii S. Bułak-Bałachowicza. Z morza wsparcie ogniowe zapewnia silna eskadra brytyjska. Z końcem kwietnia część sił sowieckich wiąże na Przesmyku Karelskim stosunkowo mała tzw. Ołowiecka Armia Ochotnicza złożona z Rosjan. Początkowa faza ataku przynosi spore sukcesy. Siły białych i Estończyków prą szybko naprzód, zajmując 17 maja Jamburg a 25 maja wkraczając do Pskowa.

Z okrętów wysadzone zostają desanty, które atakują tyły sił bolszewików.

Broniąca drogi na Petersburg 7 armia sowiecka cofa się przed natarciem w kierunku Gacziyny i Krasnego Sioła. 12 czerwca wybuchają antybolszewickie powstania wśród żołnierzy Armii Czerwonej w kluczowych 3 fortach obrony sowieckiej. Zanim jednak wzywane przez powstańców siły Judenicza nadeszły, bunt stłumiono 16 czerwca. Lotnictwo, atak piechoty i ostrzał z morza doprowadza do zdobycia ostatniego powstańczego Fortu Krasnaja Gorka. Bunt fortów jest ostrzeżeniem dla bolszewików. W zagrożonym Petersburgu, szaleje terror Czeki obawiającej się antykomunistycznego powstania. Śmiertelnie zagrożeni bolszewicy na gwałt ściągają posiłki z frontu wschodniego, wiedząc że utrata "Pitra" może być początkiem ich końca.

Od 21 czerwca rozpoczyna się kontratak Armii Czerwonej. W ciągu lipca trwają mordercze walki, odepchnięta zostaje Armia Ołowiecka. Wreszcie w sierpniu szala przechyla się na stronę sowiecką. 5 sierpnia biali oddają Jamburg, 26 sierpnia opuszczają Psków. Siły białych wycofują się na teren Estonii. Mimo klęski nie zostali rozbici, a obie strony nabierają sił do kolejnej rozgrywki.

W czasie trwania walk, Judenicz ostatecznie zaprzestał prób nakłonięcia Finów do wspólnego ataku. Jego wizyty w Helsinkach rozgniewały Kołczaka. Oprócz wyraźnego odmówienia uznania niepodległej Finlandii, zakazał on Judeniczowi wchodzić w poro-

zumienia z Mannerheimem w czym sekundował mu Denikin oburzony "wtrącaniem się Mannerheima w wewnętrzne sprawy Rosji, która winna być wyzwolona bez obcej pomocy". Kierując się tą samą polityką Judenicz zrezygnował z oferty Kotwy, współpracy w ataku za cenę uznania wolności.

Korzystający z oddechu jego korpus wzrósł do 20 tys. żołnierzy. Szczery ale ciasny pseudopatriotyzm czynił Judenicza niezadowolonym do wszelkich rozmów. W negocjacjach z Estończykami wciąż zasłaniał się potrzebą zgody Kołczaka na uznanie ich niepodległości. Sprawy nie polepszyło utworzenie przy "Armii Północno-Zachodniej Rządu Zachodnio-Północnego". Powstał on 11 sierpnia 1919 w Tallinie na czele z S.G. Liazanowem i prezentował ugrupowania demokratyczne /kadeci, SR, mienszewicy/. W wyniku interwencji członka brytyjskiej misji gen. Morcha, pragnącego sojuszu estońsko-rosyjskiego, Anglicy zażądali od Rosjan uznania niepodległości Estonii. Rząd Liazanowa uznał ją, lecz jego poparcie było dla Estończyków mniej istotne. Czekali oni na deklarację Judenicza, który mimo że był tylko ministrem wojny w rządzie, jednak posiadał większość siły politycznej. Judenicz niezbyt głęboko ukrywał swą pogardę dla gabinetu Liazanowa.

Generał posiadał bardzo reakcyjne poglądy i mierzył go demokracją polityków Rządu Północno-Zachodniego. Działał na rzecz prawniejszania jego znaczenia, zabraniając odczytywania odezwy rządu w swej armii. Przeciw uznaniu Estonii przez Liazanowa, z powodów taktycznych na razie nie występował. Liczył na sukces swej nowej ofensywy, zakładając, że po zdobyciu Petersburga przemówi do rządu Strandmanna innym tonem. Instrukcja Kołczaka na temat "terytoriów i kompensat i roszczeń tworców państwowych powstałych w granicach i kosztem Rosji" brzmiała jasno: "Mogę tymczasowo wejść w porozumienie z rządami owych państw ale żaden rosyjski rząd narodowy nie ma prawa decydować już teraz ze szkoda dla terytorium rosyjskim o przyszłych granicach formacji o charakterze państwowym i o naszych przyszłych stosunkach z nimi". Judenicz w swych poglądach nie wychodził poza najgorsze schematy carskie. Miał w pogardzie demokrację, zaś do Estończyków żywił głęboką niechęć maskowaną jedynie taktycznymi potrzebami. Te wady nie były równoważone silną wolą polityczną. Jak wspominał gen. Mannerheim: "słyszając o jego kaukaskich walkach spodziewałem się spotkać silną osobowość, lecz ku memu zdumieniu uderzyła mnie w nim ospałość i bezwład psychiczny. Zupełny brak było w nim

X Również Kołczak ignorował Liazanowa, komunikując się jedynie z Judeniczem

wartości podnoszących na duchu które winien reprezentować przywódca polityczny i wojskowy. Po spotkaniu z nim zrozumiałem dlaczego nie posiadał zbyt wiele autorytetu zarówno wśród Estończyków jak i swoich". Te jednak resztki energii jakie posiadał kierował przeciw potencjalnym sojusznikom. Żołnierzem pochodzenia polskiego, w swej armii nakazał zdjęcie z czapek wykonanych samodzielnie orzełków z blachy.

Szybko wszedł w konflikt ze Stanisławem Bułak-Bałachowiczem - dowódcą oddziału kawalerii. Wpierw mianowany przez Judenicza za śmiałe rajdy na tyły bolszewickie dowódcą korpusu - naraził się bliskimi kontaktami z Estończykami oraz przyjmowaniem do oddziału wyżej wspomnianych Polaków. Zdegradowany, uniknął aresztowań i dalej walczył z bolszewikami na czele tzw. Zielonej Gwardii już pod komendą estońską.^{xx}

Na tle takiej postawy Judenicza, nie przyniósł zaskoczenia brak porozumienia z sąsiadami co do wspólnej walki z bolszewikami na sierpniowej konferencji w Rydze, na którą przybył i delegat generała.

Estończycy coraz jaśniej widzieli, że z białymi nie można dojść do porozumienia. Bilans kontaktów z Judeniczem był niewielki. Estończycy pamiętali za to takie fakty jak czerwcowe wizyty oficerów vorder Goltza - śmiertelnego wroga ich państwowości - w sztabie Judenicza w Narwie.

Wszystko to sprawiło, że Estonia postanowiła znacznie ograniczyć swój udział w kolejnej ofensywie Judenicza na Petersburg. Tym razem 18 tys. żołnierzy rosyjskich wspieranych z morza przez brytyjską eskadrę ruszyło na bolszewicką 7 armię - 28 września.

Nowy atak Judenicza był pilnie obserwowany przez zgromadzone na tyłach jego armii oddziały estońskie. Obsadziła ona północny odcinek granicy oraz południowe brzegi jezior gotowa do obrony granicy w razie zbliżania się bolszewików.

Judenicz uderzył poprzez przesmyk dzielący Zatokę Fińską i jezioro Peipus. Wspierany był angielskimi człogami. Atak zsynchronizowany był z odnośną powodzenie ofensywą Denikina. Ten ostatni zajmując Carycyn, Tambow, Kijów, 12 września rozpoczął marsz ku Moskwie. Judenicz ruszył ku drugiej stolicy - Petersburgowi. 15 października okręty estońskie wysadziły desant koło Kiernowa. 16 października jego siły zajęły Krasne Sioło i

x. Z podobną nienawiścią traktowali rogiatywki "murmańczyków" oficerowie białych sił gen. Millera w Archangielsku.

xx. Pewną rolę zapewne odgrywać musiało też partyzanckie niezdiscyplinowanie tego "zagończyka" trudne do przełknięcia dla sztywnego generała carskiego.

Gatczynę. Od Petersburga dzieliło go jedynie 15 km. Pewność siebie i lekceważenie wobec Estończyków wzrastały u Judenicza wprost proporcjonalnie do przybliżania się do stolicy Rosji.

Widząc się w roli zdobywcy Pitry, Judenicz zaczął nazywać rząd estoński "bandą krminalistów" i mianował Rosjanina - gubernatorem Estonii. Jednocześnie po zdobyciu Gatczyzny i Pawłowska zaczął jawnie szydzić z rządu Liazanowa, gromadząc wokół siebie jednostki o reakcyjnych poglądach, "oburzonych na intrygi Anglików". Miały one stanąć na czele nowego rządu w zdobytym "Pitrze". Coraz pewniejszy siebie Judenicz otwarcie zaczął grozić Estonii. Podobną postawę przyjmował przy pracy na Moskwę Denikin. Niedwuznacznie groził on Piłsudskiemu: "Powstawszy na nogi Rosja będzie dobrze pamiętała, kto był jej przyjacielem". W szeregach białych rozbrzmiewało coraz głośniejsze hasło: "Za okazaną pomoc ani piędzi ziemi rosyjskiej".

Wszystko to było pilnie śledzone przez Estończyków, jasno widzących że pierwszy dzień zwycięstwa Rosjan po zdobyciu Petersburga będzie jednocześnie pierwszym dniem walki ze "zdradzieckimi separatystami".

Bolszewicy widząc zagrożenie, wyteżyli wszystkie rezerwy. 19 października Lenin ogłasza dość histeryczną odezwę do robotników i czerwonogwardzistów Piotrogradu: "bijcie się do ostatniej kropli krwi, o każdą piędź ziemi". Z innych frontów przybywa 4,5 tys. czerwonych posiłków. 21 października wychodzi sowiecka kontrofensywa w kierunku Gatczina. Między 21 a 26 października na wzgórzach pułkowskich, koło Carskiego Sioła ma miejsce wielka mordercza bitwa. Długo waha się równowaga sił, aż wreszcie bolszewicy odnoszą sukces. Jednocześnie morderczej walce przygląda się bezczynnie blisko 90-tysięczna armia estońska, nie widząca powodu, by ginąć za władzę carskich generałów w Tallinie.

Estończycy bez litości patrzyli na przegraną białogwardzistów. Niezdolność do uwolnienia się od pseudopatriotycznych dogmatów o "niepodzielnej Rosji" sprowadzała na nich klęskę. Ginęli, do końca oskarżając swych dawnych niewolników o rzekomą zdradę. Rozpoczyna się odwrót armii Judenicza. Byli carscy oficerowie przyzwyczajeni do sztabowych schematów wyuczonych w akademiach zaskakiwani są posunięciami młodych dowódców Armii Czerwonej, którzy taktyki uczyli się zażwyczaj dopiero na polu walki. W szeregi białogwardzistów wdziera się tyfus. 26 października opuszczają Krasnoje Sioło, 3 listopada Gatczynę, wreszcie 14 listopada pada Jamburg.

Estończycy nie chcą dać powodu Sowiecom do przekroczenia granicy, robrajają przechodzące granicę niedobitki sił białych

i kierują do obozów internowania.^x Samorozwiązuje się rząd Liazanowa. Klęska jest zupełna. Jej sprawca, gen. Judenicz opuszcza 1 grudnia Estonię i wyjeżdża do Anglii.

Na emigracji odsunie się od życia reszty emigracji rosyjskiej. Zapomniany umrze w 1933 r we Francji w jednym z kurortów Lazurowego Wybrzeża.

Jego błędów nie popełnił ostatni liczący się dowódca "białych" Wrangel, lansując z wiosną 1920 wspólną walkę z bolszewizmem opartą o hasła szerokiej federacji narodów byłego imperium. Było to jednak wówczas hasło spóźnione o 2 lata. W 1920 roku biali skazani byli już tylko na zagładę.

X. PAKT Z DIABŁEM

Oddziały Armii Czerwonej po rozbiciu Judenicza nie przekroczyły w ramach pościgu granicy Estonii. ZSSR nie zdecydował się na ponowną inwazję kraju, wiedząc że byłby to konflikt z o wiele silniejszym niż w 1918 r. przeciwnikiem. Armia estońska nie przypominała już ochotniczych formacji z czasów "godziny 0". W końcu grudnia 1919 r doszła do liczby 86 tys. żołnierzy. Także linia obrony przed bolszewikami znacznie się skróciła. Odpadła potrzeba obsadzania południowej granicy zagrożonej w 1918 r. siłami sowieckimi działającymi ze zdobytej Łotwy. Obecnie na południu istniało kotełskie państwo narodowe. Wschodnia linia obrony ułatwiona była oddzieleniem od ZSSR dwoma jeziorami Pejpus i Pskowskim /Pinkva/. Pomiędzy nimi atakować Estonię można było jedynie wąskimi przesmykami koło Narwy lub koło Pskowa, łatwymi do obsadzenia dużą ilością wojsk.

Przed Estonią stanął w tej sytuacji problem przyjęcia ponownych ofert sowieckich. W Moskwie pogodzone się już z faktem że łatwe i szybkie zdobycie Estonii nie wchodzi na razie w grę. Rozwiązano w Lipcu bezużyteczną Radę Rewolucyjną Estońskiej Komuny Robotniczej, którą w 1918 r Lenin przygotował do objęcia władzy w Tallinie. Wciąż zagrożeni na innych frontach sowieci obawiali się ponownego ataku nierozbitego wciąż w sierpniu 1919 Judenicza. Pokój z Estonią, mógłby uniemożliwić mu kolejny atak.

Ponadto wyłączenie Estonii z frontu antybolszewickiego mogłoby rozpocząć rozpad popieranego przez Ententę "kordonu sanitarnego" i otworzyć drogę do uznania władzy Sowietów w Rosji.

^x Po pewnym czasie żołnierze ci zostaną wysłani do Francji, zasilą rzesze emigrantów rosyjskich. Internowania uniknęła kawaleria Bułak-Bałachowicza która przebiła się przez tętę do oddziałów polskich.

Komórki komunistyczne w Estonii otrzymały polecenie przeorientowania swej propagandy. Z dnia na dzień zniknęły hasła o "obaleniu władzy burżuazji" i "utworzeniu Sowietckiej Estonii w oparciu o braterską pomoc Armii Czerwonej". W ich miejsce zaczęto propagować pokój z ZSSR. 19 lipca 1919 r., Komunistyczna Partia Estonii wzywa masy pracujące do pracy na rzecz pokoju. Hasło zakończenia jest istotnie popularne w wymęczonym społeczeństwie. Zjazd Estońskich Związków Zawodowych z 30-31 sierpnia uchwała rezolucję domagającą się zakończenia wojny. 31 sierpnia Sownarkom przekazuje Estonii propozycje pokojowe, które rząd Strandmanna przyjmuje do rozważenia. Równolegle Rosjanie próbują rozmów z Finami, co nie przynosi jednak żadnych efektów. Inaczej w Estonii. 17 września w Pskowie delegaci estońscy rozpoczynają rozmowy z Litwinowem /późniejszym asem sowieckiej dyplomacji/ i Krasinem. Strona estońska przeciąga negocjacje oczekując na wyniki ofensywy Judenicza.

Estończycy obawiają się ponadto reakcji Ententy, a szczególnie Francji - silnie zaangażowanej w walkę z bolszewikami. Ewentualne wystąpienie z frontu antybolszewickiego mogłoby ściągnąć na republikę blokadę gospodarczą Ententy lub wyraźne poparcie dla planów Judenicza zmierzających do likwidacji estońskiej odrębności.

W miarę klęski białych, Estończycy zaczynają rozumieć że muszą sami zadbać o swe interesy. Coraz wyraźniej widzą też, że Ententa mimc szumnych deklaracji, zaczyna wycofywać się z konfliktu w Rosji.

W "realistycznym spojrzeniu" na sytuację, przoduje Wielka Brytania. 27 września 1919 Brytyjczycy rozpoczynają ewakuację swych sił interwencyjnych z Archangielska, co rozpoczyna powolne dystansowanie się od białych. Lloyd George zaczyna skłaniać się ku uznaniu bolszewickiego status quo, a jego uwagę zaprzętają już możliwości handlu z Nową Rosją. W listopadzie 1919 Lloyd George oświadcza w Parlamencie, iż jego rząd nie może udzielać dłużej pomocy antyrewolucyjnym ruchom w Rosji. Jednocześnie eskadra brytyjska opuszcza estońskie wody wracając do kraju. W tym samym listopadzie w Kopenhadze odbywają się poufne rokowania sowiecko-angielskie. To właśnie polityka Anglii doprowadzi do zniesienia 16 stycznia przez Radę Najwyższą Ententy, blokady Rosji. Ententa z chęcią walczyła z Leninem obcymi rękami, a troska o zwrot długów zaciągniętych jeszcze przez carat zajmowała jej uwagę mocniej niż bolszewicki anty-humanizm. Estonia nie poczuwała się do lojalności wobec Zachodu który dotąd gotowy był w każdej chwili oddać ją w ręce "białych". Na wzajemnym braku zaufania w obozie antybolszewickim bazowali sowieci proponując Estonii traktat pokojowy. Wzajemne interesy przeważyły nad wrogością. Estończycy wiedzieli, że po klęsce Judenicza, w razie zdecydowanej woli

Lenina mogliby się nie oprzeć kolejnemu atakowi Armii Czerwonej. Wycofująca się z konfliktu Wschodniego Ententa miałyby wówczas dla Estonii jedynie zachęty i obietnice. Mimo to, nie chcąc rozdrażniać Ententy początkowo próbowali zawrzeć pokój z ZSSR w ścisłym porozumieniu ze swymi sąsiadami. Już 10 września 1919 r na konferencji w Rydze poinformowali o propozycjach Lenina, delegatów Finlandii, Łotwy i Litwy. Początkowo próbowano koncepcji rozmów z Rosjanami wspólnej delegacji estońsko-fińsko-łotewsko-litewskiej. Jednak brak zgodności co do warunków rozmów potwierdzony na obradach w Tartu /29 IX-1 X/ nie pozwolił na realizację tej idei. Projekt separatystycznego pokoju odrzucała też Polska szykująca się dopiero do konfrontacji z Leninem.

W listopadzie rząd Strandmanna podaje się do dymisji w wyniku referendum ludowego które zdecydowanie odrzuciło rządowy projekt zniesienia religii w szkołach. Nowy rząd obejmuje Jaan Tõnisson. Przystępuje on szybko do podjęcia rozmów pokojowych, zrezygnawszy z współudziału delegacji bałtyckich sąsiadów. Pora jest sprzyjająca. Mimo rozbitcia Judenicza, w momencie wznowienia rozmów Sowietci wciąż jeszcze zagrożeni są działalnością armii Denikina, co prawda znajdującej się już w defensywie ale wciąż groźnej. 5 grudnia 1919 r w Tartu rozpoczynają się rokowania delegacji sowieckich i estońskich. Przygotowaniem do nich były wstępne negocjacje estońskie z przedstawicielem ZSSR, Litwinowem, w Kopenhadze. Negocjacje w Tartu ze strony estońskiej prowadzi J. Piip; z sowieckiej J. Cziczerin. 31 grudnia podpisane zostają preliminaria pokojowe. Na decyzje estońskie nie zdołały wpłynąć przeciwnie traktatowi naciski polskie. Nie znalazły one poparcia na konferencji państw bałtyckich w Helsinkach /15.I.1920 /.

2 lutego 1920 r podpisany zostaje w Tartu sowiecko-estoński traktat pokojowy kończący między oboma państwami stan wojny.

Warto tu zacytować drugi artykuł traktatu, określający stosunek ZSSR do Estonii: "w rezultacie prawa wszystkich narodów do samookreślenia aż do kompletnego oddzielenia się od kraju, którego stanowią część, prawa proklamowanego przez RFSSR, Rosja Sowiecka całkowicie i bez zastrzeżeń uznaje niepodległość i autonomię państwa estońskiego i zrzeka się dobrowolnie i na zawsze wszelkich praw do suwerenności posiadanej przez Rosję nad narodem i terytorium Estonii". Pokój wyznaczał granice państwowe i przyznawał Eston 15 miliardów złotych rubli tytułem odszkodowania. Ustalono też repatriację 40 tys. Estończyków których nowa granica pozostawiłaby w ZSSR. Mimo tej wymiany, na terenie pozostało aż 153 tys. Estończyków. Traktat był ogromnym sukcesem dyplomacji sowieckiej.

x Wojna kosztowała Estonię 2.236 poległych żołnierzy.

Estonia stawała się pierwszym państwem, po kajzerowskich Niemcach, które uznało rząd bolszewicki. Co prawda wcześniej uczynili to w traktacie brzeskim Niemcy, jednak uważano ich powszechnie za sprawców wojny i gwałcicieli prawa, co stawiało ich niemal na równi z kliką Lenina.

Zawarcie pokoju z ZSSR było niewątpliwie precedensem łamiącym zasadę nielegalności władzy bolszewików. Jeśli jednak można było mieć do kogoś pretensje, że wybrał pokój z o wiele silniejszym sąsiadem, przy wyłamaniu się z frontu antybolszewickiego - to nie do małego państwa, które nie mając jasnego poparcia Ententy, nie mogło ryzykować raz już cudem obronionej niepodległości. Sowietzi osiągnęli wyłom w blokadzie, który miał prowadzić do nawiązania stosunków dyplomatycznych z Zachodem. W ciągu 1920 r. Estonia będzie sowieckim "oknem na świat" - przez ten kraj odbywać się będzie tranzyt ZSSR z resztą Europy.

W ramach swej polityki "przeciągania wahających się" ZSSR zawarł osobne traktaty pokojowe 12 czerwca 1920 r. z Litwą i 11 sierpnia 1920 r. z Łotwą.

Na intencje sowieckie przy podpisywaniu traktatu w Tartu można też patrzeć inaczej. Jeśli przyjmemy, że tuż od stycznia 1920 roku, Lenin planował atak na Polskę, dojście do Niemiec a następnie dalszy podbój Europy, to w innym świetle znajdują się daleko idące ustępstwa ZSSR zawarte w traktacie. Idąc tym tokiem myślenia, Lenin łaskawie mógł przyznawać Estonii niepodległość, sądząc, że za parę miesięcy po rozbiciu Polski ZSSR będzie dominował przynajmniej nad środkowo-wschodnią częścią Europy. Wtedy potraktowano by traktat jako "wymuszony" a narodowy rząd Tõnissona nie przetrwałby doby. Tezę taką mogłyby potwierdzić traktaty pokojowe zawarte z Litwą i Łotwą. Zawierane były w szczytowym momencie sukcesów Armii Czerwonej - w sytuacji gdy Tuchaczewski całkiem realnie rozważał zajęcie Europy Zachodniej.

Tak czy inaczej, polskie zwycięstwo pod Warszawą, odsuwając groźbę sowieckiej hegemonii na wschodzie, było dla Estonii korzystne. 15 czerwca 1920 r. kraj otrzymał uchwaloną przez parlament pełną konstytucję. Weszła ona w życie 1 grudnia. Estonia była krajem stosunkowo jednolitym narodowościowo /87,7% Estów/. Mniejszościami /8,2% Rosjan, 1,7% Niemców, 2,4% inne narodowości/ przyznano szeroki samorząd kulturalny. 21 stycznia 1921 decyzją Rady Najwyższej Ententy zostaje uznana de iure przez Francję, Wielką Brytanię i Włochy. Na uznanie USA wciąż uznających całość terytorialną Rosji przyjdzie poczekać do 1922 roku. Wreszcie 22 września 1921 r. kraj przyjęty zostaje do Ligi Narodów.

Rok 1921 przynosi też rozwiązanie sporu granicznego z Łotwą o miasto Wałk - mediacja angielskiego prof. Simpsona dzieli je na dwie części. Stosunki z Łotwą pozostaną dobre, co zaowocuje w 1923 r. przymierzem zaczepno-obronnym. Rozwija się handel z

Anglią, Niemcami i ZSSR. Sukcesy odnosi ruch spółdzielczy, skupiając w kooperatywach 28% ludności. Swe niedostatki ukazuje system parlamentarny. Rządy oparte na koalicjach rządowych są niestabilne. W parlamencie przewagę wciąż mają ugrupowania socjalistyczne i ludowe. Niestabilność polityczna spowoduje, że w latach 1920-1934 sfornowanych zostanie aż 20 kolejnych gabinetów rządowych. Najgroźniejszym zjawiskiem dla młodej republiki są jednak intrygi sowieckie, których traktat w Tartu nie zakończył. Trwa podziemna działalność komunistów estońskich. Mimo aresztowania i stracenia przywódcy Komunistycznej Partii Estonii - V. Kingiseppa^x, jego robotę przejmuje przysłany z ZSSR, znany nam już J. Aarvelt.

W styczniu 1924 roku minister spraw zagranicznych Estonii K. Einbund oskarża poselstwo ZSSR w Tallinie o montowanie akcji wywrotowej. W mieszkaniach komunistów, policja znajduje składy broni. Latem 1924 rodzi się myśl o zbrojnym powstaniu komunistycznym, pod hasłem przyłączenia do ZSSR. Od jesieni szef Kominternu, Zinowiew rozpoczyna przygotowania do akcji. Wg świadectwa zbiegłego na Zachód agenta NKWD, W. Kriwickiego, sowiecki wywiad skierował wówczas do Tallina 60 swoich agentów. Od listopada komuniści przygotowują zbrojne grupy. Ranem 1 grudnia wybucha pucz skierowany przez agentów przemycanych tuż przed akcją z ZSSR i tych którzy przebywali tu już wcześniej pod pozorem pracy w sowieckiej bazie tranzytowej w porcie tallińskim. Komuniści zajmują lotnisko wojskowe, stację kolejową, główną pocztę, parę ministerstw i niektóre komisariaty policji. W pobliże portu tallińskiego podpływają okręty ZSSR, które w wypadku sukcesu powstańców miały wysadzić desant.

Przeciwdziałanie wojska i policji jest szybkie. Na czele oddziałów stanął ponownie gen. Laidoner, wyposażony w dyktatorskie uprawnienia przez parlament. W ciągu 6 godzin akcja komunistów zostaje sparaliżowana. Zagrożony kraj powołuje rząd koalicyjny grupujący zdecydowaną większość partii politycznych. Ma to być demonstracją woli obrony niepodległości kraju. Komunistyczna Partia Estonii zostaje zdelegalizowana, zaś jej siły są doszczętnie rozbite na długi czas. Klęska puczu z 1924 roku kończy okres walki o umocnienie estońskiej niepodległości. Przez następne 16 lat będzie ona niezagrożona. Rozwinie się demokracja, która mimo tendencji autorytarnych pozytywnie wyróżni ten kraj

^x W odpowiedzi na stracenie Kingiseppa, sowieci demonstracyjnie ochrzczili jego nazwiskiem najbliższe granice miasto Jamburg.

od pozostałych republik bałtyckich. Cechująca Estończyków wysoka kultura społeczno-polityczna przypominała kraje skandynawskie. Ostro kontrastowało to z nacjonalistycznymi tendencjami na Łotwie, a w szczególności z patologicznym wręcz szowinizmem Litwy Kowieńskiej.

EPILOG

Gdy w czerwcu 1940 roku do Estonii wkroczyła Armia Czerwona i NKWD, anektując na polecenie Stalina kraj, sowieci szybko dali dowód, że nie zapomnieli o swej klęsce z przełomu 1918/1919 roku. Nadszedł czas zemsty NKWD. Dowódca zwycięskiej kontrofensywy gen. Laidoner niezwłocznie został aresztowany i zesłany do syberyjskich łagrów, gdzie zmarł w 1953 roku.

Szef rządu z okresu "godziny 0" Konstantin Päts, pełniący do lipca 1940 r. funkcję prezydenta kraju, również zesłany na Sybir zmarł tam w 1956 r./źródła Litewskie podają że zmarł na zesłaniu w Ufie w 1943 roku/. Nie wybaczone też negocjacji z Tartu. Szef estońskiej delegacji Piip, który podpisywał pokój z lutego 1920 r. również zamęczony został w podobiegunowym łagrze.

Ponury kaprys losu sprawił, że inny wielki aktor rozgrywki z grudnia 1918 r. - Jaan Anvelt, który wraz z Armią Czerwoną parł wówczas na Tallin by ustanowić tam sowiecki rząd - nie doczekał zagłady swych "burżuazyjnych" adwersarzy. Niestety zginął rozstrzelany 3 lata wcześniej. Również aresztowany przez NKWD, tyle że w ramach wielkiej czystki 1937 roku.

Jacek Opolski

MAREK RUSAKIEWICZ

PRZYCZYNY I SKUTKI PROCESU
REEMIGRACJI UKRAIŃCÓW NA TERENY
POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ POLSKI

/ze szczególnym uwzględnieniem miasta Przemysła/

Praca przedstawiona na II Sesji Naukowej na temat "Ukraińcy w Polsce. Z badań socjologicznych w Przemyslu", zorganizowanej w grudniu 1986 roku przez Naukowe Koło Socjologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Materiały z tej sesji zostały powielone tylko "do użytku wewnętrznego". Referat M. Rusakiewicza publikujemy bez wiedzy i zgody autora.

W tekście dokonaliśmy skrótów polegających przede wszystkim na usunięciu pierwszych, teoretycznych paragrafów oraz części przypisów /red./.

POLITYKA WŁADZ PAŃSTWOWYCH PRL WOBEC MNIEJSZOŚCI
UKRAIŃSKIEJ W LATACH 1944-1957

Działania władz państwowych PRL miały znaczący wpływ na decyzje Ukraińców o powrotach. Okres, o którym mowa, rozpoczyna rok 1944, kiedy to na terenach południowo-wschodniej Polski nie było już Niemców, a władzę przejmowali komuniści i kończy go rok 1957 - rok, w którym podjęto decyzję zezwalającą Ukraińcom na powrót na swoje ziemie. Ta właśnie decyzja stała się bezpośrednią przyczyną rozpoczynającego się procesu reemigracji. Próby powrotu zdarzały się także wcześniej, ale wydaje się, że były one nieliczne, gdyż istniał oficjalny zakaz osiedlania się Ukraińców na tych terenach. Osoby, które próbowały go złamać, zwłaszcza w pierwszych latach po przesiedleniu, spotykały sankcje prawne, np. osadzenie w obozie pracy przymusowej w Jaworznie.

Władze PRL dążyły do likwidacji problemu mniejszości narodowych, w tym też mniejszości ukraińskiej. 27 lipca 1944 roku PKWN zawarł z rządem ZSSR porozumienie, na mocy którego wschod-

nie obszary należące przed wojną do Rzeczypospolitej zostały przyłączone do republik radzieckich. Na terytorium Polski pozostało około 700 tys. Ukraińców /niektórzy podają znacznie większą liczbę ponad 1 mln./. Przed wojną w Rzeczypospolitej Polskiej było ich około 5,5 mln. 9 września 1944 r. zawarto umowę z USSR o przesiedleniach, na mocy której Ukraińcy mogli opuszczać Polskę i udawać się do Ukrainy Radzieckiej, a Polacy zamieszkałi na Ukrainie mieli prawo przyjazdu do Polski. Migracje te zostały zakończone w połowie 1946 r. Do tego czasu PRL opuściło około 482 tys. obywateli polskich narodowości ukraińskiej; znaczna ich część znalazła się na Syberii bądź w Kazachstanie. W Polsce pozostało ponad 200 tys. Ukraińców.

W 1946 roku podjęto próbę likwidacji Cerkwi greckokatolickiej, którą już wcześniej rozpoczęto w ZSSR. W nocy z 11 na 12 kwietnia 1945 roku aresztowano metropolitę J. Slipyja i 4 biskupów: M. Budkę, M. Czarnieckiego, H. Chomyszyna oraz I. Łotyszewskiego. W marcu 1946 roku skazano ich: Chomyszyna na 10 lat katorgi, Slipyja, Budkę i Łotyszewskiego na 8, zaś Czarnieckiego na 5 lat.

W innym czasie następują aresztowania i procesy pozostałych biskupów. Ordynariusza diecezji przemyskiej biskupa J. Kocyłowskiego aresztowano 25 czerwca 1946 r., a jego wikariusza H. Łakotę - 26 czerwca 1946 roku w Przemysłu.

Dokonały tego polskie organa bezpieczeństwa publicznego i przekazały władzom radzieckim. Proces likwidacji Cerkwi zakończono w marcu 1946 roku na tzw. pseudosynodzie lwowskim, na mocy którego zniesiono Unię Brzeską i włączono Cerkiew greckokatlicką do Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Decyzja tego "soboru" obowiązywała w PRL, CSRS i w innych krajach socjalistycznych.

Po likwidacji Cerkwi greckokatolickiej w ZSSR różne były losy duchownych tego obrządku: około 30 procent przeszło na prawosławie, 50 procent uwięziono lub deportowano, 10 procent za zgodą biskupów udało się na emigrację oraz tyleż samo zaczęło działać nielegalnie tworząc Kościoły katakumb.

Lata powojenne to okres działalności na południowym wschodzie Polski Ukraińskiej Powstańczej Armii - UPA, która powstała w roku 1942, a skupiała tu wówczas ponad 2500 partyzantów. Głównym jej celem była walka o niepodległą Ukrainę. Partyzantów walczących w UPA zwykło się określać w Polsce mianem *bandytów*. Nie wydaje się to być słuszne. Oczywiście nie należy kwestionować opinii o brutalnych działaniach tej partyzantki, gdyż znajduje ona potwierdzenie w faktach, np. na Rzeszowszczyźnie od stycznia do maja 1945 roku zginęło z rąk UPA 458 osób. Ale jednocześnie należy pamiętać, że walki te toczyły się na terenach z znacznej mierze zamieszkałych przez ludność ukraińską i uznawanych przez nią za swoje. Ukraińcy obawiali się ujarznienia ich przez Pola-

ków, mając ciągle w pamięci wielowiekowe doświadczenia swoich przodków. Partyzantka ukraińska walczyła nie tylko z wojskiem polskim, ale także mordowała ludność cywilną, zwłaszcza podczas II wojny światowej. Powstaje jednak pytanie - dlaczego tak się działo? Odpowiedź na nie można znaleźć studiując historię stosunków polsko-ukraińskich. Władcy Rzeczypospolitej, od czasów Kozaczyzny począwszy a na okresie międzywojennym skończywszy, nie zrobili prawie nic, aby zbliżyć te dwa narody. Wiele natomiast zła doznali Ukraińcy od Polaków, co powodowało wzrost nienawistnych uczuć względem *Lachów*. Na okres wojny i lata powojenne przypadła ich eksplozja.

28 marca 1947 roku zginął w zasadzce pod Jabłonką wiceminister obrony narodowej, gen. Karol Świerczewski /"Walter"/. W dniu 1 kwietnia 1947 roku w tym samym miejscu dokonano napadu na grupę manewrową WOP, w wyniku którego zginęło 28 polskich żołnierzy. Te dwa wydarzenia stały się bezpośrednią przyczyną powołania grupy operacyjnej *Wisła* /"W"/, która przeprowadziła akcję pod tym samym kryptonimem. W ramach akcji "W" przesiedlono na Ziemię Zachodnie i Północne ponad 150 tys. Ukraińców /niektórzy mówią nawet o 300 tys./. To właśnie ta ludność będzie podejmowała próby powrotów. Z niej będą pochodzić przyszli emigranci.

27 lipca 1949 roku wydano dekret o przejściu na własność państwa nieruchomości w niektórych powiatach województwa rzeszowskiego, lubelskiego, białostockiego i krakowskiego, nie pozostających w faktycznym władaniu prywatnych właścicieli. /Dz.U.RP. nr 46, poz. 339 z dnia 27 lipca 1949 r/, czyli na terenach, skąd wysiedlono Ukraińców. Na tej podstawie utracili oni wszelkie możliwości roszczeń o zwrot budynków pozacerkiewnych, eksponatów ukraińskich muzeów w Przemyślu /"Strywihor"/ i Sanoku, pomieszczeń byłych towarzystw kulturalno-oświatowych "Proświta" itp. Ponadto już wcześniej przejęto na własność 4 budynki cerkiewne w Przemyślu oraz były pałac biskupów przemyskich, gmach seminarium duchownego i wiele innych obiektów stanowiących własność Kościoła greckokatolickiego, instytucji kulturalnych i spółdzielczych. Ustawa z lipca 1949 roku stanowiła regulację prawną dla tych poczynań.

Od roku 1952 władze PRL deklarują chęć naprawy krzywd wyrządzonych ludności ukraińskiej. Owe deklaracje często niestety miały charakter jedynie werbalny i nie pociągały za sobą konkretnych działań. W 1952 roku Biuro Polityczne KC PZPR wydało uchwałę w sprawie ludności ukraińskiej, wskazującą na konieczność rozwijania szkolnictwa ukraińskiego i udzielania pomocy gospodarczej chłopom ukraińskim na ziemiach zachodnich. W 1955 r. Sekretariat KC PZPR wydał list w sprawie środków zmierzających do poprawienia warunków życia ludności ukraińskiej.

W lipcu 1956 roku VII Plenum KC PZPR wydało uchwałę głoszącą, iż partia musi zwalczać wszelkie przejawy dyskryminacji obywateli niepolskiej narodowości, zapewnić im rzeczywistą równość, *dopilnować naprawienia wszelkich krzywd, które naprawić w tej dziedzinie można*. W tym samym roku Prezydium Rządu wydaje uchwałę nr 260 o pomocy ekonomicznej dla ludności ukraińskiej. W tym też roku zezwala się Ukraińcom na wznowienie działalności kulturalnej. W czerwcu 1956 r. powstaje Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne - USKT, z Zarządem Głównym w Warszawie, pięciana oddziałami wojewódzkimi /Olsztyn, Gdańsk, Koszalin, Szczecin, Wrocław/, trzydziestoma powiatowymi i ponad 200 kołami skupiającymi około 5 do 7 tys. członków. Organem prasowym USKT jest *Nasze Słowo* /z kolumną tematyczną/ wraz z dodatkami: literacko-naukowym *Nasza Kultura* i dziecięcym *Switanok*. Rozpoczynają wówczas swą działalność zespoły amatorskie, instrumentalno-wokalne, chóry, grupy taneczne, kapele ludowe itp. W przemyśle koło USKT dość szybko osiągnęło liczbę 1000 członków /obecnie liczy 500 osób/. USKT otrzymuje niewielkie w stosunku do potrzeb dotacje z ministerstwa spraw wewnętrznych, któremu - podobnie jak organizacje innych mniejszości narodowych w Polsce - bezpośrednio podlega. Inne źródła finansowania, niezbędne dla działalności Towarzystwa, stanowią fundusze społeczne.

W kwietniu 1957 roku Sekretariat KC PZPR wydaje uchwałę w sprawie ludności ukraińskiej i niemieckiej, dotyczącą m.in. stabilizacji Ukraińców na Ziemiach Zachodnich i możliwości powrotów stamtąd do nie zajętych gospodarstw na wschodnich i południowo-wschodnich terenach Polski. Oznaczało to, przynajmniej teoretycznie, możliwość powrotu Ukraińców na obszary dawniej przez nich zamieszkałe.

AKCJA "WISŁA" I JEJ SKUTKI

Po zakończeniu II wojny światowej władze PRL chcąc "rozprawić się" z ukraińską partyzantką wystawiły przeciwko niej siły zbrojne wielokrotnie przewyższające ją liczebnie i o wiele lepiej uzbrojone. 5 kwietnia 1946 r. utworzono Grupę Operacyjną "Rzeszów", której podporządkowano 8 i 9 Dywizję Piechoty oraz jednostki terenowe UB, MO, WOPⁿⁱ i KBW. 31 października 1946 r. GO "Rzeszów" rozwiązano. W tym okresie /od kwietnia do października 1946 r./ straty UPA wyniosły 910 zabitych i ponad 1000 ujętych lub zatrzymanych jako osoby podejrzane. Działalność UPA coraz bardziej słabła. Mimo to postanowiono podjąć zdecydowane działania. Na mocy Zarządzenia nr 00 189/III z 17 kwietnia 1947 r. Państwowego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego oraz rozkazu Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego postanowiono przeprowadzić na południowym wscho-

dzie Polski akcję "Wisła".

24 kwietnia 1947 roku Rada Ministrów podjęła uchwałę o rozpoczęciu akcji "Wisła". Jako główną przyczynę jej przeprowadzenia podaje się po dziś dzień chęć *likwidacji band*; np. w uchwale KC PZPR z 1957 roku czytamy: *Należy wyjaśnić ludności ukraińskiej, że jej przesiedlenie w latach powojennych z południowo-wschodniej części kraju nastąpiło w warunkach, gdy nacjonalistyczne podziemie, bandy UPA prowadziły zbrojną walkę dywersyjną przeciw władzy ludowej. Szczególnie ciężkie warunki walki z bandami UPA dyktowały konieczność przesiedlenia ludności z terenów objętych dywersją.*

Czy rzeczywiście akcja "Wisła" była koniecznym działaniem militarnym, czy też miała raczej charakter represyjny? Czy nie można było inaczej pokierować walką z ukraińską partyzantką? Te oraz inne pytania stawiano w dyskusjach toczących się nad tymi zagadnieniami. Jakikolwiek by nie były odpowiedzi na nie, faktem pozostaje, że Ukraińcy i Łemkowie odczuli przesiedlenie jako bardzo krzywdzące. I to także miało swój wpływ na podejmowanie decyzji o powrocie.

Przesiedlenie ludności odbywało się w dwu etapach:

Etap I - objął całkowitą ewakuację rejonu Sanoka i przyległych obszarów od zachodu i północy oraz równoległą ewakuację wschodnich powiatów województwa lubelskiego;

Etap II - objął ewakuację rejonu Przemyśla i Lubaczowa oraz terenów w województwie krakowskim, a szczególnie obszaru położonego między Wisłokiem a Nowym Sączem.

Przymusowe przesiedlanie ludności odbywało się na podstawie kryterium etnicznego, a nie w oparciu o stwierdzenie udziału w działalności UPA. W czasie trwania całej akcji "Wisła" /od kwietnia do lipca 1947 r./ "na ogromnym obszarze od Lublina po Nowy Sącz, a nawet dalej na zachód, w której było zaangażowanych 17350 żołnierzy i funkcjonariuszy MO *unieszkodliwiono* 1509 członków UPA, choć do tej cyfry można mieć zastrzeżenia. Czasem fakt, że w domu były ukraińskie książki czy gazety, wystarczał, by zostać zaliczonym do UPA."

Pierwsze transporty przesiedleńcze wyruszyły 29 kwietnia 1947 roku z powiatu sanockiego, a ostatnie - w końcu lipca. Tylko nielicznym udało się uniknąć przesiedlenia. Przykładem może tu być ludność łemkowska zamieszkująca wieś Olechowiec, której miejscowy ksiądz rzymskokatolicki wydał zaświadczenie o chrzcie.

Ludność ewakuowano pod nadzorem wojska i milicji. Przesiedleńcy nie wiedzieli dokąd jada i jak długo potrwa podróż. Akcja "Wisła" była przeprowadzona wówczas, gdy zasiedlanie Ziemi Oczyszczonych było już zakończone, toteż przesiedleńcom przydzielano budynki i grunty w bardzo złym stanie. Budynki były w dużej mierze

zdevastowane. Na jedną izbę przypadała znaczna ilość osób. Ziemie, które otrzymali od wielu lat leżały odłogiem. Ukraińców osiedlano według następujących dyrektyw: rodziny, o których wydano opinię negatywną, miały być osiedlone pojedynczo, pozostałe zaś rodziny mogły być lokowane w większych grupach; nie należało tworzyć skupisk przekraczających 10 procent ogółu ludności. Skutkiem tego było ogromne rozproszenie ludności ukraińskiej.

Akcja przesiedleńcza została przeprowadzona szybko, a transporty przybywały do zachodnich województw w bardzo złym stanie. Sprawozdanie Wojewódzkiego Urzędu Repatriacyjnego w Szczecinie stwierdzało: "Transporty objęte akcją "W" przybyły w stanie opłakanym. Stwierdzono ogólną wszawicę, owrzodzenie i świerzb. Żywność na wyczerpaniu".

Ludność ukraińska i Łemkowska odczuła przesiedlenie jako bardzo krzywdzące. Świadczą o tym wywiady przeprowadzone w Przemysłu /.../ Jeden z respondentów tak opisuje obraz przesiedlenia: "... 4 rodziny umieszczone w jednym wagonie towarowym, transporty szły przez Oświęcim na łagier i dopiero na zachód. Bydło pędzono 60 km i dopiero z Przeworska transportowano koleją. Moja matka szła pieszo. To nie jest do opowiedzenia, co to były za czasy" /65-letni mieszkaniec Przemysłu/.

Po przybyciu na Ziemie Odzyskane Ukraińcy i Łemkowie zostali przyjęci nieprzyjaźnie, a czasami nawet wrogo, np. zdarzały się przypadki gdy grupy mieszkańców przybywały na stacje kolejowe, by nie dopuścić do wyładowania transportu i skłonić obsługę pociągu do odjazdu do innej miejscowości. Różny był też stosunek lokalnych władz do przybyszów. Istotne wydaje się zapoznanie z tym, jak przesiedleńcy uważali, że zostali przyjęci, gdyż mogło to mieć później duży wpływ na podjęcie decyzji o reemigracji. Zdecydowana większość Łemków, a i Ukraińców zapewne też, uważała, że została przyjęta źle. Na 50 Łemków, którzy udzielili odpowiedzi na pytanie dotyczące stosunku ludności miejscowej do nowo przybłych, 44 sądziło, że Łemkowie zostali przyjęci źle. Oczywiście duży wpływ na takie poglądy miał stosunek osadników do Ukraińców i Łemków. Pamiętać należy, że byli to przede wszystkim przesiedleńcy *zsa Buga*, którzy niemało krzywd doznali od Ukraińców. To właśnie im Ukrainiec kojarzył się ze wszystkim co najgorsze /"faszystowski terrorysta", "bandyta", "banderowiec", "upowiec" /. Taka napięta sytuacja trwała na ogół co najmniej przez kilka pierwszych lat.

Trudności w adaptacji pogłębiały ponadto różnice klimatyczne. Ukraińcy i Łemkowie zostali przeniesieni z terenów górzystych, a zostali osiedleni na terenach nizinnych, gdzie powietrze było znacznie bardziej wilgotne. Oderwanie ich od ojczyzny lokalnej

powodowało uczucie nostalgii za rodzinnymi stronami. Pobyt na Ziemiach Odzyskanych traktowali jako tymczasowy. Zdecydowana większość pragnęła w początkowym okresie powrócić na swoje ziemie. W miejscu przesiedlenia czuli się nieswojo, jak obywatele "drugiej kategorii".

Zgodnie z zarządzeniem z dnia 31 lipca 1947 roku ministra Ziemi Odzyskanych aparat administracji państwowej miał udzielać w miarę możliwości środków pomocy materialnej /materiały budowlane, kredyty inwestycyjne, pożyczki, bezzwrotne zapomogi, żywność, odzież i sprzęt domowy/. Osiedleńcy nie chcieli korzystać z tej pomocy. Odpowiedź na pytanie - dlaczego? - znajdujemy w jednym z opracowań poświęconych mniejszościom narodowym w województwie zielonogórskim: *"Były jednak wśród osadników ukraińskich jednostki, które nie chciały, mimo potrzeby, korzystać z tej pomocy czy też kredytów, szczególnie wypadki takie istniały w powiatach: Swiebodzin, Kozuchów, Skwierzyna i innych. Niektórzy z Ukraińców odrzucając wszelkie stawiane im propozycje w zakresie zasiłków i kredytów na remonty budynków mieszkalnych i gospodarczych motywowali to tym, że znajdują się tutaj tymczasowo i czekają na powrót do poprzedniego miejsca zamieszkania"*.

Państwo ofiarowało w tym czasie Ukraińcom i Łemkom otrzymanie praw własności do ziem uzyskanych za zachodzie w zamian za grunty pozostawione w górach. Propozycje te zostały zdecydowanie odrzucone. Obserwuje się w tym okresie aktywność gospodarczą przesiedleńców, której celem jest zgromadzenie pewnych oszczędności na wypadek możliwości powrotu.

O silnym pragnieniu powrotu w strony rodzinne świadczą opinie Ukraińców dotyczące ich warunków życia, które w latach 1950-tych uległy poprawie. Mimo tego oceniali je, nawet pod koniec lat 1950-tych, bardzo krytycznie. W tym czasie demonstrowali oni niezadowolenie zarówno ze stosunku władz i ludności do nich, jak i z warunków bytowych, gorszych - według ich opinii - zarówno od tych, jakie mieli w Karpatach, jak i od tych, które są udziałem innych osadników.

O tym jak wielkie było pragnienie powrotu do ojczystych ziem świadczą zbiorowe petycje zbierane w tej sprawie przez Ukraińców w latach 1956-1957.

Przesiedlenie ludności ukraińskiej nie było jedynym skutkiem akcji "Wisła". Przyczyniła się ona również do ostatecznego rozbicia ukraińskiej partyzantki. Później co prawda można było zauważyć pewne działania grup partyzantów, ale stanowiły one raczej sporadyczne przypadki. Innym następstwem akcji "W" było odebranie na stałe nieruchomości oraz ziem należących do Ukraińców i Łemków na terenach skąd zostali przeniesieni. Ziemie te zasiedliła

ludność polska, ale pewna część wsi stała się martwa /przestała istnieć/. Skutkiem akcji "W" było również niszczenie ukraińskiej kultury.

W trakcie przesiedlenia, w 1947 r., utworzono w Jaworznie Centralny Obóz Pracy, w którym do 1956 roku przetrzymywano około 2 tys. Ukraińców i Łemków. 1/4 więzionych stanowiły kobiety, w tym również ciężarne i z dziećmi. Znalazło się w nim także 25-duchownych grecko-katolickich i prawosławnych. Zamierzano tam przetrzymywać tych, którzy należeli bądź współpracowali z UPA i OUN. Praktyka czasami wyglądała inaczej. Np. Łemko - Teodor Dziamba wyszedł z książeczką do nabożeństwa do lasu, by pomodlić się - został zatrzymany i osadzony w Jaworznie, gdzie przebywał trzy lata bez wyroku. W Jaworznie osadzano również tych, którzy próbowali nielegalnie wracać na swoje tereny.

Akcja "Wisła" i jej następstwa dla wszystkich Ukraińców były przeżyciem bardzo bolesnym. Siłą zmuszeni do zamieszkania na zupełnie nieznanym i obcym dla nich obszarze, gdzie na ogół przyjęto ich źle, marzyli tylko o jednym - powrocie do swojej ojczyzny.

Najbardziej odczuli jako krzywdzącą akcję "W" Łemkowie. Przesiedleniu podlegała nawet ludność tych terenów Łemkowszczyzny, na których oddziały UPA nigdy nie działały. Łemkowie byli na ogół przeciwnikami działania ukraińskiej partyzantki. To właśnie wśród Łemków bardzo silne były wpływy PPR. Wielu z nich działało w oddziałach GL, AL i w partyzantce radzieckiej. To właśnie wśród Łemków w latach 1942-1943 ukrywał się Władysław Gomułka /w domu Michała Dońskiego/.

Jedna z osadniczek łemkowskich tak wspomina dni po przesiedleniu: *Pierwsze tygodnie naszego pobytu bardzo, bardzo smutne i przykre. Jak my tam strasznie płakali, aż echo po lesie oddawało.*

POWROTY UKRAIŃCÓW W REJONY POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ CZĘŚCI POLSKI

Ukraińców i Łemków przesiedlono do 9 byłych województw: olsztyńskiego, koszalińskiego, szczecińskiego, gdańskiego, zielonogórskiego, poznańskiego, wrocławskiego, opolskiego i białostockiego /najwięcej do województw: olsztyńskiego, koszalińskiego, wrocławskiego i szczecińskiego/. Ilu z nich wróciło na tereny południowo-wschodniej Polski - nie wiemy. Faktem jest, że wracali i wracają nadal.

Jak zostało wcześniej wspomniane, uchwała Sekretariatu KC PZPR z kwietnia 1967 r. stwarzała teoretycznie możliwość powrotu. A jak to wyglądało w rzeczywistości?

Przed wszystkim należy podkreślić, że Ukraińcy i Łemkowie

mogli wracać tylko na te gospodarstwa, które nie były zajęte przez ludność polską /a takich było już wówczas niewiele/. Stanowiło to pierwsze i zasadnicze ograniczenie możliwości powrotu, ale nie jedyne. Nie wszystkich bowiem stać było na to, aby wykupić swe dawne gospodarstwa bądź w ogóle gospodarstwa w południowo-wschodniej Polsce. Polacy, którzy osiedlili się tutaj, na ogół zdążyli już się przyzwyczaić do nowych warunków i nie chcieli stąd emigrować, czy też sprzedawać swoich domostw i gospodarstw /co na ogół oznaczać mogło emigrację/. Oczywiście nie bez znaczenia był i jest w tym wypadku ogólnopolski problem mieszkaniowy. Na to wszystko nakładały się ponadto praktyki administracyjne utrudniające osiedlanie się reemigrantów. W województwach przemyskim i krośnieńskim obowiązywał aż do 1981 r. zakaz nabywania nieruchomości przez osoby narodowości ukraińskiej przybywające z ziem zachodnich i północnych. 6 listopada 1980 r. Ukraińcy ze Szczecina wystosowali w tej sprawie pismo do władz najwyższych PRL, podpisane przez przewodniczącego UTS-Ź w Szczecinie - Jana Waškowa, domagające się m.in. przeciwdziałania "praktykom administracji lokalnej w województwach południowo-wschodnich, dyskryminującym obywateli narodowości ukraińskiej przy zakupie nieruchomości oraz zameldowaniu".

Znane są również przykłady odmowy zatrudnienia. Nauczyciel z wyższym wykształceniem i wieloletnim stażem od 1965 r. przez 5 lat czynił starania, aby otrzymać pracę w szkolnictwie - bez skutku. Początkowo chciano go przyjąć, gdyż w tym czasie w województwie przemyskim /jak i w całej Polsce/ brakowało nauczycieli, ale gdy wypełnił podanie, w którym należało wpisać narodowość, odpowiedź była zdecydowanie odmowna. Dopiero w 1970 r. udało mu się znaleźć pracę. Zatrudnił się jako wychowawca w Zakładzie Poprawczym w okolicy Przemysła. Kłopoty ze znalezieniem pracy miała także jego żona /również nauczycielka z wyższym wykształceniem/. Otrzymała ją dopiero po interwencji redakcji "Naszego Słowa", do której zwrócił się jej mąż. Zaoferowano jej wówczas pracę w szkole odległej 36 km od Przemysła /w tym 6 km trzeba było iść piechotą/, którą podjęła mimo tego, iż była w zaawansowanej ciąży. Przykładów takich można byłoby wymieniać wiele.

Znaczna część Ukraińców i Łemków nie wróciła. Poza wymienionymi już wcześniej czynnikami wpływ na taką sytuację miał po prostu upływ czasu. Mijały lata, ludzie coraz bardziej przyzwyczajali się do nowych warunków. Po okresie izolacji następowały kontakty społeczne Polaków z Ukraińcami. Dochodziło do coraz lepszego współżycia sąsiedzkiego. Nie można tu pomijać wpływu szkoły, w której dzieci ukraińskie uczyły się razem z polskimi. Powstawały małżeństwa mieszane. Polepszały się też z biegiem czasu warunki

materialne ukraińskich rodzin. Coraz większa liczba rodzin składa karty przesiedleńcze z wnioskiem o uregulowanie rekompensaty za pozostawione mienie.

W celu hamowania procesu reemigracji władze podjęły na Ziemiach Odzyskanych szereg działań. Udzielano zapomóg, pożyczek, kredytów, przydzielano ziemię, stworzono również na tych terenach możliwości działalności kulturalnej i nauki języka ukraińskiego dla dzieci i młodzieży.

Mimo wszelkich utrudnień następowały liczne powroty Ukraińców do województw w południowo-wschodniej Polsce. Niestety brak jest kompletnych danych statystycznych, ukazujących ilościowe aspekty reemigracji Ukraińców i Łemków. Istnieją pewne dane dotyczące Łemków, do których jednak należy podchodzić z dużą ostrożnością, jak zresztą do wszystkich liczb związanych z opisem mniejszości ukraińskiej.

Prof. A. Kwilecki w pracy *Łemkowie. Zagadnienie migracji i asymilacji* podaje liczbę 2 tys. Łemków, którzy wrócili w latach 1956 - 1958 do dawnych wsi. Najwięcej Łemków przyjął powiat gorlicki. W 1957 r. wróciło 350 rodzin (około 1,5 tys. osób). W następnym roku, 1958, osiedlonych zostało w tym powiecie dalsze ok. 150 rodzin. /.../ Największy odsetek ludności łemkowskiej zanotowano w 1960 r. w gromadzie Wysowa: 39,4%. W jednym wypadku Łemkowie zasiedlili ponownie zwartą grupą całą opuszczoną wieś: Wołowiec. W pięciu miejscowościach - Bartne, Blechmarka, Bielanka, Konieczna i Kuńkowa - reemigranci łemkowscy stanowili większość wsi. /.../ Reemigranci z województw zachodnich osiedlali się z reguły w swoich starych wsiach na łemkowszczyźnie. Powracano głównie do wsi najstabiliej zasiedlonych przez ludność polską.

Ukraińcy i Łemkowie wracali także do miast. Najwięcej wróciło ich do Przemyśla. Obecnie szacuje się liczbę Ukraińców w Przemyślu na 2 do 3 tys. /niektórzy podają nawet liczbę 5 tys./, zaś w Przemyślu i okolicach od 13 do 15 tys. Chodzi tu o Ukraińców, którzy się do tego przyznają. Są też ludzie, którzy pochodzą z rodzin ukraińskich bądź mieszanych /w rodzinach mieszanych narodowość ustalało w następujący sposób - syn miał taką narodowość jak ojciec, a córka taką jak matka/, a uważają się za Polaków. Takich ludzi Ukraińcy określają mianem *Perekińczyk*, co oznacza człowieka pochodzenia ukraińskiego, a deklarującego narodowość polską. Ilu ich jest w Przemyślu - na to pytanie nie da się odpowiedzieć. Spotkać można szacunki od 15% do 80% ogółu mieszkańców Przemyśla.

Przed przesiedleniem, w 1945 r., ludność Przemyśla wynosiła 28 144 mieszkańców, w tym 3 372 Ukraińców. Ilu z nich zostało po akcji "W" nie wiemy. Wielu Ukraińców wraca do Przemyśla. Oto co

na ten temat mówią niektórzy mieszkańcy Przemysła, z którymi przeprowadzono wywiady:

...obecnie Ukraińcy wracają - wykupują domy gdzie tylko można. Wracają nawet na ziemie nieurodzajne - Łemkowszczyznę. Wykupują nawet rudery; ten trend trwa od wielu lat /ksiądz rzymsko-katolicki/.

...w chwili obecnej /.../ wzrasta tendencja napływowa - przyjeżdżając z Ziemi Zachodnich i w Przemysłu osiedlają się przede wszystkim w dzielnicy "Wysokie Góry" /członek Towarzystwa Przyjaciół Przemysła/.

...dużo Ukraińców wraca, wykupują stare kamienice /prawnik/.

Podobne opinie wyraziło więcej naszych respondentów. W Przemysłu obecnie spotkać można Ukraińców wszędzie, jednakże wydaje się, iż istnieją dwa główne ich skupiska: na Wilczu - mieszkają w starych domach przeważnie jednorodzinnych i w nowej willowej dzielnicy "Wysokie Góry". Najprawdopodobniej większość z nich przybyła tu z Ziemi Zachodnich i Północnych. Co najmniej 23 badanych spośród 50 musiało powrócić z tych terenów, co wynika pośrednio z wywiadów z nimi przeprowadzonych. Najprawdopodobniej liczba ta jest niepełna, gdyż nie było bezpośrednio zadanego pytania o powrót z Ziemi Odzyskanych. Jedna respondentka wróciła do Przemysła z zesłania w Workucie, a jeden respondent wrócił do Przemysła po 9 latach więzienia. Oba te przypadki świadczą o tym, iż powroty Ukraińców mogły następować nie tylko z terenów, na które ich przesiedlono. Jednakże te i inne rodzaje reemigracji nas tu nie interesują. Z pewnością stanowiły one znikomą część całkowitej liczby powrotów.

MNIEJSZOŚĆ UKRAIŃSKA W POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ POLSCE PO ROKU 1957

Wiele następstw pociągnęła za sobą pierwsza fala reemigracji w końcu lat 50-tych i na początku 60-tych. Jednym z nich było zjawisko odpływu Polaków z wiosek, gdzie osiedlały się większe grupy ludności ukraińskiej. Przyczyną tej ucieczki Polaków były konflikty powstałe na tle prawa własności do poszczególnych gospodarstw, a także konflikty na tle religijnym /zwłaszcza między prawosławnymi a wyznawcami obrządku rzymskokatolickiego, np. zatarg o cerkiew we wsi Polany/ i kulturowym.

Ukraińcy i Łemkowie nieśli ze sobą do wiosek w południowo-wschodniej części kraju nowe wzory kulturowe, techniczne i społeczne, powszechne na Ziemiach Zachodnich, a na tych terenach do tej pory nie znane. Reemigranci różnili się od zastanej tu ludności stopniem zurbanizowania, wyższym poziomem techniki rolnej,

poziomem intelektualnym, szerszą skalą potrzeb duchowo-kulturalnych. Stanowili oni ważny czynnik w procesie przemian gospodarczych zarówno w rolnictwie /wprowadzenie i stosowanie nowoczesnych narzędzi rolniczych: koparek, siewników, bron żelaznych, mechanizacja podstawowych prac rolnych, lepsza mechaniczna obróbka gleby i większe zużycie nawozów sztucznych, stosowanie osiągnięć współczesnej wiedzy rolniczej, zarzucenie tradycyjnych upraw jak karpiele, proso, knyca, upowszechnienie uprawy buraka cukrowego oraz wzrost uprawy pszenicy i żyta/ ják i w hodowli /zwiększenie liczby hodowlanych krów i koni, zanik hodowli wołów i kóz, zarzucenie wspólnego wypasu bydła i wprowadzenie racjonalnego karmienia/.

Inaczej przedstawiała się sytuacja w miastach. Po powrocie Ukraińcy starają się wykorzystać istniejącą liberalizacją i podejmują próby wznowienia działalności kulturalnej i oświatowej. Część z nich organizuje się w kołach UTSK. Rozpoczynają swą działalność szkoły z ukraińskim językiem nauczania bądź z dodatkową nauką języka ukraińskiego. Niestety, nie najlepiej przedstawiała się sytuacja mniejszości ukraińskiej pod tym względem. W 1961 r. na terenie całej Polski było tylko 9 szkół z ukraińskim językiem nauczania /6 podstawowych, 1 liceum ogólnokształcące, 1 Liceum Pedagogiczne i 1 Studium Nauczycielskie/, skupiających łącznie 535 uczniów oraz 147 szkół z dodatkową nauką języka ukraińskiego /144 podstawowe i 3 licea ogólnokształcące/, skupiających łącznie 2556 uczniów. Spośród wszystkich mniejszości narodowych zamieszkujących Polskę w tym czasie tylko Niemcy posiadali mniej swoich uczniów i szkół.

ZESTAWIENIE LICZBY SZKÓŁ Z UKRAIŃSKIM JĘZYKIEM NAUCZANIA I Z DODATKOWĄ NAUKĄ JĘZYKA UKRAIŃSKIEGO W LATACH 1961 /STAN Z 10 PAŹDZIERNIKA/ I 1985

| RODZAJ SZKOŁY | ILOŚĆ SZKÓŁ ROK 1961 | ILOŚĆ UCZNIÓW | ILOŚĆ SZKÓŁ ROK 1985 |
|--|-------------------------|------------------|-------------------------|
| Z UKRAIŃSKIM JĘZ. NAUCZANIA | 9 | 535 | 2 |
| Z DODATKOWĄ NAUKĄ JĘZ. UKRAIŃSKIEGO | 147 | 2556 | 30 |
| RAZEM | 156 | 3091 | 32 |

Później ta liczba jeszcze bardziej się zmniejszyła. Z biegiem czasu zlikwidowano niektóre szkoły, np. w 1963 r. rozwiązano ukraińskie Liceum Ogólnokształcące w Przemyślu /co mogło mieć związek z procesem szefa sztabu UPA - Jana Szpontaka - *Żeleźniak* na który w 1963 r. przybyły rzesze Ukraińców, a wraz z nimi młodzież tego liceum; wśród zebranych na procesie panowała atmosfera uwielbienia dla człowieka, który karę śmierci potrafił przyjąć z zupełnym spokojem/.

W 1985 r. były w całej Polsce już tylko dwie szkoły z ukraińskim językiem wykładowym /LO nr 4 w Legnicy i SP im. T. Szewczenki w Białym Borze/ i 30 punktów nauczania języka ukraińskiego /29 w szkołach podstawowych i 1 w LO w Górowie Iławieckim/.

Warto zauważyć, że mimo podejmowanych prób ze strony Ukraińców, sytuacja w szkolnictwie była bardzo zła. Szkół z językiem ukraińskim było bardzo niewiele, a i te które były znajdowały się na ogół w województwach zachodnich i północnych /np. Legnica, Górowo Iławieckie/. Tak też jest obecnie. Większość dzieci i młodzieży ukraińskiej musi więc uczęszczać do szkół polskich. W szkołach tych nie przyznają się oni do swej narodowości, pragnąc w ten sposób uniknąć wyzwisk i szykan ze strony swych rówieśników i nauczycieli. Jedną z respondentek opowiadała nam o swoich kłopotach z powodu narodowości ukraińskiej: w szkole przezywano ją "banderówką", a z pracy musiała się zwolnić, gdyż jej dokuczano.

W Przemyślu istnieją punkty nauczania języka ukraińskiego. Dzieciom uczącym się w tych punktach można by wpisać na świadectwie ocenę z języka ukraińskiego, ale ich rodzice nie wyrazili na to zgody z obawy przed ewentualnymi kłopotami dzieci z tego powodu. Jak informował jeden z respondentów, na zebraniu w tej sprawie 80 procent rodziców było przeciwne wpisywaniu takich ocen.

Z punktów nauczania języka ukraińskiego korzysta bardzo niewielka liczba dzieci. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy było stwarzanie sztucznych barier przez władze. Wydział Oświaty i Wychowania w Przemyślu żądał przez wiele lat, by rok rocznie rodzice składali w tym Wydziale pisemne oświadczenie deklarujące chęć posyłania swych dzieci na naukę języka ukraińskiego. Zniesienie tych praktyk było jednym z postulatów Zarządu Miejskiego przemyskiego USKT, zawartych w piśmie z dnia 7 grudnia 1980 r. i skierowanym do władz PRL oraz ZG USKT.

Przyczyną trudności, na jakie Ukraińcy napotykali w południowo-wschodniej Polsce, w tym i w Przemyślu, był nieobojętny stosunek zamieszkałych tam Polaków do nich oraz działania władz administracyjnych na szczeblu powiatu czy województwa. Nie pozos-

tawały też bez wpływu w tym wypadku dawne wasnie i antagonizmy oraz wzajemne uprzedzenia i doznane krzywdy. Ukraińcy wracając nie czuli się pewnie, zwłaszcza w miastach, gdzie stanowili znaczną mniejszość. Władze lokalne czyniły im utrudnienia przy zakupie nieruchomości oraz zameldowaniu. Utrudniano przyjmowanie do pracy. W ten sposób, pod pozorem zmniejszenia liczby etatów, zwolniono z Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Przemyślu młodego historyka. Niektórzy badani podkreślali brak awansu społecznego, mimo wielu lat uczciwej pracy: "... pracowałem marząc, że ktoś to doceni, wykorzystywano mnie jako "murżyna", laury zbierał kto inny ..." /nauczyciel/.

Mieszkańka Przemyśla /Polka/ tak ocenia stosunki narodowościowe w mieście: "... wyraźnie odczuwa się niechęć wzajemną Polaków i Ukraińców. Jej źródła to wojna i okres powojenny. Obecnie ta niechęć wyraża się na przykład pogardliwym spojrzeniem Polaków na Ukraińców mówiących swym językiem".

Na ulicach Przemyśla Ukraińcy nie posługują się swym językiem, gdyż jak stwierdza delikatnie jeden z nich: "... język ukraiński nie jest mile widziany w Przemyślu", a inny ujmując to dobitniej mówi: "... jesteśmy poniżani, unikamy języka, bo drażni to współmieszkańców", gdyż jak dodaje ów respondent w innym miejscu mówiąc o stosunkach narodowościowych: "... trzeba cicho siedzieć i nie przyznawać się".

Zmiana stosunków polsko-ukraińskich w mieście w południowo-wschodniej części kraju, zamieszkałym przez ludność polską i ukraińską zachodzi bardzo powoli. Oto przykład: "... władze starają się, by towar w sklepach mięsnych był w sprzedaży w większej ilości także przed świętami ukraińskiego Bożego Narodzenia - Polacy wówczas pogardliwie mówią: "Znow rzucili dla tych Ukraińców" - komentując wielkość dostaw i porównując je z innymi" /mieszkańka Przemyśla narodowości polskiej/.

Ukraińcy mieszkający w Przemyślu to w zdecydowanej większości grekokatolicy. Kościół grekokatolicki zwany także unickim lub ukraińsko-katolickim, podobnie jak i rzymsko-katolicki, nie posiada statusu prawnego w PRL. Co prawda jest uznany *de facto*, ale ma znacznie mniejsze uprawnienia niż Kościół rzymsko-katolicki, któremu jest podporządkowany.

W Przemyślu i okolicach władze szacują liczbę unitów na 3 tys., a Kościół na 13-15 tys. Po grekokatolikach pozostały m.in. 4 budynki cerkiewne: jeden na Zasaniu /obecnie mieści się tam Wojewódzkie Archiwum Państwowe/, katedra grekokatolicka /do 1956 r. pozostawała pusta/ i dwie małe cerkwie na Wilczu /niszczyły nieużywane przez nikogo do roku 1982/.

Cerkwie niszczone i palono także po powrotach Ukraińców na

te tereny. Znane są przypadki takich praktyk nawet z 1984 roku; kiedy zniszczono dwa cenne obiekty pochodzące z XVIII i XIX wieku - przy pomocy materiałów wybuchowych wysadzono murowaną cerkiew w miejscowości Rajske nad jeziorem Solińskim i spalono drewnianą zabytkową cerkiew w Lipowcu /gmina Czarne koło Ustrzyk Dolnych/.

Po przyjeździe do Przemyśla Ukraińcy pozbawieni byli możliwości brania udziału w nabożeństwach greckokatolickich w swoich cerkwiach. Władze nie wydawały zezwolenia na objęcie pustych cerkwi na Wilczu, a niezajętą do 1956 r. katedrę objęli Karmelici Bosi. Wewnątrz niej zaczęto usuwać wszelkie elementy świadczące o tradycji wschodniej, np. kilka lat temu usunięto stamtąd cenny ikonostas. Kościół rzymskokatolicki udostępnia unitom od roku 1956 jeden ze swoich budynków sakralnych /kościół garnizonowy pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego/ na odprawianie nabożeństw. Obecnie w niedzielę odprawia się w tym kościele Służbę Bożą trzykrotnie w języku ukraińskim: o godzinie 7.30, 12.00 i 16.00. W Przemyślu jest teraz trzech księży ukraińsko-katolickich. Ukraińcy jednak nadal ubolewają nad brakiem własnej cerkwi i część z nich ma pretensję do hierarchii rzymskokatolickiej o to, że nie przydzieliła im do odprawiania nabożeństw byłej katedry greckokatolickiej. Jeden z nich powiedział: *"Obecnie widok naszej katedry nie zagrzewa do miłości... Był ikonostas, który pod pretekstem remontu został zastąpiony parawanem, a po odsłonięciu ikon już nie było"*.

Bardzo różny był i jest stosunek księży rzymskokatolickich do unitów, który ma swoje źródło w antagonizmach narodowościowych. Jeden z respondentów opowiadał jak ksiądz rzymskokatolicki przyczynił się do tego, że został on pobity przez swoich kolegów. Na początku lat 1960-tych, kiedy ów respondent uczęszczał na lekcje religii rzymskokatolickiej, odbył się pogrzeb jednego z miejscowych księży unickich, na którym opowiadający niósł wieniec żałobny. W uroczystości uczestniczył też jego ksiądz-katecheta. Na katechezie wystarczyło, że ów ksiądz wspomniał uczniom o uczestnictwie respondenta w pogrzebie księdza unickiego, aby został on pobity.

Z roku na rok wzrastała liczba Ukraińców w południowo-wschodniej Polsce. Wracali przesiedleńcy i ich dzieci z Ziemi Zachodnich i Północnych, a tymczasem uchwała III Plenum KC PZPR z 20 lutego 1976 roku zawierała zasadę państwa etnicznie jednorodnego. Już wcześniej, pod koniec lat 1960-tych, a zwłaszcza w latach 1970-tych, widoczne były praktyki dyskryminacyjne w stosunku do ludności ukraińskiej. Ograniczano działalność kulturalną. W 1976 roku narzucono USKT nowy statut zawężający zakres jego działalno-

ści. Zlikwidowano zarządy wojewódzkie, wprowadzono ograniczenia etatowe. Odmawiano zgody na organizowanie centralnych przeglądów zespołów artystycznych USKT. Działacze Towarzystwa poddawano inwigilacji i szykanowaniu przez organa SB.

W 1976 r. w południowo-wschodniej Polsce zmieniono historyczne nazwy miejscowości z ukraińskich na polskie, lekceważąc tym samym uczucia zamieszkałej tu ludności ukraińskiej. Ukraińcy byli oburzeni tym stanem rzeczy, zmianę nazw miejscowości uznali za próbę fałszowania historii. Dawne nazwy przywrócono dopiero w 1981 roku, po licznych interwencjach Ukraińców /głównie pisma członków USKT do władz państwowych/.

Stosunek Polaków do Ukraińców w Przemyślu /i w innych miejscowościach w południowo-wschodniej części kraju z pewnością także/ przez całe dziesięciolecia od czasu ich powrotów nie uległ zbyt wielkim zmianom. Ciągłe mówiono o nich pogardliwie, że "mają czarne podniebienie", wyzywano ich od "banderowców" i "bandytów"; jeszcze dzisiaj można usłyszeć tu głosy małych dzieci bawiących się w żołnierzy i bandytów z UPA; a w szkołach na pytanie kwestionariusza o narodowość nierzadko zdarza się, że z drwiną grupy osób mówią "ukraińska". Wskutek upływu czasu zmniejszyła się liczba osób, które bezpośrednio doznały krzywd od Ukraińców, a jednak stan ten utrzymuje się. Są chyba dwie główne przyczyny tego zjawiska. Pierwsza - to przekaz ustny w rodzinach polskich, zaś druga - to działanie propagandy i środków masowego przekazu. W telewizji puszcza się filmy o "walkach z bandami UPA", ukazujące brutalność partyzantki ukraińskiej, publikuje się książki, najczęściej tendencyjne, podsycające wzajemne uprzedzenia i nienawiść /przykładem mogą tu być *"Luny w Bieszczadach"*, które przez długi czas stanowiły lekturę obowiązkową w szkole/. Ponadto, jak zauważyli członkowie koła USKT w Szczecinie w piśmie /z dn. 10 grudnia 1980 r./ skierowanym do Instytutu Historii PAN, środki masowego przekazu używały określenia "Ukraińiec" lub "ukraiński" jedynie do określenia zjawisk negatywnych. Zjawiska pozytywne związane z Ukrainą, jak np. zespół artystyczny czy sportowy w słownictwie dziennikarskim określa się mianem "rosyjski" lub co najwyżej "radziecki".

21 listopada 1980 roku poseł Włodzimierz Oliwa na forum plenarnego posiedzenia Sejmu wspominał o odżywaniu "elementów skrajnych, różnych pogrobawców starych koszmarnych czasów... - spod znaku nacjonalistycznego, ukraińskiego Tryzuba". Podstawą do tej wypowiedzi miały być ulotki niewiadomego pochodzenia, które pojawiły się na terenie południowo-wschodniej Polski. Ukraińcy odebrali to jako prowokację i w pismach adresowanych do władz PRL protestowali przeciwko rozpowszechnianiu wypowiedzi

posła Oliwy przez środki masowego przekazu. Oto fragment jednego z tych pism: "Z głębokim niepokojem i wielkim bólem ludność ukraińska w Polsce odebrała transmitowane przez telewizję, a następnie opublikowane na łamach prasy przemówienie posła Oliwy w części dotyczącej działania "sił socjalizmowi wrogich". Mówca wymienił dwie takie siły, w tym jedną spod znaku nacjonalistycznego Tryzuba, które zaliczył jednakże do przypadków "osobliwych" i "karykaturalnych". Jeżeli sprawa ma charakter ledwie incydentalny, być może została spróbowana przez siły wrogie nie tylko socjalizmowi, ale również dobremu współżyciu narodu polskiego i ukraińskiego, dlaczego została poruszona na tak wysokim forum, jakim jest trybuna sejmowa? A przecież debata sejmowa poświęcona była niezwykle doniosłym problemom, nurtującym dzisiaj cały kraj, wszystkich obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, bez różnicy wyznania i narodowości. Przedstawienie stosunków polsko-ukraińskich w naszym kraju jedynie w świetle ujemnym nie należy niestety do rzadkości, a wypowiedź Włodzimierza Oliwy nie stanowi wyjątku. Tym bardziej wypowiedź ta jest szczególnie bolesna, gdyż padła z trybuny najwyższego organu władzy państwowej w PRL. Komu więc i czemu ma służyć dopuszczanie przez władzę PRL do ciągłego jątżenia wrogości w narodzie polskim do narodu ukraińskiego? Z pewnością nie leży to w interesie narodu polskiego, gdyż jak każdy inny naród chciałby zapewne mieć dobrze ułożone stosunki ze swoimi sąsiadami, w tym również z Ukraińcami".

Działania propagandowe podejmowane przez władze, w tym też słowa posła Oliwy /generała LWP i w interesującym nas okresie członka Komitetu Obrony Kraju, co jego wypowiedzi nadaje jeszcze bardziej złowróżbne znaczenie/, mogły i najprawdopodobniej miały duży wpływ na postawę Polaków zamieszkałych na południowym wschodzie Polski wobec Ukraińców. Świadczy o tym chociażby plotka krążąca po dziś dzień w Przemyślu o rzekomej próbie organizowania w latach 1980-1981 ukraińskiego powstania, którego przywódcą miał być internowany później mężczyzna.

W okresie działania "Solidarności" środowiska ukraińskie wysłały do władz pisma z postulatami domagającymi się swobód kulturalnych i religijnych dla mniejszości ukraińskiej w Polsce. W Przemyślu grekokatolicy - członkowie USKT spisali postulaty od dawna czekające na spełnienie. Domagano się aby:

- a/ Kościołowi obrządku grekokatolickiego w Polsce nadać osobowość prawną poprzez jego zarejestrowanie na wzór innych wyznań, tym samym stworzyć ochronę praktyk religijnych zagwarantowanych w Konstytucji PRL;
- b/ Na terenie miasta Przemyckiego oddać w posiadanie obrządku wyznania grekokatolickiego katedrę położoną przy

ulicy Szewczenki, zajmowaną obecnie przez Ojców Kamelitów;

- c/ Uwzględniając ważniejsze święta religijne, transmitować w programach ogólnopolskich Polskiego Radia i Telewizji msze obrządku greckokatolickiego.

Żaden z tych postulatów nie został zrealizowany. Nie powiodły się również próby przejęcia cerkwi na Wilczu. W tej sprawie odbyło się w kółkach zakładowych "Solidarności" w Przemyślu jawne głosowanie, na którym wszyscy opowiedzieli się przeciwko oddaniu cerkwi ich prawowitym właścicielom. Wniosek o przyznanie jednej z cerkwi Ukraińcom, wcześniej złożony przez Zarząd Regionu NSZZ "S" /po konsultacjach w środowisku ukraińskim/ u wojewody, został ostatecznie wycofany.

Obie cerkwie na Wilczu otrzymał w 1982 roku Kościół prawosławny, mimo bardzo małej liczby wyznawców. Obecnie liczba ta zwiększyła się prawdopodobnie do stu wiernych.

Ukraińcy mieszkający po wojnie w Polsce - to przede wszystkim unicy. W Przemyślu istnieją silne antagonizmy między nimi a prawosławnymi. Te antagonizmy na podłożu wyznaniowym wydają się być nawet czasami silniejsze od tych, których źródłem jest odmienna narodowość. Bezpośrednio mówiło o tym kilkunastu naszych respondentów.

Duchowieństwo Kościoła rzymskokatolickiego również nie podejmuje tu prób dialogu z prawosławiem. Oto co na ten temat mówi księża: *"Kościół prawosławny nie jest w Przemyślu szanowany; oficjalne kontakty z Kościołem greckokatolickim i rzymskokatolickim nie istnieją; istnieje nawet pewna wrogość" /duchowny prawosławny/. "...parafia prawosławna powstała przy poparciu władz państwowych, nie tylko moralnym ale i materialnym... Prawosławni są bardziej podatni na wpływy Związku Radzieckiego - realizują politykę wyznaniową wyznaczoną przez KPZR... Działań ekumenicznych w stosunku do prawosławnych nie podejmuje się..." /ksiądz katolicki/.*

Po założeniu parafii prawosławnej liczba wiernych w Przemyślu stopniowo zwiększała się. Przechodzili na prawosławie przede wszystkim ludzie starzy mieszkający na Wilczu. Mogło być tego kilka przyczyn: nieodróżnianie obrządku unickiego od prawosławnego, umiłowanie własnej cerkwi i jej bliskość /kościół garnizonowy, w którym odbywają się nabożeństwa unickie jest znacznie oddalony od tego miejsca/, legalność wyznania i inne /np. otrzymanie większej ilości darów z zagranicy w okresie kryzysu/.

Prawosławni w Przemyślu są wyraźnie wspierani przez władze. Wystarczyła niewielka ilość podpisów, a otrzymali oni budynki cerkiewne. O poparciu władz lokalnych udzielanemu tutejszemu Koś-

ciółowi prawosławnemu dowodzi pomoc świadczona jego hierarchii. Oto przykład z zamieszczonego w "Życiu Przemyskim" wywiadu z Dyrektorem Wydziału do spraw Wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Przemysłu: *"istnieje zamiar przeniesienia siedziby diecezji przemysko-nowosądeckiej Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego z Sanoka do Przemysła. Powody ... chodzi głównie o nawiązanie do historycznych tradycji. Diecezja Kościoła prawosławnego istniała w Przemysłu od X aż do XVII wieku. Jej wpływ i znaczenie zaczęły maleć po Unii Brzeskiej w 1596 roku"*.

Argumenty te wydają się niezbyt przekonujące, biorąc pod uwagę zwłaszcza fakt małej liczby wyznawców prawosławnej parafii przemyskiej. Bardziej prawdopodobna wydaje się być taktyka władz, o której jeden z duchownych prawosławnych powiedział: *"Jak trzeba uderzyć w Tokarczuka, to nam popuszczają. Jak Tokarczuk się ugnie, to w nas uderzają"*.

Świadczyć by to mogło, iż polityka wyznaniowa jest w tym przypadku wypadkową dwu sił, a właściwie funkcją jednej z nich - stosunku Kościoła rzymskokatolickiego do władz. Kościół prawosławny jest wykorzystywany przez władze w celu wymuszenia ustępstw ze strony hierarchii Kościoła rzymskokatolickiego.

Wszystko o czym wspomniano w tym rozdziale miało wpływ na postawy Ukraińców wracających do Przemysła. Utrzymywały, a czasami nawet pogłębiały się antagonizmy polsko-ukraińskie. Jeden z naszych respondentów mówił o tym z wielką goryczą: *"Tyle zła nie było dotąd dla naszego narodu, co przez ostatnie 30-40 lat. Szkoły nie ma, cerkwi nie ma. Nic dla pokrzepienia serc nie ma. Piszą o polsko-ukraińskiej współpracy, ale na jakiej podstawie ma się ona opierać, nie ma nawet książek w języku ukraińskim... Do dzisiaj nie ma podania ręki. Na naszych oczach rozbijali katedrę..."*.

Represje, jakich doznali Ukraińcy po powrocie ze strony Polaków stawały się przyczyną tego, że większość z nich nie przyznawała się i nie przyznaje się w pracy, w szkole, że jest narodowości ukraińskiej i poza domem nie posługują się językiem ukraińskim. Część z nich zupełnie wyrzekła się swojej narodowości, czasami przyłączając się do grona Polaków szydzących z innych Ukraińców, którzy nie chcą wyprzeć się swego pochodzenia, gdyż czują się związani z tradycją przodków i kulturą Wschodu.

/.../

1. Roman Podebski, *Josyf Slipyj - świadek wiary*, ABC nr 3, str. 36-52
2. M. Kozłowski, *Lemkowie*, Tygodnik Solidarność nr 20, 1980
3. WAPL, ZC PUR, Wydział Etapowy;teczka 112/114

INSTRUKCJA W SPRAWIE PRZEPROWADZENIA OPERACJI WYSIEDLENIA ANTYRADZIECKIEGO ELEMENTU Z TERENU LITWY, ŁOTWY I ESTONII

*Poniżej zamieszczamy tekst tzw. instrukcji Sie-
rowa. Dokument ten został po raz pierwszy opubli-
kowany dopiero w 1989 r. Tłumaczenie za Soglasie
z 17 lutego 1989 r. /red./*

1. UWAGI OGÓLNE

Wysiedlenie antyradzieckiego elementu z nadbałtyckich republik jest zadaniem o wielkim politycznym znaczeniu. Od dokładnego opracowania planu przeprowadzenia akcji przez powiatowe trójki operacyjne i sztaby, przewidującego wszystkie okoliczności i potrzeby, zależy będzie szybkie jego rozwiązanie.

Należy przy tym zwrócić szczególną uwagę, by przeprowadzenie operacji odbyło się bez rozgłosu i paniki, tak, by nie dopuścić do jakichkolwiek wystąpień nie tylko ze strony wysiedlanych, ale także ze strony wiadomej części okolicznej ludności - wrogo nastawionej do władzy radzieckiej.

2. SPOSOBY PRZEPROWADZENIA INSTRUKTAŻU

Instruktaż grup operacyjnych przez powiatowe trójki należy przeprowadzić w przeddzień, w czasie maksymalnie bliskim rozpoczęcia operacji. Należy uwzględnić przy tym niezbędny czas na przejazd grupy w miejsce operacji.

Trójki powiatowe winny wcześniej przygotować niezbędny transport do przerzucania grup operacyjnych w miejsca akcji. Celem zabezpieczenia niezbędnej ilości samochodów i transportu konnego, trójki powinny porozumieć się z miejscowymi przedstawicielami partyjnych organizacji. Pomieszczenie, w którym ma odbywać się szkolenie powinno być wcześniej dokładnie przygotowane, wyjście i wejście zabezpieczone tak, by nie przedostały się do środka osoby postronne.

W trakcie przeprowadzania instruktażu budynek powinien mieć zapewnioną ochronę, złożoną z grupy operacyjnych funkcjonariuszy. W przypadku, gdy na instruktaż nie zjawi się ktoś z planowanego

składu uczestników operacji, trójka powiatowa niezwłocznie powinna podjąć kroki do uzupełnienia zespołu kimś z rezerwy. Ewentualnych zastępców należy odpowiednio wcześniej uprzedzić.

Dzielnicowe trójki oznajmiają zebranim o postanowieniu władzy wysiedlenia z terenu danej republiki lub rejonu ewidencyjnego antyradzieckiego elementu. Zaleca się poinformowanie biorących udział w akcji kim są wysiedlani. Należy zwrócić im uwagę, iż wysiedlani są wrogami narodu radzieckiego i mogą organizować zbrojne napady na grupy przeprowadzające akcje.

3. SPOSÓB WYDAWANIA DOKUMENTÓW

Po zakończeniu ogólnego instruktażu przeprowadzającym operację należy wydać imienne nakazy wysiedlenia. Powinny one być wcześniej pobrane i rozłożone oddzielnie dla poszczególnych grup operacyjnych - osiedlami i wsiami, by przy wydawaniu uniknąć jakichkolwiek pomyłek.

Po otrzymaniu nakazów, szef grupy operacyjnej zapoznaje się z dokumentami rodzin przeznaczonych do wysiedlenia. Ustala skład rodziny i sprawdza obecność niezbędnych formularzy, które mają wypełnić wysiedlani. Szef grupy sprawdza ponadto gotowość transportu do przewozu wysiedlonych. Trójki powiatowe zobowiązane są do udzielenia mu wyczerpujących odpowiedzi na pytania dotyczące wysiedlanych.

Powiatowa trójka wyznacza grupie operacyjnej trasę przejazdu grupy w miejsce wysiedlenia oraz trasę przewiezienia wysiedlonych do miejsca załadunku.

Koniecznym jest wskazać szefom grup operacyjnych miejsca postoju rezerwowych oddziałów wojskowych na wypadek jakichkolwiek ekscesów.

4. SPOSÓB PRZEPROWADZENIA WYSIEDLENIA

Gdy daną miejscowość zamieszkuje kilka lub kilkanaście przeznaczonych do wysiedlenia rodzin należy jednego z szefów grupy wyznaczyć odpowiedzialnym za przeprowadzenie akcji: pod jego kierunkiem ma pracować cały zespół skierowany do tej miejscowości.

Po przybyciu do miejscowości grupy operacyjne /przy zachowaniu najściślejszej tajemnicy/ nawiązują kontakty z miejscowymi przedstawicielami władz: przewodniczącym, sekretarzem i członkami rad wiejskich i ustalają dokładne miejsce zamieszkania wysiedlanych rodzin. Następnie grupy operacyjne wraz z przedstawicielem miejscowej władzy udają się do wysiedlanych.

Zadaniem przedstawiciela władzy jest przeprowadzenie inwenta-

ryzacji mienia wysiedlanych.

Operacja powinna rozpocząć się wczesnym świtem. Po wejściu do mieszkania szef grupy powinien zgromadzić w pokoju całą rodzinę wysiedlanego, zachowując jednocześnie wszelką ostrożność, na wypadek prób sprowokowania ekscesów. Sprawdzając skład rodziny według spisu należy wyjaśnić miejsce, gdzie znajdują się nieobecni i liczbę chorych. Następnie należy zwrócić się do zebranych o oddanie broni. Bez względu na to czy broń zostanie oddana czy nie, należy przeprowadzić rewizję osobistą wszystkich zatrzymanych oraz rewizję pomieszczenia w celu odnalezienia broni.

Podczas rewizji zachowanie wysiedlanych powinien obserwować jeden, wyznaczony z grupy operacyjnej funkcjonariusz.

Jeżeli zostanie znaleziona niewielka ilość broni, zabiera ją ze sobą grupa operacyjna.

Jeżeli znalezionej broni jest więcej to należy ją z wymontowanymi zamkami składować na furmankę lub samochód, którym na miejsce akcji przybyła grupa.

Naboje należy zapakować i załadować razem z karabinami. Do przewiezienia broni w bezpieczne miejsce należy zorganizować odpowiednią ochronę.

W przypadku znalezienia broni, kontrrewolucyjnych ulotek, literatury, obcej waluty, większej ilości kosztowności itd. należy na miejscu sporządzić protokół przeszukania uwzględniający wszystkie inkryminowane przedmioty.

Przy podjęciu prób zbrojnego sprzeciwu lub postawie wysiedlanych manifestującej chęć sprzeciwu, należy zwrócić się do powiatowych trójek z pytaniem, czy nie zachodzi konieczność aresztowania wysiedlanych i odstawienia do najbliższego oddziału NKGB.

Osobom przeznaczonym do wysiedlenia, które zdążyły się ukryć oraz osobom chorym pozostawia się w mieszkaniu formularze, podpisane przez przedstawiciela partyjnego aktywu.

Po przeprowadzeniu przeszukania wysiedlanym oznajmia się, że zostaną oni przewiezieni w inne części Związku Sowieckiego.

Wysiedlanym zezwala się zabrać ze sobą rzeczy osobistego użytku, których łączna waga nie może przekroczyć 100 kilogramów. Są to: 1/ odzież, 2/ obuwie, 3/ bielizna, 4/ bielizna pościelowa, 5/ nakrycia stołowe, 6/ nakrycia do herbaty, 7/ nakrycia kuchenne, 8/ żywność /nie więcej jednak niż miesięczny przydział na rodzinę/, 9/ pieniądze, 10/ kufel lub skrzynię do zapakowania rzeczy. Nie zezwala się zabierać dużych przedmiotów.

Przy wysiedlaniu ze wsi można wysiedlanym pozwolić na zabranie ze sobą drobnego domowego sprzętu: toporów, pił i innych, które należy pakować oddzielnie, tak by przy załadunku można było umieścić je w oddzielnych wagonach towarowych.

By rzeczy nie uległy pomieszeniu lub zagubieniu na każdym bagażu należy przykleić kartkę, z imieniem i nazwiskiem oraz nazwą miejscowości, w której dotąd mieszkał wysiedlany.

Przy załadunku rzeczy do samochodu należy przedsięwziąć odpowiednie kroki, by wysiedlani mogli użyć tych przedmiotów w celu zorganizowania samoobrony w czasie przewożenia na stację.

Towarzyszący operacyjnym grupom przedstawiciele partyjnych organizacji powinni prowadzić opis i zabezpieczanie mienia rodzin wysiedlanych.

Jeżeli wysiedlany posiada własny środek transportu, to należy go użyć do przetransportowania jego rzeczy.

Jeżeli wysiedlany nie dysponuje własnymi środkami transportu, to grupa powinna zmobilizować w tym celu niezbędne środki transportu od miejscowych przedstawicieli władzy.

Wszystkie osoby, które znajdują się w chwili rozpoczęcia akcji w mieszkaniu wysiedlanych lub nadejdą w jej trakcie należy zatrzymać do zakończenia operacji oraz sprawdzić ich powiązania z wysiedlanymi.

Po sprawdzeniu tożsamości zatrzymanych, gdy okażą się nie związani w jakikolwiek sposób z przeprowadzaną akcją, należy ich wypuścić.

W przypadku, gdy pod domem wysiedlanego zaczną się gromadzić ludzie należy wezwać ich do natychmiastowego rozejścia się i nie dopuszczać do powstawania zbiegowisk.

Gdy wysiedleni odmówią otwarcia drzwi, bez względu na to, czy wiadomo im, że przybyli funkcjonariusze NKGB, należy je wyłamać. W szczególnych wypadkach można wezwać na pomoc inne grupy operacyjne.

Dostawianie wysiedlanych z danej miejscowości do punktu zbiorczego na stację kolejową powinno odbywać się w godzinach rannych, operacja nie powinna trwać dłużej niż dwie godziny.

We wszystkich wypadkach w trakcie przeprowadzania operacji należy postępować twardo i zdecydowanie, unikając zbędnego szumu i paniki.

Kategorycznie zabronione jest odbieranie wysiedlanym żywności i jakichkolwiek innych rzeczy, z wyjątkiem broni, kontrrewolucyjnej literatury, i walut obcych.

Należy uprzedzić wszystkich uczestników operacji o surowej odpowiedzialności za próbę przywłaszczania sobie mienia wysiedlanych.

5. SPOSÓB ROZDZIELANIA RODZIN

W związku z tym, że większość wysiedlonych powinna zostać aresztowana i osadzona w specjalnych obozach, a ich rodziny

winy trafić do miejsc specjalnego osiedlenia na oddalonych obszarach, należy jeszcze w mieszkaniu wysiedlonych oddzielić głowę rodziny od pozostałych. Następnie, po przeprowadzeniu rewizji, wypełnieniu wszystkich dokumentów, funkcjonariusz wypełnia formularze głowy rodziny i dołącza do jego akt personalnych. Nakazy wysiedlenia pozostałych członków rodziny wypełniane są oddzielnie.

Rodziny do stacji kolejowej przewozi się jednym środkiem transportu, dopiero tam głowę rodziny umieszcza się oddzielnie, w specjalnie przeznaczonym do tego celu wagonie.

W czasie pakowania się wysiedlanych należy dopilnować, by wszystkie męskie rzeczy pakowano oddzielnie od żeńskich, by nie stwarzać dodatkowych problemów przy dezynsekcji bagażu. Na stacji, dla aresztowanych głów rodziny należy podstawić oddzielne wagony, zaś nadzorowanie ich załadunku powinno zostać powierzone specjalnemu funkcjonariuszowi.

6. SPOSÓB KONWOJOWANIA WYSIEDLANYCH

Pracownikom konwojującym kolumnę nie wolno siadać razem z wysiedlanymi. Konwojenci powinni znajdować się z boków i z przodu kolumny. Dowodzący konwojem powinien obejść co jakiś czas całą kolumnę, sprawdzając prawidłowość ruchu. Przy przechodzeniu kolumny przez punkty zbiorcze oraz przy mijaniu napotkanych osób, konwój powinien zachowywać się szczególnie spokojnie. Konwojenci powinni uważać, by nie było ucieczek. Nie można dopuszczać do rozmów z przypadkowo spotkanymi ludźmi.

7. SPOSÓB ZAŁADOWANIA WYSIEDLANYCH W ESZELONY

W każdym punkcie załadunku, odpowiedzialnym za jego przeprowadzenie jest funkcjonariusz operacyjnej trójki. Stacja otoczona powinna być żołnierzami Armii Czerwonej oraz funkcjonariuszami NKWD.

Szefowie grup operacyjnych oddają naczelnikowi eszelonu, listę wysiedlanych z zaznaczeniem wagonów, w których zostaną rozmieszczeni. Wysiedlani rozmieszczeni są w wagonach całymi rodzinami, z wyjątkiem głów rodzin. W wagonie nie powinno znajdować się więcej niż 25 osób. Po rozmieszczeniu rodzin w wagonie należy go zamknąć. Odpowiedzialność za wszystkich znajdujących się w wagonie ludzi, aż do miejsca przeznaczenia ponosi naczelnik wagonu.

Szef grupy operacyjnej po przekazaniu wszystkich wysiedlonych powinien sporządzić raport z przebiegu operacji i przedłożyć go naczelnikowi powiatowej trójki operacyjnej.

W raporcie należy podać imiona i nazwiska wysiedlonych, czy znaleziono przy nich broń czy też nie, kontrrewolucyjną literaturę oraz informacje co do sposobu przeprowadzenia akcji.

Po załadowaniu do eszelonu wysiedlanych i oddaniu raportu o rezultatach przeprowadzonej akcji, członkowie grup operacyjnych postępują dalej zgodnie z rozkazami naczelnika powiatowego NKGB.

Podpis:

Zastępca Komisarza Ludowego Bezpieczeństwa
Narodowego ZSRR, Komisarz Bezpieczeństwa
Narodowego III Rangi - Sierow.

7 lipca 1940 roku przygotowano pierwszy program masowych aresztowań, które przeprowadzono już w nocy z 11 na 12 lipca 1940 roku.

Komisarz Ludowy Spraw Wewnętrznych Litewskiej SSR 28 listopada 1940 roku wydał rozkaz nr. 0054, w którym nie pominięto ani jednej grupy "antypaństwowego elementu".

W punkcie numer 5 wyszczególniono te wszystkie grupy po kolei, włączono do nich wszystkich członków partii politycznych, członków działających organizacji zarówno kulturalnych jak i zawodowych, byłych oficerów i ochotników, szaulistów, rezerwistów, przemysłowców, kupców, tych którzy przebywali za granicą, mieli tam rodzinę lub znajomych, wszystkich pracowników Czerwonego Krzyża, drukarzy, filatelistów, esperantystów i jeszcze wielu innych.

SĄSIEDZI

OBCENY STAN STOSUNKÓW POLSKO-LITEWSKICH

TO KRÓTKOWZROCZNOŚĆ

/Rozmowa z Konstantym Tołłoczko/

Wywiad ten otrzymaliśmy od przedstawiciela redakcji "Tygodnia Polskiego". Konstanty Tołłoczko tak ze względów rodzinnych jak i zawodowych od dawna bywa bardzo często na Litwie. Z tego też powodu prosił o nieujawnianie jego prawdziwego nazwiska.

Redakcja

- Wrócił Pan ostatnio z Wilna, gdzie bywał Pan wielokrotnie. Czy obecna sytuacja na Litwie jest w jakikolwiek sposób porównywalna z tą sprzed kilku lat?

- Oczywiście, że nie. Procesy zachodzące tam obecnie - przy czym mam na myśli nie tylko samą Litwę, ale kraje nadbałtyckie - są bardzo intensywne. Powstały i ujawniły się ruchy narodowe, panuje autentyczna wolność słowa przejawiająca się w swobodzie prasowych wypowiedzi, istnieje pełna swoboda religijna, niezależne pisma jak np. litewski "Rodzinny Kraj", nieoficjalny organ Litewskiego Ruchu na Rzecz Przebudowy, zwanego z litewską "Sajudisem". Gazeta ta ukazuje się czasem cztery, czasem pięć razy w tygodniu i chyba nie jest cenzurowana, znajdują się tam bowiem teksty do niedawna wręcz niewyobrażalne.

Publicznie również można mówić wszystko. Na wiecu zorganizowanym 23 sierpnia ub. roku w Wilnie przez "Sajudis", odtworzono z taśmy przemówienie ostatniego ministra spraw zagranicznych smetonowskiej Litwy, relacjonującego cyniczne wypowiedzi Stalina na temat litewsko-rosyjskiego paktu o przyjaźni, który rozumiał jako aneksję. Ale jest jedna, jedyna rzecz, która jest nadal przeznaczana czy wręcz fałszowana. To sprawa stosunków polsko-litewskich. Na tym wiecu, na którym 16 mówców powiedziało wszystko o pakcie Ribbentrop - Mołotow, o obozach, ofiarach, cierpieniu i prześladowaniach Litwinów, padło tylko raz słowo Polska.

Jeden z mówców zauważył bowiem, że sowiecko-niemiecki pakt o przyjaźni był również skierowany przeciwko niej,

- Ale "Sajudis" to nie jedyny niezależny ruch na Litwie?

- Tak, działa jeszcze Litewska Liga Narodowa, radykalna, niepodległościowa organizacja, która ma wpływy nie więcej niż wśród 5 procent społeczeństwa. Liga również organizowała w Wilnie kontmanifestację. Ale o ile na wiec organizowany przez "Sajudis" przyszło 80-100 tysięcy osób, to na manifestacji organizowanej przez Ligę było kilka tysięcy. Manifestacja ta została zresztą rozpedzona przez policję, pobito jej uczestników i w rezultacie interwencji "Sajudisu" odwołano dotychczasowego I sekretarza partii na Litwie - Sneczka. W "Sajudisie" są w zasadzie wszyscy - ok. 60 procent członków partii, prawie wszyscy katolicy, rozmaitej maści nacjonaliści, oczywiście poza Ligą Narodową i poza twardogłowymi Sneczka. Jest to więc ruch, który może ze względu na swą masowość nieco przypomina "Solidarność". W ruchu tym jest też obecny I sekretarz partii Brazauskas, będący jego sympatykiem, przestrzegający jednakże "Sajudis", że są granice jego aktywności.

- Czego domaga się "Sajudis"?

- Początkowo podnoszono sprawę symboli narodowych, a więc flagi, godła, hymnu, wszystko to w wydaniu smetonowskim, a nie historycznym, Różnice jak wiadomo są duże. "Pogoni" Smetony czy Voldemarasa jest inna od "Pogoni" historycznej. Ale to tylko tak na marginesie, bo jest to element stosunków polsko-litewskich, o których będę mówił później. A wracając do litewskich symboli narodowych, to doprowadzono do tego, że tak godło Litwy przedwojennej jak i jej sztandar są oficjalnie akceptowane. Żąda "Sajudis" litwonizacji wszystkich instytucji, szkół, urzędów, teatrów. Republika litewska ma być w ramach Związku Sowieckiego samodzielnym podmiotem gospodarczym. Od mniejszości narodowościowych żąda złożenia deklaracji lojalności i uznania priorytetu litewskiego.

Te warunki są - bo i muszą jak na razie być - do przyjęcia nawet dla mniejszości rosyjskiej, która w samym Wilnie stanowi ok. 10 procent. Oczywiście mówiąc o mniejszości rosyjskiej nie mam na myśli ludzi związanych z aparatem władzy. Mam natomiast osiedleńców sprzed 40 lat, którzy muszą żyć na Litwie, bo po prostu nie mają gdzie wrócić. Symptomatyczne, że znaczna część Rosjan szuka oparcia w polskiej grupie narodowościowej, której mniejszością - mimo, iż Polaków jest mniej w republice niż Litwinów - chyba nazwać nie można.

- Czy byłby Pan w stanie oszacować liczbę ludności polskiej na Litwie?

- Tak. Ale obecnie w Związku Sowieckim przeprowadzono spis ludności, może więc będzie można uzyskać te dane z oficjalnego źródła. Ja natomiast wolałbym uniknąć podawania liczb, a to z tego względu, że z Polakami na Litwie jest podobnie jak z Kozakami na Ukrainie przed powstaniem Chmielnickiego. Istniały dwie kategorie Kozaków: wolnych i rejestrowych, czyli takich, którym wolno było być Kozakami i takich, którzy się za nich uważali. I tak samo jest na Litwie, istnieją Polacy rejestrowi, którym wolno być Polakami i takich jest ok. 300 tysięcy i Polacy nierejestrowi, którym oficjalnie nie wolno być Polakami, których nazywają "tutejszymi".

- Kim więc oni oficjalnie są?

- Oficjalnie są Litwinami. Daje się im nazwiska litewskie, przy każdej okazji i we wszystkie dokumenty wpisuje się im narodowość litewską, bez względu na to czy sobie tego życzą czy nie. A ostatnio nie życzą sobie tego coraz bardziej. Wobec ludności polskiej przez całe lata stosowany był podwójny ucisk: rusyfikacyjny i litwonizacyjny. Polacy byli praktycznie pozbawieni wszystkiego. Te polskie szkoły, o których się tak często mówi i pisze, to małe enklawy pokazowe, bez żadnego znaczenia. Języka polskiego mógł się Polak uczyć od klasy szóstej, podobnie jak w Polsce uczy się języka rosyjskiego, idąc do szkoły miał natomiast wybór między szkołą rosyjską i litewską. Jeśli szedł do szkoły litewskiej, to musiał być trójjęzyczny, jeśli chciał zachować znajomość języka polskiego. Jeśli szedł do szkoły rosyjskiej to w zasadzie stawał się rosyjskojęzyczny. Przyznawanie się do polskiego pochodzenia mogło być przeszkodą nie do przebycia w uzyskaniu zamierzonego wykształcenia. Podanie narodowości polskiej przy staraniu się o przyjęcie na Uniwersytet Wileński dawało tę pewność, że się tam nie dostanie. Nikt nie zna takiego przypadku - a indagowałem o to wielu pracowników naukowych tego Uniwersytetu - aby dostał się na studia ktoś, kto podał w kwestionariuszu narodowość polską. Co nie znaczy, że nie ma Polaków, którzy ukończyli Uniwersytet ukrywając swoją narodowość. Inteligencji polskiej na Litwie prawie nie ma, bo jak wiadomo, część wyjechała, część została wysiedlona do Kazachstanu, część natomiast zamęczona. Ci nieliczni, którzy się ostali zachowali swoją polskość, ale przyjęli litewskie nazwiska. Stali się naukowcami, artystami, de facto litewskimi, pielęgnującymi w domu polskość. I to jest przyczyną ich obecnego dramatu. Po prostu zostali mniejszością w swoim narodzie i nie potrafią się

z nim porozumieć.

Litwini mają dwa określenia dla ludności polskiej: Polacy i "tutejsi". "Tutejsi" - to cała ludność wiejska. To ci, którzy zdaniem Litwinów mówią miejscowym dialektem. A ów dialekt to po prostu język polski, fatalnie kaleczony

- *Dziś wiele osób, zwłaszcza młodych, płacąc za to nieraz sporą cenę, znajduje drogę do swojej polskości. Co było przyczyną, że muszą szukać jej ponownie?*

- Jedną z najskuteczniejszych metod, stosowaną zresztą do dziś, było fałszowanie i wręcz obrzydzanie historii Polski. Aby nie być gołosłownym może warto przytoczyć fragment z podręcznika historii obowiązującego w klasach polskich, dotyczącego rozbiorów. "Rzeczpospolita przestała istnieć jako państwo. Litwa weszła w skład olbrzymiego i wielonarodowego Imperium Rosyjskiego. Dla narodu litewskiego miało to znaczenie dodatnie. Wielkie Księstwo Litewskie utraciło w znacznym stopniu swoją państwowość. Carskie państwo biurokratyczno-policyjne zlikwidowało panujący w kraju rozgardiasz i ograniczyło potęgę magnatów polskich. Postępowa kultura rosyjska oddziaływała na kulturę litewską".

A jeszcze dziś w muzeach w Trokach czy nawet muzeach wileńskich - ja to słyszałem nawet na Uniwersytecie Wileńskim - można usłyszeć wygłaszane komentarze mniej lub bardziej oficjalnie dezawuuujące spuściznę narodową. Przedstawia się Polaków jako naród anarchistyczny, agresywny, pozbawiony kultury prawnej, przymuszający do polonizacji, warcholski, niezdolny do tworzenia normalnych warunków życia i rozwoju, coś w rodzaju Ciemnogrodu. I to było skuteczne, bo młodzi ludzie zaczęli wstydić się swej narodowości.

- *I to na Wileńszczyźnie?!*

- Na Wileńszczyźnie i to nawet tam, gdzie ludność narodowości polskiej stanowi niemal 100 procent. I dlatego też polskie przedszkola - co niektórzy krajowi autorzy traktują jako wyraz niewyobrażalnych wręcz swobód ludności polskiej - znajdują się wyłącznie na wsiach. W miastach nie ma już ich wcale.

Przyklejanie Polakom różnych etykietek było tym łatwiejsze, że na ich status na Litwie nie miały wpływ ma rodzaj zajęć, które wykonują. Inteligencji polskiej - jak już wspominałem - prawie nie ma, wieś to niemal w 100 procentach ludność pochodzenia polskiego, z wyjątkiem kilku enklaw na terenie byłego powiatu święciańskiego. A i w miastach, np. w Wilnie, wszystkie zajęcia związane z pracą brudną, niewykwalfikowaną, nie wymagającą wykształcenia wykonują Polacy. W ostatnich latach zaczęli jednak powoli zdawać sobie z tego sprawę i kojarzyć pewne fakty. Ludzie

zaczęli sobie zadawać pytania jak z narodu, który podobno reprezentuje najbardziej niszczące tendencje w Europie, narodu pozbawionego podobno jakiejkolwiek tradycji i kultury, mógł wyjść taki człowiek jak papież Jan Paweł II. A ślady polskości? Ich wcale nie trzeba szukać w bibliotekach, muzeach czy archiwach. Wystarczy pójść do pierwszego lepszego kościoła czy na pierwszy z brzegu cmentarz.

Dużą pomocą w ponownym odkrywaniu swego pochodzenia są kontakty z kulturą polską, a przede wszystkim z literaturą. Przychodzi z Polski sporo książek, których nadawcami są osoby prywatne. Miałem możliwość obserwować to w dwóch parafiach, jednej oddalonej o 20 kilometrów od Wilna, drugiej o 100. Dziennie przychodziło tam od kilku do dwudziestu przesyłek, w każdej 2-3 książki. Ale też jest i pewien problem z ich czytelnością. Czym innym jest bowiem język liturgiczny czy domowy, czym innym język literacki. Dlatego też tylko ok. 20 procent Polaków zdolnych jest te książki czytać i z tego powodu tak ważna jest działalność powstałego 5 maja 1988 roku Polskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego kierowanego przez doktora Jana Sienkiewicza, które wywalczyło dla siebie 2 godziny w telewizji, a także własny program radiowy. Na razie bowiem - może to być szokujące dla wielu, ale mówię to z całą odpowiedzialnością - status Palestyńczyków w Izraelu jest luksusowy w porównaniu ze statusem Polaków na Litwie. Republika Litewska dla Litwinów - to prawie oficjalne hasło. Innym pozostaje tylko lojalność rozumiana jako nauczenie się i używanie litewskiego języka, chodzenie do litewskich szkół, czyli litewskość na zewnątrz.

- *A gdzie tkwią źródła takiego nastawienia do Polski i polskości?*

- Źródła są rozmaite. Są to nacjonaliści litewscy sprzed wojny, to zagraniczna inspiracja antypolska, to - niestety - litewska sekcja Radia Watykan i - co powtarzam za kilkoma księżmi polskimi, absolwentami tego seminarium - seminarium duchowne w Kownie. W czasie nauki w tym seminarium korzysta się z polskich podręczników, materiałów, litewscy wykładowcy używają języka polskiego, którego nie wolno używać słuchaczom. Od ponad 100 lat aktualna jest propagandowa teza każąca upatrywać w Polakach zagrożenie podstawowych interesów litewskich. Rozmawiając z Litwinami prywatnie wielu z nich - szczególnie ludzie młodzi - zdają sobie sprawę z absurdalności takiego twierdzenia. Młodzi działacze "Sajudisu", wydaje się, że rozumieli konieczność ułożenia normalnych stosunków z Polakami. Rozumieli to w prywatnych rozmowach niektórzy przedstawiciele litewskiej hierarchii kościelnej, mimo iż sam kościół litewski jest źródłem konfliktów.

Ale ci, którzy to rozumieją są narazie w mniejszości. W dalszym ciągu najbardziej aktualne są tezy z końca XIX i początku XX wieku, mówiące, że warunkiem istnienia narodu litewskiego jest zwalczanie polskości. Stosunek Litwinów do Polski to coś, co Aleksander Błok określiłby terminem "liublju" i "nienawiź". O-tóż w prywatnych kontaktach to "liublju" wychodzi nawet dość często, w oficjalnych natomiast zawsze "nienawiź".

- Czy Pan się nie przejęzyczył mówiąc, że kościół litewski jest źródłem konfliktów?

- Nie. A bierze się to z poczucia jakiegoś zagrożenia. Kler litewski musi walczyć z ateizacją swego społeczeństwa, czego nie musi robić kościół polski. Polskie kościoły są pełne, litewskie tylko mniej więcej w jednej trzeciej. Polski katolicyzm emanujący jakąś ludową siłą stał się raptem atrakcyjny dla Rosjan. Ale litewska hierarchia kościelna nie pozwala na odprawianie mszy w języku rosyjskim. Ostatnio zwrócono Kościołowi Katedrę Wileńską. Ale czy będą mogły odbywać się w niej i polskie nabożeństwa? Ateizacja na Litwie poczyniła wśród Litwinów duże spustoszenia. Spośród 16 mówców na wspomnianym już przeze mnie wiecu "Sajudisu" najbardziej krytykowany był ksiądz i jego wystąpienie podobało się najmniej, choć naprawdę nie było ono złe. Moim zdaniem były gorsze.

- A więc to Polska - jak twierdzą Litwini - a nie Moskwa stanowi zagrożenie ich bytu narodowego?

- Litwini twierdzą, że z Rosjanami mogą współpracować, bo są wystarczająco uodpornieni na rosyjskiego bakcyła. Oficjalna historiografia mówi natomiast tak: byliśmy wielkim narodem, a Polacy zabrali nam wszystko - historię, wielkość, język, kulturę. Zachowaliśmy jakimś cudem na szczęście mały, chłopski szcza-tek na Żmudzi i z niego rozrastamy się na nowo. Interpretacja historii, postaci Jagiełły, bitwy grunwaldzkiej, podporządkowana jest bieżącym celom. Historyczny konflikt Jagiełło - Witold jest aktualnym konfliktem politycznym, między zdrajcą zafascynowanym polską kulturą i polskimi możliwościami, a Litwinem, który broni swojej tożsamości. Oczywiście historyczna prawda o tych dwóch postaciach nie ma żadnego znaczenia. Ciągłe bowiem aktualny jest sąd nad Jagiełłą, który odbył się w latach trzydziestych w Kownie.

W prywatnych rozmowach Litwini nawet starali się rozumieć konflikt Jagiełły z Witoldem, czy nawet opcje marszałka Piłsudskiego. Generalnie jednak nie mają odwagi kojarzyć pewnych faktów. Np. z paktem Ribbentrop - Mołotow kojarzony jest wyłącznie

zabór Litwy przez Rosjan, a nie upadek Polski, który zadecydował o utracie niepodległości przez Litwę. Nie są w stanie zrozumieć, że litewska niepodległość mogłaby być zachowana gdyby nie upadek II Rzeczypospolitej.

Jestem dla Litwinów pełen podziwu, są oni sympatycznymi ludźmi ale do momentu dopóki nie padnie słowo Polska. W niej bowiem widzą swoje zagrożenie i za wszelką cenę nie chcą dopuścić do odzyskania przez polską grupę świadomości narodowej, co już powoli zaczyna mieć miejsce. Uważają bowiem, że wówczas będą mieć do czynienia nie z grupą mieszkającą tu czy tam, ale z całą polską kulturą. Dlatego też głównym celem Litwinów jest niedopuszczenie do powstania zwartego, kulturowego obszaru, który przemieniowałby polskość. Stąd też protesty przeciwko otwarciu polskiego konsulatu w Wilnie.

Kto może najwięcej skorzystać na konflikcie polsko-litewskim, tego chyba nie trzeba udowadniać. W ubiegłym roku był na Litwie członek Biura Politycznego, sekretarz KC KPZR Jakowlew. I nie była to oczywiście wizyta towarzyska. Wiele obiecywał, wiele załatwiał, co prawda w sferze symbolicznej, a nie praktycznej. Dawał do zrozumienia, że do spraw narodowościowych, statusu republik i autonomii podejść trzeba będzie zgodnie z duchem czasu. Wyjechał chyba uspokojony tak tym co zobaczył jak i oświadczeniami liderów "Sajudisu", którzy deklarowali iż biorą pod uwagę fakt, że republika jest częścią składową jednolitego Związku Sowieckiego.

- *Czy sytuacja naszych rodaków mieszkających na Łotwie i w Estonii jest równie zła?*

- Na szczęście nie. Zarówno na Łotwie, gdzie kolonia polska jest dość liczna, jak i w Estonii, gdzie Polaków jest znacznie mniej, tzn. kilkadziesiąt tysięcy osób, sprawy mają się znacznie lepiej. W Estonii w ramach ruchu na rzecz przebudowy utworzony został polski związek i podobnie jest na Łotwie. Polacy problemów więc tam raczej nie mają. Mogą mieć natomiast sami Łotysze i Estończycy z dużą mniejszością rosyjską. Łotysze są zresztą mniejszością w swoim własnym kraju. Stanowią bowiem tylko około 40 procent ogółu mieszkańców republiki. Na Łotwie zaistniał ostatnio dziwny konflikt. Przeciw ruchowi na rzecz pierestrojki wystąpili byli żołnierze walczący w Afganistanie. Jest to oczywiście inspirowane z Moskwy. Jeśli jednak nie będzie zdecydowanego wejścia Moskwy, sądzę, że tak Łotysze jak i Estończycy poradzą sobie.

- *To cieszy, ale o ile wiem z kolei los Polaków na Białorusi jest jeszcze gorszy niż na Litwie?*

- I tak i nie. Białoruski nacjonalizm jest istotnie krzykliwy, ale funkcjonuje w małych grupach w Grodnie, w Mińsku i w innych miastach. Polaków jest natomiast sporo i nie jest to społeczność zatamizowana.

- Ale dotychczas nie mają nawet tych uprawnień jakie mają mimo wszystko Polacy mieszkający na Litwie.

- To prawda. Tylko w Lidzie działa Stowarzyszenie Kultury Polskiej, przed paroma tygodniami słyszałem, że powstało Stowarzyszenie Oświatowo-Kulturalne Polaków w Grodnie. W Mińsku nie ma nic i pewno długo nie będzie, podobnie jak i gdzie indziej. Pozostaje więc tylko polski kościół. To jest i dużo i mało. To niezorganizowanie Polaków na Białorusi nie jest tylko ich winą. Wynika również - a może przede wszystkim - z różnego rodzaju oporów. Kultura białoruska nie ma przecież tak mocnych korzeni, zamarcie narodowego szkolnictwa nastąpiło za sprawą samych Białorusinów, wreszcie ich tożsamość narodowa nie jest tak silna jak np. Litwinów, Łotyszów czy Estończyków. Mieszka tam około 20 mln ludzi i jeśli procesy będą nadal jak dotąd zachodzić w takim kierunku, nie zostanie więcej niż milion świadomych narodowo Białorusinów.

- Reszta ulegnie rusyfikacji?

- To sprawa nie tak prosta. Wpływy Moskwy na Białorusi są oczywiście bardzo silne, silniejsze niż w krajach nadbałtyckich. Moskwa wie co może stracić i stara się do tego nie dopuścić. To, że na Białorusi jak dotąd nie powstał ruch na rzecz przebudowy na wzór litewskiego "Sajudisu", to nie dlatego, że brak chętnych do takiej działalności. Ale dlatego, że na to nie pozwoliła Moskwa. Na Białorusi funkcjonują cztery narodowo-duchowe formacje: nacjonalistyczna Białorusinów /wbrew pozorom najstarsza/, formacja oficjalna o opcji moskiewskiej, formacja katolicka o opcji propolskiej i formacja proukraińska. Czas pokaże, która zdobędzie decydujący wpływ.

- Chyba opcja promoskiewska ma teraz jakby nieco mniejsze szanse po odkryciu masowego grobu w Kuropatach?

- Wieść gminna niesie, że w Kuropatach znaczną część pomordowanych stanowią Polacy z dawnego autonomicznego obwodu im. Feliksa Dzierżyńskiego, znajdującego się między Mińskiem a Witebskiem. I może być w tym część prawdy. Gdzie są bowiem tamci Polacy, gdzie są inni z obwodu koło Żytomierza?

- Wywiezieni do Kazachstanu ...

- Wszyscy? Kto to policzył? Ja sam jako dziecko w 1945 roku oglądałem to wszystko, te aresztowania, wywózki. Tam znalazł się mój ojciec, został na Magadanie, zginął, gdzieś musi być jego grób. Ale gdzie? Nikt tego nie wie. Ale ja wiem, że z hekatombą ludności polskiej zamieszkującej wschodnie tereny Rzeczypospolitej jeśli nie te, to inne Kuropaty, mają bardzo wiele wspólnego. Naród białoruski również przeszedł wiele, represje, wielokrotne wywózki. Ale ta wspólnota losów nie potrafiła zapobiec niechęci i uprzedzeń. Ostatnio w jednym z centralnych białoruskich pism literackich, jeden z pisarzy domagał się granic etnicznych z Białymstokiem. Jednak najwięcej rzeczy, które muszą budzić polski sprzeciw ukazuje się na Litwie. Kliniknym wręcz przykładem są publikacje profesora Zniczkawiciusa oparte na poglądzie, iż na Litwie nigdy nie było Polaków, tylko spolonizowani Litwini. Wyniki spisu z 1931 roku mówiące o tym, że w województwie wileńskim mieszkało 761 tys. Polaków, 189 tys. Białorusinów, 108 tys. Żydów i 69 tys. Litwinów nie mają oczywiście najmniejszego znaczenia.

Dlatego też mimo szacunku dla taktycznej mądrości "Sajudisu", to co się obecnie dzieje na Litwie w zakresie stosunków polsko-litewskich, z punktu widzenia litewskich interesów narodowych to krótkowzroczność.

4 SZANSE NA ODDRODZENIE TOŻSAMOŚCI NARODOWEJ BIAŁORUSINÓW

Adam Iosifowicz Maldis jest członkiem komitetu organizacyjnego Białoruskiego Frontu Ludowego, doktorem filozofii, członkiem Związku Pisarzy BSSR.

Tekst został zamieszczony w litewskim czasopiśmie "Sogłasia" nr 3 z 17 lutego 1989 roku.

Co było naszą słabą stroną, która ujawniła się w trakcie zebrania komitetu organizacyjnego? Wystarczyło opublikować listę członków i od razu wszystko było jasne - inteligencja! Pisarze, historycy, uczeni. Wiedzieliśmy, że robotnicy mówili: *Popatrzcie, przecież to gromadka inteligentów, którzy nic nie wskórają. Są rozgoryczeni... W oderwaniu od mas... Ludziom jest to niepotrzebne...* Wkrótce jednak okazało się, że społeczeństwo zrozumiało intencje komitetu, a sam komitet zyskał zorganizowane poparcie w środowisku robotniczym. Pozostajemy w tyle w dziele tworzenia tożsamości narodowej. Nie udało się nam też uniknąć błędów. Z drugiej jednak strony to *opóźnienie* może pomóc nam bez pośpiechu przyjrzeć się wszystkiemu, przemyśleć sprawę, a w konsekwencji uniknąć takich skrajności, które miały miejsce, powiedzmy na Litwie, gdzie postępowe orientacje społeczeństwa rzuciły się wzajemnie na siebie... W imię czego?

Należy chronić jedność postępowych sił, a nie pielegnować rozłam. Niestety, i u nas ma miejsce konfrontacja. Już mówi się o potrzebie powstania kontrfrontu. Przeciwko komu? Przeciwko frontowi ludowemu? A może po prostu rzecz w nazwie? Przyjmijmy więc nazwę nie Białoruski Front Ludowy, a Ludowy Front Białorusi - czy będzie on obejmował wówczas wszystkie siły?

Sytuacja na Białorusi ma swoją lokalną specyfikę. Białorusini nie zdążyli w swoim czasie ukształtować się jako naród. Dlaczego tak się stało? W utworze *Kariera Wasyla Bykowa* jest scena - rzecz dzieje się podczas okupacji - w której zdrajca przeprowadza następujące rozumowanie: *Białorusini przespali swój pociąg, dlatego teraz jest już wszystko jedno jakim pociągiem pojedziemy - swoim, cudzym, czy faszystowskim...* Brzmi to jak usprawiedliwienie zdrady.

Jednak należy sobie uświadomić, że nasz pociąg doskonale wystartował w XV-XVI stuleciu, nawet wyprzedził litewski. Na jakiej

podstawie tak twierdzą? Otóż pierwsze białoruskie książki, wydane w Pradze i Wilnie, pojawiły się wcześniej niż księga Mażwidasa. Miało to miejsce w czasach Wielkiego Księstwa Litewskiego, w skład którego wchodziły także ziemie białoruskie. Powstały wówczas kroniki litewsko-białoruskie i inne formy piśmiennictwa. Także *Statut Litewski* był pisany w języku białoruskim. W Wilnie w radzie miejskiej zasiadali obok siebie prawosławni Białorusini i katolicy Litwini. Panowała zadziwiająca tolerancja. Cudzoziemcy, wędrujący wówczas po Wielkim Księstwie Litewskim, byli zaskoczeni takim harmonijnym współistnieniem katolików i prawosławnych czyli Litwinów i "Rusinów" /jak nazywano wówczas Białorusinów/, zgodnie walczących przeciwko krzyżakom i mongolsko-tatarskiej hordzie.

W połowie XVI wieku białoruscy magnaci w pogoni za przywilejami przyjęli wiarę katolicką. Przesiedli się wówczas do "polskiego pociągu" - dla zdobycia prestiżu. Była to zdrada własnego narodu. A później wahadło odchyliło się w obie strony: polonizacja-rusyfikacja.

Wzajemne stosunki Białorusinów i Litwinów nigdy nie opierały się na wrogości. W pewnym okresie historycy białoruscy i litewscy głosili tezę, jakoby zjednoczone w jedno państwo Wielkie Księstwo Litewskie odpowiadało jedynie interesom Litwinów, którzy podbili i zniszczyli "Rusinów". Oczywiście, w czasach Wielkiego Księstwa miały miejsce feudalne spory, ale nigdy na tle narodowościowym. Zjednoczenie naszych narodów było dla obu stron korzystne. Uzupełnialiśmy się nawzajem: Litwini odznaczyli się lepszą organizacją władzy i wojska, zaś u Białorusinów - w związku z wcześniejszym przyjęciem przez nich chrześcijaństwa - tradycje kulturowe, w tym piśmiennictwo, stały na wyższym poziomie. Jednakże nigdy nie narzucaliśmy Litwinom swego języka ani swego piśmiennictwa. Współistnienie narodów miało charakter naturalny, a nie wymuszony. Przy czym znacząca rola należała w tym czasie do kobiet-matek, wychowujących swe dzieci. Jeśli żona Wielkiego Księcia Litewskiego "Rusinka" zwracała się do dziecka w języku białoruskim, to właśnie ten język stawał się dla dziecka językiem ojczystym.

W XVIII-XIX wieku wahadło historii znowu dało znać o sobie. Zarówno Białorusini jak i Litwini znaleźli się pod panowaniem carskiej Rosji. Wiara cerkwi unickiej, krzewiona przemocą w XVI i na początku XVII wieku, stała się w późniejszym okresie rzeczywiście religią narodową i odegrała pozytywną rolę w kształtowaniu państwowości i świadomości narodowej Białorusinów.

Lata 30-te XIX wieku przyniosły prześladowania kościoła unickiego.

kiego i Białorusini stanęli przed trudnym wyborem. Kościół katolicki oznaczał dla nich polonizację, zaś cerkiew prawosławna - rusyfikację. Ten, kto wybrał wiarę katolicką był uważany za Polaka, a ten, kto opowiedział się za wiarą prawosławną - za Rosjanina. Jedną z wielu tragedii naszego narodu jest brak tożsamości w płaszczynie narodowości i religii.

Duchowieństwo katolickie w większości odnosiło się wrogo do białoruskiego ruchu narodowego, a i cerkiew była temu ruchowi nieprzychylna.

Zresztą i dziś nasz ruch nie odczuwa jakiegóż szczególnej sympatii ze strony duchowieństwa. Wyjątkiem jest tu ksiądz Czerniawski z Wiszniewa, prowadzący liturgię w języku białoruskim oraz dwóch - trzech duchownych prawosławnych.

Natomiast jeżeli chodzi o litewski ruch narodowy, działacze religijni odegrali tu rolę wyjątkową. I w przeszłości /przypuszczalnie tu nazwisko Baranauskasa i Majronisa/ i obecnie. U nas, niestety, takich przykładów jest niewiele. Co prawda, na naszym seminarium, poświęconym tysiącleciu chrztu na Rusi, część duchowieństwa wystąpiła w języku białoruskim, co jeszcze 20-30 lat temu było niemożliwe. Potwierdziliśmy także konieczność powtórnego przetłumaczenia na język białoruski *Pisma Świętego*.

Proszę sobie wyobrazić taką sytuację. Pewnego razu odwiedziła mnie w mojej rodzinnej wsi nieznaną kobietą z innej odległej wioski. Okazało się, że zawsze spowiadała się u księdza Czerniawskiego w Wiszniewie, a będąc w okręgu Oszmiańskim udała się do spowiedzi do księdza miejscowego. Spowiedź rozpoczęła jak zwykle w języku białoruskim... Lecz ksiądz przerwał jej - *Mów nie prostym /swoim/, a ludzkim!* I powiedział w ten sposób: *Matka Boża to wieśnienie Korony Polskiej. Jakże dojdą do niej twoje modlitwy, jeżeli zwracasz się do niej w obcym języku?* Kobietę ogarnęło zwątpienie. Jak to możliwe?... Nie bardzo jakoś ją przekonałem twierdząc, że wobec Boga wszystkie języki są równe...

Jeszcze jedna szansa - początek XX wieku. Jest ona związana z Wilnem. To tu przecież wychodziły pierwsze oficjalne białoruskie gazety *Nasza doła*, *Nasza niwa*. Tu mieszkali i tworzyli Kupała, Kolas, Tetka, Zmitrok, Biadula, Maksim Gorecki. Proszę sobie przypomnieć jak wyglądały wówczas ich związki z litewską inteligencją. Tetka i Biliunas, Janka Kupała i Liudas Gira, Janka Kupała i Maria Lastauskene - ich wzajemne oddziaływania znaczyły bardzo wiele.

Artykuły L. Giry o J. Kupaale w początkowym okresie były tłumaczone i drukowane przez białoruskich badaczy literatury niechętnie. Litewski twórca radził tam swojemu koledze po piórze, by bardziej

eksponował wartości ogólnoludzkie, a nie skupiał się tylko na sprawach chłopskich.

Rzecz w tym, że literatura litewska tego okresu, tzn. początku XX wieku, prezentowała nieco wyższy poziom niż piśmiennictwo białoruskie. L. Gira doskonale rozumiał ograniczoność "chłopskiej muzy". Udało mu się też wyrzec pozytywny wpływ na twórczość Kupały, co - jak mi się wydaje - widoczne jest w poemacie romantycznym *Jana i ja*.

Później przyszedł okres leninowski - lata 20-te. Nasz pociąg zaczął nabierać przyspieszenia. Nastąpiła eksplozja uczuć narodowych, kolejne przebudzenie świadomości, dynamiczny rozwój białoruskiej kultury. Literatura wzbogaciła się o setki utalentowanych twórców o wiejskim rodowodzie. Życie narodowe kwitło. Wtedy to i "góra" zaczęła mówić w ojczystym języku. Nawet przywódcy republiki - Czerwiakow i Adamowicz w rozmowach z chłopami posługiwali się językiem białoruskim, a ci ostatni z zadowoleniem stwierdzali, że nie tylko chłopstwo pielęgnuje język ojczysty. Niestety, tego nam dziś brak - tego prestiżu ojczystego języka.

A dalej?... Litwa nie przeżyła takiego 37 roku jak my. Każda próba obrony rodzimej kultury, literatury, języka była wówczas traktowana jako skrajny nacjonalizm czy faszyzm. Od tej pory w duszach białoruskiej inteligencji zagościł strach...

Mimo tego jednak kontakty białorusko-litewskie trwały nadal. W latach 20-tych w Kaunasie wydawane było białoruskie czasopismo *Kriwicz*, a w latach 30-tych działało Białoruskie Towarzystwo Kulturalne, zaś przy nim objazdowy zespół teatralny, który prezentował swoje sztuki na wsiach białoruskich i litewskich /dokumentacja tej działalności jest skrzętnie przechowywana w Mińsku w Bibliotece Akademii Nauk BSRL/. Wokół Wilna również skupiły się siły, odgrywające w dziedzinie kultury znaczącą rolę. Jednak i tu dotarł pamiętny rok 1937, a następnie 1939 i 1940. Większość twórców białoruskich działających w Wilnie represjonowano, ginęli w więzieniach i obozach... Teraz wspólnie musimy przywrócić ich dobre imię.. Moralne i fizyczne prześladowania okaleczyły białoruską państwowość. Po każdym kolejnym odrodzeniu, po bardzo krótkiej wiosnie, następowały surowe przymrozki. Dlatego też obecnie stoi przed nami niełatwe zadanie. Oto czytelniczka *Odrodzenia* stwierdza, że nie ma potrzeby zakładania szkół w Wilnie dla Białorusinów, ponieważ to oni sami zrezygnowali dobrowolnie z mowy ojczystej. Rzecz jest jednak o wiele bardziej złożona i w swej wymowie tragiczniejsza. W latach 60-tych i 70-tych nasze władze w pogoni za przywilejami, tak jak bywało w XVII i XIX w., sprzedali swój naród za judaszowe srebrniki, realizując doktrynę "przemieszania narodowości". Wyrzekano

się narodowości białoruskiej dla kariery. Wydaje mi się, że trafnie określił to zjawisko W.I.Lenin pisząc, że zrusyfikowane narodowości *nie czują rosyjskiej duszy i chcą być lepsze niż sami Rosjanie.*

A jeżeli chodzi o życie codzienne... Pamiętam, jechałem kiedyś ze znajomą z rodzinnego Gudogaja do Mińska. W drodze do pociągu i podczas podróży rozmawiała jeszcze po białorusku, ale już na peronie w Mińsku zaczęła mówić po rosyjsku. Zapytałem: *Skąd ta nagła zmiana? Przecież przyjechaliśmy do miasta. Tu nie wypada mówić po białorusku* - odpowiedziała.

W okręgu Ostrowieckim moi krajanie mówią o swoim języku nie białoruski a "prosty", czy też "mowa tutejsza". Oznacza to, że proces kształtowania świadomości narodowej, a co za tym idzie, własnej państwowości nie jest jeszcze zakończony i że będzie trwał jeszcze długo, boleśnie i nie bez konfliktów.

Do niedawna nie było w Mińsku ani jednej białoruskiej szkoły. Język białoruski był traktowany jako jeden z wielu przedmiotów. Przedmiot ten - na wniosek rodziców - został z programu szkolnego wycofany. Wyglądało to bardzo "demokratycznie" - rodzice proszą dla dobra dzieci. Uwalniają dzieci od języka ojczystego! W tej chwili sytuacja się zmienia. Szkół jest więcej, część młodzieży posługuje się językiem ojczystym. Głównie ma to miejsce w przypadku grup nieformalnych. Nihilizm narodowy - jak choroba - sparaliżował nasze główne organy: mózg i serce - system oświaty i system kultury. Młodzież domaga się natychmiastowego przestawienia wszystkich szkół i przedszkoli na język białoruski! A kto będzie tam uczył? - pytam. Potrzebne są kadry. W pierwszej kolejności należy przestawić na język ojczysty szkoły wyższe. Obecnie prowadzone są rozmowy w sprawie przyznania językowi białoruskiemu statusu języka państwowego. Status można przyznać, lecz jeśli nie będzie prestiżu - a on rodzi się wyżej, w sferze potrzeb duchowych - nic się nie zmieni.

Wydaje mi się, że my, elita białoruska i inteligencja litewska powinniśmy zadbać o częstsze wzajemne kontakty. Tym bardziej, że na stosunki nasze kładą się cieniem liczne nieporozumienia, które przecież nie powinny mieć miejsca. Należy mówić o sprawach bolesnych i wspólnie konstruktywnie pokonywać trudności. I u nas i u was wiele się mówi o litewskich wsiach w okręgu Ostrowieckim i Woronowskim, gdzie nie ma litewskich szkół i instytucji kulturalnych. Jest to bezwzględnie zjawisko anormalne. W kościele powinien być ksiądz Litwin.

Niedawno wpadł mi w ręce artykuł, przysłany do jednej z na-

szych gazet /nie został jeszcze opublikowany, dlatego nie mogę wymienić tu nazwiska autora, który jest skądinąd człowiekiem znanym i zasłużonym/. Otóż autor ten zarzuca nam, że Białorusini byli winni temu, iż w okręgach, o których mowa wyżej, nie ma litewskich szkół. Ale nie postawił sobie innego pytania. A czy w Ostrowcu obok szkół litewskich są białoruskie? Też nie ma. Nie Białorusini zamykali w okręgu Woronowskim kościoły, a ci, którzy jednakowo prześladowali i Białorusinów i Litwinów.

Powinniśmy się zebrać i postanowić konkretnie, co mamy robić. Kiedyś usłyszałem od pewnych Litwinów, że można by rozwiązać nasz problem przez przyłączenie tych terenów do Litwy. Takie podejście bardzo mnie zdziwiło, bo przecież sprawa jest o wiele bardziej złożona. Wszakże dziś litewskie osiedla, wciśnięte w strefy białoruskie, są od siebie oddzielone właśnie terenami zamieszkałymi przez Białorusinów. I dlatego takie konfrontacyjne podejście uważam za niekonstruktywne. A ludność białoruska na Litwie: czy ma tam swoje szkoły? Być może komuś zależy na tym, aby nas poróżnić? Sprawa jest jasna. Musimy działać zgodnie, nie wytykając sobie wyimaginowanych krzywd.

Drugi problem, z którym musimy się zmierzyć działając w pełnej jawności, to przywrócenie współczesnym nazwisk tych twórców i białoruskich i litewskich, którzy niewinnie cierpieli, a nawet ginęli. Dokumentacją, dotyczącą zaginionych twórców, jeszcze nie dysponujemy. O niektórych praktycznie nie wiemy nic, nie znamy nawet danych biograficznych. Chciałbym wymienić w tym miejscu choć kilka nazwisk literatów, związanych z Wilnem: Franuk Griszkiewicz, Kostiewicz /pseudonim Makar Krawcow/, Władimir Samojła. Zwracam się z prośbą do wszystkich naszych czytelników, którzy mogliby udzielić nam jakichkolwiek informacji o losach tych ludzi, aby zechcieli się z nami skontaktować.

Jest jeszcze jedna sprawa - Muzeum Białoruskie w Wilnie. Powstało na początku naszego wieku w wyniku starań zasłużonego krzewiciela oświaty, Iwana Łuckiewicza i grupy entuzjastów. Muzeum mieściło się na Starym Mieście w "Murach Bazylikańskich", gdzie swą siedzibę miało również białoruskie gimnazjum. Posiadało bogate zbiory ksiąg, manuskryptów, map, pasów słuckich, znanych wyrobów ze szkła. W 1946 roku zostało zlikwidowane. Likwidacji dokonywali ludzie niekompetentni, potajemnie i w pośpiechu. Zbiory zdekompletowano. Część z nich przewieziono do Mińska, większość pozostała w Wilnie. Dzieła sztuki ulokowano w magazynach Litewskiego Muzeum Historii i Etnografii. Manuskrypty i książki przekazano do Biblioteki Akademii Nauk, a wszystkie czasopisma zgromadzono w osobnym miejscu. Były to publikacje o charakterze rewolucyjno-demo-

kratycznym, zwalczane przed wojną przez polski rząd burżuazyjny. Do chwili obecnej ich status prawny nie jest jeszcze uregulowany.

Jestem przewodniczącym Komisji Białoruskiego Funduszu Kultury d/s przywracania dóbr naszej kultury narodowi białoruskiemu. Zanim powstała komisja wielokrotnie zabiegałem o to, aby eksponaty Muzeum Białoruskiego zostały przekazane do Mińska. Lecz teraz, kiedy powstało na Litwie Towarzystwo Kultury Białoruskiej, gdy zmieniły się warunki powstał *Sajudis*, moglibyśmy rozwiązać ten problem inaczej. Pojawiła się - zgodnie z propozycją mieszkańców Wilna - możliwość odtworzenia Muzeum Białoruskiego na starym miejscu. Wydaje mi się, że odtworzenie tego muzeum w Wilnie, istniejącego tam przecież do czasów stalinowskich, jest rozwiązaniem najwłaściwszym. Niech dwie nasze kultury - litewska i białoruska - staną na straży naszych obecnych i przyszłych kontaktów, które wymagają reanimacji.

Pojęcie "odrodzenia świadomości narodowej" i "państwowości" są nierozdzielnie ze sobą związane. Jeśli chodzi o Białoruś, formalnie sprawa wygląda zadawalająco - jest ona republiką, członkiem ONZ, należy do UNESCO. Ale przecież istotna jest treść, nie forma. Problem realnej suwerenności został podniesiony oddolnie, przez społeczeństwo, a góra /władza/ na początku patrzyła na to krzywo. W tej chwili problem suwerenności BSSR zawiera się już w programie polityki państwowej.

Głównym zadaniem Białoruskiego Frontu Ludowego jest dziś opracowanie konstruktywnego programu. Znaczna jego część już istnieje. Uwzględniamy przy tym naszą specyfikę. Niedorzecznym byłoby mechaniczne przeniesienie na nasz grunt programu *Sajudisu* /czy też Łotyszy, Estończyków czy Uralskiego Frontu Ludowego/. "Specyfika" nasza polega na tym, że jeżeli w innych przypadkach można mówić o nadmiarze uczuć narodowych, to na Białorusi tych uczuć wyraźnie brakuje, brakuje patriotyzmu, korzeni /rodowodu/, związków z ziemią.

Jakie są więc perspektywy Białoruskiego Frontu Ludowego? Oczywiście, każde dziecko powinno się urodzić o swoim czasie. Żyjemy w czasach wielkiego przyspieszenia i - będąc optymistą - myślę, że dziecko urodziło się wprawdzie przed terminem, lecz zdrowe i silne.. Przecież ta rewolucja, która rozpoczęła się w naszym kraju "od góry" i kierowana jest przeciwko skostniałemu biurokratycznemu aparatowi, traci chwilami na swej ostrości. Bo aparat okazał się twarde orzechem do zgryzienia i niewiele tu wskórają działania idące tylko do góry. Wniosek - należy wziąć go w kleszcze - od góry i od dołu. I ważne, żeby obie części tych kleszczy działały zgodnie.

Wszyscy pamiętamy odwilż lat pięćdziesiątych. Niestety, i ona

zakończyła się przymrozkiem. To, co w chwili obecnej przeżywa Białoruś jedni nazywają czwartym, a inni piątym odrodzeniem. I daj Boże, żeby to było prawdziwe odrodzenie i oby trwało długo. Żeby po gwałtownej wiosnie nastąpiło długie i ciepłe lato, szczodra jesień.

Adam Maldis

PREZENTACJE

NIE USTALAMY GRANIC

W rozmowie z Rastko Marceticem prezentujemy naszym Czytelnikom Europejską Grupę Łączności /European Liaison Group, ELG/, organizację londyńską, która stanowi bardzo interesującą próbę zjednoczenia działań wschodnioeuropejskich emigrantów. Za zgodą przewodniczącego ELG, pana Marcetica osoby zainteresowane kontaktem z Grupą informujemy, że korespondencję do niej należy kierować na adres: European Liaison Group, 22 Lambroke Square, London W11 3NA, Wielka Brytania.

- *W jakich okolicznościach zrodziła się idea założenia Europejskiej Grupy Łączności /ELG/ ?*

- Po kryzysie czeskosłowackim w 1968r, kiedy emigranci ze Wschodniej Europy byli przekonani, że Zachód nie uczynił wiele, by wspomóc Wiosnę Praską, doszło do spotkania niektórych przywódców społeczności emigracyjnych zamieszkałych w Wielkiej Brytanii. Postanowiono zjednoczyć się w organizacji, która działałaby w oparciu o zasadę "jeden za wszystkich, wszyscy za jednym". Przyświecało nam przekonanie, że działając wspólnie jesteśmy w stanie osiągnąć znacznie więcej aniżeli wszystkie grupy mniejszościowe działające w rozproszeniu. W ten właśnie sposób doszło w 1968r do uformowania ELG. Każda grupa narodowa, bez względu na jej wielkość, dysponuje w trakcie debat naszej organizacji tylko jednym głosem. Zasada ta została przyjęta w sposób demokratyczny i nigdy nie wywoływała sprzeciwów, mimo że na przykład społeczność polska w Wielkiej Brytanii liczy około 300 tys. osób, a Estów jest zaledwie 500.

Od samego początku ELG była bardzo aktywna we wspieraniu dysydentów w bloku sowieckim. Na przykład, w sprawie uwolnienia Władimira Bukowskiego przeprowadziliśmy bardzo szeroką akcję propagandową. Oczywiście nie byliśmy w tym osamotnieni, ale nasza działalność była szczególnie wyraźnie widoczna.

Trzeba tu jednak wspomnieć, że początkowo problem Rosji wzbudzał pewne obiekcje. Niektóre delegacje sprzeciwiały się uczestnictwu Rosjan w ELG, ale po przedstawieniu w 1978r na mityngu w Londynie rosyjskiej deklaracji w sprawie prawa do samookreślenia państwowości przez wszystkie narody wchodzące obecnie

w skład ZSSR, opór ze strony mniejszości wschodnioeuropejskich żelaza. Obecnie mamy też w ELG reprezentantów Rosji.

- *Oznacza to jednak, że od utworzenia ELG w 1968r aż do 1978r Rosjanie nie byli członkami organizacji?*

- Sprzeciwiali się temu Ukraińcy i Bałtowie. Przed 1978r żadna grupa rosyjskich emigrantów nie była skłonna do publicznego stwierdzenia, że każdy naród ZSSR ma prawo do oddzielenia się od reszty kraju i samodzielnego bytu państwowego. Dopiero wspomniana deklaracja, podpisana przez Bukowskiego, Maksimowa i 35 innych wybitnych opozycjonistów rosyjskich otworzyła możliwości współpracy.

- *Jakie są podstawowe cele działalności ELG?*

- Podstawowym naszym zadaniem jest przyciąganie uwagi Zachodu do problemów krajów spoza "żelaznej kurtyny". Wspieramy wysiłki tych, którzy dążą do wyzwolenia się spod panowania komunistycznego. Robimy to poprzez wywieranie nacisku na najbardziej wpływowe kręgi społeczeństwa, tzn. polityków, naukowców, dziennikarzy, biznesmenów. Staramy się propagować ideę, że Europa Wschodnia musi być wyzwolona, w taki czy inny sposób, że wszystkie grupy, które walczą tam o prawa obywatelskie i demokrację powinny być wspierane. Robimy wszystko, żeby problematyka ta ciągle była żywa na Zachodzie. Obecnie nie jest to trudne, bowiem informacja ze Wschodu jest obecna w zachodnich środkach masowego przekazu, ale inaczej to się przedstawiało na przestrzeni całego ostatniego dwudziestolecia. Bardzo mało osób rozumiało ten problem, przejmowało się nim i dostrzegało jego wagę. Do niedawna przyciąganie uwagi świata zachodniego do zagadnień wschodnioeuropejskich było zadaniem trudnym, choć dającym nam satysfakcję. Wydaliśmy siedem broszur w nakładzie 10 tys. egzemplarzy każda i spotkaliśmy się z żywą reakcją. W ślad za nimi szły publiczne spotkania, zwykle organizowane w Izbie Gmin, a więc miejscu o specjalnym znaczeniu. Za każdym razem udawało nam się zapewnić udział w dyskusji członków parlamentu brytyjskiego oraz wybitnych specjalistów.

- *Czy ta grupa około dwudziestu posłów, która odpowiedziała pozytywnie na nasz apel miała przedtem jakieś związki z Europą Wschodnią, na przykład poprzez pochodzenie, więzy krwi?*

- Nie, są to rodowici Brytyjczycy. Podjęli współpracę z nami, ponieważ nasza organizacja reprezentuje niemal wszystkie duże narody Europy Wschodniej, a nie jakiś jeden wybrany. Sądzę ponadto, że ważnym czynnikiem była tu po prostu chęć wsparcia sa-

mej idei wolności. Trzeba też pamiętać, że za nami stoi pół miliona obywateli brytyjskich pochodzenia wschodnioeuropejskiego. Jeśli dodać do tego drugie pokolenie, wychowane już tutaj, będziemy mówić o półtoramilionowej rzeszy wyborców. Tak więc dysponujemy całkiem pokazną polityczną siłą.

Przed wizytą Gorbaczowa w Wielkiej Brytanii skierowaliśmy do pani Thatcher krótkie memorandum /wiadomo, że długich tekstów nikt nie czyta/, w którym prosiliśmy o poruszenie w czasie rozmów pewnych konkretnych kwestii. Dostaliśmy bardzo pozytywną odpowiedź z zapewnieniem uwzględnienia naszej prośby oraz listą innych, pokrewnych tematów podjętych przez panią premier. Już choćby z tego widać, że jesteśmy traktowani całkiem poważnie. Nigdy zresztą nie mieliśmy nastawienia ekstremistycznego, nigdy nie pochwalaliśmy przemocy, ale zawsze byliśmy bardzo aktywni w organizowaniu mityngów, demonstracji, publikowaniu broszur i nawiązywaniu osobistych kontaktów. Ostatnio odchodzimy od udziału w demonstracjach, bowiem w dzisiejszej sytuacji lepsze efekty daje praca indywidualna i silniej oddziałuje słowo pisane - tą drogą daje się więcej osiągnąć.

- Tak więc głównymi metodami waszego poparcia dla społeczności Bloku Wschodniego jest rozpowszechnianie informacji oraz podtrzymywanie aktualności problemu praw obywatelskich, wywieranie politycznego wpływu na kształt polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii...

- Nie tylko Wielkiej Brytanii. Nie powiedziałem panu jeszcze, że przez cały czas dążymy do nawiązania ścisłych kontaktów z innymi grupami o podobnym charakterze. Mamy, na przykład, bardzo dobre kontakty ze wschodnioeuropejskim wychodźstwem we Francji, RFN, USA oraz Australii. Ostatnio dyskutujemy nad możliwością powiązania naszych działań i stworzenia czegoś w rodzaju międzynarodowej sieci takich organizacji. Trzeba tu jednak wyraźnie podkreślić, że nie zdecydujemy się na pewno na współpracę z grupami, które nie przyjmą zasady demokracji. Nie wchodzimy w żadne układy z ekstremistami, z tymi, którym przyświecają cele totalitarne, z szowinistami itp.

Jesteśmy przekonani, że skoordynowana akcja będzie mogła wywrzeć daleko większy wpływ na przyszły układ sił w świecie. Jednocześnie jednak podkreślamy, że organizacje w każdym konkretnym kraju muszą zachować swą własną specyfikę, odrębne metody, które wypracowały i całkowitą niezależność.

- Ze wszystkiego, co pan powiedział, wynika, że ELG jest organizacją starającą się wyważyć interesy różnych grup narodowościowych. W jaki sposób odbijają się na jej kształcie i działa-

niach sprzeczności, które tak boleśnie dotykają nas, żyjących na codzień w Europie Wschodniej. Pan jest Serbem - czy da się jednocześnie w równym stopniu bronić interesów każdego z narodów Jugosławii i wspierać jedność całej federacji przy tak zróżnicowanych tendencjach wewnątrz kraju?

- Mamy w delegacji jugosłowiańskiej Serbów, Chorwatów, Słoweniów. Zgadza się, że problem Jugosławii może być trwale rozwiązany wyłącznie na drodze przemian demokratycznych. Jeśli któryś z narodów zdecyduje się na wystąpienie z federacji, to przecież nie będzie go można w niej zatrzymać. Wszystkie procesy polityczne muszą się rozstrzygać w oparciu o wolną wolę grup wyrażoną w demokratycznej procedurze. Podobnie rzecz się ma, jak często mogę się przekonać, z przedstawicielami narodowości zamieszkujących inne kraje.

- A jeśli wejść w jeszcze bardziej szczegółowe podziały. Jak sobie radzicie ze zróżnicowaniem opcji i wizji politycznych wewnątrz poszczególnych grup narodowych? Wiadomo, że Polacy na wychodźstwie są podzieleni, podobnie Ukraińcy, Serbowie itd.

- To nie stanowi dla nas jako organizacji specjalnego problemu. W końcu działamy w sposób dość selektywny - tylko ugrupowania demokratyczne mogą przyłączyć się do naszej organizacji.

- Czy mógłby pan dać przykład takich grup, które nie wstąpiły do ELG?

- Choćby ustaszowcy ze strony Chorwatów, Związek Ukraiński, który skupia przede wszystkim banderowców i inne pomniejsze ugrupowania. Z drugiej strony, w Wielkiej Brytanii istnieje wiele związków Polaków i wszystkie są reprezentowane w ELG - te związane z Rządem Emigracyjnym, socjaliści, konserwatyści, solidarnościowcy i inni. Spierają się między sobą, ale kiedy dochodzi do działania w ramach ELG, występują wspólnie. I to jest naturalne.

- Czy na forum ELG dochodzi do sporów na temat przyszłego kształtu Europy, a zwłaszcza przebiegu granic, dyskusji choćby Polaków i Litwinów o przynależności Wilna?

- Nie, tego rodzaju tematów nie rozstrząsamy. Nie ustalamy granic, bo po pierwsze nie mamy na nie wpływu, a po drugie byłoby to zajęcie całkowicie bezpłodne. Dopiero po wyzwoleniu tych krajów będzie można w sposób demokratyczny wszystkie te problemy rozstrzygnąć. My jesteśmy tu, żeby pomóc w osiągnięciu suwerenności przez kraje Europy Wschodniej i uruchomieniu mechanizmu demokracji.

- W trakcie zebrania ELG, któremu mogłem się przysłuchiwać, wspominał pan o idei stworzenia wschodnioeuropejskiego lobby politycznego. Czy mógłby pan rozwinąć tę ideę?

- Chodzi mi tu o skoordynowanie działań istniejących grup mniejszościowych w ważnych momentach politycznych. Na przykład w czasie wyborów można myśleć o potencjale wielu dziesiątek milionów głosów. Jeśli wyborcom związanym z Europą Wschodnią zaproponuje się program wspierania ich rodaków, na pewno go poprą. Ponadto, dysponując własnymi senatorami, posłami, ministrami czy gubernatorami oraz możliwością wywierania szerokiej presji społecznej, w wypadku konieczności przeforsowania jednej konkretnej sprawy będziemy w stanie to zrobić. Do tego nie potrzeba żadnych czapek organizacyjnych. Trzeba tylko dobrej współpracy grup, które już się związały i działają, tyle że w rozproszeniu nie mają takiej mocy. W praktyce, rzecz jasna, możliwe są tylko akcje wokół wybranych tematów i w specjalnych okolicznościach. W przyszłości może być inaczej.

- Mam wrażenie, że jest to raczej wizja przyszłości. Jak pan widzi możliwość realizowania tego typu założeń już dziś?

- Rzeczywiście, robimy dopiero pierwsze kroki w nakreślonym przeze mnie kierunku, ale rezultaty są interesujące. Otóż przed wyborami w 1987r przygotowaliśmy wielopunktowy kwestionariusz, który skierowaliśmy do wybranych kandydatów na posłów do parlamentu. Pytaliśmy o ich stosunek do praw obywatelskich, narodowych, nadużywanie psychiatrii, prawo do emigracji itd. Od wszystkich otrzymaliśmy odpowiedzi. Namawialiśmy z jednej strony do głosowania na nich, z drugiej zaś mogliśmy wywierać na nich presję, stwierdzając, że ich własne deklaracje w kampanii wyborczej były takie a nie inne, i że oto przyszedł czas, by je realizować. W wielu konkretnych przypadkach odniosło to bardzo dobry skutek. Tak jak mówiłem, jest to początek, ale dał on nam poczucie realnej politycznej siły i wskazał, że idziemy w dobrym kierunku, że możemy być ważnym czynnikiem w kształtowaniu losów Europy. Proszę przy tym pamiętać, że są kraje o znacznie większym procencie obywateli pochodzenia polskiego, jugosłowiańskiego, węgierskiego czy ukraińskiego.

- Kiedy mówi się o różnego rodzaju lobbies, ma się zwykle na myśli nie tylko wpływy polityczne ale także ekonomiczne. Czy widzi pan szanse narodzenia się gospodarczego lobby wschodnioeuropejskiego?

- Wielu ludzi pochodzących ze Wschodniej Europy osiągnęło duże sukcesy w przemyśle, biznesie czy bankowości /jako przykład

wspomnę tu wielkich amatorów międzynarodowych wywodzących się z Jugosławii/ i o wykorzystaniu tego potencjału trzeba myśleć. Sama ELG jest uboga. Nigdy nie otrzymywaliśmy od nikogo żadnych subsydiów, co zresztą dawało nam większą niezależność, a przez to siłę polityczną. Jest to jednak także naszą słabością, gdyż na pewne rodzaje działalności brakuje nam środków. Jedyne na co nas na razie stać, to wysłanie dwóch przedstawicieli Grupy do USA w celu zaproponowania współpracy z wszystkimi demokratycznymi środowiskami mniejszościowymi oraz podjęcia starań w kierunku ustanowienia takiego lobby. W sposób oczywisty cele polityczne musiałyby być wspierane przez jakieś źródła wspólnego finansowania. Mamy nadzieję, że powstanie przedstawicielstwa narodów Europy Wschodniej, które obejmowałoby cały wolny świat jest kwestią bliskiej przyszłości.

- Co stanowi główne przeszkody?

- Ludzie, którzy opuścili swój kraj mają skłonność do życia w przeszłości. Przykładają do dzisiejszego świata kryteria, które już do niego nie bardzo pasują. Dotyczy to zwłaszcza tych starszych pokoleń. Nowa emigracja jest zupełnie inna, patrzy na wszystko bardziej realistycznie. Istnieje więc problem wyboru celów nastawionych na przyszłość a nie odtworzenie minionej rzeczywistości. Inną kwestią jest to, o co pan pytał wcześniej, tzn. właśnie narodowe. Trudno jest się porozumieć Rumunom z Węgrami, Polakom z Ukraińcami, Czechom ze Słowakami itd. To też jest przeszkoda, ale jeśli zastosować się do zdrowego rozsądku, sięgnąć do odpowiednich argumentów, to dojdzie się do przekonania, że w interesie każdego z tych narodów leży wyzwolenie się spod władzy komunistycznej i demokratyzacja całego regionu. Można to osiągnąć najłatwiej i najpewniej tylko przy współpracy z sąsiadami i koordynacji wysiłków.

- Co możemy my, uczestnicy ruchów niezależnych w Europie Wschodniej zrobić, żeby ułatwić działalność ELG?

- Przede wszystkim dostarczać nam jak najwięcej informacji. Przy każdej bytności na Zachodzie prosimy o kontaktowanie się z nami, przedstawianie własnych opinii, żebyśmy wiedzieli w jakim stopniu nasze akcje są skuteczne i jak je udoskonalać.

OBYCZAJE

Jadwiga Pstrusińska

WALKA W AFGAŃSKIM KODEKSIE HONORU¹

Aż do momentu masowej migracji ludności Afganistanu w ostatnim dziesięcioleciu Pasztunowie /Afganowie/² uważani byli za najliczniejszą grupę etniczną w swym wieloetnicznym i wielojęzycznym kraju. Wobec braku jakichkolwiek wiarygodnych spisów ludności trudno powiedzieć, jaki procent ludności stanowili. W czasach współczesnej politycznej hegemonii Pasztunów rząd popierał dane, wedle których było ich więcej niż 50 procent. w zaledwie 12-15 milionowym kraju. Prawdy nie dojdziemy już nigdy, choćby najskrupulatniej liczyć milionowe rzesze uchodźców i ponad milion tych, którzy zginęli. Pasztunowie żyją od wieków także w Pakistanie, głównie w części zwanej Pasztunistanem oraz w dużych miastach. Granica państwowa pomiędzy tymi w Afganistanie a tymi w Pakistanie to pozostałość doby kolonialnej.

Jeszcze przed inwazją w 1979 roku ludność Afganistanu kojarzona bywała, nader często i nie bez przyczyny, z walecznością, patriotyzmem i niewyczerpanym duchem walki. Niewątpliwie miała w tym swój udział haniebna klęska, jaką ponieśli Anglicy próbując swę gdzie indziej w pełni pomyślnej strategii kolonialnej. Może jednak zdecydowana determinacja tego narodu i jego wytrwała obrona własnej niepodległości stanę się bardziej zrozumiałe, gdy wejrzymy w *pasztunwali*, pasztuński kodeks postępowania, określany także jako pasztuński kodeks honoru.

W zarówno akademickim jak i popularnym piśmiennictwie traktuje się ów kodeks jako niepisany, a jedynie przenoszony przy pomocy tradycji ustnej. Nie jest to w pełni prawdziwe, ponieważ istnieje szereg afgańskich prób zapisu balansujących na pograniczu twórczości literackiej i moralizatorskiej. W zasadzie cała 1-Niniejszy artykuł został w znacznej mierze oparty na moim artykule *Pasztunwali - afgański kodeks postępowania*, Etnografia Polska, XXI 2, Wrocław 1977.

2-Etnonim Pasztun i Afgań to w rzeczywistości synonimy. Afgańami nazwała Pasztunów ongiś pobliska ludność perskojęzyczna. Istnieje

niemal pasztuńska twórczość literacka zawiera mniej lub bardziej pośrednio wyłożone idee *pasztunwali*, w stopniu, w jakim przeżyte jest nimi całe pasztuńskie życie. W Afganistanie *pasztunwali* uważany jest za spuściznę po starożytnych Ariach. W rzeczywistości nie znamy jego pochodzenia ani wieku, tak jak nieznana jest etnogeneza samych Pasztunów. Wiadomo jednak, że jest starszy od islamu. Pewne zalecenia w obu systemach wzmacniają się wzajemnie lub są nawet niemal tożsame, ale znaczna część zaleceń jest typowa wyłącznie dla *pasztunwali*. Badając ów kodeks możemy zauważyć drobne różnice w tradycji lokalnej, zasadniczy zrab pozostaje jednak konsekwentny. Swoisty kodeks postępowania jest oczywiście charakterystyczny dla wszystkich grup etnicznych Afganistanu, w przypadku Pasztunów rysuje się on tylko specjalnie wyraźnie i posiada własną nazwę i terminologię.

Pasztunwali reguluje szerokie spektrum życia lecz szczególnie dużo uwagi poświęca kwestiom honoru, walki i gościnności. W poniższym omówieniu wymienione są wszystkie główne pojęcia związane z walką, jakie znalazły się w jednej z najszerszych prób spisania *pasztunwali*, opublikowanej ponad dwadzieścia pięć lat temu w Kabulu przez pisarzy pasztuńskiego Kiam ad-Din Chadima. Wykład całego kodeksu przeprowadził autor w kilkudziesięciu krótkich paragrafach. Całość ilustrował obficie poezją i przykładami z narodowej historii. A oto w znacznym skrócie, co *pasztunwali* mówi o walce, jej rozumieniu i jej prowadzeniu:

Reputacja

Szeroko pojęty honor, poczucie własnej godności i dobra reputacja to kwestie centralne w życiu Pasztuna. Zagrożony honor, czy to na szczeblu indywidualnym, rodzinnym, plemiennym czy nawet narodowym był przyczyną nie jednej potyczki, szeregu włak czy nawet długotrwałych wojen.

natomiast problem, i w samym Afganistanie i poza jego granicami jak określać obywatela Afganistanu ignorując jego przynależność Etniczną. Nie mając stosownego terminu często używa się wyrazu Afgan w obydwu znaczeniach. Budzi to jednak nierzadko sprzeciw niepasztuńskiej /czyli nieafgańskiej/ części ludności i może być niekiedy postrzegane jako poparcie dla hegemonii politycznej Afganów /Pasztunów/. Bardziej precyzyjne oraz bardziej zgodne z ich lokalną samoidentyfikacją są określenia typu Pasztun /lub Afgan/ z Afganistanu, Pasztun /lub Afgan/ z Pakistanu, Uzbek z Afganistanu, Tadżyk z Afganistanu, Beludź z Afganistanu etc.

Miecz

W swym przerośnym znaczeniu pozostał synonimem męstwa i odwagi z czasów, gdy Pasztunowie nie używali jeszcze broni palnej. "Wszyscy Pasztunowie przykładają wielką wagę do miecza i szanują tradycję, zgodnie z którą Pasztun nigdy z pola walki nie ucieka, od walki nie stroni, i bezwarunkowo albo na polu bitwy zwycięży, albo umiera". Jest to jedna z najważniejszych zasad *pasztunwali*, tak ważna, że Pasztun, który ośmieliłby się ją ignorować przestaje być uważany przez swoich współplemieńców za Pasztuna. Śmierć w pościeli jest jednym z najgorszych sposobów opuszczenia tego świata.

Niepodległość narodowa

"Pasztunowie mają bardzo silne poczucie wolności i nigdy przed nikim się nie uginają, broniąc swej niezależności do ostatniej kropli krwi". Lub jak to określi pewien pasztuński antropolog "Pasztun jest wolny politycznie w najbardziej głęboko pojętym tego sensie".

Miłość i obrona ojczyzny

Pasztunowie bez wahania poświęcają życie i dobytek broniąc swej ojczyzny. Mężczyźni i kobiety są do tego gotowi w równym stopniu.

Wojna za wiarę

Różni się od innych walk tym, że uważa się ją za świętą, i że prowadzi się ją w imię wiary. Jest bardzo wysoko cenionym rodzajem walki, każdy pragnie w niej uczestniczyć i walczy z wielką gorliwością. Estyma żywiona wobec uczestników świętej wojny rozciąga się nawet na muzykantów i instrumenty muzyczne biorące w niej udział. Polec za wiarę jest sprawą zaszczytną, a zgodnie z przekonaniem islamu poległy idzie do raju.

Zemsta

Gdy Pasztun uzna, że został nieodpowiednio potraktowany niezwłocznie szuka odwetu. Urazę żywi bez końca, a obowiązek zemsty przechodzi z pokolenia na pokolenie, aż nadarzy się sposobna po temu okazja. "Lata, a nawet stulecia mogą minąć, a Pasztunowie nigdy nie zapomną o niedokonanej zemście". Lecz za równie ważne uważa się odwzajemnienie dobra. Niezrewanżowanie pomocy jest w społeczności pasztuńskiej uważane za wielkie uchybienie.

Prawidła walki

Podczas ataku dowódca stoi na czele i tylko w celu wydania

stosownych rozkazów lub ogarnięcia sytuacji może chwilowo się wycofać. Ucieczka z pola walki karana jest śmiercią. Walczyć należy do ostatniego tchnienia w każdy możliwy sposób, np. jeśli żołnierz stracił ręce "powinien zębami rwać ciało przeciwnika". Nie należy pozostawiać ciał rannych i zabitych towarzyszy i należy je zbierać nie tylko pod osłoną nocy lecz i w czasie najgorętszej walki. Uważa się, że dla przyniesienia ciała jednego człowieka warto ryzykować życie choćby setek innych. Pozostawienie zabitych na polu walki, nawet po zwycięstwie traktowane jest jako znaczna porażka. Hasła tego, kto stronił od walki lub przeszedł na stronę wroga, przechodzi z pokolenia na pokolenie.

Napad

Pasztunowie uważają się za mistrzów owej strategii. Jeśli siły ma się niewielkie nie należy nigdy atakować w dzień, lecz w nocy, gdy wróg jest "ślepy i głuchy". Dzień należy przeznaczyć w takiej sytuacji na umacnianie własnych fortyfikacji, poczym napaść nocą i gnieść wroga w każdy dostępny sposób.

Zagarnięcie mienia

Gdy jedno plemię ma prawo do roszczeń wobec drugiego, które nie jest w stanie ich wypełnić, może nastąpić zagarnięcie części mienia /głównie zwierząt hodowlanych/ oraz ludzi. Po wypełnieniu powinności następuje ich zwrot. Często tego rodzaju bezkrwawa walka bywała prowadzona wobec władz państwowych. Chwytano np. nieznane osoby i wymieniano na współplemieńców przebywających w więzieniach rządowych.

Posłuszeństwo wobec starszych

W zasadzie Pasztunowie nigdy nie są wobec nikogo ulegli lub posłuszni i mają niezwykle silne poczucie niezależności, wolności i godności osobistej. Wyjątek stanowi respektowanie decyzji rady starszych oraz bezgraniczne posłuszeństwo i pokora obowiązująca żołnierza wobec dowódcy.

Wytrzymałość i niezłomność

Obydwie te cechy mają zasadnicze znaczenie w prowadzeniu walki. Pasztunowie, którzy "nie ma co do tego wątpliwości są ludźmi walki i nawet wobec silniejszych nigdy nie ustępują", przywiązują wielką wagę do owych cech.

Pomoc

Pasztunów obowiązuje wzajemna pomoc w walce i na polu bitwy. W razie potrzeby należy oddać swoje życie w imię przyjaźni dla plemienia czy narodu. "Przeciwko obcym są jak jedno ciało,

jak ogniwa łańcucha jedno z drugim połączone".

Kobiety w walce

Pasztuńskie kobiety na równi z mężczyznami biorą udział w walce, głównie przez dostarczanie pożywienia i innych niezbędnych rzeczy. Większość Pasztunek umie jednak znakomicie posługiwać się bronią palną i w razie potrzeby bez wahania jej używa. Tym niemniej uważa się, że nie należy atakować kobiety, a jeśli się to zdarzy, jej rodzina powinna krwawo pomścić krzywdę i obrazę. Atakowanie kobiety może też spowodować przystąpienie do walki plemienia, z którego pochodzi oraz uważane jest za dowód pychy.

Pogodzenie się

Dwaj przeciwnicy muszą się pogodzić, jeśli taką decyzję przyjęła w tej sprawie rada starszych.

Kamień

Na znak poniechania walki można dopełnić ceremonii "położenia kamienia". Decyduje o tym rada starszych. Nierespektowanie takiej decyzji jest wielkim przewinieniem, a o takim człowieku mówi się, że "złamał kamień".

Zakładnik

Zawsze gdy Pasztunowie chcą zakończyć walkę, mogą przyprowadzić do wrogiego obozu określoną ilość zakładników. Są oni tam traktowani jak goście i przebywają w obcym plemieniu tak długo, aż pomiędzy przeciwnikami wygaśnie pragnienie walki, poczym wracają do siebie.

Prośba o przebaczenie

Ceremonia przeprowadzana w uzasadnionych przypadkach w celu przerwania długotrwałej walki. Zwykle dokonuje się jej przy pomocy pośredników /starca, starej kobiety lub duchownego/, którym nikt nie ośmieli się odmówić zgody. W wypadku braku pośrednika można udać się do wroga samemu ze sznurem obwiązany wokół szyi, którego końce należy włożyć do ust na znak pokory i przewinienia, lecz tak upokarzające rozwiązanie jest rzadko w praktyce stosowane. Prośba o przebaczenie nie może spotkać się z odmową. Równocześnie jednak uważa się, że śmierć jest lepsza od prośby o przebaczenie.

Zgoda

"Prawdą jest, że Pasztunowie są do pewnego stopnia ze sobą skłócenii, lecz nie cierpi na tym interes narodowy" uważa Chadim,

ponieważ jednomyślnie stają do walki z wrogiem tworząc przeciwko niemu front.

Zasady wychowawcze

Zaleca się, by dzieci nie wychowywać na istoty słabe, bojaźliwe lub zbyt delikatne. Stawianie dziecka w trudnych sytuacjach ma je nauczyć odwagi, niezłomności i odpowiedzialności. Powinno służyć opowieści wyłącznie o bohaterach zwycięskich i nieustraszonych. Od wczesnych stosunkowo lat musi się uczyć posługiwania bronią palną i innych umiejętności przydatnych w walce.

Współzawodnictwo

Wszelkiego rodzaju współzawodnictwo pomiędzy pojedynczymi osobami, bądź grupami jest uważane za bardzo pozytywne jako ćwiczenie wiodące do przyszłej sprawności w walce z nieprzyjacielem.

Obrona narodu i tradycji

Obok wielu nie odnoszących się do walki zaleceń wymienia się tu fakt, że Pasztun powinien znać szczegółowo genealogię i życie narodowych bohaterów, wstawionych w walkach i wyróżniających się walecznością. Przekazywania tradycji dokonują zwykle starcy i stare kobiety, opowiadające młodym historie godne zapamiętania. Podkreśla się, że narodowa tradycja jest szanowana w sposób szczególny.

Każdy Pasztun zobowiązany jest do przestrzegania *pasztunwali*. W przeciwnym wypadku sprowadza na siebie i swoją rodzinę hańbę, a nawet może być wygnany lub wyklęty i utracić prawo do etnonimu, bo według Pasztunów, Pasztun to człowiek, który wypełnia *pasztunwali*, a nie ktoś kto tylko urodził się Pasztunem. Czym jest ów kodeks dla Pasztunów? "W *pasztunwali* zawarte jest wszystko, co jest ich duchem plemiennym, historyczną dumą i wielkością, korzeniem i fundamentem narodowej tradycji".

Równie interesującą jest pozostała część *pasztunskiego* kodeksu postępowania, mówiąca o innych aspektach życia, ale zawsze z podkreśleniem jak wielkie znaczenie ma dbanie o własny honor i okazanie gościnności drugiemu człowiekowi.

Zapewne ten czy ów badacz powie, że to co powyżej przedstawiono, to raczej obraz idealny jaki Pasztunowie chcieliby sobie narysować, czy też w znacznym stopniu tak zwane pobożne życzenie. Faktem jest tym niemniej, że to właśnie tego typu ideały są duchem

oporu niewielkiego liczebnie narodu, który według niektórych ekspertów miał być pokonany najwyżej w pół roku, a tymczasem ignorując wszelkie fachowe prognozy pomysłnie zмага się z supermocarstwem już ponad dziewięć lat.

Jadwiga Pstrusińska

Oxford, kwiecień 1988

"ALBANIA POZOSTAJE WIERNA STALINOWI I ENVEROWI CHODŹY"*Russkaja mysl - Nr 3791 - 1.IX.1989r.*

Albania, w odróżnieniu od Związku Sowieckiego, krajów Europy Wschodniej oraz Chin, przyzywających okres reform i głębokich wstrząsów polityczno-społecznych, pozostaje jednym z niewielu krajów, który zachował wierność betonowej ideologii marksizmu-leninizmu w tym kształcie, w jakim ją stworzył Stalin i rozumiał były przywódca Albanii, Enver Chodża.

Nieznane są tu "glasnost" i "pierestrojka", zaś sama Albania po zerwaniu stosunków z Belgradem w 1948 roku, Moskwą w 1961 roku i Pekinem w 1979 roku pozostaje zamkniętą i najbardziej niedostępną częścią Europy.

Obserwatorzy zachodni odnotowują w ostatnim okresie niektóre posunięcia dyplomatyczne Tirany w kierunku otwarcia na świat. Według optymistów powinno to oznaczać gotowość Albanii do wyjścia z getta, do którego została wtłoczona przez Envera Chodżę, i w którym tkwiła od roku 1944 aż do jego śmierci w roku 1985.

W ostatnich trzech latach Albania nawiązała stosunki dyplomatyczne /lub podniosła ich rangę/ z kilkoma krajami. Jednocześnie wyraziła gotowość realnej współpracy z krajami bałkańskimi. Jest to niewątpliwie pozytywna tendencja, biorąc pod uwagę dotychczasową izolację i zastój epoki Chodży.

Jednakże w przypadku Albanii zmiany nie idą w kierunku reform polegających na wprowadzeniu przedsiębiorczości prywatnej, zagranicznych inwestycji /do chwili obecnej zabronionych/ czy też gospodarki rynkowej.

Tirana twierdzi uparcie, że Gorbaczow stara się wskrzesić kapitalizm, zaś w "glasnosti i pierestrojce" upatruje zdradę idei marksizmu-leninizmu. Ze stanowiska Tirany jasno wynika, że jej zbliżenie zarówno ze Związkiem Sowieckim, jak i ze Stanami Zjednoczonymi jest w najbliższym czasie raczej wątpliwe. Tymczasem albańska propaganda oskarża oba supermocarstwa o *hegemonistyczne zamiary wobec reszty świata*.

Nieśmiała odwilż w stosunkach dyplomatycznych z zagranicą nie znajduje, niestety, najmniejszego potwierdzenia w życiu na-

rodu. Indoktrynacja prowadzona jest nadal z tępa gorliwością, a niski poziom życia społeczeństwa nie różni się niczym od powojennego.

Nieliczni cudzoziemcy, którym udało się zwiedzić Albanię /wizy wydawane są co najwyżej 10 000 turystów rocznie/ opuszczają ten kraj w dziwnym przeświadczeniu, że oto odbyli podróż zarazem w czasie i przestrzeni.

Samochody, wyprodukowane w latach 50-tych /w okresie sowieckiej pomocy/, a w najlepszym przypadku z lat 60-tych /okres przyjaźni z Chinami/ oraz zakłady produkcyjne są w stanie kompletnej ruiny. Prace polowe wykonywane są ręcznie i przeważnie przez kobiety. Ubiór Albańczyków nosi piętno komunizmu z epoki stalinowskiej. Sklepy rażą pustymi półkami, obowiązuje reglamentacja artykułów żywnościowych, brak jest towarów pierwszej potrzeby.

Można śmiało powiedzieć, że o ile Dubczekowi nie udało się w swoim czasie zbudować socjalizmu z ludzką twarzą, to Enver Chodża osiągnął sukces kreując socjalizm o twarzy ascety.

Od kilkunastu lat funkcjonuje system kartek na mięso, brakuje wielu artykułów żywnościowych, a zwłaszcza cukru. Jeżeli w sklepach samej Tirany trudno jest dostać cokolwiek, to cóż dopiero mówić o prowincjonalnych miastach, takich jak Durres czy Sarandi na wybrzeżu Adriatyku.

Stosunkowo niedrogo można kupić w sklepach państwowych makaron, kaszę i konserwy, lecz owoce i warzywa, sprzedawane po cenach rynkowych, są praktycznie niedostępne dla szarego obywatela. Kawa pozostaje rarytasem - cena 1 kg przewyższa połowę przeciętnej płacy.

Przeciętny zarobek /650 leków, co odpowiada 650 frankom/ jest równy cenie garnituru lub palta, lecz nie wystarcza na kupno roweru /850 leków/.

Ponieważ posiadanie własnego samochodu jest zabronione, zaś środki masowej komunikacji /autobus i pociąg/ pozostawiają wiele do życzenia, przedmiotem pożądania pozostaje rower. Ludność porusza się na piechotę, ciężarówkami albo też w bryczkach, zaprzężonych w woły lub konie. Tylko Nieliczni szczęśliwcy posiadają motocykle. Są to podarunki od krewnych z zagranicy, bowiem motocykli kupić w Albanii nie można.

Albania w chwili obecnej nie jest w stanie wyprodukować pełnego asortymentu sprzętu gospodarstwa domowego, niezbędnego w życiu codziennym. Pralki, na przykład, są sprowadzane z Czechosłowacji, a następnie sprzedawane w Tiranie za walutę po astronomi-

cznych cenach 600 dolarów, co powoduje, iż są dostępne jedynie dla nielicznych Albańczyków, posiadających krewnych zagranicą.

Bezprzykładne w Europie zacofanie gospodarcze zawdzięcza Albania swemu przestarzałemu przemysłowi i polityce "narodowej niezależności", drastycznie ograniczającej stosunki handlowe z innymi krajami.

Bazę przemysłu ciężkiego /główne bogactwo Albanii to górnictwo/ stanowią fabryki powstałe w latach 50-tych i 60-tych.

Korzystanie z pożyczek zagranicznych, a także tworzenie wspólnych przedsiębiorstw z kapitałem zagranicznym jest zabronione przez konstytucję w trosce o zachowanie narodowej niezależności. Ponieważ zaś rozwój gospodarczy tego niewielkiego kraju nie jest możliwy bez pomocy z zewnątrz, doktryna ta skazuje Albanie na nędzę i pogłębiające się zacofanie.

Jako przykład posłużyć mogą starania w zakresie podjęcia produkcji wyrobów gotowych z miedzi, chromu i stopów żelazo-niklowych, których sprzedaż na rynku międzynarodowym jest znacznie korzystniejsza niż handel surowcem wyjściowym. Takie przedstawienie jest jednak niemożliwe z braku odpowiedniej technologii. Nie można jej także sprowadzić z Zachodu, ponieważ zawieranie umów z firmami obcymi dozwolone jest jedynie na zasadach kompensacyjnych, co rzadko żądała firmy zagraniczne.

A oto inny przykład. Spółki naftowe Francji, Włoch, Holandii i Niemiec Zachodnich zainteresowane są poszukiwaniem ropy u wybrzeży Albanii. Wydobyć ropy mogłoby stać się źródłem bogactwa dla tego wprawdzie niewielkiego, lecz mającego duże potrzeby energetyczne kraju. Badań geologicznych dna morskiego w tym rejonie nigdy nie wykonano ze względu na brak niezbędnych środków technicznych. Jednakże i w tym przypadku Tirana nie chce wyrzec się swej doktryny i nie godzi się na utworzenie spółki mieszanej z firmą zachodnią, która mogłaby przeprowadzić poszukiwania i być może wykryć ropę.

Żelazna zasada głoszona przez Envera Chodzę brzmiała: *Powinnością liczyć tylko na własne siły*. Nie trzeba być wielkim ekonomistą, aby zrozumieć, że negocjowanie zagranicznej pomocy /zarówno w zakresie produkcji gotowej jak i wspólnych przedsiębiorstw/ stanowi główną przeszkodę dla rozwoju gospodarczego kraju. Problem ten stanie ponownie przed nowym przywódcą kraju - Ramizem Ali.

Innym kłopotem - tym razem wspólnym dla wszystkich krajów komunistycznych - jest niska wydajność i brak motywacji do pracy. Powyższe zjawiska są przejawem naturalnego protestu społeczeństwa

przeciwko ciężkim warunkom życia - sześciodniowemu tygodniowi pracy /przy urlopie dwutygodniowym/, zakazowi zmiany pracy i miejsca zamieszkania bez zgody władz, a także przeciwko złym warunkom lokalowym i brakowi mieszkań.

W kraju liczącym 3,2 miliona mieszkańców nie istnieje żadna zorganizowana opozycja wobec reżimu. Zatem niezwykle trudno jest określić, jak przedstawia się tu sprawa przestrzegania praw człowieka i obywatela.

O Albanii mówi się rzadko. Jedynie w marcu br., gdy Komisja Genewska ONZ d/s Przestrzegania Praw Człowieka oskarżyła Albanię o prześladowanie wierzących, światowa opinia publiczna miała możliwość dowiedzieć się czegoś o tym kraju, w którym samo pojęcie *Prawa człowieka* nic nie znaczy. Raport *Amnesty International* w sprawie łamania praw człowieka w Albanii stwierdza, że trudno jest nawet wskazać liczbę więźniów politycznych, w tym, skazanych z artykułu dotyczącego cenzury oraz zakazu poruszania się wewnątrz kraju bez zezwolenia władz.

Należy sobie uświadomić, że w Tiranie nie jest akredytowany żaden zagraniczny korespondent i wszelka informacja o tym kraju pochodzi od zaledwie kilku specjalnych wysłanników, którzy otrzymali pozwolenie wjazdu do Albanii lub też od emigrantów albańskich, utrzymujących kontakt ze swymi rodzinami w ojczyźnie.

Obserwatorzy zachodni poruszeni są faktem, że dysydenci - faktyczni lub wymyśleni - za próbę ucieczki z kraju, działalność religijną lub krytykę reżimu skazywani są na 25 lat więzienia, zaś prawo karne przewiduje za szereg przestępstw karę śmierci.

Władze albańskie nie negują faktu istnienia więźniów politycznych, lecz konsekwentnie unikają określenia choćby przybliżonej liczby przeciwników reżimu.

W kwietniu tego roku jedna z greckich gazet wymieniła liczbę 4-5 tysięcy więźniów. Suma pokaźna i niemożliwa do sprawdzenia. Władze albańskie przemilczały ten drażliwy temat.

Według informacji opublikowanych na Zachodzie, więźniowie polityczni skazani za *uprawianie antysocjalistycznej propagandy, współpracę z zachodnim wywiadem lub obrazę pamięci Envera Chodży* kierowani są zazwyczaj do obozów usytuowanych na północy kraju i wykorzystywani przy pracach w kopalni pirytu w miejscowości Puku.

W grudniu 1988 roku zachodnie organizacje katolickie doniosły o śmierci ojca Petera Meszkala, 87-letniego zakonnika jezuity, który zmarł w obozie Balsz /na południu kraju/ po 31 latach

spędzonych w więzieniu. Po raz ostatni był aresztowany w 1985 roku za szczególnie niebezpieczne przestępstwo, jakim było odprawienie mszy świętej z okazji Bożego Narodzenia.

Albańska Konstytucja zabrania *prowadzenia wszelkiej działalności antydemokratycznej, faszystowskiej i religijnej oraz propagandy*. W oparciu o jej postanowienia zamknięto wszystkie świątynie i aresztowano wszystkich niesubordynowanych księży katolickich oraz duchownych muzułmańskich. W tej sytuacji najbardziej dostępną formą protestu okazuje się ucieczka z kraju, lecz jest to jednak przedsięwzięcie zbyt niebezpieczne ze względu na skuteczną ochronę granic. Prawo konstytucyjne za próbę przekroczenia granicy przewiduje karę od 10 lat więzienia aż do kary śmierci włącznie.

Na początku bieżącego roku około 20 Albańczyków uciekło i poprosiło o azyl w Grecji, Włoszech i Jugosławii. Wśród nich większość to Albańczycy pochodzenia greckiego. Swoją decyzję tłumaczy dyskryminacją greckiej mniejszości narodowej, która stanowi według oficjalnych danych 80.000 mieszkańców, zaś według greckich opracowań niezależnych - 40.000.

Mają też miejsce ucieczki o posmaku sensacji. Na przykład kapitan kutra rybackiego przedostał się do Włoch drogą morską wraz z rodziną, zmyliwszy czujność straży granicznej. Innego rodzaju sensację wzbudziła ucieczka do Jugosławii w ciężarówce wojskowej oficera i 17 uzbrojonych po zęby żołnierzy, którzy granicę Jugosławii przekroczyli w pełnym szyku bojowym. Na początku sierpnia czworo młodych Albańczyków pieszo pokonało górskie przełęcz na wysokości 2600 metrów, omijając w ten sposób posterunki graniczne i docierając do Jugosławii. Kolejna szóstka uciekinierów wybrała inną drogę. Od grudnia 1986 roku przebywają oni na terenie ambasady włoskiej w Tiranie, stając się przyczyną kryzysu dyplomatycznego, którego finał trudno dziś przewidzieć. Być może szóstka ta pobije rekord w długotrwałej okupacji ambasady, należącej do sowieckich zielonoświątkowców, okupujących ambasadę Stanów Zjednoczonych w Moskwie. Przed nimi rekordzistą był kardynał Mindsenti, ukrywający się w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Budapeszcie.

Albania postrzegana jest jako egzotyczna kraina położona w centrum Europy, lecz egzotyka ta traci nieprzyjemnym zapachem siarki. Na szlaku znanych kurortów, między plażami Włoch i Grecji znajduje się kraj, którego nieposkromiony stalinowski reżim nie zamierza zrezygnować z despotyzmu, stanowiącego istotę testamentu Envera Chodży.

ROSYJSKA PRZYRODA JEST CHORA

Autor /ur. 1936/ jest biologiem i bardzo płodnym naukowcem. W 1986 r. wyemigrował po wielu latach starań ze Związku Sowieckiego. Mieszka w USA i jest profesorem Uniwersytetu w Ohio. Kontinent, Heft 1/1989.

ZSSR zajmuje pierwsze miejsce w świecie, jeśli idzie o zasoby rezerw wodnych. Na jego terytorium znajdują się trzy miliony rzek których łączna długość sięga prawie 10 milionów kilometrów. Kraj ten posiada również ponad 2,8 miliona jezior /o łącznej powierzchni 490 km²/ oraz dwa morza śródlądowe - Kaspjskie i Aralskie. Czternaście jezior w ZSSR należy do największych na świecie /m.in. Bajkał, Ładoga, Onega/. Dlatego nie można się dziwić, że rezerwy wodne Związku Sowieckiego uchodziły za niewyczerpane i że nikt nie zastanawiał się, na jak długo mogą wystarczyć.

Tempo rozwoju przemysłowego ZSSR było i pozostaje wysokie. Zarówno w części europejskiej jak i po drugiej stronie Uralu - na Syberii - buduje się coraz więcej zakładów przemysłowych. Wszystkie one potrzebują wody, wskutek czego nad każdą rzeką i jeziorem stanęły fabryki, które pochłaniają czystą wodę i pozbywają się nieczystości.

W ZSSR nie podaje się dokładnych danych statystycznych o stopniu zanieczyszczenia rzek i potoków czy jezior i stawów. Obecnie, w erze "głasności", ukazują się w prasie pełne oburzenia /czy niepokoju/ listy dotyczące konkretnych, pojedynczych przypadków zanieczyszczeń. Gdy pozbiera się te porozsiewane informacje, można sobie wyobrazić pogląd na to, co stało się z sowieckimi zasobami wodnymi.

Ostatnio poświęcono wiele uwagi Bajkałowi. Położone w środku Syberii jest największym słodkowodnym jeziorem świata i zawiera 23 tys. kilometrów sześciennych wody. Jezioro to mogłoby przez stulecia zaopatrywać całą ludność naszej planety w wodę pitną, ponieważ zawiera ono jedną piątą wód słodkich na Ziemi i aż 85% sowieckich rezerw wodnych. W tym jedynym w swoim rodzaju, podobnym do morza, jeziorze żyło ponad 1200 gatunków ryb, a nad jego brzegami rosły najpiękniejsze lasy świata.

Bajkał jest położony daleko od centrów przemysłowych i mógł zostać utrzymany w naturalnym stanie jako wartościowe dobro kraju. Jednak za rządów Chruszczowa podjęto decyzję o zamordowaniu jeziora. Nad jego brzegiem wzniesiono fabrykę celulozy, która pożerała lasy w strefie brzegowej i zanieczyszczała czyste wody Bajkału. Potem nad rzekami wpływającymi do jeziora zbudowano dalsze 140 zakładów przemysłowych. Odtąd przestały spływać do jeziora wody czystych rzek górskich /około 50 rzek i potoków/, a zaczęła toczyć się śmierdząca gnojówka.

Wielu ekspertów w kraju było zaniepokojonych narastającym zanieczyszczeniem Bajkału. Komitet Centralny partii wydawał w latach 1969, 1971 i 1977 rozporządzenia, które miały powstrzymać proces zanieczyszczenia jeziora. Wszystkie te uchwały pozostały jednak tylko na papierze. W tamtych latach ciągnął aktywność przejawiali specjaliści z wysokich szczebli partyjnych, którzy twierdzili, że żadne obawy nie znajdują uzasadnienia. Głównym uspakajaczem okazał się członek sowieckiej Akademii Nauk, N.M. Szaworonkow, który uaktywnił się ponownie podczas późniejszej nagonki na profesora Andrieja Sacharowa.

Przez dwa dziesięciolecia jezioro ulegało olbrzymiej dewastacji. Na jego dnie gromadziły się rozmaite substancje ciężkie. Obszar zanieczyszczeń wokół kombinatu celulozy powiększył się w ciągu ostatnich lat z dwunastu do dwudziestu kilometrów kwadratowych. Jeszcze gorsza sytuacja wytworzyła się w ujściach wielu rzek, a szczególnie Selengi.

Jeżeli do takiego stanu mogło dojść w środkowej Syberii, to nietrudno domyślić się, jak musi wyglądać sytuacja ekologiczna w europejskiej części ZSSR.

Największym zbiornikiem słodkowodnym jest na tym obszarze jezioro Ładoga o powierzchni 17.700 km². Od niego zależy zaopatrzenie w wodę Leningradu z jego ponad pięciomilionową aglomeracją oraz wielu innych mniejszych miast i miejscowości. Już na początku lat 30-tych dało się zauważyć zanieczyszczenie tego jeziora, szczególnie po wzniesieniu kombinatu celulozy w Priozorsku oraz innych fabryk zatruwających środowisko. Jednak w latach 70-tych proces ten wszedł w fazę szczytową. Dotąd biologiczne samooczyszczanie jeziora pozwalało na utrzymywanie się jakości wody w dopuszczalnym przedziale norm sanitarnych. Dzisiaj jednak same fabryki Ministerstwa Przemysłu Drzewnego i Papieru spuszczały do Ładogi 128 razy więcej zanieczyszczeń, niż musi ich wchłonąć Bajkał.

Innym sprawcą zanieczyszczeń jest rolnictwo. Wskutek stale rosnącego stosowania nawozów sztucznych, w ostatnim ćwierćwieczu zanieczyszczenie Ładogi fosforem potroiło się.. Straszliwe

szkody powodują ścieki ze zwierzęcych kompleksów hodowlanych - tuczarni świń i cieląt oraz fekalia z ferm kurzych. Jedno jedyne z takich gigantycznych przedsięwzięć, które wybudowano nad brzegami Ładogi, odprowadza do jeziora dokładnie tyle samo substancji trujących co miasto przemysłowe liczące dwa miliony mieszkańców.

Wszystko to wyjaśnia dlaczego w wodociągu, który dostarcza wodę z jeziora do Priozerska "maksymalne dopuszczalne stężenie 30 różnych związków chemicznych przekroczone jest od 2 do 250 razy", co stwierdzili naukowcy moskiewscy. W listopadzie 1986 r., pisali oni: *Szeroką substancji chemicznych, których obecność stwierdzono w wodzie pitnej, posiada właściwości rakotwórcze. Wodociąg stanowi zagrożenie dla zdrowia ludności ... Jeżeli proces zanieczyszczania nie zostanie zahamowany, jezioro Ładoga nie tylko obumrze, ale samo stanie się trujące.* Nic zatem dziwnego, że mieszkańcy Priozerska w dwa razy większym stopniu niż ludność całego rejonu Leningradu zapadają na choroby żołądka i przewodu pokarmowego. Analogiczną sytuację obserwujemy w wypadku nieopodal położonego jeziora Onega /czwarte pod względem powierzchni w ZSSR/.

Stan wód w sztucznych zbiornikach wodnych, które powstały przy budowie elektrowni wodnych należy określić jako katastrofalny. Tylko na samej Wołdze, największej rzece Europy, powierzchnia ich osiąga ponad 16 tys. km². We wszystkich tych zbiornikach dopuszczalny stopień zanieczyszczenia został już wielokrotnie przekroczony. W marcu 1988 r. korespondent gazety *Komsomolskaja Prawda* opublikował reportaż o starym rybaku, który od trzydziestu lat pracował w sowchozie na Zalewie Rybińskim /drugi pod względem wielkości sztuczny zbiornik wodny/: *Dzisiaj wyciągnąłem leszcza ... Biedakowi krew ciekła ze skrzeli, spod łusek i z oczu - jak czerwone łzy ... Nie wytrzymałem i zacząłem płakać ... Dziennikarz podsumował: Prawdopodobnie ten stary człowiek już nigdy nie będzie łowił ani okoni, ani leszczy, a sowchoz przestanie funkcjonować.* Tak samo rzecz wygląda na innych zbiornikach wodnych.

Naukowcy już od wielu lat biją na alarm w związku z zanieczyszczeniem Wołgi, zwłaszcza w jej biegu środkowym i dolnym. Niedopuszczalnie zanieczyszczony jest również Dniepr /w ubiegłym roku tylko w rejonie miasta Zaporozże skierowano do tej rzeki ponad 3,5 tys. ton szkodliwych substancji/. Dno Dniepru pokryte jest od Tyraspola do Odessy warstwą szkodliwych odpadków o grubości 50 cm, a liczne rzeki wpadające do tej rzeki zamieniły się w kanały ściekowe. Coś się dzieje ze studniami. Wyciąga się pełne wiadro wody i woda jest albo słona, albo śmierdzi benzyną czy innymi chemikaliami; nie nadaje się ani do picia ani do prania - napisała *Prawda* w kwietniu 1987 r.

Zanieczyszczenie wód stanowi tylko jedną stronę problemu. Tą drugą jest wzrastające nawodnienie gruntów, co powoduje kurczenie się zasobów rezerwuarów wodnych. Suchy klimat, który panuje na większości obszarów uprawnych Ukrainy, wymaga sztucznego nawadniania pól. Szczególnie rozwinięte są systemy irygacyjne w Azji Środkowej, w zlewisku Wołgi i na południowej Ukrainie. Żeby zebrać jak najwięcej bawełny, nawadnia się wszystkie grunty w Azji Środkowej, w związku z czym zużycie wody z roku na rok wzrasta. Skutków tej praktyki nie można nie dostrzec.

W końcu czerwca 1987 r. *Izwestia* opublikowały na stronie tytułowej zdjęcie wykonane z kosmosu, które przedstawiało drugie pod względem wielkości morze śródlądowe Związku Sowieckiego - Jezioro Aralskie. Można tam było dostrzec jak bardzo morze to stało się płytkie i jak powierzchnia jego wód upodobniła się do cienkiej skórki. Gazeta napisała, że morze pożera pustynia i już tylko *porządki łodzie rybackie na piasku* przypominają o bogactwie ryb w przeszłości. W ciągu ćwierćwiecza jedno z największych mórz śródlądowych Ziemi zniknie z jej powierzchni, co pociągnie za sobą poważne przemiany ekologiczne na całej naszej planecie. Winna tego nieszczęścia jest gospodarcza działalność człowieka. Obydwie potężne rzeki Azji Środkowej, Amu-daria i Syr-daria, które jeszcze przed 30 laty corocznie wlewały do Jeziora Aralskiego około 60 kilometrów sześciennych wody, dostarczają obecnie zaledwie 4 - reszta zużywana jest w celu nawodnienia suchych pól. Zresztą Syr-daria już nawet nie dopływa do jeziora, ponieważ musi cały swój zasób wód oddać polom. Co prawda na mapach ciemnoniebieska wstęga rzeki jest połączona nadal z jasnoniebieskim zarysem jeziora, lecz w rzeczywistości znajduje się tam już tylko wyschnięte łożysko. Morze Aralskie skurczyło się o około 100 kilometrów i pozostawiło po sobie tylko lotne piaski.

Najtragiczniejsze w tym wszystkim jest to, że do 40 procent wody, którą czerpie się z Syr-darii i Amu-darii do celów irygacyjnych, marnotrawi się z powodu fatalnego stanu kanałów nawadniających, niedbalstwa i impotencji organizacyjnej. Doszło do tego, że w wielu miejscach na pustyni powstały bagna, na których nie da się nic uprawiać. Mimo to nadal pilnie się je nawadnia. Gdyby nie przerażająca niegospodarność, można by zmniejszyć o połowę pobór wody z obu rzek i nie dopuścić do wysychania Morza Aralskiego.

Przyczyna takiego stanu rzeczy leży w tym, że w ZSSR brak instytucji centralnej, koordynującej zarządy ziemią, wodami i lasami. Ziemia i woda nic nie kosztują. Zużycia wody nikt nie mierzy. Każdy, kto kiedykolwiek widział Morze Aralskie, powinien obecnie wymazać jego obraz ze swej pamięci.

Jest wreszcie i trzeci ważny czynnik, który sprawia, że w skali państwa trwoni się olbrzymie zasoby wodne - nieracjonalne wykorzystywanie wody pitnej, którą wodociągi dostarczają do gma - chów miejskich i mieszkań. W ZSSR obowiązuje symboliczna opłata za tonę wody pitnej w wysokości 4 kopiejek. Ta cena obowiązuje zarówno w podbiegunowym Jakucku, jak i w gorącym Taszkencie. W żadnym mieszkaniu Związku Sowieckiego nie ma liczników mierzących zużycie wody. Z tego powodu opłata regulowana jest nie według zużycia wody, a w oparciu o liczbę mieszkańców. Brakuje jakiegokolwiek osobistej odpowiedzialności i dlatego nikt nie dba o to, żeby nie ciekły krany, kurki czy rezerwuary w WC, żeby w ogóle obchodzić się z wodą w sposób racjonalny. Dobre kurki nie są w ogóle produkowane, a importowane są zbyt drogie i trudne do nabycia. W Taszkencie, na 80 tys. mieszkań w co trzecim stwierdzono przecieki. Z tego powodu zamiast 270 litrów dziennie na osobę zużywa się jej 481 litrów. Łącznie Taszkient zużywa w lecie każdego dnia ponad 2 miliony litrów wody pitnej, co wymaga 700 tys. kilowatów energii elektrycznej. Połowa wszystkich kosztów z tym związanych wynika z marnotrawstwa. W całym państwie te straty są kolosalne.

Jak mogło się to zdarzyć? Dlaczego w Związku Sowieckim tak szybko doszło do katastrofy ekologicznej?

Za rządów Stalina propaganda sowiecka głosiła hasła typu: *Od przyrody nie możemy oczekiwać miłosierdzia. Naszym zadaniem jest ją ujarzmić.*

Ale już w latach 60-tych, kiedy możliwe jeszcze było powstrzymanie chaotycznego rozwoju przemysłu oraz rolnictwa i uratowanie większości zanieczyszczonych rzek i jezior, istniała świadomość narastania szkodliwych następstw tego stanu rzeczy. Od 1965 do 1985 r. Komitet Centralny partii i Rada Ministrów wydały około 30 decyzji dotyczących ochrony środowiska. Jednak era Breżniewa odznaczała się tym, że licznie spływające z góry rozsądne zarządzenia nie były respektowane na dole. Przebiegli szefowie, żyjący jedynie doraźnymi sukcesami, wiedzieli, że tylko przy przekraczaniu planów spadną na nich zaszczyty i wyróżnienia. Zakłady i ministerstwa mimo 196 zarządzeń partyjnych i rządowych w sprawie ochrony środowiska naturalnego, tylko w 47 przypadkach zostały zmuszone do zdania sprawozdania z ich realizacji /przy czym elaboraty te nie odzwierciedlały naturalnie stanu faktycznego/. O tym jak były przestrzegane wytyczne najwyższych władz zdaje sprawę fakt następujący: 5 czerwca 1987 r. - w Międzynarodowym Dniu Ochrony Środowiska Naturalnego - P. Poletajew, zastępca przewodniczącego komisji, którą Prezydium Rady Ministrów powołało do ochrony środowiska naturalnego, meldował, że *prawie jedna trzecia czynnych urzędzeń oczyszczających nie zabezpiecza*

zgodnie z normami oczyszczania ścieków. Przy takim stanie rzeczy zanieczyszczenie środowiska zwiększa się nawet na tych obszarach, gdzie rzekomo funkcjonują urządzenia oczyszczające.

Za ten rozpaczliwy stan rzeczy płaci nie tylko zabijana przyroda, jak na przykład owa krwawiąca ryba z Zalewu Rybińskiego. Płacą także sami ludzie - wzrostem zachorowalności, defektami kodu genetycznego, coraz większą liczbą narodzin dzieci z wadami umysłowymi. Jeszcze nie tak dawno właściwe dane na ten temat były w Związku Sowieckim starannie ukrywane. Niedawno Jewgienij Czazow, minister zdrowia, oświadczył, że główną przyczyną wzrostu zachorowalności jest to, że w 104 miastach państwa koncentracja zanieczyszczeń przekracza ponad dziesięciokrotnie dopuszczalne normy sanitarne; jedna czwarta !! zbiorników wody pitnej i jedna trzecia wodociągów publicznych dostarcza wodę niewystarczająco oczyszczoną. Jakikolwiek komentarz do tej wypowiedzi, zwłaszcza że ma ona na celu i tak upiększanie rzeczywistości, jest zbyteczny.

ROSYJSKI CZARNOZIEM

Sława rosyjskiego czarnoziemiu znana jest wszystkim rolnikom świata. Rzecz dotyczy jednego z najżyźniejszych rodzajów gleb, który zawiera od 4 do 12 /w skrajnych wypadkach nawet 13/ procent próchnicy. Gleboznawcy klasyfikują glebę z zawartością próchnicy powyżej 9 procent jako fantastyczną, podczas gdy grunty o zawartości próchnicy poniżej 6 procent określają jako czarnoziem słaby. Z 240 milionów hektarów czarnoziemiu na świecie /występuje w Europie, Azji i obu Amerykach/ na Związek Sowiecki przypadało nie tak dawno 168,4 miliona, przy czym rosyjski czarnoziem był jedyny w swoim rodzaju, ponieważ na całym swoim obszarze wykazywał rekordową zawartość próchnicy. Praktycznie wszystkie ziemie tej klasy zostały w ZSSR zaorane. Dostarczają one 80 pszenicy, buraków cukrowych i słoneczników.

Ażeby dać wyobrażenie o tym, co się stało z czarnoziemem w ZSSR należy przytoczyć jeszcze kilka liczb. Związek Sowiecki posiada największą na świecie powierzchnię użytków rolnych /606 milionów hektarów/. Stany Zjednoczone dysponują areałem 580 milionów hektarów. 227 milionów hektarów przypada w ZSSR na ziemie uprawne. Trzeba zwrócić uwagę na fakt wzrostu obszaru ziem uprawnych: w 1913 r. w Rosji carskiej powierzchnia ich wynosiła 118 milionów hektarów; w 1940 /przed wojną/ 150,6 milionów; za Chruszczowa zaorano prawie 40 milionów ugorów, przez co powierzchnia gruntów wyniosła w 1965 r. 209,1 miliona hektarów. Później udało się z niemałym wysiłkiem zaorać w dwóch następnych dziesięcioleciach dalsze 8-10 milionów hektarów, by w 1985 r. osiągnąć liczbę 227 milionów. Na terytorium państwa nie ma już włączej ziem,

które można jeszcze zagospodarować. Dzisiaj pozostaje już tylko jedno: umiejętnie gospodarować, aby nie niszczyć żadnych gleb - nie zmarnować, nie zabudowywać, nie przecinać szosami itp.

Umiejętnie gospodarować oznacza także starania, żeby gleb nie wyjaławiać, nie odbierać im substancji odżywczych i jeśli można, nawozić. Inaczej z całą pewnością grunty zostaną zniszczone.

Ziemia, która nie ma właściciela jest bezpańska. Kierownicy państwowych majątków rolnych, nie mówiąc o zwykłych kołchoźnikach, nie są w żaden sposób z ziemią związani. Interesuje ich tylko to, by jesienią rozliczyć się z państwem i otrzymać za to określone pieniądze. Dlatego w latach, które nastąpiły po kolektywizacji, wyciskano z ziemi wszystko, co było do wyciśnięcia. Ponieważ w ZSSR nie ma cen na grunty /ziemia należy do państwa i według ustawodawstwa sowieckiego nikomu nie może być sprzedawana/, coraz szybciej następuje proces marnotrawienia żyznych niegdys gleb.

Dzisiaj potencjalna wydajność z hektara w ZSSR jest według oficjalnych, wyretuszowanych danych sowieckich dwukrotnie niższa niż w USA. Członkowie sowieckiej Akademii Nauk, A. Aganbedżian /główny doradca Gorbaczowa w sprawach gospodarczych/, A. Janszyn /viceprezes Akademii Nauk/, G. Golicyn, T. Enejew i członek Akademii Nauk Rolnych W. Tichonow. napisali w *Prawdzie*, że naturalna żyzność gleb obniża się w całym kraju. Przede wszystkim spada urodzajność czarnoziemu. Dwa lata wcześniej A. Janszyn i W. Kowda również na łamach *Prawdy* stwierdzili, że "czarnoziemny Równiny Rosyjskiej w ciągu ostatnich 30-40 lat /tzn. od czasu kolektywizacji - W.S./ utraciły jedną trzecią zawartości próchnicy, a ich warstwa orna zmniejszyła się o 10-15 cm". Dobrze przy tym wiadomo, że substancje odżywcze w 15-20 centymetrowej górnej warstwie gleby wystarczają, żeby przy racjonalnej gospodarce dawać stałe i obfite żniwa przez 3-4 stulecia.

Tak wytworzył się stan zagrożenia. Żeby nie oskarżać w sposób nieumotywowany, przytoczę po prostu słowa czołowego sowieckiego komentatora gospodarczego, Anatolija Iwaszczenki. Opisał on stan tego czarnoziemu rosyjskiego, który jest przechowywany w Parwzu jako wzór do porównań: *A więc nie ma już w ogóle żadnych gleb, które posiadałyby od 10 do 13 procent próchnicy. Na większości obszarów liczby te spadły do rzędu 4-7 procent. Silnie wzrosły tereny, na których gleby posiadają już tylko 2 - 4,5 procent próchnicy.*

Przecież ziemia o tak niskiej zawartości próchnicy nie jest już czarnoziemem. Fakt, że właściwie wszędzie występują teraz gleby z tak niską zawartością próchnicy oznacza - na ogół bezpowrotną - utratę ziem niegdys niezwykle urodzajnych. Ponieważ zaludnienie w ZSSR powiększyło się od czasu kolektywizacji o 120 milionów, co spowodowało zmniejszenie się "działki rolnej" przypadającej na osobę z 1,34 ha w 1934 r. do 0,82 ha w 1987 r., oznacza to dalszy

niekorzystny wpływ na przyszłą gospodarkę rolną. Jest to jedna z wielu przyczyn nieurodzajów w Związku Sowieckim, konieczności zakupów zboża, braku żywności i paszy.

Dlaczego gleby czarnoziemne zanikają? Wspomniałem już, że należy zachować równowagę pomiędzy jałowieniem ziemi spowodowanym uprawą zbóż i nawożeniem jej, głównie związkami organicznymi. Jednak stan pogłowia zwierząt drastycznie pogorszył się /stad brak nawozów naturalnych/. W dodatku przemysłowa produkcja nawozów sztucznych rozwinięta jest niedostatecznie. Na terenach, gdzie regularne zbiory są nie do pomyślenia bez odpowiedniego nawożenia /np. w nieczarnoziemnej strefie europejskiej części ZSSR/, daje się ziemi, tylko około połowy tych składników, których pozbawia ją uprawa zbóż. Sytuacja zaostrza się przez to, że nie da się przywrócić ziemi dawnej jej płodności wyłącznie dzięki sztucznym nawozom mineralnym. Jeżeli gleba jest wyczerpana i straciła dużo próchnicy, nawozy sztuczne nie mogą się w niej utrzymać i przy pierwszych opadach deszczu są wypłukiwane, a to z kolei powoduje szybką erozję.

Problem erozji gleb - przez wodę i powietrze - stanowi palący problem na całym świecie. W tej chwili na całej naszej planecie w ciągu każdej minuty aż 11 hektarów powierzchni użytków rolnych zamienia się w ziemię pustynną. W Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej o erozji powiedziane jest, że "w ZSSR według danych państwowego pomiaru geodezyjnego /1975/, około 200 milionów hektarów ziemi musi być chronionych przed skutkami erozji wodnej... Erozja spowodowana wiatrami zagraża więcej niż 100 milionom hektarów gleb". W latach 1921, 1938, 1948 i 1967 partia i rząd ogłaszały specjalne uchwały dotyczące zwalczania erozji gleb, ale do dzisiejszego dnia sytuacja w tej materii jest nadal alarmująca.

Gleby całej kuli ziemskiej są zagrożone z powodu erozji. Burze piaskowe, które wcześniej często występowały na preriach Kanady i USA, uchodzą do dzisiaj za katastrofy o wymiarze uniwersalnym. Jednak paradoks polega na tym, że najlepiej przemyślany zespół środków ochrony gleby przed erozją został rozwinięty przez sowieckiego uczonego, Nikołaja Tułajkowa już w latach 20-tych. Wsiewołod Stoletow, młody współpracownik Łysenki, oskarżył Tułajkova w 1937 r. o sabotaż. Tułajkow został roztrzelany jako wróg ludu, a Stoletow zrobił zawrotną karierę. Był zastępcą ministra kultury, ministrem szkolnictwa wyższego i prezesem Akademii Nauk Pedagogicznych. Odrzucenie koncepcji Tułajkova oraz doświadczeń amerykańskich przyniosło opłakane skutki. Erozji nie zwalczano. Wąwozy przeorały uprawne obszary Ukrainy. A kiedy na polecenie Chruszczowa w ciągu dwóch lat zaorano ugory Kazachstanu i Ałtaju, burze piaskowe odsłoniły jednym uderzeniem milion hektarów ziemi. W latach 1969 i 1970 wiatry wywiały do 10 centymetrów górnej warstwy

czarnoziemnej na olbrzymich obszarach w rejonie Stawropola. Opadła ona na terytorium Europy, nawet we Francji. W Stawropolu w 1984 r. miała miejsce kolejna burza piaskowa.

Breżniew i jego sukcesor Czernienko, przyjęli za główne panaceum maksymalne nawadnianie pól - meliorację. Jednakże nastawiony na szybką maksymalizację produkcji biurokratyczny aparat sektora rolnego, niweczył prawie wszystkie starania o poprawę złego stanu rzeczy. Niewiele dbano nawet o jakość przeprowadzanych melioracji. Tylko na Białorusi 30 procent gleb dotknęła erozja wodna wskutek błędów popełnionych podczas meliorowania gruntów. W Azji Centralnej dziesiątki milionów hektarów ziemi zamieniły się z powodu nadmiernego nawodnienia w słone pustynie. W ten sposób zmarnotrawiono setki milionów zainwestowanych w rolnictwo rubli.

W porównaniu z innymi państwami, w ZSSR mają miejsce bardzo znaczne ubytki ziemi wskutek konfiskaty żyznych gruntów dla celów budowlanych, zatapiania doskonałych łąk w celu tworzenia sztucznych zbiorników wodnych i budowy elektrowni wodnych oraz wskutek szkód górniczych. Mówi się dzisiaj powszechnie, że sowieckie traktory, kombajny zbożowe i inne maszyny uszkadzają i rujną pola.

Przekonanie, że rosyjskie użytki rolne są niezmiernie, określa tak bardzo postępowanie ludzi, że mało kto zastanawia się czy rzeczywiście wystarczy ziemi, aby wyżywić ich samych oraz ich potomków.

Czołowi politycy sowieccy zaczynają dziś rozumieć, jak fatalne jest takie nastawienie. Niemalą rolę odgrywa fakt, że Gorbaczow wywodzi się z rodziny chłopskiej i w młodości pracował na stanowisku mechanizatora; że uzyskał nie tylko wykształcenie prawnicze, ale ukończył również Instytut Rolniczy w Stawropolu, a potem przez prawie siedem lat kierował całym rolnictwem sowieckim. Jednak najtrudniejsze zadanie kierownictwa sowieckiego polega na tym, żeby przełamać niedbały stosunek kołchoźników i aparatu zarządzającego do ziemi. Bez bodźców gospodarczych nie da się tego problemu rozwiązać. Jeżeli takie podejście nie ulegnie zmianie, rosyjski czarnoziem jeszcze za naszego życia pozostanie już tylko w postaci tego jednego metra sześciennego w Paryskim Urzędzie Miar. Z rosyjskich równin zniknie.

LASY ROSJI

Bałamutnie brzmi informacja, że na obszarze ZSSR znajduje się 770 milionów hektarów lasów i że jest nimi pokryte 34,4 procent powierzchni kraju. W wyobrażeniu wielu ludzi Rosja przedstawia sobą zaczarowany las, na którego obrzeżu stoi potężny niedźwiedź

bacznie obserwujący, by ktoś nie odważył się wejść na teren jego posiadłości.

Już za Stalina miliony więźniów pracowały przy wyrębie drzew, a dzisiaj liczne traktory i piły łańcuchowe nadal wdzierają się do lasów. Las jest rujnowany - pozostaje po nim rozpaczliwa pustka z butwiejącymi pniakami. Jak poświadcza prasa sowiecka, na Syberii marnotrawi się podczas wyrębu każdorazowo około połowy wartościowego drewna przydatnego w handlu detalicznym. W istocie wybiera się pnie dwóch rodzajów - sosny i cedry. Wszystkie inne żeby nie przeszkadzały, przełamuje się przy korzeniach lub okalecza.

Zgodnie z przepisami, wszyscy drwale są zobowiązani do zalesiania terenów wykarczowanych. Ale brakuje na to czasu, siły i gotowości w państwowej gospodarce leśnej, nie mówiąc już o tak zwanym "samozapotrzeniu", czyli brygadach z kołchozów i sowchozów, z kombinatów i fabryk, którym władze terenowe udzielają zezwoleń na ścinanie drzew na potrzeby własne. Brygady "samozapotrzeniowe" działają zupełnie po bandycku i dlatego np. na Syberii ponoszą odpowiedzialność za około jedną czwartą wyrębu lasu. Jednym z nieuniknionych skutków ubocznych takiej praktyki jest fakt, że na obszarach splądrowanych /setki i miliony hektarów rocznie/ mnożą się choroby i szkodniki, które atakują również zdrowe obszary leśne.

Las rośnie powoli. W miarę upływu lat żądano od niego coraz więcej, bowiem rosły potrzeby olbrzymiego kraju. Obecnie z wielu obszarów leśnych rozlegają się wołania o pomoc. Lasy giną w tempie żąbórczym.

Pośród 15 republik, które składają się na federację sowiecką, tylko republikę rosyjską można scharakteryzować jako bogatą w lasy - przypada na nią 728 z ogólnej sumy 770 milionów hektarów. Ukraina posiada blisko 86 razy mniej lasu, Kazachstan 80 razy mniej, Białoruś 107 razy mniej, Turkmenia 227 razy mniej, Gruzja 270 razy mniej, a pozostałe republiki znajdują się w jeszcze gorszym położeniu.

W europejskiej części ZSSR najważniejsze obszary leśne koncentrują się na północy, szczególnie w Karelii. W maju 1987 r. ukazał się w *Prawdzie* artykuł W. Stiepanowa, pierwszego sekretarza karelskiego komitetu obwodowego partii, który stwierdził, że: *w przeciągu paru dziesięcioleci wyrąbywano dwu- a nawet trzykrotnie więcej lasu, niż na to zezwalał naturalny przyrost. Obecnie w wyniku umocnienia się pozycji wielkorządców lokalnych i centralnych - uważających, że "za naszego stulecia starczy, a potem się zobaczy" - eksploatacja tajgi karelskiej w ciągu 25-30 lat doprowadzi do wyczerpania się bogactw leśnych tego rejonu.*

Zanik lasów w Karelii wytworzył groteskową sytuację. Uważając, że zasoby leśne są tutaj niewyczerpalne, wybudowano tam swojego czasu tartaki, kombinaty obróbki drewna, młyny papiernicze itp. Zużywają one drewno, które jak podaje pierwszy sekretarz, "wysyła się do nas z całego kraju, np. celulozę z Syberii czy nawet z Sachalina. Przecież nie można zamknąć gigantycznych kombinatów obróbki drewna".

Kiedy odpowiedzialni za taki stan rzeczy towarzysze wszelkiej rangi wydawali nakazy prowadzenia rabunkowych wyrębów w europejskiej części ZSSR, nie sądzili prawdopodobnie, że Związek Sowiecki zostanie w ten sposób pozbawiony lasów - w najgorszym razie ratunek miała przynieść Syberia, gdzie na obszarach do Uralu do Jakucji koncentrowała się ponad połowa sowieckich rezerw leśnych. Ale drwałe nie spali również na Syberii. Także i tutaj w barbarzyński sposób wycinano najlepsze drzewa, pozostawiając po nich tylko puste przestrzenie. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale faktem jest, że syberyjskie obszary nie pokryte lasem w trójnasób przewyższają analogiczne obszary europejskiej części ZSSR.

W ubiegłych dziesięcioleciach, kiedy kierownictwo sowieckie stale ukrywało niedomagania gospodarcze, fakt ten pozostawał tajemnicą i tylko kosmonauci mogli "obięktywnie" stwierdzić, co się dzieje. Dopiero w 1986 r. ukazały się w *Prawdzie* pierwsze informacje o realnym stanie rzeczy. Autorem artykułu był członek Akademii Nauk A. Issajew, dyrektor Instytutu Lasów i Drewna Akademii Nauk. Podał on, że lasy syberyjskie w strefach dostępnych dla człowieka, gdzie zbudowano drogi i linie kolejowe, są silnie przetrzebione. "Co roku wyrębuje się na Syberii około 60 tys. hektarów lasu. Podobna ilość pada pastwą corocznych pożarów". Issajew podkreślił, że najlepsze tereny leśne, na których rosły sosny i cedry, zmniejszyły się o połowę. "Jeżeli przemysł drzewny również w przyszłości będzie zorientowany głównie na drewno sosnowe - kontynuował uczony - rezerwy na dostępnych obszarach syberyjskich zostaną wyczerpane w ciągu 30-40 lat". Dostępne są właściwie wszystkie tereny, które nadają się do pozyskiwania drewna. Teraz pozostają już tylko dwie drogi - albo jak najszybciej ulegnie zmianie sposób eksploatacji zasobów leśnych, albo eksploatacja przesunie się na obszary północnych mrozów i gór, gdzie las potrzebuje wielu setek lat na odtworzenie stanu drzewnego.

CO NAS CZEKA ?

Czy Gorbaczow i jego ekipa zdają sobie sprawę z grożącej katastrofy ekologicznej i podejmują odpowiednie środki w celu jej uniknięcia? Na razie trudno na te pytania precyzyjnie odpowiedzieć. W każdym razie, dzięki wezwaniom Gorbaczowa do "głasności"

otworzyła się możliwość przedostawania się bardziej lub mniej bliskich prawdziwie informacji na łamy gazet i czasopism. Rysujący się obraz katastrofy ekologicznej jest przerażający. Obecnie, w warunkach "głasności", Gorbaczowowi nie pozostaje nic innego niż poprawa tego stanu rzeczy. Nie da się wygrać rywalizacji z Zachodem, ale będzie też wykluczone zapewnienie społeczeństwu sowieckiemu w dłuższej perspektywie czasowej normalnego poziomu życia; jeżeli nadal prowadzona będzie rabunkowa gospodarka surowcami tego olbrzymiego państwa.

O przyrodzie należy myśleć poważnie także dlatego, że skomplikowane problemy dotyczące wody, gleb uprawnych, lasów i powietrza powodują szkody natury nie tylko ekonomicznej i estetycznej. Wskutek złych - i stale pogarszających się - warunków ekologicznych coraz wyraźniej obniża się stan zdrowotny ludności i - co niesie z sobą jeszcze gorsze następstwa - zachodzą zastraszające zmiany genetyczne. Oznacza to, że naszym potomkom pozostawimy nie tylko zniekształconą i częściowo zniszczoną przyrodę, ale także, że przyczynimy się do ich ułomności i kalectwa.

Można odnieść wrażenie, że po raz pierwszy w historii Związku Sowieckiego państwem rządzą ludzie, którzy zdolni są do tego, żeby rozpoznać realne zagrożenie i dowieść, że są zdecydowani na podjęcie walki ze złem. /.../

Walerij Zojfer

"72 LATA DONIKAD"^x

Nikita Chruszczow zapewniał, że w latach 80-tych ZSSR i cały obóz socjalistyczny osiągnie wyższy poziom produkcji i konsumpcji niż Zachód. Hasłem dnia stało się "dogonić i przegonić". Andriej Amalrik kilka lat potem publicznie zastanawiał się, czy ZSSR dotrwa do 1984 roku. Przewrotny tytuł jego głośnej książki nawiązywał do modelowej wykładni absolutnego totalizmu zawartej w słynnej powieści Orwella. Jesienią 1989 roku widać gołym okiem, że mrzonki Chruszczowa i pytanie Amalrika stały się bezprzedmiotowe. ZSSR, kontynuując niechlubne tradycje Rosji carskiej, jest nadal, używając metafory Karola Marksa, "wiezieniem narodów". Nadal też jest "kolosem na glinianych nogach". Nadal też pozostaje "największym chorym człowiekiem świata". Formalnie wszystko więc zostało po staremu. Jednak od momentu objęcia steru rządów przez Gorbaczowa imperium sowieckie zaczęło w sposób wyraźny zmieniać skórę.

Początkowo sowietolodzy wyrażali dość rozbieżne opinie o nowym władcy Kremia i w związku z tym o nowym kursie ZSSR. Nie pomylili się tylko ci, którzy uznali Gorbaczowa za człowieka rozumiejącego potrzebę generalnej przebudowy państwa i zarazem bloku. Niektórzy snuli nawet wizje, które zakładały autodestrukcję "imperium zła", według wyrażenia Sołżenicyna i Reagana. Tak dobrze albo tak źle na razie przynajmniej jeszcze nie jest. Nie ulega jednak wątpliwości, że ZSSR osiągnął poważny stopień destabilizacji, co musi budzić zrozumiały niepokój. Przecież to jest mocarstwo.

Zachód doskonale to rozumie. Dlatego właśnie Polska i Węgry, dwa niewielkie państwa, które przodują w socjalistycznym peletonie wiodącym do pluralizmu politycznego i ekonomicznego, mają takie trudności ze zdobywaniem zachodnich funduszy niezbędnych dla strukturalnych przekształceń swojego modelu ustrojowego. Gorbaczow takich kłopotów nie ma wcale. Zewsząd sypią się dlań propozycje wielomiliardowych kredytów, inwestycji i nowoczesnych technologii. Bo liczy się po stokroć bardziej w chłodnej kalkulacji politycznej i finansowej właśnie Krenil. Jeżeli klapa nastąpi tu, to dolary nad Wisłą i Dunajem niczego już nie zmienią. Mimo całej

x - Hasło z transparentu moskiewskiej kontrmanifestacji w rocznicę wybuchu rewolucji październikowej.

sympatii do Wałęsy i Mazowieckiego.

Obawy przed załamaniem się procesu przebudowy sowieckiej każą zachodnim politykom i finansistom w sposób wręcz demonstracyjny wyciągać pomocną dłoń do Gorbaczowa. Przecież właśnie dlatego prezydent Bush podjął nagłą decyzję spotkania się z nim na Morzu Śródziemnym. Tym bardziej, że ostatnio w ZSSR nasiliły się ataki na ekipę Gorbaczowa. Coraz częściej zupełnie otwarcie dyskutuje się tam o niebezpieczeństwie wojskowego zamachu stanu. Partyjna i państwowa biurokracja zaczęła nawet porzucać stosowany dotąd bierny opór i preferuje teraz kontrakcję aktywną. Ostatnio zaczęła korzystać nawet z usług "wielkoruskich", szowinistycznych organizacji /"Pamięć", "Odrodzenie", "Rosyjski Front Ludowy"/ i organizować strajki /sterowanie akcjami ludności rosyjskojęzycznej w republikach nadbałtyckich i Mołdawii/. Dochodzą też informacje o próbach odsunięcia w ogóle Gorbaczowa od władzy.

Najlepszą pożywką dla szerzenia nastrojów przeciwnych pierestrojce i Gorbaczowowi jest oczywiście stan gospodarki i pogłębiające się zdesperowanie społeczeństwa. W sklepach często nie ma nic, poza pustymi półkami. Po chleb i ser stoi się godzinami. Zdaniem ekspertów sowieckich kraj stoi przed widmem głodu, który może nastąpić już po tej zimie. Skleroza ogarnęła zresztą już całą gospodarkę, nie tylko rolnictwo. Stan krytyczny pogłębiają masowe, falowe strajki w wielu regionach, z których ostatni, potężny protest górników może mieć konsekwencje nie tylko ekonomiczne. Długi międzynarodowe ZSSR są dwukrotnie większe niż wpływy z eksportu, które starczą głównie na obsługę spłat wierzycielom. Zasoby sowieckie lokowane, a właściwie marnowane w państwach rodźaju Kuby czy Angoli uważane są za stracone. Bezrobocie według ekonomistów sowieckich sięga nawet 5-6 milionów osób. Najbardziej spektakularne jest w Azji Środkowej, stanowiąc w tym regionie istotne, dodatkowe źródło konfliktów społecznych. Ostatnio publicyści sowieccy bez ogródek rozpisują się o upadku nauki - kosmos, wynalazki, technologie, to wszystko jest przede wszystkim małpowaniem, kopiowaniem osiągnięć zachodnich.

Ten fatalny wizerunek niestabilnego kolosa można domalowywać w nieskończoność i to posługując się już nawet tylko oficjalnymi informacjami pochodzącymi znad Wołgi. Czy można się dziwić, że Zachodowi zależy na tym, by pierestrojka zakończyła się sukcesem choćby za cenę poważnego wzmocnienia Związku Sowieckiego. Przecież lepiej mieć do czynienia z państwem normalnym, stabilnym i potężnym, niż nieobliczalym w zachowaniach imperium na glinianych nogach.

Ekipa Gorbaczowa na razie demonstruje pełną wolę przebudowy stosunków międzynarodowych w skali globalnej w zakresie, który od ZSSR zależy. I jak dotąd zasługuje na zaufanie Zachodu. Zresztą nie ma chyba innego wyjścia. Bez przeobrażeń zewnętrznych i wewnętrznych nie ma szans na żaden obiektywny sukces, bo państwo, którym włada, i blok, który kontroluje, znajdują się na granicy wielkiego krachu. Ktoś dowcipny przedstawił to tak: przymusowe braterstwo inwalidów, w którym ślepi podtrzymują kulawych i odwrotnie.

Ani pełna ocena ery Gorbaczowa, ani tym bardziej snucie przypuszczeń na temat przyszłości nie jest łatwe. Wszelkie reformy w dziejach Rosji kończyły się dotąd fiaskiem. Historia się jednak nie powtarza w sposób niezmienny. Aktualnej szansy na sukces Kreml nie powinien zmarnować. Tylko jak tego dokonać? Despotyzm zastąpić oświeconym absolutyzmem? Pozwolić na rozpad imperium? A jeżeli nie, to co ma być nadal tym głównym spoiwem łączącym krańcowo różne narody i społeczności od Eskimosów po Kurdów. Armia, aparat partyjny? Eksplozja nacjonalizmów, z jaką Kreml ma obecnie do czynienia, była łatwa do przewidzenia pomimo gromkiej propagandy o sowieckim, ogólnopartyjnym patriotyzmie. Sądono, że nacjonalizmy załamią i zniszczą ZSSR w odwecie za rusyfikację i sowietyzację. Na razie trudno ten pogląd potwierdzić, tak jak nie można mu zaprzeczyć. Na pewno w dotychczasowym modelu politycznym ZSSR funkcjonować dalej nie może. Zgoda Kremla na eksperymenty w krajach bałtyckich poszła bardzo daleko. Z czasem będzie on musiał stanąć przed podobnymi decyzjami odnośnie innych republik. Efekty przykładu bałtyckiego już zresztą widać.

Czyżby rodziła się wizja jakiegoś sowieckiego Commonwealthu, jak przewiduje to Džilas? Zdaniem ekonomistów uratować ZSSR może tylko gospodarka rynkowa. A jeżeli rynek to i cała obudowa instytucjami demokracji. Czy taka wizja jest realna w perspektywie najbliższych lat czy dziesięcioleci? Z pewnością byłaby bardzo pożądana.

Witold Ster

LITY, ŁATY, KRONY

Państwa bałtyckie 1989.

Trzy narody bałtyckie nadal przodują w procesie demokratyzacji Związku Sowieckiego. Działania ich są równie głośne i widoczne, co uparte i skutecznie gromadzące zdobycze niezależności. Względny spokój procesów zachodzących nad Bałtykiem różni je

od gorączki konfliktów na terenie krajów kaukaskich.

Jesień '88 stała w krajach bałtyckich pod znakiem walki o język. Estoński i Łotewski Front Narodowy oraz litewski Ruch na Rzecz Przebudowy czyli Sajudis zażądały uznania ich języków za urzędowe języki państwowe w miejsce rosyjskiego oraz przywrócenia tradycyjnych kolorów narodowych. Odpowiednie zmiany w konstytucjach objęły również zagadnienia państwowości, osobnego obywatelstwa, autonomii gospodarczej.

Dotąd było zwykle tak, że wprowadzanie zmian dzieła w krajach bałtyckich miesiące, a czasem tylko tygodnie. Estonia jak się wydaje najdalej posunięta w zmianach, próbowała również, jeszcze w listopadzie '88 uzyskać prawo weta wobec ustawodawstwa ogólnosowieckiego, ale wtedy czasy jak widać jeszcze stanowczo nie sprzyjały takim innowacjom, bo po wytoczeniu wszelkich zasobów artylerii propagandowej Moskwa głosami niemal jednorodnej Rady Najwyższej uchwałę estońską unieważniła. Co prawda w Estonii upierano się jeszcze, że w Moskwie w ogóle nie mają prawa czegokolwiek unieważniać, ale wobec coraz głośniejszych pomruków niezadowolonej malutka Estonia postanowiła się z tego sporu "konstytucyjnego" wycofać. Tempora mutantur! Już w pół roku później, w maju '89, zmiany konstytucji litewskiej objęły artykuł o tym, że ustawy ZSSR obowiązują na Litwie dopiero po ich potwierdzeniu przez litewską Radę Najwyższą, gdyż w Republice Litewskiej obowiązują wyłącznie prawa stanowione przez narodowe ciało ustawodawcze i referendum.

We wszystkich krajach następuje duże ożywienie polityczne. Mnożą się partie i organizacje polityczne. Powstają stowarzyszenia ofiar komunizmu, jak choćby Estoński Związek Bezprawnie Represjonowanych, buduje się nowe pomniki, odnajduje stare i przywraca na dawne miejsce.

Znowu mogą działać Kościoły. Jesienią '88 po raz pierwszy mógł się udać "ad limina apostolorum" bp Julijonas Stepanavicius, apostołski administrator diecezji wileńskiej, który po trzydziestu niemal latach zesłania na prowincję otrzymał zgodę na powrót do Wilna i wykonywanie obowiązków. On też w lutym 1989 roku, w rocznicę niepodległości Litwy poświęcił na nowo katedrę wileńską, w której od 1949 roku mieściła się galeria obrazów. Również w protestanckiej katedrze ryskiej odbyło się pierwsze po ponad 30 latach przerwy nabożeństwo.

Doszło do jednoznacznego rozliczenia z historią. We wszystkich trzech krajach najpierw siły niezależne, potem zaś i rady najwyższe jednoznacznie potępiły pakt Ribbentrop - Mołotow i ów-

czesny rozbiór Europy Środkowej. 23 sierpnia w rocznicę paktu "żywy łańcuch" ośmiuset tysięcy rąk połączył trzy państwa bałtyckie - od Tallina, przez Rygę, do Wilna. Wzdłuż trasy odprawiano msze, brzmiały hymny i pieśni narodowe, rozbrzmiewały dzwony..

Coraz odważniej i częściej stwierdzano, że wcielenie państw bałtyckich do ZSSR w 1940 roku było bezprawne i zbrodnicze. Ostrożnie jednak zaznacza się, że nie zmienia to obecnej przynależności państwowej. Fronty narodowe stwierdziły wreszcie jeden za drugim to, do czego wszystko zmierza - celem ich dążeń jest niepodległość! Jeszcze rok wcześniej ich programy mówiły o niezależności, autonomii, samodzielności. Jednak zmiany zaszcze przez te kilkanaście miesięcy pozwalają już sięgać nawet po coś, co do tej pory było absolutnie niedotykalne. Krasnaja Armia! Żąda się wojsk narodowych, potępia wysyłanie bałtyckich poborowych nad Amur, aby przysłać Kazachów nad Bałtyk, gromi wcielanie młodych Litwinów, Łotyszów, Estończyków do armii - o zgrozo! - okupacyjnej. Uchwala Rady Sajudisu z listopada '89 powołuje się nawet na Konwencję Genewską z '49 roku, która zabrania poboru rekruta na terenach okupowanych...

Bałtycka droga do niepodległości! Pierwszym jej etapem ma być przewidywana od Nowego Roku '90 autonomia gospodarcza. Za nią mają pójść dalsze znamiona suwerenności: granice, w tym granice celne mające chronić bardziej zasobny rynek republik przed najazdem klienteli ogólnosowieckiej oraz własne waluty, owe lity, łaty i krony.

W tych gorących miesiącach wrócono również do dawnych, jeszcze przedwojennych projektów federacji bałtyckiej. Niemaló kroków poczyniono już wtedy. Przerwała je, łącząc zainteresowanych we wspólnym obozie, aneksja '40 roku. Teraz, w maju 1989 powołano w Tallinie Radę Bałtycką złożoną z obu Frontów i Sajudisu. Ich wrześniowe spotkanie z przedstawicielami trzech rządów przyniosło postanowienie powołania do 1993 roku wspólnego rynku bałtyckiego. Potwierdziła to odbyta w końcu października 1989 roku konferencja premierów z Tallina, Rygi i Wilna. Bałtycka Wspólnota Gospodarcza - tak się ma nazywać trzeci w Europie po EWG i EFTA związek krajów połączonych chęcią pomnożenia dorobku.

Rok 1990 będzie decydujący. Zimą spodziewane są wybory do rad terenowych i rad najwyższych. W każdym uczciwych wyborach zwycięży opozycja. Sajudis litewski już zajmuje się przygotowaniem do kampanii wyborczej, przede wszystkim z zamiarem skupienia sił niezależnych we wspólnym bloku przeciw komunistom, na wzór listy Komitetu Obywatelskiego w Polsce.

Trzy Fronty bałtyckie wystosowały apel do Busha i Gorbaczowa przed ich szczytem śródziemnomorskim. "Kraje bałtyckie są jedynymi państwami w Europie, które nie odzyskały niepodległości utraconej w II wojnie światowej" - czytamy w tekście.

Rok 1990 będzie decydujący. Po zimie winna nadejść wiosna. Wiosna bałtycka.

J. Malicki

OSTROŻNIE, ALE DO PRZODU

O ostatnim roku na Ukrainie można powiedzieć: lody ruszyły. Co prawda niewiele było wydarzeń spektakularnych, większość była kontynuacją, rozwojem tego, co zaczęto robić 2-3 lata temu, ale proces ten zbliża się do momentu, w którym wypadki mogą zacząć biec bardzo szybko.

Co było kontynuacją? Utrzymuje się duża różnica aktywności między Ukrainą wschodnią i zachodnią. To, co od dawna jest normalne we Lwowie, w Kijowie jest jeszcze nieosiągalne. We Lwowie mówi się tylko po ukraińsku, w Kijowie mówi tak 30 proc. ludzi, co jest postępem. Lwów ma swój "Hyde Park", miejsce gdzie stale są narodowe flagi i ludzie dyskutują o przeszłości, w Kijowie tego nie ma. Działają struktury założone wcześniej, szczególnie Komitet Helsiński i Grupa Inicjatywna Obrony Kościoła Ukraińskiego, a także Towarzystwo "Lew". Wydawnictwa są wciąż stosunkowo nieliczne i niskonakładowe.

Nowe, choć nie rewolucyjne przemiany są liczne. Systematycznie wzrasta liczba tytułów prasy niezależnej. Jest ich w tej chwili około trzydziestu, dwa razy więcej niż przed rokiem. Ale barierę 500 egzemplarzy nakładu przekroczyło nie więcej jak dziesięć, przy czym niewiele z nich drukuje się na Ukrainie - w większości przypadków korzysta się z drukarni na Litwie. We Lwowie stanie pomnik Szewczenki, a już jest w Stryju. Są pierwsze skromne tablice upamiętniające oddziały Strzelców Siczowych, walczących za Ukrainę w I Wojnie Światowej. Znaczki, z Tryzubem /godło narodowe/ i flagą sprzedawane są swobodnie na ulicach Lwowa. Pówołano Ruch na Rzecz Przebudowy, blisko związany z Komitetem Helsińskim, ale mniej radykalny, za to masowy. Jego kongres odbył się oficjalnie, z udziałem także oficjalnych gości z Polski. We Lwowie odbyło się wiele wieców, na których przemawiano w sprawie różnych problemów narodowych. Największy z wieców, w rocznicę wkroczenia Armii Czerwonej /17 września/ zgromadził około 200 tysięcy ludzi. Domagano

się przywrócenia praw Kościołowi Ukraińskiemu. Zdjęto wreszcie ostatniego pobrzezniewowskiego pierwszego sekretarza /Szczerbickiego/, ale jego następcą, Iwaśko, choć układny, jest jednak też twardogłowy. Dokładnie w dniu zmiany kierownictwa, 1 października, wiec w Lwowie zakończył się interwencją milicji, palowaniem, a nawet strzelaniem plastikowymi kulami. Nie wiadomo komu przypisać tę decyzję.

Prawdziwie rewolucyjne zmiany były tylko dwie. Pierwsza to legalizacja Kościoła Unickiego, co przyrzekł Gorbaczow w Watykanie. U podstaw tej decyzji leży między innymi kilkuletnia walka o prawo do działalności oficjalnej, prowadzona przez Grupę Inicjatywną pod wodzą Iwana Hela, wieloletniego więźnia obozów. Oprócz kilku cerkwi na prowincji, unicy przejęli we Lwowie cerkiew Przemienienia Pańskiego, dotąd prawosławną. Po oficjalnej rejestracji z pewnością zażądają zwrotu Cerkwi św. Jura, siedziby metropolity. Odrodzenie Kościoła Unickiego już ma, a w przyszłości będzie miało jeszcze silniejszy wpływ na konsolidację ukraińskich dążeń narodowych. Taki sam wpływ na wschodzie powinna mieć Autokefaliczna Ukraińska Cerkiew Prawosławną, w tej chwili niestety używana raczej do dywersji na Ukrainie zachodniej.

Drugie przełomowe wydarzenie, to wielkie strajki górników w Donieckim Zagłębiu Węglowym, które doprowadziły do utworzenia niezależnych związków zawodowych. Jak bardzo niepokoją się władze z tego powodu świadczy zamordowanie przez nastanych morderców Aleksandra Sotnikowa, jednego z działaczy związkowych. Związki zagrożają całemu systemowi komunistycznego złodziejstwa i korupcji, a zatem dochodom tysięcy zblednych biurokratów. Poza tym, są na najlepszej drodze do walki o uznanie dóbr naturalnych, a więc i węgla za własność Ukrainy. Byłby to następny krok na drodze do suwerenności narodowej, a także fakt jednoczący wschodnią i zachodnią część republiki, co jest władzom sowieckim bardzo nie na rękę.

Ukraina to ogromny obszar i ogromna liczba ludzi, także społeczeństwo bardzo różne w różnych częściach kraju. Jest naturalne, że unifikacja takiego organizmu trwa długo. Proces ten w ostatnim roku postępował dość szybko. Na jego drodze stoją teraz dwie poważne bariery, które nie wystąpiły w mniejszych republikach przybaltyckich i Zakukazia. Pierwsza, to bariera informacyjna. Na Ukrainie nie da się zwołać wszystkich na jeden wiec, ani załatwić wszystkiego przez kontakty osobiste. Dopiero opanowanie przez opozycję sztuki wydawania wielkonakładowych gazet oraz stworzenie sprawnych centrów informacyjnych w wielu miastach, pozwoli na skuteczniejszą integrację. Jak wskazuje przykład Litwy, występuje tu raczej bariera psychologiczna, niż materialna. Drugi problem, to

"odkołchozowania kołchoźników". Stanowią oni poważny procent ludności a są tylko robotnikami rolnymi a nie rolnikami, zdolnymi do samodzielnej gospodarki. Toteż nie chcą brać ziemi od kołchozów, nawet gdy mogą. Nie bardzo nawet wiadomo co zrobić z tą ostoją komunizmu realnego.

J.Z.

ZAKAUKAZIE

Armenia

Wydarzeniem, które zdominowało sytuację w Armenii na początku roku było katastrofalne trzęsienie ziemi, które 7 grudnia 1988 zmiotło Spitak, Leninakan, Kirowakan i setki wiosek wokół. Dopiero po pół roku udało się ustalić przybliżoną liczbę ofiar: 130 tysięcy zabitych, 60 tysięcy rannych. W Spitaku zginęło 80 proc. mieszkańców. Do katastrofy przyczyniła się zgoda władz na budowę domów nieodpornych na trzęsienie ziemi /oszczędności/ i komunistyczne złodziejstwa przy budowie. Akcja pomocy ofiarom trzęsienia zmobilizowała cały świat. Niestety, większość darów nigdy nie dotarła do ofiar, a nawet do Armenii. Do odbudowy rejonu klęski ściągnięto brygady z Rosji, które zajmują się głównie pijaństwem. W rok po katastrofie nie uprzątnięto 20 proc. gruzów /poza Spitakiem, który nie będzie odbudowywany w tym samym miejscu/. Zbudowano dotąd 0,5 proc. potrzebnych domów /głównie ekipy zagraniczne i estońskie/, dalszych 5 proc. jest w różnych stadiach konstrukcji. Wiele rodzin spędzi drugą zimę pod namiotami. Inne rozjechały się po Armenii, Sowietach lub wyemigrowały. Ta fala nałożyła się na falę emigrantów z Baku i Sungaitu /dotąd około 150 tysięcy osób/, stwarzając ogromne problemy mieszkaniowe w całej Armenii.

Po trzęsieniu ziemi aresztowano cały Komitet Karabachski, przywódcy fali manifestacji na rzecz przyłączenia Górskiego Karabachu /Arcachu/ do Armenii. Wprowadzony w Armenii i Azerbejdżanie stan wojenny miał uniemożliwić demonstracje i wyciszyć konflikt. Karabach został wyłączony spod władzy Azerbejdżanu, z Moskwy przysłano wojska sił wewnętrznych i tzw. "komisję Wolskiego". Efekt tych działań był wszędzie odwrotny od zamierzonego. Komitet Karabachski wypuszczono w maju, na skutek protestów i strajków, latem zniesiono stan wojenny. Opozycja przygotowywała się do wyborów do parlamentu Armenii oraz sesji Rady Najwyższej w sprawie Karabachu. Sesja, na której rozegrała się kłótnia w sprawie Karabachu, niczego nie załatwiła. Gorbaczow zajmował głos autorytarnie i "po

ojcowski", nie dopuszczając do pełnej wymiany zdań, przez co dalej tracił zaufanie obu stron. Po sesji władze Azerbejdżanu ogłosiły blokadę transportu kolejowego do i z Armenii. Szczególnie dotkliwa była blokada linii kolejowych /okazało się, że 80 proc. ładunków do i z Armenii idzie przez Azerbejdżan/ oraz brak dostaw benzyny z Baku, co unieruchomiło transport samochodowy i lotniczy. Armenia przeżyła blokadę, ale z ogromnymi stratami materialnymi. Blokada została częściowo zdjęta, gdy ogłoszono, że Karabach zostanie ponownie oddany pod władzę Azerbejdżanu. Odpowiedzią władz Armenii na decyzję centralną było ogłoszenie Karabachu nieodłączną częścią Armenii i przyznanie mieszkańcom obywatelstwa Armenii. W odpowiedzi na to Azerbejdżan wznowił blokadę, która trwa dotąd.

W ciągu tego roku, mimo klęsk i tragedii nadal trwał proces umacniania niezależnych instytucji ormiańskich, kontynuowano walkę o Krabach. Narasta też poczucie nienawiści do Rosjan, a w związku z tym wzmożł się ruch na rzecz suwerenności Armenii. Znacznie rozrosły się przedsiębiorstwa spółdzielcze, które dają około 10 proc. produkcji Armenii.

Azerbejdżan

Cały ten rok stał pod znakiem walki z Armenią o Karabach. Wzajemna wrogość sprawiła, że wiadomość o trzęsieniu ziemi wywołała falę radosnych demonstracji w Azerbejdżanie. Katastrofa interpretowana jako kara Allaha na niewiernych, stała się jeszcze jednym bodźcem pogłębiającym i tak już silną falę odrodzenia religijnego. Portrety Chomeiniego i napisy na jego cześć były widoczne już rok wcześniej. Obecnie religia stała się poważnym czynnikiem formowania ruchu separatystycznego, antysowieckiego. Również w efekcie starcia z Ormianami narasta ruch na rzecz rewindykacji majątku narodowego i podporządkowania go władzom republiki. Azerbejdżan zaszedł tu najdalej w ZSSR po republikach nadbałtyckich. Pewnym kłopotem była masowa emigracja wykwalifikowanych robotników i inżynierów ormiańskich. Problem w pewnej mierze rozwiązało osiedlenie w Azerbejdżanie Turków meschetyńskich, po ich ewakuacji z Fergany.

Nowego poczucia samodzielności ekonomicznej użyto skutecznie jako narzędzia politycznego, zakładając blokadę gospodarczą Armenii. Azerbejdżan ma w tej chwili zasoby gospodarcze, świadomość polityczną i religijną oraz położenie geograficzne, które sprawiają, że jego secesja z ZSSR jest możliwością realną. Z powodu malejącej produkcji ropy naftowej byłby to poważny problem dla imperium..

Amenia i Azerbejdżan prowadzą w tej chwili wojnę "na historyków", to jest piszą swoje wersje historii spornego rejonu, oczywiście diametralnie odmienne. Niestety, nie można wykluczyć, że napór dwóch kultur nie okaże się równie morderczy w skutkach, jak napór dwóch płyt tektonicznych, który wywołał trzęsienie ziemi.

Gruzja

W wydarzeniach tego roku w Gruzji przeplatają się dwa wątki: masakry w Tbilisi i separatystycznych dążeń mniejszości narodowych.

Wrzenie polityczne zaczęło się już na jesieni 88. Tworzenie różnych partii i stronnictw, włącznie z niepodległościowymi, poważnie niepokoiło władze centralne. 4 kwietnia rozpoczęła się głodówka kilkudziesięciu studentów na placu, na którym znajdują się budynki Rady Najwyższej Gruzji i KC. Głodówka ta była protestem przeciw wnioskowi o odłączenie od Gruzji Abchazji, który sformułowany w marcu, został następnie poparty przez kierownictwo polityczne Abchazji. W związku z głodówką zbierały się coraz większe tłumy i powstawały coraz radykalniejsze postulaty. Wieczorem 8 kwietnia tłum na zamkniętym placu został zaatakowany z dwóch stron przez specjalne, nowoutworzone oddziały wojsk wewnętrznych, które przewieziono do Tbilisi. Tłum nie miał gdzie uciec i został zmasakrowany. Szczególny wstrząs wywołało zarabanie wielu bezbronnym kobiet saperkami i użycie gazu neurotoksycznego. W następnych dniach wiele osób zostało zastrzelonych na ulicy bez ostrzeżenia. Szczególnie bestialskie zmasakrowanie bezbronnym kobiet było tak sprzeczne z etyką Gruzinów, że doprowadziło do fali nienawiści do Rosjan. Na Kaukazie zastrzelono tego roku wielu rosyjskich turystów i żołnierzy, a większość ugrupowań niezależnych domaga się odtąd niepodległości Gruzji.

Niestety, walczący o niepodległość Gruzini sami mają kłopoty ze swoimi mniejszościami narodowymi i nie potrafią ich pokojowo załatwić. Zaczęło się w marcu w Abchazji, na wybrzeżu Morza Czarnego. Abchazów żyje tam 17 proc., Gruzinów 45 proc. Abchazowie żądali w marcu autonomii, co wywołało w kwietniu demonstracje w Lesilidze /Abchazja/ i kontrdemonstracje w Tbilisi. Abchazowie żądają też otwarcia ich uniwersytetu, a nie filii uczelni tbiliskiej. Po czterech miesiącach, w lipcu, doszło do krwawych starć. Poszło znów o uniwersytet, ale starcie przerodziło się tym razem w krwawą strzelaninę, w której zginęło kilkadziesiąt osób, a kilkaset było rannych. Przylot wojsk wewnętrznych zatrzymał marsz Gruzinów uzbrojonych w broń palną na Abchazie. Konflikt przycichł, ale nie

został rozwiązany.

Na wybrzeżu Morza Czarnego, na granicy z Turcją żyli niegdyś Turcy meschetyńscy. Wysiedleni przez Stalina do Uzbekistanu, stanęli w tym roku w oblicz próby wymordowania przez Uzbeków. Rozważania o możliwości ich ponownego osiedlenia w Gruzji wywołały dodatkową falę napięć. Osiedlono ich jednak w Azerbejdżanie.

Także w górach Kaukazu jest niespokojnie. Samodzielności domagają się Ingusze, którzy nie mają republiki autonomicznej i Osetyńcy, których Stalin podzielił sztucznie na południowych/Gruzja/ i północnych /Rosja/. Domagają się scalenia i utworzenia niezależnej republiki. Strajki, protesty, wiece i głodówki w tych rejonach trwają do tej pory, również nie przynosząc rozwiązania.

Gruzini uważają, że to wszystko jest serią spisków uknutych przeciw nim, próbą pokawałkowania Gruzji, która jest etniczną mozaiką. Zradyzalizowali się do tego stopnia, że na przykład członkowie Partii Narodowej Niepodległości Gruzji zażądali pozbawienia ich obywatelstwa sowieckiego. Jednak konflikty etniczne są realne, z powodu zarówno odrębności narodowej /Abchazowie, Ingusze/ jak i religijnej, bo Meschetowie i w części członkowie pozostałych mniejszości to muzułmanie. Gruzini, walczący dopiero o własną niepodległość nie potrafią odnieść się ze zrozumieniem do prób okrojenia tego, co uważają za swoje terytorium.

Między Gruzją i Armenią istnieje pewne zrozumienie i współpraca. Gruzini pomagali Omiłom po trzęsieniu ziemi i zwiększali transporty przez swoje terytorium w czasie blokady, a także odprzedawali benzynę, co wywoływało oburzenie w Azerbejdżanie. Linia kolejowa idąca przez terytorium Gruzji zostanie rozbudowana, tak aby mogła przejąć większość ruchu kolejowego z Armenii.

W sumie był to na Kaukazie bardzo burzliwy rok. Przyniósł zarówno wzrost samodzielności wszystkich trzech republik i ich desowietyzacji, jak i zagrożenia ze strony szowinizmów narodowych i religijnych, które mogą doprowadzić do krwawej katastrofy w tym niezwykle zapalnym regionie świata. To z kolei czyni obecność Rosjan z wielu powodów potrzebną i pożądaną, hamując proces desowietyzacji. W którą stronę potoczy się ten proces, pozostaje kwestią otwartą.

J.Z.

JESZCZE NIE TERAZ

Wstępne wyniki spisu powszechnego były kolejnym przypomnieniem, że najważniejszym problemem Związku Sowieckiego jest kwestia narodowa. W ciągu ostatnich 10 lat liczba ludności ZSSR zwiększyła

się o 9,3 proc., osiągając 286,7 mln. Uderzający jest udział w tym przyroście ludów muzułmańskich, dla których statystyki notują przyrost wahający się od 12,6 proc. /Kazachstan - republika o największej liczbie ludności napływowej/ do 34,5 proc. /Tadżykistan/. Obecnie muzułmanie z Azji Środkowej stanowią 17,2 proc. całej ludności ZSSR /w 1979 - 15,3 proc., w 1959 - 11 proc./, a jeśli doliczy się do nich mieszkańców Azerbejdżanu, to udział ten wyniesie nawet 20 proc.

Konsekwencją tych zmian jest procentowy spadek udziału populacji Rosjan. Stanowią oni nadal wyraźną większość, bo 51,4 proc. ludności kraju /w 1979 - 52,4 proc., w 1970 - 56,3 proc./, ale w perspektywie jednego-dwu pokoleń - o ile ZSSR zachowa przez ten czas swe obecne granice - liczebna dominacja rosyjska zostanie zastąpiona przez środkowoazjatycką.

Przytoczone tu dane stanowią tylko jeden z aspektów nabrzmiewającego problemu. Rok 1989 przyniósł wydarzenia, które przypominają, że sowietyzacja Azji Środkowej nie dała spodziewanych efektów, sygnalizując jednocześnie najbardziej newralgiczne pola w życiu politycznym tego regionu. Rok rozpoczął się od demonstracji na rzecz wycofania języka rosyjskiego z publicznego życia południowych republik. Pod presją uzbeckiej organizacji niezależnej Birlik /Jedność/ oraz obywatelskich frontów Tadżykistanu, Turkmenii, Kazachstanu i Kirgizji lokalne władze przygotowały projekty ustaw, które zagwarantować mają awans języków orientalnych do pozycji oficjalnych środków porozumiewania.

W Uzbekistanie przewiduje się nawet stworzenie szerokich możliwości nauczania miejscowego języka w grafii arabskiej, co pozwoli na upowszechnienie literatury przedsowieckiej. Dotychczas projekty nie zostały wprowadzone w życie, ale jest to zapewne kwestia kilku najbliższych miesięcy. Konsekwencją tej zmiany będą zwiększone kłopoty Armii Czerwonej z poborowymi azjatyckimi, którzy nawet przy obligatoryjnej nauce języka rosyjskiego we wszystkich rodzajach szkół nie opanowywali go na tyle, by rozumieć komendy przełożonych. Można więc spodziewać się jeszcze silniejszego oporu młodzieży z południowych republik wobec obowiązku odbywania służby poza ojczystym regionem.

Walka o własny język wiąże się ściśle z dążeniami do odejścia od stereotypowej, prymitywnej oceny kultury ludów muzułmańskich. W Kirgizji rozgorzał spór związany z kolejną publikacją eposu "Manas", który zdaniem komunistycznych cenzorów musiał ulec przeróbkom, gdyż zawiera elementy "politycznie błędne" /chodzi tu o wersję z XVII wieku/. W obronie anonimowego dzieła, które dla Kirgizów jest tekstem niemal świętym wystąpił między innymi Dżyn-

giz Ajtmatow. W Kazachstanie historycy zażądali opublikowania prawdziwych danych na temat konsekwencji zmuszania koczowników do osiadłego trybu życia. Przypomnijmy tu, że w latach 1924-32 liczba była zmniejszona się o 85 proc. /z 40 mln. do 5,4 mln sztuk/ a straty w ludziach porównuje się do największych kataklizmów wojennych. W Uzbekistanie, Turkmieni oraz innych republikach środkowoazjatyckich na nowo ocenia się ugrupowania polityczne z końca XIX i początków XX wieku, które przez ostatnie dziesięciolecia określane były jako zbiorowiska szowinistów, szpiegów imperializmu, propagatorów ciemnoty i wrogów postępu. Pówracają nazwiska dotąd zakazane, takie jak Turar Ryskul-oglu, Ahmet Baytursun, Sultan Galiloglu czy Sultan Ali-oglu. Nam, na ogół nic one nie mówią, ale dla Kazachów, Tatarów i Uzbeków są symbolem ich niezależności, liberalnej myśli politycznej i autentycznego rozwoju kultury narodowej.

Równolegle, ożywieniu, i to znacznie wyraźniejszemu, ulegają tendencje powrotu do religii. W Tadżykistanie władze zaangażowały nawet mułłę Habibullaha Azamchanowa, aby namawiał wiernych do zerwania kontaktów z tymi, którzy rozpowszechniają nielegalną literaturę religijną oraz do zaniechania modłów w miejscach do tego nie wyznaczonych. Na szczęście był to wybryk jednostkowy, bowiem w skali generalnej rozważa się możliwość zarejestrowania wszystkich nielegalnych iszanów, szejchów i mułłów, by choć w niewielkim stopniu zyskać nad nimi kontrolę. Zjawisko jest tym niebezpieczniejsze, że w sowieckiej Azji Środkowej zwiększa się popularność idei państwa teokratycznego, czego wyrazem może być choćby niezwyklej kariera jaką zrobiło imię Ajatollah, nadawane ogromnej liczbie nowonarodzonych chłopców. Gminy muzułmańskie są bardzo dobrze zorganizowane, wydają własne niezależne pisma /np. jedno z najpopularniejszych nazywa się "Islamska Prawda"/, rządzą się swoimi prawami opartymi na szariacie i tradycjach rodowych. Jak wykazała oficjalna ankieta przeprowadzona wśród członków Komсомоłu, tylko 14 proc. młodzieży nie wierzy w Allacha, a około połowy codziennie wypełnia obowiązek codziennej modlitwy. W prasie coraz częściej pisze się o medresach - muzułmańskich szkołach, które funkcjonują półoficjalnie w prywatnych domach i stanowią niezwykle silną ideową konkurencję dla państwowego, ateistycznego systemu oświatowego.

Islam jest w Azji Środkowej bardzo silnym spoiwem społecznym. Przekonaliśmy się jednak, że jeszcze większą rolę odgrywają więzy plemienne /za którymi najprawdopodobniej stoi zróżnicowanie tarykatów, czyli sekt muzułmańskich/. Przejawiło się to latem 1989 w krwawych zamieszkach, do jakich doszło w dolinie Fergany oraz w zachodnim i środkowym Kazachstanie. W obu wypadkach bezpośrednią przyczyną były błahe incydenty, a ofiarami agresji napływała lud-

ność kaukaska, w większości muzułmańska. W rzeczywistości, do eksplozji doprowadziła bardzo napięta sytuacja społeczno-ekonomiczna w obu regionach. Fergana przez ponad tysiąc lat przyciągała ludzi stepowe żyzną ziemią, dostatkiem wody i klimatem sprzyjającym rolnictwu. W wyniku bezmyślnej gospodarki /głównie ekstensywnej uprawy bawełny/ oraz umiejscowienia tam zakładów przemysłowych pozbawionych urządzeń oczyszczających, dziś jest to jeden z najbardziej zatrutych zakątków ZSSR. Trujące są nawet wody gruntowe, a zawartość tlenu siarki oraz fenolu w powietrzu jest tak duża, że w zasadzie dolina w ogóle nie nadaje się do życia. Na to nakłada się 25-procentowe bezrobocie i podłe zaopatrzenie. Gniew skierował się przeciw Meschetom, ponieważ nie są "tutejsi" i stanowią dużą, zwartą grupę, a dla miejscowych naprawdę nie ma wielkiego znaczenia, czy znaleźli się tam z własnej woli. Podobnie było w Kazachstanie. Republika cierpi na brak żywności, mieszkań, miejsc pracy i podstawowych zabezpieczeń socjalnych. Od lat trwały protesty przeciwko lokalizacji poligonu nuklearnego /Semipałatyńsk/, którego działalność doprowadziła do zaniku wody w studniach na olbrzymim obszarze oraz do prawdziwej epidemii chorób wywołanych promieniowaniem. Nie mniej tragiczne skutki pociąga za sobą eksploatacja terenów wokół Morza Aralskiego. Prymitywne metody agrarne oraz zaniechanie czynności melioracyjnych nie tylko wyjałowiły glebę, ale doprowadziły do prawie całkowitego wyschnięcia Morza Aralskiego. Trudno się dziwić, że takie rządy obcych spowodowały agresywną niechęć do wszelkiej ludności napływowej. Przybyszczy z Kaukazu zarzuca się zajmowanie bardziej intratnych posad oraz łatwiejszy dostęp do rzadkich towarów, nie są to jednak na pewno rzeczywiste źródła konfliktu.

W obu republikach wielodniowe walki uliczne pociągnęły za sobą około 150 ofiar śmiertelnych. Koniecznością stała się ewakuacja ludności napływowej do innych rejonów ZSSR. Nie oznacza to jednak, że konflikt został zażegnany. I to nie dlatego, że w Azji Środkowej pozostały dziesiątki tysięcy Tatarów Krymskich, że żyje tam prawie pół miliona Niemców, prawie tyle samo Polaków, bardzo wielu Koreańczyków, Tatarów z nad Wołgi, że są mniejsze grupy Krymczaków, Żydów bucharskich czy Tatów, że zostali jeszcze Meschetowie. Czerwcowe rozruchy są sygnałem, że narody tego regionu mają już dość władzy narzuconej przez obcych, że nie zaakceptowały i nie zaakceptują systemu komunistycznego ani związanej z nim ideologii. Trzeba przy tym zwrócić uwagę na charakter tego dramatycznego protestu. Nie ograniczono się do demonstracji i ulicznych hujów. Grupy młodych Uzbeków i Kazachów kisiły się najpierw na posterunku rebelii, tam rozbrajały funkcjonariuszy i z bronią atakowały biurowe władzy lokalnej. Przykreżile im to tym łatwiej, że miejscowa milicja nie odważyła się podjąć walki obratymcami. Rozgorączceni

Moskwy wywołały informacje, że do demonstrantów przyłączali się zarówno członkowie partii jak i niektórzy milicjanci oraz żołnierze.

Koniec roku był stosunkowo spokojny. Nie należy się jednak łudzić, że spokój w Azji Środkowej będzie panował długo. Nie wiadać też, by ktokolwiek na Kremlu miał koncepcję rozwiązania choć części niezwykle palących problemów tego regionu. Tak więc rok 1990 może nam przynieść trudne do przewidzenia zdarzenia, które ze względu na zupełnie wyjątkową pozycję strategiczną sowieckiej Azji Środkowej muszą być obserwowane z największą uwagą.

Piotr Zams

WĘGRY 1989 - ROK PRZEŁOMU

W listopadzie 88 jeszcze bili. W marcu demonstrowali wspólnie z opozycją. W październiku 89 sami się rozwiązali. Poczynania węgierskich komunistów w przeciągu ostatnich 12 miesięcy zaskoczyły nawet tych, którzy skłonni byli widzieć przyszłość wyłącznie w różowych barwach. Przyjrzyjmy się, co też nastąpiło:

W początku roku przyjęto nową ustawę o stowarzyszeniach i zgromadzeniach, pozwalającą na nieskrepowane zakładanie organizacji społecznych /jeszcze nie partii politycznych/ i przeprowadzanie demonstracji.

Wiosną podjęto rozmowy tzw. trójkątnego stołu. Z jednej strony zasiedli komuniści, naprzeciw nich przedstawiciele ugrupowań niezależnych, reprezentujący tzw. okrągły stół opozycji. Trzeci bok trójkąta zajęła "trzecia strona" - delegaci najprzeróżniejszych sił do niedawna związanych z aparatem władzy, teraz zaś próbujących z większym lub mniejszym sukcesem rozgrywać własną partię /Patriotyczny Front Ludowy, Liga Kobiet, oficjalne ZZ, Towarzystwo im. Ferenca Munnicha, skupiające komunistyczny "beton" itd./. Wbrew mylącej nazwie stół rozmów miał kształt podkowy. Po jej otwartej stronie tłoczyli się dziennikarze, reporterzy, kamerzyści węgierskiej TV, która na żywo transmitowała przebieg posiedzeń plenarnych. Porozumienie podpisano we wrześniu. Zawarto w nim niemal wszystko, czego domagała się opozycja, w tym przede wszystkim Związek Wolnych Demokratów /SzDSz/. Opracowano projekt nowej konstytucji i innych aktów prawnych wyższej rangi, kładąc podwaliny pod przebudowę systemu komunistycznego na Węgrzech w parlamentarną demokrację wielopartyjną. Do 23 października, kiedy to uroczystie obchodzono rocznicę powstania 1956 roku, Parlament przyjął wszystkie projekty w formie ustaw, dokonując jednocześnie zmiany nazwy państwa z Węgierskiej Republiki Ludowej na Republikę Węgier-

ską.

Nie obeszło się jednak bez zgrzytów. W ostatniej fazie rozmów zarysował się wyraźny konflikt między komunistami a radykalniejszą częścią opozycji /wspomniany SzDSz, Związek Młodych Demokratów FIDESZ, Demokratyczna Liga Wolnych Związków Zawodowych/ w kilku istotnych kwestiach, z których najważniejsza dotyczyła trybu i terminu wyboru prezydenta. Komuniści, popierani przez część opozycji /Węgierskie Forum Demokratyczne/, chcieli, aby wybory te, w formie głosowania powszechnego, odbyły się przed wyborami parlamentarnymi. Ich adwersarze opowiedzieli się za wcześniejszymi wyborami do Parlamentu i za wyborem prezydenta przez Parlament. Nie zgadzając się na przyjęte w porozumieniu rozwiązanie SzDSz, FIDESZ i Wolne ZZ odmówiły podpisania dokumentu końcowego i wystąpiły z wnioskiem o przeprowadzenie referendum w sprawach będących przedmiotem sporu. Pod tym naciskiem komuniści, którzy w międzyczasie przekształcili się w Węgierską Partię Socjalistyczną, musieli ustąpić: najpierw sami wprowadzili w życie politycznym kraju zmiany, których domagała się radykalna opozycja /wycofanie partii z zakładów pracy, rozwiązanie Straży Robotniczej, stanowiącej zbrojną formację partii, rozliczenie się przez partię z posiadanej majątku/, a następnie pogodzili się z tym, że referendum odbędzie się /26 listopada/. W głosowaniu większość społeczeństwa poparła postulaty Związku Wolnych Demokratów, tak więc wybory prezydenckie zostały odłożone na okres po wyborach do Parlamentu.

Rok 1989 na Węgrzech był też rokiem trzech dużych i znamienych uroczystości. Po raz pierwszy od 1956 r. oficjalnie obchodzono na ulicach rocznicę powstania 1848r. /15 marca/, rocznicę śmierci /zrehabilitowanego już/ Imrego Nagya /16 czerwca/ oraz rocznicę wybuchu powstania 1956r. /23 października/. Ta ostatnia data stała się świętem państwowym.

Tak więc bilans roku przedstawia się zdecydowanie niekorzystnie dla tych, którzy w okresie ostatnich 30 lat sprawowali na Węgrzech władzę, i zdecydowanie pozytywnie dla ich najradykalniejszych oponentów. Legitymacja rządów komunistycznych została całkowicie zniszczona, czego najwyraźniejszym przejawem była rehabilitacja powstania 1956., uznawanego jeszcze przed rokiem za "kontrrewolucyjny pucz". Partia komunistyczna rozpadła się i straciła swe dotychczasowe znaczenie. Nowo utworzona Węgierska Partia Socjalistyczna, zarówno pod względem odgrywanej roli, jak i pod względem liczebności, jest równorzędnym partnerem ugrupowań opozycyjnych. Partyjny "beton" z Karolyem Groszem na czele, który reaktywował Węgierską Socjalistyczną Partię Robotniczą, jest zjawiskiem nie tyle politycznym, co raczej folklorystyczno-humorystycznym.

Jednakże rozeszły się też drogi dotychczasowych sojuszników w łonie opozycji. Podział na dwa skrzydła skupione wokół Węgierskiego Forum Demokratycznego i Związku Wolnych Demokratów pogłębił się, przy czym społeczna popularność tego ostatniego ugrupowania zdaje się wzrastać. Jego zwycięstwo w referendum oznaczało klęskę nie tylko dla komunistów, ale i dla Forum, które wezwało do bojkotu głosowania. Oznaczać to może, że w społeczeństwie węgierskim coraz silniej dochodzą do głosu koncepcje liberalno-rynkowo-demokratyczne, reprezentowane przez SzDSz wywodzący się z tradycji opozycji demokratycznej lat 70-tych, spada zaś popularność opcji populistyczno-narodowej, której rzecznicy skupili się w Węgierskim Forum Demokratycznym, powstałym w latach 80-tych w wyniku sojuszu części inteligencji z partyjnymi reformatorami.

Wszystkie te przepychanki polityczne odbywały się na tle pogłębiającego się kryzysu ekonomicznego i postępującej inflacji, co sprawiło, że przeciętny obywatel pochłonięty był raczej poszukiwaniem źródeł dodatkowych zarobków niż obserwowaniem pasjonujących skądinąd debat politycznych, transmitowanych przez węgierską TV.

Wojciech Maziarski

BEZ KOŃCA

U schyłku roku 1989 NRD weszła w ostry zakręt i triumfalnie dołączyła do krajów komunistycznych Europy Wschodniej opanowanych duchem antytotalitytarnych reform. Dynamika zmian w Niemczech Wschodnich zaskoczyła najwytrawniejszych znawców wschodnioniemieckiej sceny politycznej. Przypomnijmy, że jeszcze niedawno dziś zdetro nizowany władca Niemieckiej Republiki Demokratycznej, E.Honecker butnie obwieszczał, iż mur berliński przetrwa następne 100 lat.

Pierwsze miesiące roku niczym nie zapowiadały przełomu. Ekipa Honeckera werbalnie deklarowała poparcie dla sowieckiej przebudowy, jednocześnie praktycznie się od niej odcinając. Ujął to skrótowo jeden z prominentów partyjnych: *Jeżeli mój sąsiad tapetuje ściany nie znaczy to, że muszę czynić to samo*. Głośne również się stało wycofanie z rozpowszechniania sowieckiego pisma *Sputnik*. Bez względu na, skontruowany z niemiecką precyzją system represyjny, stosunkowo korzystna sytuacja na rynku konsumpcyjnym, niezły system zabezpieczeń socjalnych zdawały się gwarantować Honeckerowi i jego ludziom długi żywot.

Ferment zaczął narastać w maju. Jego zacznym stała się wielotysięczna demonstracja w Lipsku /7 maja/ pod hasłem protestu przeciwko sfałszowanym wyborom lokalnym. Katalizatorem z pewnością były też zmiany zachodzące w sąsiedniej Polsce i na Węgrzech.

W tym też czasie w ambasadzie RFN w Budapeszcie, w przedstawicielstwie zachodnio-niemieckim w Berlinie Wschodnim pojawili się pierwsi energowscy uciekinierzy. Datą przełomową stał się dzień 10 września kiedy to Węgry otworzyły granicę z Austrią. Do listopada przeszło przez nią 50 tysięcy ludzi. Wkrótce też zapełniły się ambasady w Pradze i Warszawie; ruszyły pierwsze pociągi "wolności". W sumie od początku roku opuściło NRD /legalnie bądź nielegalnie/ około 300 tysięcy obywateli Niemiec Wschodnich.

Jednocześnie w wielu miastach NRD odbywały się wielotysięczne demonstracje /największe w Lipsku i Dreźnie/ sięgające niekiedy miliona ludzi, początkowo brutalnie tłumione przez policję. Radykalizowały się hasła narodowego protestu; żądano wolności słowa i podróży, zniesienia monopolu jednej partii, grup inicjatywnych, wolności zgromadzeń i stowarzyszeń. Masowe poparcie w NRD zyskała powstała 11 września organizacja opozycyjna - Nowe Forum.

Erich Honecker ustąpił 18 października, a jego następca Egon Krenz nie został przychylnie powitany przez społeczeństwo NRD - krzywa jego kariery była bowiem bliźniaczo podobna do krzywej jego zdetronizowanego poprzednika /poparł np. krwawe stłumienie pekińskich demonstracji/. Wiece ani fala ucieczek nie ustawały, a raczej przybierały na sile.

8 listopada podczas 3-dniowych obrad plenum Kc do dymisji podało się całe Biuro Polityczne NSDZ, a na premiera desygnowano uważanego za rzecznika sił reformatorskich Hansa Modrowa. Wreszcie następnego dnia - datę tę warto zapamiętać - władze podjęły decyzję o zezwoleniu obywatelom na wyjazdy przez wszystkie przejścia z RFN, przy czym procedura otrzymywania dokumentów podróży została nader uproszczona. Z tą datą mur berliński praktycznie przestał istnieć.

Obrazy powszechnej fraternizacji wokół muru, który dławił nastroje wolnościowe społeczeństwa NRD, rejestrowane przez telewizję są dobrze znane. Mur utracił na znaczeniu jako zabezpieczenie przed ucieczkami, a tematem dnia - czy to się komu podoba czy nie - stała się kwestia zjednoczenia Niemiec. Jak się wydaje, nastroje zjednoczeniowe silniejsze są obecnie w społeczeństwie obu państw niemieckich aniżeli wśród polityków. Atrakcyjność RFN jest jednak tak wielka, iż masowe spotkania mieszkańców obu państw są przez wielu komentatorów interpretowane jako praktycznie realizowane przez samych Niemców oddolne zjednoczenie Niemiec. Jednak może ono być jedynie nie początkiem, ale uwieńczeniem pewnego procesu historycznego, którego koniecznym elementem będzie liberalizacja NRD, przeprowadzenie tam wolnych, pięcioprzymiotnikowych wybo-

rów /mają się one odbyć najdalej do 1991 roku/. Przedtem jednak trzeba będzie dać konkretne gwarancje ZSSR, że 80 milionowe Niemcy nie staną się dlań zagrożeniem.

RFN jest w stanie stale wywierać wpływ na proces rozwoju sytuacji w NRD. Robiła to zresztą dotychczas, gdy przełamała monopol informacyjny i kiedy pomagała co roku zmagającemu się z brakiem dewiz reżimowi Honeckera. Obecnie również mówi się o wielomiliardowej ofercie pomocy gospodarczej kanclerza Kohla w zamian za wolne wybory. Gdyby stało się to faktem, wówczas można by mówić o wykraczającym daleko poza humanitarną wspaniałość czynniku za pomocą którego Bonn mogłoby wywierać wpływ na rozwój wydarzeń w NRD. Jak się wydaje, ZSSR zaakceptowałby tę pomoc pod warunkiem niepodważania udziału NRD w Układzie Warszawskim. Zachodni Niemcy zaangażowanie w kryzys w NRD jest nieuchronnie związane z kwestią zjednoczenia Niemiec, niezależnie od tego na jak altruistyczne pobudki Bonn się będzie powoływało. Zachodnia pomoc z pewnością wpłynąć może na sytuację gospodarczą w NRD, nie może jednak gwarantować harmonijnego przejścia do nowego ładu społeczno-politycznego. Wielu komentatorów zauważa, iż od powodzenia reform i dalszego rozwoju politycznego w Niemczech Wschodnich może w końcu zależeć również przeżycie dzisiejszego kierownictwa sowieckiego i powodzenie jego reform. Jak się wydaje, przeciwnicy pierestrojki /Ligaczow/ utracili najpoważniejszego swego sojusznika. Utracili nie tylko fizycznie, ale i moralnie, bo oto okazało się, że tak gloryfikowany przez nich system okazał się po prostu znienawidzony przez własnych obywateli.

/j.m./

TROCHE WIĘCEJ NIŻ DZIESIĘĆ DNI

Jesienią 1988 roku w Czechosłowacji doszło do ostrych walk w kierownictwie partyjnym. Zwycięsko wyszli z nich zwolennicy "filozofii bunkrowej", którzy za główny cel uważali utrzymanie status quo. Jednocześnie można było już wtedy dostrzec zapowiedź wydarzeń, które miały nastąpić w mijającym właśnie roku.

27 października, w 70 rocznicę utworzenia Czechosłowacji, ugrupowania opozycyjne zorganizowały demonstrację, w trakcie której wystosowały do władz apel o podjęcie dialogu ze społeczeństwem. Odpowiedzią były areszty i wyroki: Petr Cibulka i Ivan Jirous zostali skazani na ponad rok więzienia. Ostra reakcja władz spotkała się z potępieniem w kraju i za granicą.

W grudniu 1988 ekipa rządząca, chcąc poprawić swój wizerunek w oczach Zachodu, zezwoliła tuż przed wizytą Mitteranda na niezależny miting związany z 40 rocznicą uchwalenia Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Przyszło około 3 tysiące osób, co wprawilo przywódców komunistycznych w rozdrażnienie. Publicznie zapowiedziało, że więcej takich manifestacji nie będzie. Nie było legalnych, ale coraz częściej dochodziło do demonstracji, na które nikt nie próbował uzyskać zgody. Między 15 a 20 stycznia codziennie zbierało się po 8-10 tys. ludzi, którzy pragnęli wspólnie uczcić rocznicę śmierci Jana Palacha. Mimo brutalnych ataków milicji i licznych zatrzymań /ok. 1000 osób/ wyraźnie zaczęła kruszyć się bariera strachu. Aresztowanie i osadzenie w więzieniu Vaclava Havla /8 miesięcy/, Jary Petrovej /9 miesięcy/ i Oty Vaverki /12 miesięcy/ miało odstraszyć, wywołało spontaniczny sprzeciw. W ciągu 10 dni artyści z całego kraju zebrali tysiąc podpisów pod petycją żądającą uwolnienia Havla i jego kolegów. Podobnie zareagowali naukowcy i studenci.

W kwietniu uformował się komitet, którego celem było wymuszenie anulowania bezsensownych wyroków. Powstawały nowe grupy, koła, komitety i środowiska niezależne. W połowie roku w Czechosłowacji działało więcej organizacji opozycyjnych /ok.30/ aniżeli w całym poprzednim 20-leciu. Niezwykle istotne było nawiązywanie między nimi ścisłych kontaktów, co było wyrazem odradzania się społeczeństwa obywatelskiego, jednoczącego się wokół wspólnych celów.

Władze, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa jakie im grozi, wprowadziły nowe przepisy, zaostrzające kary za udział w demonstracjach i sprzeciwianie się policji. Histerycznie zareagowały też na emisję w telewizji węgierskiej rozmowy z Dubczekiem, wysyłając do rządu budapeszteńskiego notę protestacyjną. Pozbawione ideowego wsparcia ze strony Polski, Węgier i przede wszystkim ZSSR, zdecydowały się na zawiązanie wraz z Rumunią i NRD "małej ententy prawdziwego komunizmu". Doprowadziło to do znacznego spadku ich notowań na międzynarodowej arenie politycznej.

Tymczasem w kraju protesty nie ustawały. W czasie niezależnej demonstracji 1-majowej niesiono transparenty z żadaniami reform, pluralizmu i demokracji. Znow interweniowała milicja. Aresztowano Stanislava Devatego. Ofiarą gorliwych funkcjonariuszy padł również portret Gorbaczowa. Pałowanie urządzone w dniu święta robotników wywołało kolejną falę protestów. Nie pomogło przedterminowe zwolnienie Vaclava Havla oraz próba nawiązania kontaktów z niezależnymi pacyfistami poprzez fasadowy Komitet Pokoju. Dążenia opozycji czechosłowackiej zostały zwerbalizowane w petycji zatytułowanej "Kilka zdań". W ciągu 5 tygodni od jej ogłoszenia /27 czerwca/ złożyło pod nią podpisy 17 tysięcy osób. mimo iż wie-

le z nich musiało zapłacić za ten gest wysokie grzywny.

Lato przyniosło zmiany w Polsce i na Węgrzech. Przez Czechosłowację przetoczył się strumień Niemców uciekających z komunistycznej ojczyzny. Atmosfera polityczna stawała się coraz bardziej gorąca. W kraju zaczęło dochodzić do sporadycznych strajków.

Kulminacja nastąpiła w kolejną rocznicę utworzenia Republiki Czechosłowacji. Machina propagandowa już na długo przed 28 października rozpoczęła akcję ostrzegawczą, grożąc poważnymi konsekwencjami w razie przyłączenia się do zapowiadanej przez opozycję manifestacji. 26, 27 i jeszcze 28 października rano przeprowadzono prewencyjne aresztowania, którymi objęto ok. 100 osób w całym kraju. Pomimo gróźb i przestróg na placu Wacława zebrało się ponad 100 tysięcy Czechów i Słowaków. Tym razem do rozpedzenia tłumu użyto oddziałów specjalnych. Agencja CzTK doniosła, że zatrzymano 350 osób, w tym 17 obcokrajowców.

Na znak protestu przeciw represjom i zakłamaniu propagandy Czeska Orkiestra Filharmoniczna podjęła decyzję o bojkocie RIV. 110 dziennikarzy z prasy oficjalnej wystąpiło w obronie kolegów z podziemnego pisma "Lidove Noviny". Tym razem nie można było mieć wątpliwości, że miejsce strachu zajęła złość i defeminacja.

17 listopada, w rocznicę powstania praskich studentów przeciw niemieckim okupantom w 1939 roku, za zgodą władz odbyła się manifestacja na Uniwersytecie Karola. Kiedy studenci wyszli z terenów uczelni i wraz z 50-tysięcznym tłumem skierowali się ku centrum miasta, zostali zaatakowani przez oddziały milicji oraz jednostki desantowe komandosów. Komentatorzy zachodni określili tę interwencję jako "bezprzykładnie brutalną". Oficjalne dane mówiły o 36 rannych, ale niewątpliwie było ich o wiele więcej. Ze źródeł niezależnych wyszła informacja, że pod butami żołnierzy śmierć poniósł 20 letni Martin Szmíd. Już następnego dnia 6 praskich teatrów odwołało normalne spektakle i urządziło zamiast nich dyskusje na temat sytuacji w kraju. Manifestacje protestacyjne objęły Bratysławę i Brno, a co najważniejsze, przyłączyli się do nich robotnicy.

W nocy z 19 na 20 listopada w jednym z teatrów praskich zawiązało się Forum Obywatelskie, które za studentami rzuciło hasło strajku generalnego, wyznaczając termin - 27 listopada. Na ulice wyszły setki tysięcy osób. Z każdym dniem radykalizowały się postulaty. Przeciw dotychczasowym mocodawcom wystąpili pracownicy telewizji i radia. Po dwugodzinnym strajku, który objął dosłownie cały kraj jasne się stało, że warunki dialogu dyktuje odtąd społeczeństwo. Nie wystarczyły dymisje najbardziej skompromitowanych przywódców partyjnych i państwowych. Zdecydowanie odrzucono pro-

pozycje przekształceń w ramach dotychczasowej ekipy. Absolutystyczne rządy komunistów skończyły się. Ich upadek może trwać trochę więcej, niż 10 dni, ale naprawdę było na co popatrzeć!

S.T.

UMARŁ KRÓL. NIECH ŻYJE KRÓL?

Rok 1989 jest niewątpliwie najbardziej burzliwym okresem w dziejach powojennej Bułgarii. Czołowi działacze Niezależnego Stowarzyszenia Obrony Praw Człowieka, podejmując w styczniu tego roku swój protestacyjny strajk głodowy, z pewnością nie przypuszczali, że koniec wieloletniej dyktatury Żiwkova będzie tak rychły. Ich pełna determinacji akcja protestacyjna, która odbiła się szerokim echem w świecie /głódówka poety Petyra Manołowa trwała trzydzieści jeden dni, Ilii Minewa - ponad sześćdziesiąt/ spełniła funkcję kamyczka poruszającego lawinę, stanowiła bowiem załazek zorganizowanego oporu społecznego w Bułgarii. Przybrał on na sile już na wiosnę bieżącego roku, przyczyniając się do ostatecznego osłabienia już i tak nadwątlonej pozycji Żiwkova na arenie międzynarodowej i w szeregach jego własnej partii.

10 listopada 1989 roku panujący od 35 lat komunistyczny dyktator /od 1954 roku sekretarz generalny BPK, a od 1971 - przewodniczący Rady Państwa/ podał się do dymisji, motywując swą decyzję podeszłym wiekiem i przemęczeniem pracą. Te nikogo nie przekonujące argumenty brzmią dziś żałośnie na tle powszechnie znanych buńczucznych deklaracji byłego przywódcy partii, który lubił publicznie przechwalać się dobrym zdrowiem i długowiecznością swych przodków. Jak wiadomo zamierzał piastować rządy dożywotnio...

Choć Żiwkow /ku radości rodaków/ padł ofiarą przewrotu pałacowego - jego miejsce zajął Petyr Mladenow, należący do wrogiego Żiwkowi ugrupowania umiarkowanych reformatorów, w przekonaniu politycznych futurologów i tak wkrótce musiałby odejść z woli coraz bardziej zdeterminowanego narodu. Tegoroczne posunięcia polityczne Żiwkova stanowiły bowiem uwięźnienie jego 35-letniej dyktatury. Tracąc grunt pod nogami, podjął szereg niepopularnych decyzji, których charakteru nie zdołały przesłonić publiczne deklaracje poparcia dla głośności i pierestrojki.

Wydarzenia kolejnych miesięcy układają się w swoistą mozaikę rozmaitych form protestu społecznego i stosownych do okoliczności posunięć aparatu represji. Tegoroczna Międzynarodowa Konferencja Praw Człowieka stanowiła szczególne tło dla aktów przemocy stosowanych przez służbę bezpieczeństwa w Bułgarii. Logiczną konsekwencją terroru było narastanie napięcia społecznego i polaryzacja

postaw, która sprzyjała nieoczekiwanemu /w porównaniu z 1988 rokiem/ wzrostowi liczebności działających już niezależnych organizacji społecznych /Klub Dyskusyjny na rzecz Poparcia Głosności i Plerestrojki, Niezależne Stowarzyszenie Obrony Praw Człowieka w Bułgarii/ oraz powstaniu nowych. Obok chimerycznych ugrupowań, które nie zdołały oprzeć się represjom /np. Partia Zielonych Mas czy Inicjatywa Obywatelska rozpadły się po deportacji przywódców/ skonsolidowały się aktywne do chwili obecnej organizacje o szerokim zasięgu społecznym. Mowa o założonym w lutym br. Związku Zawodowym "Podkrepa"; jego liderami są dr Konstantin Trenczew i Nikołaj Kolew, którzy do pierwszych dni września przetrzymywani byli w więzieniu. W marcu ukonstytuował się w Wielkim Tyrnowie Komitet Obrony Praw Religijnych, Wolności Sumienia i Wartości Duchowych. Przewodniczył mu duchowny Christofer Sabew, również na kilka miesięcy osadzony w więzieniu. Na czele Eko-Głosności stanęli Dimczo Sawow i Petyr Słabakow.

Ugrupowania te, których szczegółowe cele są nieco odmienne, łączy wspólne dążenie do obrony podstawowych praw człowieka we wszystkich sferach jego życia. Nic więc dziwnego, że w obliczu palącej kwestii tureckiej szybko skonsolidowały swe działania. Wyrażający poparcie dla żądań mniejszości tureckiej Konstantin Trenczew, Nikołaj Kolew, Anton Zaprianow, a zaraz potem Todor Gagałow, Hasan Białkow i duchowny prawosławny Christofer Sabew zostali publicznie uznani za "zdrajców ojczyzny" i stanęli wobec realnej groźby procesu karnego. Nieoczekiwana zmiana kursu wobec opozycji odmieniła ich los; we wrześniu opuścili więzienie. Jednakże szykany, jakim na codzień poddawani byli wszyscy działacze opozycyjni świadczą o tym, iż jesienią nastąpiło tylko chwilowe zawieszenie broni. Choć Bułgaria otworzyła swą granicę nawet dla przedstawicielki RWE, Rumiany Uzunowej, która wzięła udział w obradach Konferencji Ekologicznej KBWE w Sofii, nie zaprzestano polityki zastraszania niepokornych obywateli. Działacze Eko-Głosności zostali pobici podczas próby zorganizowania manifestacji, wydawców niezależnego pisma "Most" ukarano wysoką grzywną. Równocześnie jednak podczas EKOFORUM odbyły się pierwsze w dziejach socjalistycznej Bułgarii konferencje prasowe, wiece i manifestacje zorganizowane przez niezależne ugrupowania. Służba bezpieczeństwa nie interweniowała.

Mniej szczęścia mieli bułgarscy Turcy, którzy na wiosnę tego roku podjęli szeroką akcję protestacyjną, domagając się przywrócenia nazwisk, języka tureckiego w szkołach, prawa do opuszczenia kraju. Masowe strajki głodowe i pokojowe manifestacje pozostały wszakże bez odpowiedzi ze strony władz. Dopiero w maju, kiedy to w Kaolinowie i Todor-Ikonowowie padły strzały i w wyniku brutalnej akcji wojska zginęło kilka osób, Żiwkow otworzył granice kraju.

Zaraz też rozpoczął się trwający do dziś exodus Turków, pragnących zachować własną tożsamość nawet za cenę utraty pewnej stabilizacji życiowej. Bułgarię opuściło około 350 tysięcy uchodźców. Umożliwiając im opuszczenie kraju władze bułgarskie podjęły równocześnie ostrą kampanię propagandową przeciwko mniejszości tureckiej. Tradycyjna figura wroga narodowego tym razem obarczona została odpowiedzialnością za gospodarczą ruinę kraju. Mimo aktywności środowisk opozycyjnych w Bułgarii, które dalekie są od żywkowskiej interpretacji kwestii tureckiej, potęga propagandy komunistycznej raz jeszcze okazała się nieograniczona. 10 listopada Żiwkow odszedł do lamusa historii. Zakończyła się jego era w historii tego kraju. A jednak...

Podczas zorganizowanego w Sofii wiecu opozycji, który odbył się 18 listopada z udziałem 100 tysięcy ludzi dobrej woli, jedynym mówcą, jakiego nie pożegnały owacje, był cieszący się skądinąd niekwestionowanym autorytetem Rumien Wodeniczarow. Wystąpił w obronie prześladowanej mniejszości tureckiej... Uzasadnione wydają się więc obawy, iż dziedzictwo ery Żiwkova może być trwalsze, niż życzyłyby swemu narodowi ugrupowania opozycyjne. My również przyłączamy się do życzeń, by relikty przeszłości mogły jak najszybciej zdezaktualizować się w świadomości społecznej.

Ewa Ptaszyńska

STAN WRZENIA

Słyszałem na falach Radia Swoboda zabawną opowieść o turystach rosyjskich odwiedzających Węgry. Pewne miasteczko w jugosłowiańskiej Wojewodinie, położone niedaleko granicy, postanowiło zarobić na trudnościach gospodarczych, które trapią Kraj Rad. Nastawiło się ono na obsługę handlową owych turystów, którzy specjalnie je gromadnie nawiedzają i zostawiają w nim swoje dewizy. Rzecz jest tak zorganizowana, że wizy na wjazd do Serbii, której częścią autonomiczną jest Wojewodina, turyści sowieccy mogą uzyskać na peronie dworca kolejowego tegoż miasteczka.

Przeciętny Polak zapytany o Węgry wie, że tam reforma gospodarcza dała wyniki, zaś w Jugosławii poniosła fiasko, bo trapi ją koszmarna inflacja. Mnie się natomiast wydaje, że jeśli Rosjanin odwiedzający Budapeszt jedzie specjalnie do Wojewodiny po sprawunki, świadczy to o większej sprawności sieci handlowej w Jugosławii niż na Węgrzech. Świadczy też, że życie gospodarcze w Jugosławii funkcjonuje bez wielkich przeszkód mimo szalejącej tam inflacji.

Problemem nr 1 gospodarki jugosłowiańskiej jest właśnie szalejąca inflacja. Stopa wzrostu cen jest w chwili obecnej tak wysoka, że opłaca się robić sprawunki rano, bo wieczorem płaci się już znacznie więcej. Mieszkańcy Jugosławii musieli się nauczyć przeliczania milionowych kwot nie przy bilansach wielkich przedsiębiorstw przemysłowych, lecz przy rachunku codziennego budżetu domowego zwyczajnej rodziny. W dodatku nic nie zapowiada, by inflacja osiągnęła swój kres. Wkrótce być może budżety rodzinne trzeba będzie liczyć w miliardach dinarów. Mimo to życie gospodarcze toczy się normalnie, sklepy są pełne towarów jugosłowiańskich i zachodnich, obsługa sklepów jest sprawna i uprzejma a życie na codzień nie stanowi takiej udręki, jaka jest udziałem mieszkańców miast polskich, nie mówiąc już o ZSSR. Stopa życiowa większości zatrudnionych utrzymuje się na tym samym poziomie mimo lawinowo rosnących cen, bo to samorzady pracownicze w przemyśle i handlu podnoszą ceny towarów i usług, by uzyskane w ten sposób zasoby przeznaczyć na podwyżki płac. W gospodarce jugosłowiańskiej ze względów doktrynalnych nie ma rozdziału na płace i zyski /oznaczałoby to niegodne socjalizmu stosunki najemnictwa/ i dodatkowe przychody uzyskane dzięki podwyżce cen zasilają bezpośrednio dochody pracownicze. W ten właśnie sposób działa charakterystyczna dla gospodarki rynkowej spirala płac i cen, płace gonią ceny, przez co jeszcze bardziej je windują i tak da capo al fine.

Sprawy gospodarcze rzutują na stosunki międzynarodowe wewnątrz federacji. Jugosławia jest, jak wiadomo, krajem wielonarodowym. Przez cały okres międzywojenny rozsadał ją konflikt pomiędzy dwoma największymi nacjami, a mianowicie sprawującymi w niej władzę prawosławnymi Serbami a dążącymi do separacji znacznie zamniejszonymi Chorwatami. Konflikt ten doprowadził do straszliwych rzezi podczas okupacji niemiecko-włoskiej pomiędzy prohitlerowskimi "ustaszami" mordującymi Serbów i Żydów w imię niepodległości Chorwacji a proaliantkimi "czetnikami" rewanzującymi się tym samym ludności chorwackiej. Na tych sporach skorzystała partyzantka komunistyczna marszałka Tito, która głosiła hasła braterstwa i jedności narodów Jugosławii we wspólnej walce przeciwko okupantowi. Komuniści ogłosili również równość wszystkich narodów Jugosławii w ramach federacyjnej republiki wprowadzonej na miejsce jednolitej monarchii. Rozładowało to w dużym stopniu napięcia etniczne w powojennej Jugosławii, czemu sprzyjał fakt, że prezydent Tito był dzieckiem mieszanego małżeństwa chorwacko-śloweńskiego i dla ludności nieserbkiej był czymś na kształt gwaranta jej praw wobec hegemonizmu serbskiego, zaś dla Serbów z kolei zwornikiem jedności Jugosławii. Przed śmiercią w 1980 roku Tito przeforsował nową konstytucję, która jeszcze bardziej umocniła federacyjny charakter

Jugosławii, a jednocześnie utwierdziła status autonomiczny północnych i południowych kresów Serbii, czyli zamieszkałej po części przez Węgrów Wojewodiny oraz zdominowanego przez Albańczyków Kosowa. Ostatni rok przyniósł walki Serbów, którym przewodzi ambitny sekretarz serbskiego KC, Slobodan Miloszewić, o przywrócenie władzy Belgradu nad okręgami autonomicznymi. Z Wojewodiną, w której Węgrzy nie stanowią większości wobec ludności serbskiej, poszło dość łatwo. Gorzej było z Kosowem - skądinąd kolebką państwowości serbskiej, gdzie przybysze z Albanii przez ostatnie kilka wieków tureckiego panowania zmajoryzowali ludność serbską i zdradzają wyraźne skłonności do secesji. Działania Belgradu mające na celu przywrócenie władzy administracji serbskiej nad Kosowem napotykały na opór ludności miejscowej, zwłaszcza studentów i robotników, którzy odpowiedzieli strajkami i manifestacjami protestacyjnymi. Byli zabici i ranni. W chwili, gdy piszę te słowa, toczy się proces sądowy byłego sekretarza KC Związku Komunistów Kosowa, Albańczyka Azema Vlasiego, oskarżonego o przewodzenie albańskiej irredencji. Za życia marszałka Tita Azem Vlasi był przywódcą Związku Socjalistycznej Młodzieży Jugosłowiańskiej, teraz jest więźniem politycznym zagrożonym surowym wyrokiem "niezależnego" sądu. W innych republikach rozlegają się głosy kwestionujące bezstronność serbskiego sądu rozpatrującego sprawę Albańczyka i domagające się przeniesienia sprawy do innej republiki. Przez długie lata Kosowo wraz ze swą ludnością albańską nie było popularne w Chorwacji i Słowenii, które narzekały na podatki płacone przez zamożniejsze i bardziej cywilizowane republiki na rzecz terenów zacofanych. W tej chwili akcja Miloszewicia jest odbierana w Słowenii i Chorwacji jako jaskrawy przykład hegemonizmu wielkoserbkiego, co przechyliła szale sympatii na rzecz Albańczyków.

Antoni Zambrowski

MASTODONT

Ostatnie miesiące upłynęły w Rumunii pod znakiem gwałtownych przemian. Oczywiście - poza jej granicami. Władze z niepokojem obserwują postępy demokratyzacji w krajach do niedawna komunistycznych, zapoczątkowanej przez sowiecką pierestrojkę. W Rumunii przebudowa - jeśli wierzyć oświadczeniom Ceausescu - rozpoczęła się w 1965 roku /czyli w momencie objęcia władzy przez Wielkiego Sternika/. Naśladowanie zmian w ZSSR byłoby więc nieuzasadnione.

W miarę otwierania się sąsiednich krajów, Rumunia dąży do coraz większej izolacji. Mur przesunął się ku wschodowi. Mniej więcej w tym samym czasie zlikwidowano zasieki na granicy węgiers-

ko-austrijackiej i wybudowano wysoki metalowy płot na granicy rumuńsko-węgierskiej. Funkcja płotu /muru, zasieków/ nie zmieniła się od kilkudziesięciu lat. Jego zasadniczym zadaniem jest powstrzymanie ucieczek. Różnica polega na tym, że przez wszystkie inne płoty ludzie uciekali na Zachód. Rumuni próbują sforsować płot po to, by przedostać się do kraju, w którym ciągle jeszcze teoretycznie panuje ten sam ustrój. Obozy i system pomocy dla uciekinierów z Rumunii nie są na Węgrzech niczym nowym. Precedensem było jednak udzielenie po raz pierwszy azylu politycznego obywateli rumuńskiego. W dodatku nie należał on do zamieszkującej Siedmiogród mniejszości węgierskiej.

Kolejnym przejawem dążenia do pełnej izolacji, jest sposób traktowania gości z innych krajów oraz ich oficjalnych przedstawicieli. Przy okazji warto odnotować zanik działalności "nieznanych sprawców". Od kilku miesięcy sprawcy są znani. Wiosną kilku zachodnich dyplomatów zaatakowała na ulicy mundurowa policja. Podobnie polskich turystów na stacji granicznej pobiła umundurowana straż graniczna. Wszystkie te incydenty wiążą się zapewne ściśle z próbami ustawienia granicznego muru, choćby hipotetycznego. Ukochany Syn Narodu uznał zapewne, iż znacznie ważniejsze jest utrzymanie dotychczasowych tendencji w polityce wewnętrznej i zagranicznej, niż kontaktów dyplomatycznych z innymi krajami.

Stosunki z sąsiednimi państwami są coraz gorsze. Nie pomogły rozmowy Ceausescu - Nyers podczas spotkania Układu Warszawskiego w Bukareszcie. Karpacki Geniusz odmówił wówczas wszelkich rozmów na temat mniejszości węgierskiej w Siedmiogrodzie. Jednocześnie trwają prace nad przekształceniem wszystkich wsi w tym rejonie w "kompleksy rolno-przemysłowe". Dziesiątki protestów, apeli i petycji w tej sprawie spowodowały co prawda chwilowe zwolnienie tempa prac i obietnicę ponownego rozważenia projektu, ale obietnica ta niczego nie rozwiązuje. Przypomina raczej próbę przeczekania burzy.

Szybkość przemian w Polsce i na Węgrzech doprowadziła do tego, iż Conducator uznał za niewystarczające całkowite odgrózdzenie się od innych krajów. Podjęto próbę interwencji, na razie tylko słownej /głośny list do PZPR, zawierający m.in. delikatną propozycję interwencji zbrojnej państw Układu Warszawskiego/, ale nie tak dawno przebąkiwano o możliwości ewentualnej wojny między Rumunią a Węgrami. Rumunia jest znacznie lepiej uzbrojona i ma licniejszą armię, ale najprawdopodobniej głodną.

Opozycję rumuńską stanowi ciągle niewielka grupa osób, wечно przebywających w areszcie domowym. Bariera strachu jest ciągle zbyt wysoko, by mógł powstać jakikolwiek większy ruch. Największym

wydarzeniem w historii antyrządowych wystąpień pozostają robotnicze demonstracje w Braşowie w listopadzie 1987 roku. W ciągu ostatnich miesięcy pojawił się drugi nurt opozycji w Rumunii. Jego przedstawiciele to kilku zaledwie emerytowanych członków komunistycznych władz, którzy zaapelowali do Ceausescu o powstrzymanie działań powodujących wyniszczenie społeczeństwa. Wszystkich natychmiast aresztowano. Interesujący może być fakt, iż byli funkcjonariusze reżimu typu stalinowskiego stwierdzają, że polityka Conducatora jest zaprzepaszczeniem idei socjalizmu.

Nie zmieniło się także stanowisko rumuńskich władz w kwestii praw człowieka. Podczas niedawnej pohelsińskiej konferencji dotyczącej ekologii /Sofia, listopad 1989/ Rumunia starała się zablokować podpisanie końcowego porozumienia, kwestionując prawo pojedynczych obywateli i organizacji nie związanych z rządem do wypowiedzenia się w kwestiach ochrony środowiska.

Rozpoczęty 20 listopada zjazd Partii nie przyniósł żadnych niespodzianek. Sporą część czasu obrad zajęły oklaski dla Wodza i jego żony. W muzeum narodowym w Bukareszcie otwarto zajmującą całe piętro wystawę portretów przywódcy. Zjazd potwierdził słuszność prowadzonej dotychczas polityki. Jakikolwiek zmiany nie są przewidywane. Oczywiście oprócz tych, które zaczęły się w 1965 roku, za sprawą Wielkiego Wodza.

/J.K./

W chwili gdy oddajemy ten numer Obozu do druku powyższy tekst staje się nieaktualny. Po gwałtownych zamieszkach w Timişoara, a następnie demonstracjach w Jassach, Braşow i Bukareszcie reżim Ceausescu wali się. Nie wiemy jeszcze, czy informacje o ucieczce Conducatora do Iranu są prawdziwe, ale wszystko wskazuje na to, że żywot jednego z ostatnich mastodontów dobiega kresu. /Redakcja/

Dotychczas ukazały się następujące pozycje
przygotowane przez redakcję OBOZU :

- Trzecia rewolucja. Piotrogród - Kronsztad 1921.
Wyd. KRAG 1981
- Axel Bust-Bartels, Powstanie berlińskie 17 czerwca 1953 roku.
Wyd. KRAG 1981
- Zsolt Csalog, Lajos M., lat 44.
Wyd. CDN 1986
- Wojna w Afganistanie.
Wyd. CDN 1986
- Abraham Szifrin, Przesłuchanie. Obozy pracy w ZSSR.
Wyd. Biblioteka Obserwatora Wojermego, Kraków 1986
- Michał Heller, Aleksander Niekricz, Utopia u władzy. Historia
ZSSR od roku 1917 do naszych czasów. T. I-III, Wyd. CDN 1986
- Ruch pokojowy w państwach komunistycznych.
Wyd. WSTOS, seria ZEN 1987
- Nazywać rzeczy po imieniu. Wybór niezależnej publicystyki
czeskiej i słowackiej. Wyd. CDN 1987
- Róża Czerwińska, W szczęściu byłiby to ludzie dobrzy...
Wyd. PRUM 1987, Wyd. PROFIL 1987
- Siegfried Kogelfranz, Jak podzielić Europę.
Wyd. PROFIL 1988
- Myśli o naszej Europie.
Wyd. PROFIL 1988
- Borys Lewycky, Polityka i społeczeństwo na Ukrainie sowiec-
kiej 1953-1980. Wyd. CDN 1988
- Kadaryzm bez maski. Wybór niezależnej publicystyki węgiers-
kiej. Wyd. CDN 1988
- Menacher Begin, Białe noce.
Wyd. CDN 1989
- Jiri Gruntorad, Niezależne inicjatywy w Czechosłowacji.
Wyd. Solidarni 1989

